wolnelektury.pl

Zofia Urbanowska

Księżniczka

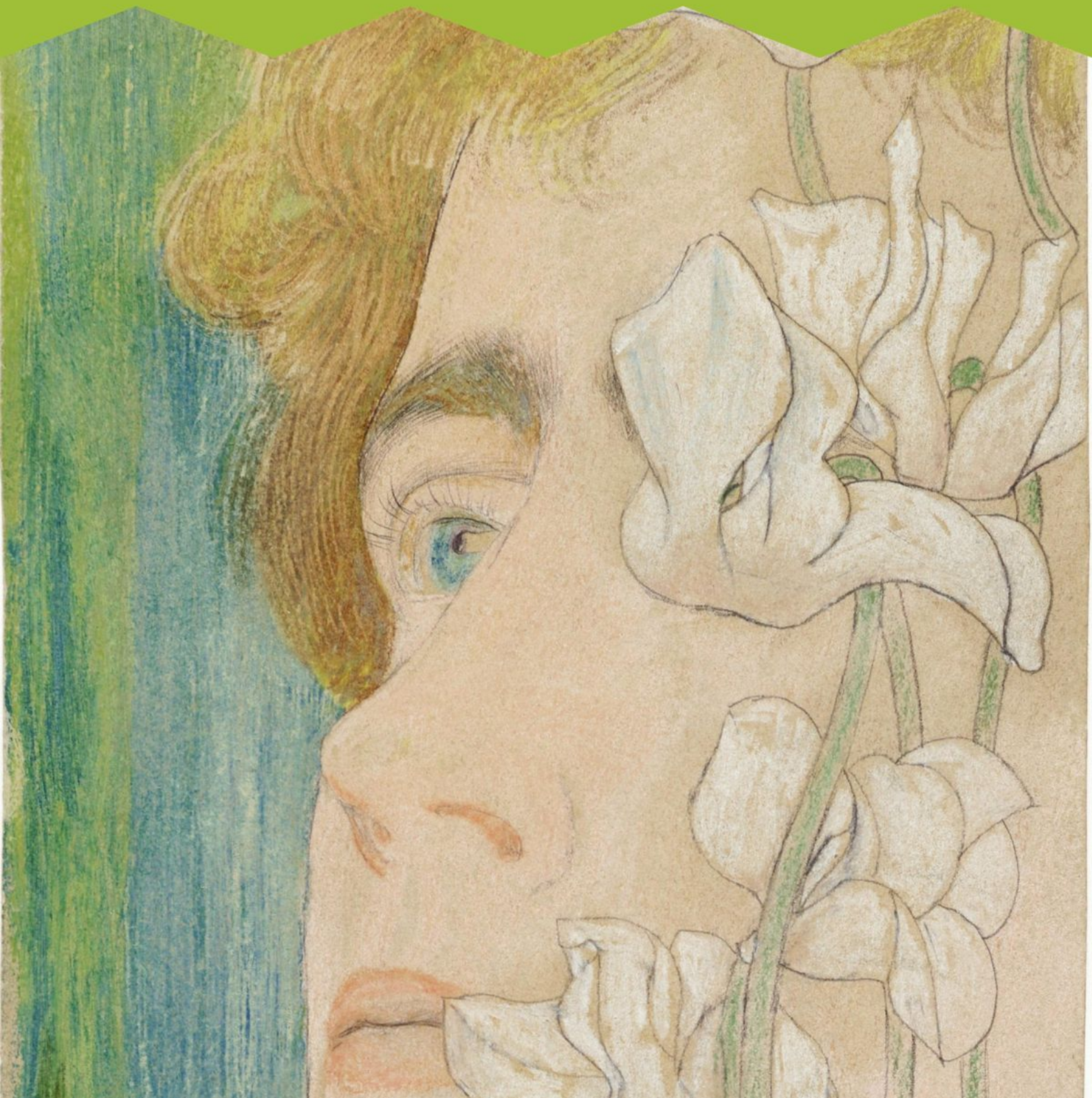

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ZOFIA URBANOWSKA

Księżniczka

W DOMU

I

Gdy w miasteczku M. rozeszła się wieść o założeniu Domu Handlowo-Komisowego Rolników Nadw...skich w celu wyswobodzenia właścicieli ziemskich z rąk lichwiarzy przez dawanie im taniego kredytu na zboże — między kupcami tamecznymi, w rękach których dotąd koncentrował się handel zbożem w całej okolicy, objawił się niemały popłoch, a obrady giełdowe, odbywające się regularnie co dzień z rana na środku rynku, zwanego żydowskim, bywały głośniejsze niż kiedykolwiek. Z gestykulacji rąk, z rozpłomienionych twarzy, z częstego przesuwania czapek futrzanych na tył głowy i z tyłu na przód widać było, że wieść ta niespodziana wstrząsnęła kupcami do głębi. Ale gdy w ślad za pierwszą wieścią przyszła wkrótce na giełdę druga o urządzeniu filii Domu w M. i mianowaniu ajentem pana Marcina Oreckiego, barometr usposobienia moralnego miejscowych Rotszyldów[1], spadły już bardzo nisko, podniósł się w jednej chwili; dziwowano się tylko wielce, jak Dom, na którego czele stawali ludzie znani zaszczytnie w przemyśle krajowym, mógł wybrać na reprezentanta firmy człowieka nie mającego żadnego o handlu wyobrażenia — a stary doświadczony Hersz przepowiadał nawet prędki upadek filii.

Interes

Gdyby do składu nowo powstającej instytucji należeli sami tylko ludzie fachowi, to posada ajenta pewnie dostałaby się komu innemu — ale połowę członków stanowili ziemianie, a ci użyli swego prawa głosu dla zaprotegowania krewnych i znajomych, czemu przecie dziwić się nie można. Jednym z protegowanych był znany z prawości charakteru pan Marcin Orecki, niegdyś zamożny obywatel ziemski. Burza wstrząsająca do gruntu całym krajem pozbawiła go dziedzicznej własności[2] — został mu jednakże kapitał, z którym osiadł w miasteczku, kupiwszy sobie dom z ogrodem. Powolny, łagodny, uprzejmy, serce, a często i kieszeń otwarte miał dla każdego — i pomimo sześćdziesięciu lat wieku, idącego z latami doświadczenia, pomimo że nieraz bywał ofiarą własnej łatwowierności — nie pozbył się jej i ufał każdemu z rzadką naiwnością. Wszyscy dla niego byli uczciwymi ludźmi; a jeśli kto zbyt jawnie przeciwko zasadom uczciwości wykroczył, pan Marcin najprzód[3] wierzyć nie chciał, a potem litował się nad nim i tysięczne dowody wynajdywał na jego usprawiedliwienie.

Tytuł kupca pierwszej gildii[4], jaki panu Marcinowi dostał się wraz z posadą ajenta, sprawił mu niemałą przyjemność. Kazał oprawić patent za szkło w ozdobne, złocone ramy i powiesił w kantorze nad biurkiem. Cieszyło go to, że on, szlachcic, zajmując stanowisko handlowe, poświęcał swoje przesądy szlacheckie[5], przyczyniał się do postępu i brał udział w reformie kraju, szukającego nowych dróg do powiększenia ogólnej zamożności[6] — a przekonanie to podnosiło go we własnych oczach. Każdemu, kto do niego przyszedł, pokazywał patent i objaśniał jego znaczenie, przy czym mówił dużo o postępie, posługując się całymi okresami[7], wyjętymi z mowy, jaką przy otwarciu nowej instytucji miał jeden z członków Domu, noszący historyczne nazwisko — mowy obfitej w piękne frazesy i efekty oratorskie, a którą pan Marcin wyczytawszy w gazetach, tak sobie upodobał, że większą część umiał prawie na pamięć. Przejęty ważnością swego stanowiska, gorliwie się zabrał do zaopatrzenia kantoru w odpowiednie jego przeznaczeniu sprzęty i nie mógł się dość nacieszyć kasą ogniotrwałą i jej sztucznym[8] zamkiem, otwierającym się tylko

---

[1] *miejscowy Rotszyld* — ironiczne określenie bogatego Żyda; *Rotszyldowie* a. *Rothschildowie* — rodzina finansistów żydowskich, pochodząca z Frankfurtu. [przypis edytorski]

[2] *Burza wstrząsająca do gruntu całym krajem pozbawiła go dziedzicznej własności* — aluzja do represji carskich po powstaniu styczniowym, do konfiskaty majątków ziemskich wielu polskich rodzin szlacheckich. Autorka nie mogła napisać tego wprost ze względu na cenzurę. [przypis edytorski]

[3] *najprzód* — dziś: najpierw. [przypis edytorski]

[4] *kupiec pierwszej gildii* — w Rosji carskiej handlowców dzielono na dwie kategorie (gildie) w zależności od obrotów ich przedsiębiorstw. [przypis edytorski]

[5] *szlachcic, zajmując stanowisko handlowe, poświęcał swoje przesądy szlacheckie* — w daw. Polsce szlachcicowi nie wypadało zajmować się handlem. [przypis edytorski]

[6] *Cieszyło go to, że on, szlachcic, zajmując stanowisko handlowe, poświęcał swoje przesądy szlacheckie, przyczyniał się do postępu i brał udział w reformie kraju, szukającego nowych dróg do powiększenia ogólnej zamożności* — wyraz światopoglądu pozytywistycznego. [przypis edytorski]

[7] *okres* (tu daw.) — zwrot, zdanie. [przypis edytorski]

[8] *sztuczny* (tu daw.) — skomplikowany, wymyślny. [przypis edytorski]

za właściwym nastawianiem liter — oraz, choć jeszcze nie było wiadomo, jaki będzie ruch interesów, przyjął sobie dwóch pomocników, którym pensje wyznaczył z własnej kieszeni.

Jakoż wbrew przepowiedni Hersza od razu w kantorze pana Marcina objawił się ruch wielki: bracia szlachta, chętni do korzystania z taniego kredytu, cisnęli się po zaliczki i nieraz w kantorze było tłumno jak w kościele. Jak zresztą nie miało być tłumno, kiedy prawie nikt stamtąd nie odszedł niezadowolony, jak to bywało u Hersza lub Arona? Pan Marcin miał dobre serce i nie lubił ludziom robić trudności, przy tym był człowiekiem towarzyskim, gościnnym i znał cały powiat. Załatwiwszy jak najśpieszniej interes, gawędził chętnie z interesantami o urodzajach, polowaniu, polityce i co dzień prawie przyprowadzał żonie gości na śniadanie lub obiad, nie pytając, czy była na to przygotowana, czy nie. Gdy młocka się skończyła, cała ulica, przy której stał dom pana Marcina, tak była zapchana furmankami z odstawą, że trudno się było przez nią przedostać. Przez całą zimę pan ajent i jego pomocnicy zaledwie sobie dali radę z przyjmowaniem odstaw, ważeniem zboża i ładowaniem go na statki, mające popłynąć do Gdańska. Rzeka, jak okiem dojrzeć, pokryła była lasem masztów ozdobionych różnokolorowymi chorągiewkami, które niby las bagnetów miały walczyć w imię postępu i wywalczyć krajowi nieznaną dotąd pomyślność i bogactwo. Statki kolejno zarzucały kotwice w małej przystani, należącej do posesji pana Marcina, gdzie brzeg wzmocniony był drewnianym bulwarkiem i gdzie stał śpichrz, z którego odbywało się ładowanie.

Praca organiczna, Szlachcic

Jeżeli kto przypuszcza, że miejscowi handlarze spiskowali przeciwko panu ajentowi, to bardzo się myli. Nic podobnego nie było. Hersz i Aron wobec tej procesji furmanek zachowywali się obojętnie, a nawet przyjacielsko. Przychodzili do kantoru, gawędzili z panem Marcinem o cenach zboża, brali w rękę próbki, nieśli je do okna, oglądali, ważyli, przesypywali z dłoni na dłoń, szwargotali z sobą półgłosem, kiwali głowami, ale też na tym był koniec.

Zboże w Gdańsku sprzedane zostało kupcom angielskim z takim zyskiem, że to w członkach Domu Handlowego najświetniejsze obudziło nadzieje, wyglądana era dla handlu i rolnictwa zdawała się już być blisko. Członek Domu, noszący historyczne nazwisko, wypowiedział na ogólnym zebraniu mowę jeszcze piękniejszą niż przy otwarciu tej instytucji, a gazety powtórzyły ją *urbi et orbi*[9].

Toteż istotnie trudne było do zrozumienia, dlaczego w roku następnym ruch w kantorze pana Marcina zmniejszył się — a znaczna część tych, co korzystali z dobrodziejstwa taniego kredytu, zwróciła się na powrót do droższego kredytu żydowskiego i chociaż nie miała zboża na odstawienie Domowi Handlowemu, odstawiała je jednak bocznymi ulicami swoim dawnym kredytorom. Pan Marcin, gdy mu o tym doniesiono, powiedział najprzód, że „to nie może być" — a następnie, że „to są ludzie porządni i z pewnością oddadzą, co winni". Dla tej samej przyczyny nie chciał korzystać z paragrafu ustawy, dozwalającego mu poszukiwać sądownie niesumiennych dłużników — czym ośmieleni, nie szukali już bocznych dróg, mniej dogodnych bądź co bądź dla koni idących z ciężarami, ale przed oknami kantoru przejeżdżali z furami, wiozącymi zboże dla Hersza i Arona. Raz zszedłszy się z takim dłużnikiem oko w oko na ulicy pan Marcin zaczął mu robić wyrzuty, ale tamten potrafił mu w tak posępnych kolorach przedstawić swoje położenie, że wzruszony jego niedolą, pożyczył mu jeszcze pięćdziesiąt rubli z własnej kieszeni.

Ustawa wymagała, aby każdy biorący zaliczkę stawiał za sobą dwóch poręczycieli, gotowych odpowiedzieć własnym majątkiem, w razie gdyby się nie uiścił z długu; byli jednakże tacy, którzy poręczycieli, mimo usilnych starań, znaleźć nie mogli, a pieniędzy potrzebowali koniecznie — i ci, znając miękkie serce pana Marcina, dopóty go prosili, dopóki ich nie wyratował z kłopotu własnym poręczeniem. Że zaś takie wypadki powtarzały się od czasu do czasu i wytworzyły już dość pokaźną sumę, więc pomocnik pana Marcina, człowiek szczerze rodzinie jego życzliwy, ostrzegł o tym poufnie panią Orecką, o której wpływie na męża wiedział. Na czynione sobie przedstawienia i wyrzuty, że przez swą nieopatrzność może pozbawić chleba na przyszłość jedyne dziecko, pan Marcin odpowiedział z niezachwianą ufnością:

[9] *urbi et orbi* (łac.) — miastu i światu. [przypis edytorski]

— Ale oni oddadzą! Jak cię kocham, tak oddadzą: to są porządni ludzie. Gdybym ich nie znał, to co innego, ale ja ich znam. Chociażby ten Tecki: Towarzystwa[10] nie miał czym zapłacić i byliby mu wystawili wieś na subhastę[11]. Trzeba go było ratować — jakże! Dzieci pięcioro; z torbami przecie nie pójdą. Imość tobyś chciała, żeby nikomu nic nie dać. Olaboga! laboga! Jak trzeba, to trzeba, trudna rada!

Wyrzuty miały ten skutek, że następne poręczenia pan Marcin uskuteczniał w sekrecie przed swoim pomocnikiem — pani Orecka zaś, pomimo zapewnień męża o uczciwości dłużników, zaczęła uczuwać obawę o przyszłość, czas bowiem mijał, a oni nie oddawali ani pieniędzy, ani zboża.

Gdy tak sprawy stały w kantorze, w spichrzu działy się także różne dziwne rzeczy. W pierwszym roku był pewien nadmiar zboża, w następnym już go nie było, a później okazał się nawet niedobór, który pan Marcin rokrocznie dopełniać musiał z własnej kieszeni. Zachodził on w głowę, co to być mogło, bo przecież dostawy odbierano pod miarą i wagą. A gdy mu pomocnik powiedział raz, że widział, jak ludzie arfujący pszenicę sypali ją garściami za cholewy, uczuł do niego niechęć i, spotkawszy jednego z robotników, o których była mowa, zagadnął go tymi słowy:

— Słyszysz ty, prawda to, co mi pan Antoni powiada, że wy sypiecie za cholewy pszenicę? hę?

— E, wielmożny panie, gdzie by zaś była prawda — mówił zagadnięty, kłaniając mu się do kolan — raz ino wzionem kwaterkę pośladu dla kurcząt, i tyla.

Więc pan Marcin machnął ręką i na tym się skończyło — do pomocnika zaś powiedział:

— Franciszek mówi, że tylko raz wziął garść pośladu dla kurcząt, a pan zaraz zrobiłeś z tego wielkie rzeczy. Co też za człowiek z pana! Olaboga, laboga!

Musiał to być jednak poślad bardzo pożywny i rozmnażający się cudownie, jak ów chleb ewangeliczny, bo wszyscy robotnicy, pracujący w śpichrzu, trzymali kury, wyglądające lepiej od kur ich pryncypała, i przynosili je nawet do niego na sprzedaż, a on je kupował, nie domyślając się nawet, że na jego pszenicy zostały wypasione.

Tak rzeczy stały kilka lat, z tą różnicą, że ruch w kantorze zmniejszał się coraz bardziej, a większa część statków przeniosła się na drugą stronę rzeki, gdzie stały śpichrze Hersza i Arona, i tam zarzucały kotwice. Walka w imię postępu słabła widocznie i groziła zupełną przegraną. Dom Handlowy przysłał swemu ajentowi instrukcje obostrzające dawanie zaliczeń i zażądał ściągnięcia długów w jak najkrótszym czasie.

Były to ciężkie chwile dla pana Marcina; widział się bowiem jako poręczyciel w konieczności zapłacenia za tych, którym niegdyś dopomógł, przez co kapitał, mający być posagiem jego ukochanej córki, zmniejszył się do minimum — i gdyby nie pensja, którą pobierał jako ajent, a która obecnie stanowiła główną podstawę utrzymania domu, to procent od kapitału nie starczyłby nawet na codzienne potrzeby. Pocieszał się wprawdzie nadzieją, że odbierze swoje pieniądze z czasom, ale mimo to chudł, mizerniał i starzał się coraz bardziej. Tymczasem nadchodziły niepokojące wiadomości o obniżaniu się cen zboża na rynkach europejskich z powodu zasypania ich pszenicą amerykańską i przebąkiwano, że Dom Handlowy zechce pewnie zwinąć filię w mieście M., której utrzymanie było dość kosztowne, a od kilku lat żadnych nie przynosiło korzyści. Pan Marcin po całych dniach siedział w pustym kantorze, gdzie już nie było jego pomocników przy biurku, i patrząc bezmyślnie na rzekę, wybijał palcami marsza na zielonym suknie. Jedna tylko córka miała przywilej rozweselania ojca; słuchając jej szczebiotu, uśmiechał się i ożywiał jak dawniej, ale skoro tylko odeszła, wpadał znów w poprzednie zamyślenie i bębnił dalej swojego marsza.

Przez okno kantoru widać było także dziedziniec, łączący się z nim ogród i mały, nowy domek z pruskiego muru, otoczony niewielkimi gospodarskimi budynkami, a oddzielony tylko parkanem od posesji pana Marcina. Należał on do Niemca Ofmana, właściciela jednej z największych berlinek[12], wożących zboże do Gdańska. Jakim sposobem ubogi

[10] *Towarzystwo* — Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskim, pierwszy bank w Polsce, założony w 1825 r. przez stowarzyszenie właścicieli ziemskich. Towarzystwo udzielało swoim członkom, bogatym posiadaczom ziemskim, kredytów na oddłużenie i modernizację majątków. [przypis edytorski]

[11] *subhasta* (daw., z łac.) — wyprzedaż, licytacja. [przypis edytorski]

[12] *berlinka* — tu: statek rzeczny. [przypis edytorski]

człowiek do majątku przyszedł, nie naszą jest rzeczą badać, ale byli tacy, co pamiętali, jak przywędrował z kijem w jednej, a szczupłym węzełkiem w drugiej ręce, które to szczegóły w zestawieniu z obecnym położeniem Ofmana przyniosły mu tylko zaszczyt, jako dowodzące niezmiernej jego wyższości nad krajowcami, wielkiej wytrwałości i energii w walce o byt. Już sam sposób pozyskania gruntu pod budowę wart był zanotowania w kronice miasta, jako dowód rozumu przybysza i umiejętności tworzenia czegoś z niczego, która to umiejętność jest narodowym przymiotem Niemców.

Za parkanem ogrodu pana Marcina był kawałek cuchnącego bagna, zalewanego od czasu do czasu przez wodę rzeczną. Ofman nabył to bagno od miasta za kilkanaście talarów, z powodu którego to interesu pan burmistrz aż boki zrywał ze śmiechu i drwił z biednego Niemca, ilekroć go spotkał, nazywając go „jaśnie wielmożnym dziedzicem". Nowy obywatel miasta jednak znosił spokojnie te drwinki i postępowaniem swoim dowiódł, że mądrze czyni ten, kto się śmieje na ostatku. Zaczął od porozumienia się ze służbą policyjną i furmanami, których zadaniem było wywożenie śmieci z ulic, i za poczęstunek oraz kilka pudełek zagranicznych cygar skierował wywózkę na własne terytorium. Tak załatwiwszy interes, postarał się o miejsce szypra na berlince i co roku wracając z Gdańska ze statkiem po ładunek, wiózł głęboko schowane w kajucie cygara i widział z pociechą, jak grunt jego rósł coraz wyżej, wyżej, aż zrównał się poziomem z posesją pana Marcina. Wtedy Ofman uznał, że już więcej cygar z zagranicy przywozić nie ma potrzeby, i wyjąwszy ze skórzanego woreczka pieniądze, zebrane kilkoletnią pracą, oszczędnością i przemysłem, ogrodził grunt i wystawił na nim mały parterowy domek, podług planu, jaki sam sobie obmyślił. W drugim roku stanęły budynki gospodarskie, w trzecim przybyła ozdobna facjatka na domu mieszkalnym, w czwartym weranda przed domem i ogródek, mały wprawdzie, ale z daleka nęcący oko barwnością kwiatów i starannym utrzymaniem — a całość posesji przybrała charakter miniaturowego holenderskiego folwarczku. Każdy szczegół mówił o wzrastającej zamożności posiadacza. Zamożność ta stała się jeszcze widoczniejsza od czasu, gdy się Ofman ożenił z wdową po właścicielu berlinki, na której poprzednio pełnił służbę szypra. Burmistrz już przestał śmiać się z niego, a pan Marcin, wzruszający z początku tylko ramionami, zaczął przypatrywać się tej fortunie rosnącej pod jego bokiem z pewną ciekawością. Co kilka dni bowiem można tam było zobaczyć coś nowego: to ganeczek, którego dawniej nie było, to sztachetki, to drzewka świeżo zasadzone, to altankę! A między tym wszystkim od świtu do nocy chodził sam właściciel, krzątając się z trudną do zrozumienia dla szlachcica wytrwałością. A zawsze coś trzymał w ręku: to młotek, to szpadel, to nóż, to świder — ciągle coś robił, przybijał, sam uskuteczniał każdą naprawę. Wkrótce też urządził porządny bulwark[13], regulujący brzeg rzeki w tym miejscu; statki przy nim zarzucały kotwice, a nawet zimowały za pewną opłatą, której żądać nie przyszło nigdy do głowy jego sąsiadowi — a co wiosna stawały tam tratwy zbite z drzewa budulcowego. Miał już bowiem Ofman swój własny las w okolicy i powoli go wyrąbywał.

Obok tych zabudowań, uderzających mile oko ładem i czystością, smutnie odbijała obszerna posesja pana Marcina. Parkan, gnijący od spodu i grożący upadkiem, popodpierany był tu i ówdzie drągami; ze ścian domu tynk poodpadał w wielu miejscach, a drzewo wystawione na działanie powietrza i wilgoci pokrywało się pleśnią. Dach na śpichrzu od roku potrzebował naprawy. Ze wszystkich kątów wyglądała zbliżająca się powoli ruina. Pan Marcin ruiny tej bynajmniej nie pragnął, ale miał jedną maleńką wadę: lubił wszystko odkładać na jutro. Gdy dach zaczął zaciekać, a pomocnik, zwróciwszy mu na to uwagę, chciał zaraz posyłać po rzemieślnika, odpowiadał, że „jest w gorącej wodzie kąpany" i że „nie ma nic pilnego". Tym sposobem uszkodzenia, zrazu małe i drobnymi kwotami dające się usunąć, zwiększały się i coraz znaczniejszych wymagały kosztów — że zaś wskutek nieszczęśliwego obrotu interesów fundusze pana Marcina zmniejszyły się bardzo, więc ani można już było myśleć o większych reparacjach.

Jeżeli pan Marcin z okien swego kantoru widział, co się działo u Ofmana, to Ofman widział równie dobrze, a może nawet lepiej, co się działo u niego — czego najlepszym dowodem było, że w chwili bardzo krytycznej dla pana Marcina zaproponował mu sprzedaż domu i ogrodu. Ale pan Marcin, choć flegmatyczny z natury, zsiniał aż z gniewu

[13]*bulwark* (daw.) — nabrzeże, bulwar. [przypis edytorski]

i nawymyślał mu po szlachecku. Niemiec zniósł obelgi z tak zimną krwią, jak niegdyś drwinki burmistrza, i pomyślał sobie prawdopodobnie, że i na niego przyjdzie kiedyś kolej wymyślać, tylko trzeba czekać cierpliwie.

Odtąd pan Marcin czuł do sąsiada dziwną, niewytłumaczoną niechęć, a ta wzmogła się jeszcze od czasu, gdy ten sam obywatel Tecki, którego niegdyś uratował od subhastacji, dla oddania należności Domowi Handlowemu, pożyczył od Ofmana pieniędzy i wymógł znów poręczenie na słabo opierającym się panu Marcinie. Spisano umowę u Ofmana, żeby przypadkiem pani Orecka nie domyśliła się, o co idzie, po czym pan Marcin poszedł do domu najprzód, dla niepoznaki, a Tecki miał w kwadrans potem przyjść do niego z pieniędzmi. Ale minął kwadrans jeden, drugi, trzeci, mijały godziny i wieczór nadszedł, a Teckiego jak nie było, tak nie było.

— Przyjdzie jutro — powiedział sobie pan Marcin, nie uczuwając najmniejszego niepokoju — musiało go coś w mieście zatrzymać.

Ale nazajutrz na próżno Teckiego i pieniędzy cały dzień wyglądał: dopiero wieczorem zjawił się posłaniec z listem, w którym pan Tecki tłumaczył mu, że nagły interes zmusił go wczoraj do natychmiastowego powrotu do domu, i przepraszał, że zwrot należnej Domowi Handlowemu sumy musi jeszcze na sześć miesięcy odłożyć — ale zdrowie jego żony jest tak nadwyrężone, że doktór kazał bezzwłocznie wysłać ją do wód — czemu on, pragnący ratować życie matki kilkorga dzieci, sprzeciwiać się nie może.

Nagły strach ogarnął pana Marcina po przeczytaniu tego listu, ale uspokoił się wkrótce argumentem, że Tecki jest przecież uczciwym człowiekiem, że go zna; że odda pieniądze niezawodnie za sześć miesięcy, kiedy tak mówi; że wreszcie nie można mu się dziwić, iż chce ratować żonę! Czyż on sam, Marcin Orecki, nie oddałby wszystkiego, co posiada, dla ratowania swojej? On by duszę zastawił!

Mimo takich i tym podobnych, samemu sobie czynionych perswazji stracił apetyt i humor, chudł coraz bardziej, a włosy jego niedawno jeszcze szpakowate, zupełnie prawie pobielały. Po upływie zapowiedzianych sześciu miesięcy, podczas których Tecki systematycznie unikał wszelkiego z panem Marcinem spotkania, ten ostatni zdecydował się na krok energiczny, to jest, postanowił sam się upomnieć o pieniądze i zmyśliwszy jakiś niespodziany interes przed żoną, pojechał do niego. Przez całą drogę układał sobie szereg ostrych wyrzutów, jakimi go miał przywitać — ale gdy ten, dla kogo były przygotowane, przyjął go z otwartymi ramiony[14], nie miał odwagi wypowiedzieć ich tak obcesowo, jak sobie był zamierzył, i uczynił to w najłagodniejszej formie. Gospodarz naturalnie ani myślał zaprzeczać, przyznawał się do winy, przepraszał i solennie obiecał przywieźć pieniądze w jak najkrótszym czasie.

Ugoszczony, wyściskany, wycałowany, obdarowany olbrzymim szczupakiem, pół tuzinem kuropatw i dwoma zającami pan Marcin odjechał z dobrą myślą i mocniej niż kiedykolwiek przekonany, że Tecki jest porządnym człowiekiem. Zresztą termin zawartej z Ofmanem ugody obowiązywał dopiero za rok pana Marcina. Tylko tego Niemca coraz bardziej nie znosił.

Zauważył, że od jakiegoś czasu Ofman bacznie przyglądał się jego posesji, jakby notował sobie wszystkie uszkodzenia i obliczał koszty ich naprawy albo układał w myśli plany na przyszłość — i na sam widok jego kaftana niebieskiego, włóczkowego i fajeczki porcelanowej łagodny ten człowiek uczuwał napady głuchej, bezsilnej wściekłości, a po niej bolesne ściśnięcie serca, podobne temu, jakie czuć musi niezawodnie drobna muszka zaplątana w sieć pajęczyny na widok spuszczającego się ku niej pająka. Świat należy do energicznych, powiadają, a Niemiec dodaje po cichu, że i do cierpliwych...

Dla uzupełnienia portretu Ofmana dodać musimy, że rozumny ten człowiek, umiejący pokonywać wszelkie trudności, jednej nie zdołał pokonać: oto że, choć dość długo mieszkał w M., nie mógł jednakże nauczyć się po polsku. Obejście jego z panem Marcinem, w miarę zmiany stanowiska, ulegało też niejednokrotnie przemianie. Gdy kupił bagno za swoje kilkanaście talarów, kłaniał mu się nisko, z daleka już zdejmując czapkę; zostawszy właścicielem lasów i dwóch statków, ograniczył się na uchylaniu czapki, z gestem umiarkowanie grzecznym; a od czasu, jak miał w szufladzie jego podpis, nie zdejmował czapki wcale, tylko kiwał głową.

Grzeczność, Przemiana

[14] *z otwartymi ramiony* — dziś popr. forma: z otwartymi ramionami. [przypis edytorski]

II

Urządzenie domu pana Marcina miało wszelkie cechy pańskości i bogactwa: były tam aksamity na meblach, były zwierciadła, dywany, obrazy, brązy i kryształy, a wszystko składało się na całość imponującą z daleka, a uderzającą smakiem estetycznym i wytwornością; dopiero przy bliższym rozpatrzeniu widać było, że te dywany i aksamity, resztki dawnej świetności, były bardzo zniszczone i spłowiałe. Służba chodziła w wytartej liberii, ozdobionej dużymi herbowymi guzikami, i liczniejsza, niż potrzeba: było to jedno z długiego szeregu ich dawnych szlacheckich nawyknień, jakich, pomimo utraty dziedzicznego majątku i kilkoletniego mieszkania w mieście, pozbyć się nie umieli. Pan prędzej może byłby się przerobił na mieszczanina, ale pani, córka magnata, wychowana w atmosferze zbytku, nie mogła przywyknąć do zmiany stanowiska, choć z konieczności zgodzić się nim musiała. Doświadczenie, będące zwykle najlepszą szkołą życia, w tym przynajmniej względzie nie wywarło na nią swego wpływu: nic bowiem nie zapomniała i niczego się nie nauczyła. Im większa przestrzeń czasu oddzielała ją od minionej niepowrotnie przeszłości, tym z większą trudnością znosiła ciężar obecnej egzystencji — a jeszcze nieopatrzność męża nabawiała ją śmiertelnej trwogi o przyszłość.

Chwilami w duszy jej powstawał gwałtowny bunt przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Wówczas czyniła mężowi gorzkie wyrzuty i dostawała płaczu nerwowego, po którym następowała zawsze długa bezsilność i apatyczna rezygnacja. Znękany jej umysł potrzebował koniecznie rozrywki, zmiany miejsca, a wątłe jej zdrowie cieplejszego klimatu — o tym wszystkim jednakże myśleć nawet nie było można. Coraz bardziej pogarszający się stan interesów wymagał znacznych ograniczeń w trybie życia, ale możliwość takiej zmiany nawet przez myśl pani Oreckiej nie przeszła: komfort był tej kobiecie tak potrzebny do życia, jak powietrze do oddychania. Zdawało się, że po nie woskowanej posadzce nie umiałaby chodzić, a potrawy podane na porcelanie lub srebrze miały dla niej inny smak niż na fajansie lub glinie. Ubiór jej, chociaż skromny, zrobiony był zawsze z wyborowego materiału i odznaczał się wytwornością formy. Twarz, nosząca ślady wielkiej piękności, miała wyraz troski i zmęczenia, do czego może przyczyniło się kilkoletnie cierpienie nerwowe, podkopujące cały organizm. Co tylko miało jakąkolwiek bądź własność wzmacniającą, wszelkie ekstrakty, esencje, wina stare, wszystko to sprowadzał dla żony pan Marcin, ale bez żadnego skutku, nie domyślając się, że on to właśnie swoją nieprzezornością zatruwał jej spokój i rujnował jej zdrowie i że zmiana położenia materialnego na lepsze od razu postawiłaby ją na nogi. Po całych dniach leżała na kanapie z oczyma utkwionymi w sufit albo z książką, której nie czytała — nie mając ani siły, ani ochoty do zajęcia się gospodarstwem, ani potrzeby wreszcie, bo cóż by w takim razie robiła panna służąca? Mimo to, wątła, delikatna dłoń pani Marcinowej trzymała rządy mocno: czuli to wszyscy i ulegali jej, zacząwszy od pana Marcina, mówiącego żonie wszystko, wyjąwszy tego, co mogło jej się nie podobać.

Dama

Jedyna córka państwa Oreckich, Helenka, miała w sobie po trosze z charakteru obojga rodziców. Z ojca wzięła nieograniczoną wiarę w ludzi i serce pełne współczucia dla ludzkiej niedoli; z matki wytworność, wrażliwość nerwową niemal i wstręt do wszelkiego trudu. Jakże zresztą mogła zasmakować w pracy, kiedy od dzieciństwa odsuwano od niej trud wszelki? Nie znała prawie, co to chodzić piechotą, bo w stajni stały konie, gotowe w każdej chwili na rozkazy; nie wiedziała, co ubrać się samej lub rozebrać, bo to był obowiązek panny służącej, a po delikatnych paluszkach znać było, że rzadko kiedy spotykały się z igłą. Wdzięczna jej postać uderzała wybujałością wzrostu i delikatną budową; toteż oboje rodzice drżeli o swoją jedynaczkę i wmawiali w nią słabe zdrowie, co słysząc ciągle dokoła siebie powtarzane, panienka nie tylko uwierzyła, że jest zagrożona, ale w przesadzonej obawie o siebie unikała wszystkiego, co ją męczyło.

Całym jej zajęciem aż do siedmnastego roku życia było uczyć się lub bawić; a od chwili, gdy *miss* Mary i *mademoiselle* Madeleine opuściły ją, to jest od kilku tygodni, nie wiedziała, co robić z czasem — i jeżeli matka jej nie potrzebowała, spędzała dnie przy fortepianie. Jedna z guwernantek Helenki wpłynęła na jej postępy w graniu, ale po swojemu, po kobiecemu, płytko i jednostronnie. Co było świetnością i błyskotą, to spod jej palców dobrze wychodziło, ale każda rzecz głębsza stawała się raczej zgmatwaniem niż rozkryciem skarbów. Szopena lubiła bardzo, szczególnie mniejsze jego utwory,

jak nokturny, walce, ale odziewała je przesadną sentymentalnością, od której jej samej rozstrajały się nerwy, ale którą właśnie matka w niej uwielbiała, mniemając, że córka wydobywa z siebie najtkliwsze kobiece uczucia, że zatem jest zachwycająca, jak mało która z grających. Wiele też godzin pochłaniało jej czytanie książek w kilku językach, nie wyjmując ojczystego, i marzenia, których przedmiotem była jej własna przyszłość, podobna do przyszłości bohaterek wszystkich kończących się szczęśliwie powieści.

Zajęcia te, nie mogące być w żaden sposób nazwanymi pracą, jako nieobowiązkowe ani w systematyczny ład ujęte, nie wypełniały życia dziewczęcia — toteż często przy nich poziewała, a ładna jej twarzyczka pozbawiona była głębszego wyrazu. Z tego wszystkiego widać, że wychowaniu Helenki brakowało zupełnie gruntu realnego. Wielkie jej zdolności rozwinięte były tylko jednostronnie: kształcono ją głównie w językach i talentach, czyniących kobietę bardzo przyjemną w salonie, ale niepożyteczną w życiu codziennym — i tylko własnemu pragnieniu wiedzy była winna, że umiała trochę więcej, niż ją starano się nauczyć. Umysł, przebywający ciągle w krainach fantazji, nie rozumiał warunków życia rzeczywistego, a wrodzona bystrość i inteligencja przytępione były bezczynnością. Jaką dziewczynka ta w przyszłości stanie się kobietą, nie można było wiedzieć. W duszy jej drzemały siły ukryte, które życie tylko mogło rozbudzić albo uśpić zupełnie: były tam zarody energii, była gotowość do poświęceń, odwaga i zapał — szlachetne kruszce, potrzebujące koniecznie próby ognia dla nabrania wartości i blasku.

Helenka widziała stopniowy upadek filii Domu Handlowego, ale nie przypuszczała, aby upadek ten tak blisko dotykał jej ojca — miała mu też za złe, że tak te sprawy brał do serca. Ojciec w jej przekonaniu był zamożnym kapitalistą; a choć o cyfrę jego kapitałów nie pytała nigdy, bo miała wrodzony wstręt do cyfr, sam fakt, że istniały, wystarczał jej. O interesach nie mówiono z nią nigdy, przyszłość więc nie przestraszała jej bynajmniej, choć z różnych rzeczy miarkowała, że nie wszystko idzie jak należy. Były to jednak w jej mniemaniu drobnostki, dające się łatwo usunąć, i niewarte, żeby ojciec tracił dla nich apetyt. Patrzyła na świat oczyma młodości i widziała wszystko w różowych barwach. Od kilku tygodni zajmowała ją myśl o balu, mającym się odbyć u jej stryja, pana Bartłomieja, zamożnego obywatela, na której to zabawie Helenka miała po raz pierwszy ukazać się jako panna dorosła i, niby rycerz świeżo pasowany, miast szpady, otrzymać długą suknię. Napisano po suknię do Warszawy, a sama Helenka nakreśliła plan tego arcydzieła kunsztu niewieściego. Tymczasem liczyła niecierpliwie dnie, przedzielające ją od balu, i marzyła o nim na jawie i we śnie. Zdawało jej się, że będzie to początek poematu jej życia i wkrótce zaraz po tym początku, jak w bajce, przyjedzie do niej piękny królewicz i złoży u jej stóp serce i majątek.

III

Stary dwór gorzał światłem; sanki, bryczki, powozy wjeżdżały przez wrota na dziedziniec i kolejno ustępowały sobie miejsca przed gankiem. Odgłosy muzyki mieszały się ze szczekaniem psów i wołaniem stangretów. Na dworze było ciemno mimo śniegu pokrywającego ziemię, a dwie latarnie, zawieszone wysoko na słupach przede dworem, zaledwie na kilkanaście kroków dokoła oświetlały przestrzeń.

W ganku, ugarnirowanym soplami lodu, stoi w baraniej czapce sam pan Bartłomiej i przyjmuje gości, choć mróz na dworze trzaskający. Byłoby komu zastąpić go co prawda, bo ma synów, ale pan Bartłomiej jest człowiekiem starej daty i po staremu obowiązki gospodarza pojmuje — słynie też z gościnności w okolicy szeroko i daleko. Światło latarni pada wprost na tę wysoką, barczystą postać, z gęstą siwą czupryną i wąsem zawiesistym, ożywioną wyrazem jowialnej, rubasznej wesołości.

— Jak się macie? — wołał jędrnym głosem — niech wam Bóg da zdrowie, żeście przyjechali! Kochany radca! Uniżony sługa pani radczyni dobrodziejki! Ach, panna Anastazja! Serdecznie dziękuję, odsłużę się na weselu. Spieszcie się, państwo, z wysiadaniem, bo pomarzniecie. Całuję rączki pani sędzinie, gdzie mężulek? Cha, cha, cha, nie może się wygramolić nieborak! Jezu Chryste, kogoż to ja widzę? Prezesa? A niechże cię uściskam! A tośmy się kopę lat nie widzieli! Moje uszanowanie pani prezesowej!

Takie i tym podobne wykrzykniki trwały dopóty, dopóki powozy nie rozjechały się powoli ku stajniom. Na samym końcu podsunęła się pod ganek kareta na saniach, z dużą walizą z tyłu, zaprzężona w cztery konie.

— A wy skąd? — krzyknął pan Bartłomiej na stangreta — czy nie z M.?

— Z M., wielmożny panie — odrzekł zagadnięty, zeskakując z kozła i otwierając drzwiczki.

Z karety wyskoczyła zakapturzona postać niewieścia. Z lekkości tego skoku można było od razu zgadnąć, że to jest coś młodego, a dwoje wielkich oczu, błyszczących jak dwa ognie przy świetle latarni, pozwalało się domyślać, że to jest także coś ładnego. Pan Bartłomiej otworzył ramiona i porwał tę postać w objęcia.

— Jesteś przecie, robaczku, chwała Bogu! Myślałem, że już nie przyjedziecie. Jak się masz, robaczku? Jak się masz? A to ci zmarzł buziaczek, no! Kto też widział tak późno przyjeżdżać, kiedy tylu ładnych chłopców czeka! Doprawdy, że to nie do darowania! A matka jest?

— Jest, stryjaszku, a jakże! Jest i ojczulek!

Kto późno chodzi, sam sobie szkodzi, mówi przysłowie, i prawdę mówi. Zanim przybyłe panie w przygotowanym dla nich pokoju ogrzały się i rozgościły, zanim młodziutka synowica[15] pana Bartłomieja zdołała uwolnić się z uścisków kuzynek i odpowiedzieć na wszystkie pytania: jak? co? dlaczego? , zanim panna służąca rozpakowała rzeczy i ubrała najprzód panią, a potem panienkę, upłynęła długa godzina. Pan Bartłomiej na dobre się niecierpliwił. Pukał co chwila do drzwi pytając: „A czy już? a czy jeszcze? a czemu tak długo?" Narzekał na kobiety, że się ze wszystkim guzdrzą. Trudno, gniewaj się, jak chcesz, panie stryju, panienkę ubrać trzeba, bo to nie wieczór byle jaki, ale bal całą gębą, bal, na który zjechała się cała okolica. Trzeba na nią włożyć bladoróżową powłóczystą sukienkę z gazy tak lekkiej i przezroczystej, że jest obawa, aby się za dotknięciem nie rozwiała jak mgła poranna; trzeba tę sukienkę przybrać pierwiosnkami, stokrotkami i innymi jeszcze kwiatkami, które przynosi z sobą wiosna. Trzeba panienki białe ramiona troszeczkę odsłonić i otoczyć je tymi samymi kwiatami, aby przy ich żywych barwach wydawały się jeszcze bielsze; trzeba na koniec we włosy jasne wpiąć parę kwiatów. Pani Orecka, siedząc w fotelu, dawała rozkazy i wskazówki pannie służącej, a potem jeszcze poprawiała wszystko własną ręką. Zrobiła ona ofiarę dla córki ze swego zdrowia, przybywając na ten bal — ale chciała ją sama po raz pierwszy w świat wprowadzić i być świadkiem jej powodzenia, o którym nie wątpiła.

Helenka, napatrzywszy się do syta w zwierciadło, zwróciła całą uwagę na ogon tak dla niej upragniony, a pasujący ją odtąd na dorosłą pannę, gdy wszedł zniecierpliwiony pan Bartłomiej, prowadząc z sobą pana Marcina, któremu kazał dać admonicję kobietom za guzdranie się. Wszedł i stanął zdumiony. Odkąd znał swoją synowicę, nigdy jeszcze nie widział jej tak piękną, nigdy jeszcze delikatny owal twarzy nie wydał mu się tak szlachetny ani rysy tak regularne; nigdy jej cera delikatna nie była tak przejrzysta jak w tej chwili, gdy ją rumieniec szczęścia na widok podziwu stryja oblewał, ani oczy tak pełne uroku jak teraz, gdy błyszczała w nich zarazem radość i obawa, ciekawość i pragnienie poznania tego świata, do którego się rwała całą duszą.

Panu Bartłomiejowi aż się żal zrobiło, że żadna z jego córek nie mogła jej urodą dorównać.

— Co za śliczna dziewczyna! — przemówił, ochłonąwszy ze zdziwienia — niech mnie diabli porwą, jeżeli dziś wszystkim chłopcom nie zawrócisz głowy! — I, podając ramię bratowej, dodał: — No, Marcinie, prowadź twoją córkę.

Gdy panna Helena weszła do sali, wsparta na ramieniu ojca, rozszedł się szmer i dały się słyszeć szepty. Pan Bartłomiej nie mógł się opędzić prośbom o prezentowanie i zanim panienka miała czas oswoić się z olśniewającym blaskiem świateł i rozejrzeć w tłumie, już w tańcu okrążała salę. Ledwie ją pierwszy tancerz posadził, już ją zamawiał drugi; nie było ani chwili czasu do namysłu. Wiedziała tylko, że tańczyła, z kim, nie wiedziała; żadnemu ze swych tancerzy nie miała czasu się przypatrzeć — a jak się który nazywał, nie wiedziała, choć stryj wszystkie nazwiska jej wymieniał. Kto by zresztą tyle nazwisk spamiętał!

[15]*synowica* (daw.) — bratanica, córka brata. [przypis edytorski]

Nareszcie mogła trochę odetchnąć, rozpatrzeć się i myśli zebrać, jeżeli zebranie myśli możliwe jest na balu. Orkiestra zaczęła grać kujawiaka, tańce na chwilę ustały, ale za to w sali zrobiło się gwarniej. Z miejsca, jakie Helenka sobie do chwilowego odpoczynku wybrała, dochodziły ją urywki rozmów różnych i przepływały mimo jej uszu jak muzyka, z oderwanych dźwięków złożona, nie zostawiająca po sobie śladu. Jeden przecież głos wyróżniła — był to głos jej stryja.

— Pan nie tańczysz, panie Stefanie? — mówił pan Bartłomiej — wstydź się waszmość. Taki tęgi chłopiec i pozwala nogom próżnować! Za moich czasów inna była młodzież. Ja bym teraz jeszcze was wszystkich przeskoczył!

— Ależ tańczyłem, szanowny panie, tańczyłem kontredans i walca.

— Zamiast gadać, zawiń się waść koło której panny i wyskocz. Wszakże cię prezentowałem mojej synowicy?

— Nie, panie.

— Nie? — powtórzył jakby zdziwiony — a to chodźże, chodź.

— Chętnie, szanowny panie, ale słyszałem, że jest już zamówiona do wszystkich tańców.

Pan Bartłomiej roześmiał się na całe gardło.

— No, no, nie troszcz się, wyproszę dla ciebie jednego.

Helenka podniosła oczy i ciekawie spojrzała na tego, którego jej stryj prowadził. Był to bardzo piękny młodzieniec; czoło, jak z marmuru wykute, otoczone było bogatymi pierścieniami ciemnokasztanowatych włosów; oczy patrzyły śmiało, a nawet wyzywająco; nos kształtny, prosty, nadawał twarzy charakter umiarkowanej stanowczości, a usta, na pół schowane pod wąsem, miały już pewien wyraz znużenia i bajronizmu. Wzrost piękny, obejście znamionujące człowieka światowego, frak najświeższej mody i szapoklak, trzymany z pewnym niedbałym wdziękiem, dopełniały tej postaci młodzieńczej, będącej celem spojrzeń i skrytych westchnień wszystkich panien.

— Pan Stefan Jerski — rzekł pan Bartłomiej prezentując.

— Szanowny gospodarz obiecał mi w imieniu pani kujawiaka — rzekł, usuwając barykadę z krzesełka i składając jej ukłon głęboki — wolnoż mi odwołać się do tej obietnicy?

— I owszem — odrzekła powstając — obietnicę stryja przyjdzie mi wypełnić tym chętniej, że lubię ten taniec.

Muzyka

— Chłopskiego! — krzyknął na muzykę pan Bartłomiej i wnet skrzypki, jakby posłyszały zaklęcie, zrobiły się smętniejsze, bastela jęła raźniej basować, od ucha, jak to mówi, a za nimi we wszystkich instrumentach inne ozwało się życie; a było instrumentów kilkanaście, bo muzykę sprowadzono aż z miasta. Nie był to już ów salonowy, z niemieckim walcem pobratany taniec, ale kujawiak prawdziwy, w całej swojej oryginalnej poezji i prostocie.

Stefan jedną ręką objął swoją tancerkę, drugą z kapeluszem podniósł w górę i puścił się przez salę.

Taniec

Kto kujawiaków tańczonych nie widział, ten o charakterze tego tańca nie może mieć dokładnego pojęcia. Już sam początek jest owacją dla tej, która została wybrana. Tancerz zdaje się mówić: patrzcie i zazdrośćcie mi! Potem ujmuje drugą rękę towarzyszki i zaczyna z nią krążyć z wolna, z namysłem, jakby się broniąc owładającemu nim urokowi — zwyciężony i czcią przejęty, zgina przed nią kolano, a ona wzruszona chyli się w jego objęcia. Tu już taniec staje się iście wichrowaty. On się zrywa jak burza i porywa ją z sobą, żeby znowu za chwilę paść przed nią na kolana — i tak jest coraz częściej, nareszcie co zwrot, a tempo coraz szybsze, staje się w końcu szalone. Rzadko też która tancerka nie dostanie zawrotu głowy i wytrwa do końca. Helenka tańczyła lekko i zręcznie, nie dotykając prawie ziemi; Stefan jak wicher, który gałązkę kwiatu porwał z sobą.

Gdy skończyli nareszcie, posypały się rzęsiste oklaski. Panowie trochę już podchmieleni bili brawo i wołali o wino na wiwat. Zrobił się hałas i wrzawa; jedni, brząkając kielichami, wołali: „Niech żyją Kujawy!" — inni gwałtem chcieli urządzić Kujawiakom owację przez obniesienie ich tryumfalne po sali. Pan Bartłomiej, zaniepokojony o całość swojej synowicy, biegał od jednych do drugich, perswadował — nie mógł nikogo przekrzyczeć, lecz udało mu się wreszcie zalać winem całą sprawę. Przy brzęku kielichów i wśród wiwatów ogłoszono pannę Helenkę królową balu.

Serce matki uderzyło radością i dumą. Wobec tryumfów córki pani Marcinowa zapomniała o swoich nerwach — a liczne towarzystwo, widok świetnych toalet, muzyka, wreszcie przerwa w monotonnym i odosobnionym życiu, jakie wiodła od lat kilku, podziałały na nią skuteczniej i lepiej niż wszystkie krople. Blada jej i zawsze zmęczona twarz ożywiła się lekkim rumieńcem i przybrała pozory zdrowia, a wyraz gniotącej troski ustąpił miejsca wyrazowi macierzyńskiej dumy i zadowolenia.

Stefan, stojący ciągle za krzesłem Helenki, niepokoił panią Orecką. Skinęła wachlarzem na pana Bartłomieja i spytała go wprost, co to za jeden i jaki jego stan majątkowy.

— Bądź, siostra, spokojna — odrzekł zapytany — wioskę ma ładną, a druga mu się dostanie po najdłuższym życiu rodziców. Gospodarz nietęgi, ale się wprawi powoli; myśliwy zawołany; ptactwo strzela w lot, a do zająca trafia o zakład. Dalibóg! W karty gra, ale szczęśliwie, i taką, powiadam siostrze, szelma ma zimną krew, że ani drgnie. Od kieliszka nie stroni, przy tym chłopiec gładki, wie, jak trzeba skakać koło panien; miele językiem tak, że ani się nie zająknie, lepiej niż nasz proboszcz na kazaniu, jak siostrę kocham! Był w Paryżu, co siostra chcesz, skończony[16] kawaler!

Pani Marcinowa kiwnęła głową na znak, że jej to objaśnienie wystarcza, i pomyślała sobie:

„Nie jest to wprawdzie dosyć świetna partia dla mojej córki, bo ze swoją pięknością i rozumem może ona zrobić lepszą karierę, ale tymczasem nie trzeba odstręczać tego młodzieńca."

Pan Marcin zapomniał także na chwilę o swoich troskach, a powodzenie córki napełniło go, równie jak jego żonę, świetnymi co do jej przyszłości nadziejami. Dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł pomiędzy gośćmi brata wielu swoich dłużników. Ten i ów w pierwszej chwili miał ochotę schować się na jego widok, ale Tecki pierwszy postąpił ku niemu z wyciągniętymi rękami.

— Drogi, kochany Marcin! Jak się masz, bracie?

Za Teckim i inni, nabrawszy otuchy, witali go, ściskając i całując, i wziąwszy pod ręce, poprowadzili do gabinetu obok. gdzie stały butelki starego, wytrawnego węgrzyna.

— Panowie — odezwał się Tecki — wypijmy zdrowie naszego kochanego Marcina, człowieka rzadkiej w dzisiejszych czasach dobroci i zasłużonego krajowi obywatela. Niech nam żyje sto lat!

— Oby się tacy na kamieniu rodzili — wtrącił drugi.

— Wypijmy, wypijmy! — powtórzyli inni. — Niech nam żyje!

— Takich nie sieją — szepnął ktoś półgłosem — sami wschodzą.

Pan Marcin, zaatakowany w stronę swojej obywatelskiej zasługi, będącą u niego stroną najsłabszą — zapomniał o powziętym w pierwszej chwili zamiarze skorzystania ze sposobności dla upomnienia się o swoją należność. A wypiwszy kilka kieliszków, do których go gwałtem zmuszono, tak się rozrzewnił, że wszystkich po kolei uściskał.

Stefan prowadził Helenkę do wieczerzy i, siedząc przy niej cały czas, zabawiał ją rozmową — a tak się nią zajął wyłącznie, że nawet nie słyszał, co do niego mówiła siedząca z drugiej strony panna sędzianka. Rozmowa była wdzięcznym a lekkim *pot-pourri*[17], którego nikt nie byłby w stanie powtórzyć, a tym mniej streścić, z tak różnorodnych składało się motywów. Mówiono o balu i modach; o Wenecji, Rzymie i Neapolu; o Bajronie, poezji i romantyczności wieków średnich; o muzyce, miłości, kwiatach i blasku księżyca — słowem, o wszystkim i o niczym. Stefan był mistrzem w tego rodzaju konwersacji salonowej i z niepospolitą zręcznością przechodził od przedmiotu do przedmiotu, ślizgając się po wszystkich, a nie dotykając głębiej żadnego. O czymkolwiek bądź mówił, oczy jego, spoczywające prawie bezustannie na twarzy towarzyszki, mówiły jej, że jest czarująca, że podbiła jego serce — a ta mowa bez słów upajała ją więcej niż najpiękniejsza muzyka. Dorodny młodzieniec podobał się bardzo Helence: zachwycała ją jego elegancja, jego wytworne maniery, jego ujmująca powierzchowność, a najwięcej może jego dla niej uwielbienie, a chociaż w tej długiej rozmowie nie słyszała od niego nic takiego, co by dawało miarę jego wewnętrznej wartości — dopowiedziała to sobie sama. W jej przekonaniu musiał być ideałem mężczyzny i serce dziewczęcia uderzyło dla niego

[16]*skończony* — tu: doskonały. [przypis edytorski]

[17]*pot-pourri* (fr., z hiszp. *olla potrida*: potrawa składająca się z różnych gatunków mięs i warzyw) — utwór muzyczny złożony z fragmentów znanych melodii, najczęściej arii operowych. [przypis edytorski]

jakimś nowym, nie znanym dotąd uczuciem. Poemat jej życia zaczął się od tej chwili. Była zakochana, a przynajmniej tak się jej zdawało.

Tańce przeciągnęły się do rana. Pan Bartłomiej nie kazał otwierać okiennic, aż dopiero gdy już słońce było wysoko, a w sali jadalnej na stole ustawiono dymiące półmiski z bigosem, wazy z barszczem, poncz i inne ostre a orzeźwiające posiłki. Śniadanie było dla wielu osób hasłem do odjazdu. Stefan odjechał, unosząc z sobą obietnicę Helenki, że będzie się znajdowała na balu kostiumowym u barona i przetańczy z nim pierwszego kontredansa.

Przy pożegnaniu powiedzieli sobie wiele rzeczy błahych dla obojętnych ludzi, a dla nich mających znaczenie głębokich, im tylko wiadomych tajemnic.

IV

Rozgłos o tym balu, a z nim razem rozgłos o piękności panny Oreckiej, rozszedł się po całej okolicy. W kilka dni potem poszedł do Warszawy pod adresem modniarki gruby list z dokładnymi instrukcjami, tyczącymi się nowej toalety. Dla lepszego zaś zrozumienia instrukcji dołączony był do listu, jako komentarz, rysunek powleczony wodnymi farbami, a wykonany ręką Helenki. Miał to być kostium leśnej bogini — suknia przybrana bluszczem, błyszczącym od rosy, paprociami, mchem i porostami drzewnymi — pomysł nowy i całkiem oryginalny.

Pan Marcin, gdy się o tym drugim balu dowiedział, sposępniał bardzo, bo przeczuwał, że mu on sporą sumę pieniędzy z kieszeni wyciągnie — ale żona wytłumaczyła mu, że gdy się ma córkę dorosłą, nie można jej chować przed ludźmi. Westchnął więc tylko i zamilkł.

Pani Orecka źle bardzo spała tej nocy. Obudziły ją jakieś biegania po ulicy, hałasy nawoływania — co wszystko razem, dając pole najrozmaitszym przypuszczeniom i domysłom, straszniejszym jeden od drugiego, nabawiło ją bicia serca. Posłana na wywiady służąca przyniosła wiadomość, że na przedmieściu pali się dom starej Mośkowej, ale państwo nie mają się czego obawiać, bo to daleko stąd, a zresztą już ogień ugasili. Wiadomość ta uspokoiła panią. Poleciła służącej obejść ze świecą cały dom dla przekonania się, czy nie ma gdzie ognia zaprószonego, zażyła anodyn na cukrze, kropli laurowych na wodzie i usnęła. Pan Marcin zaś, który dotąd spał smacznie, po usłyszeniu sprawozdania służącej, jak zaczął się na łóżku przewracać, poprawiać i wzdychać, tak się poprawiał, przewracał i wzdychał do samego rana, nie zmrużywszy oka ani na chwilę.

Jedna tylko Helenka miała niczym nie zakłócony spoczynek, bo do jej pokoiku na górze, jako położonego od strony rzeki, hałasy uliczne nie dochodziły tak wyraźnie.

Nazajutrz rano w kuchni opowiadano sobie różne szczegóły o pożarze. Mośkową znali wszyscy, bo roznosiła po mieście zapałki i przynajmniej raz w tydzień zjawiała się w każdym domu. Stangret Józef i lokaj Antoni byli nawet na miejscu katastrofy i mówili, że z domu Mośkowej została się tylko kupa gruzów i kilka nie dopalonych desek — i że gdyby się ta chałupa nie była spaliła, to pierwszy lepszy wicher pewnie by ją przewrócił, bo się już bardzo na jedną stronę pochyliła. Dalej mówili, że biedna stara zaledwie zdążyła uciec ze swymi wnukami, zostawiwszy w ogniu pościel, towaru za dwa ruble i jeden trzyrublowy papierek, bo drzewo spróchniałe spłonęło w jednej chwili jak zapałka. Wypowiedziawszy to wszystko, Józef dodał, że „Żyda nie ma czego żałować, bo oszukaństwem żyje" — a Antoni przywtórzył, że „tak jest, do wszystkich diabłów!"

W tym samym przedmiocie rozmowa toczyła się w pokoju jadalnym. Pani, siedząc przy stole w eleganckim negliżu[18], opowiadała córce o niespokojnej nocy, jaką miała z tego powodu, i o biciu serca, które do tej pory jeszcze niezupełnie się uspokoiło.

— Ale czemu to ojca nie ma przy śniadaniu? — spytała po chwili przerywając opowiadanie — czy posyłałaś, Helenko, Antoniego do kantoru?

— Ojciec wyszedł od godziny, mateczko — odpowiedziała — widziałam sama, jak wychodził.

Pani Orecka zdziwiła się.

— Wyszedł bez śniadania — szepnęła — to coś nadzwyczajnego. Ciekawam, gdzie też mógł iść!

[18]*negliż* — tu: strój domowy. [przypis edytorski]

— Może ojciec poszedł na rynek dowiedzieć się o cenach zboża; dziś jest dzień targowy.

— Co ojca obchodzą ceny, gdy śpichrz[19] stoi pustkami — odrzekła z westchnieniem — toć w tym roku ani jeden statek Domu Handlowego nie płynie do Gdańska! Zresztą nie wyszedłby nigdy bez śniadania. Coś w tym być musi. Nalej mi, Helenko, herbaty, tylko słabej; tak, dobra. A teraz dolej śmietanki do pełnego i podaj mi biszkopty. A to co znowu? — zawołała nagle, spojrzawszy w okno. — Helenko, czy widzisz?

Środkiem ulicy szedł pan Marcin w szubie niedźwiedziej i niósł pod futrem jakiś duży przedmiot, któremu widać było tylko rudą, kędzierzawą głowę i dwoje dużych, niespokojnie biegających oczu. Za nim szła stara Mośkowa bez peruki i rwała sobie włosy z głowy, głośno lamentując; dwoje malców wrzeszczących i zabrudzonych dreptało przy niej, trzymając się jej spódnicy, a za Mośkową postępowała poważnie koza z opaloną brodą i beczała. Całemu temu orszakowi towarzyszyła gromada uliczników, naśladujących beczenie kozy na różne sposoby.

— Że też ojciec musiał koniecznie zrobić z siebie widowisko — rzekła pani Orecka, czerwieniąc się — i sprowadza nam tu Żydów na kark. Co my z nimi poczniemy?

— Moja imość, każ dać zaraz tym biedakom jeść — wołał pan Marcin, wchodząc do pokoju i rzucając czapkę na krzesło — oni jeszcze dziś nic w ustach nie mieli! Kazałem im się tymczasem ogrzać w kuchni. Ale też zimno na dworze aż strach! Daj no herbaty, dziewuszko, bom zmarzł.

— Mój Marcinie, jakże też można było tutaj całą familię sprowadzać? — przemówiła z wyrzutem pani, podczas gdy Helenka pomagała ojcu zdjąć futro. — Gdzież ja ich pomieszczę? Dać im było coś w rękę i na tym skończyć.

— Moja imość, ino się nie gniewaj. Ady tam taka bieda te niech ręka Boska broni! Wszystko się spaliło. Siedziało to biedactwo na bruku i płakało; jakże ich miałem tak zostawić! Że też imości wszystko się nie podoba! Olaboga, laboga!

— Alboż to Mośkowa nie ma tutaj krewnych? Markus to jej szwagier przecie i pewnie nie byłby jej opuścił. Żydzi się trzymają między sobą.

Pan Marcin poskrobal się w głowę.

— Ano prawda, że to jej szwagier — odrzekł — nie przyszło mi to do głowy. Ino już nie marudź, moja imość, bom głodny.

Pani Orecka spojrzała na męża z politowaniem i wyszła.

Uczęstowano pogorzelców wyborną polewką z kartoflami i jeszcze dano każdemu po kawale chleba, który jedli, ocierając łzy. Łzy te nieustająco kapały z oczu starej Mośkowej, nic dziwnego, straciła całe mienie! Patrząc na tę twarz pergaminową, wyschłą, spaloną od słońca, nacechowaną w tej chwili wyrazem rozdzierającej boleści, myślało się o słowach psalmisty: „Chleb mój mieszałem z płaczem, a kości moje jako skwarki wyschły".

Cała służba zbiegła się do kuchni, żeby przypatrzyć się aktorom dramatu i wypytać o szczegóły wiadome dokładnie wszystkim i po sto razy już opowiadane. Józef, twierdzący niedawno, że Żyda nie ma czego żałować, przyniósł ze stajni swoją starą czapkę i podarował Josielkowi — a lokaj Antoni, który ich wysłał do wszystkich diabłów, wcisnął Ryfce w rękę dziesiątkę.

Żyd, Antysemityzm

Podczas gdy matka i córka zajęte były przeglądaniem bielizny, żeby wybrać z niej coś dla pogorzelców, pan Marcin jadł śniadanie z apetytem, jakiego już nie miał od dawna. Zainteresowanie się biedną rodziną zajęło na chwilę jego przygnębiony umysł i odsunęło na bok myśli dręczące go jak zmora. Jedząc, wstawał raz po raz od stołu i zaglądał do kuchni. To nasmarował kilka bułek masłem i zaniósł, to wziął garść cukru i dał dzieciom, to znowu nakładał na talerz biszkopty i potraktował[20] malców. Tak spacerując ciągle z pokoju do kuchni i z kuchni do pokoju, spostrzegł porzucone na oknie klucze; uradowany z tego odkrycia, otworzył kredens, napakował jabłkami kieszenie, spiesząc się z dokonaniem operacji, zanim żona powróci, i już miał je nieść do kuchni, gdy wszedł Antoni i podał mu na tacy listy i gazety.

Pan Marcin odłożył na bok gazety, a wziął się do listów. Jeden był pisany stylem płaczliwym z prośbą o wsparcie dla jakiejś biednej wdowy, która co kilka tygodni przy-

[19] *śpichrz* — spichlerz, miejsce magazynowania zboża. [przypis edytorski]
[20] *potraktować* (tu daw.) — poczęstować. [przypis edytorski]

pominała się w ten sposób panu Oreckiemu, powołując się na swoje szlacheckie pochodzenie, a drugi z firmą Domu Handlowego na kopercie. Widok tego ostatniego zdziwił przyjemnie pana Marcina. Tak rzadkie od pewnego czasu bywały między nim a Domem korespondencje, że gdy nareszcie jakaś się zdarzyła, było to dla niego prawdziwą uroczystością. Czuł się znowu ajentem, a przed oczyma jego wyobraźni stawały szeregami cyfry i zdawało mu się, że słyszy znowu turkot wozów, zajeżdżających z odstawami, wołania robotników i odbijanie statków od brzegu.

Rozerżnął kopertę i przeczytał, co następuje:

> Szanowny Panie!
>
> Ponieważ od dwóch lat ruch interesów filii naszej w M. jest prawie żaden i nie ma widoków powiększenia się na przyszłość — a dalsze utrzymywanie ajentury w tym mieście naraziłoby tylko Dom nasz na straty, przeto Rada Nadzorcza na posiedzeniu z dnia 3-go bieżącego miesiąca postanowiła zwinąć ajenturę, której szanowny pan do tej pory przewodniczyć raczyłeś, i wydelegować jednego spomiędzy siebie dla odebrania od pana ksiąg handlowych, rejestrów i zupełnego zlkwidowania interesów. Delegowany nasz wyjeżdża dzisiaj. Racz pan przyjąć...

Pan Marcin, przeczytawszy ten list, zbladł straszliwie, a przed oczami zaczęły mu biegać różne koła, czerwone, niebieskie, żółte...

— Ojczulku, co to jest?! — krzyknęła Helenka, wchodząca w tej chwili do pokoju. — Czy ojczulek chory? Czy też stało się jakie nieszczęście?

Pan Marcin spojrzał na córkę błędnym wzrokiem i szepnął głosem zmienionym:

— Wszystko się skończyło! Nie chcą mnie już... Dają mi dymisję!

Obejrzał się i, poszukawszy poręczy krzesła, osunął się w nie, bo już nie mógł dłużej utrzymać się na nogach.

Helenka objęła ojca za szyję.

— Drogi, kochany ojczulku — mówiła, głaszcząc pieszczotliwie jego rzadkie, siwe włosy — utrata posady to jeszcze nie nieszczęście. Nie jesteśmy przecież biedni; mamy dom, a oprócz tego jeszcze coś...

— Otóż to właśnie, że nic nie mamy prócz domu, który nie przynosi nam żadnego dochodu, a od którego jeszcze podatki płacić trzeba! — wybuchnął. — Miałem majątek, ale większa jego część przepadła u ludzi, a i reszta pewnie przepadnie! Prawda, byłem nieopatrzny, ale chciałem ratować innych. Bóg widział. Nie będziesz miała posagu, moje dziecko, twój ojciec go strwonił! Czy mu to kiedy przebaczysz?

Zapłakał biedny starzec.

— Ojcze, ojcze, nie mów tak do mnie — prosiła płacząc — ja ci nie mam nic do przebaczenia. Chciałeś dobrze, ojczulku, miałeś zawsze złote serce! Obejdę się bez posagu... Czyż ja już jestem taka zła i brzydka — dodała, zaglądając mu w oczy z uśmiechem — że mnie bez pieniędzy nie zechce żaden chłopiec?

Pan Marcin popatrzył na nią z rozrzewnieniem.

Ubogie panny z trudnością wychodzą za mąż, moje dziecko — rzekł z westchnieniem — zresztą dalekie to rzeczy jeszcze, a tymczasem nie mamy z czego żyć!

Helenka zamyśliła się bardzo nad tymi słowami.

— Zobaczy ojczulek, że poradzimy sobie jakoś — rzekła, obcierając sobie oczy — będziemy oszczędzać...

— Oszczędzać! — powtórzył z goryczą. — Alboż wy obie z matką umiecie oszczędzać? Alboż ja to sam potrafię? Czy które z nas kiedy myślało o oszczędności?

W przyległym pokoju dały się słyszeć kroki.

— Słuchaj, Helenko — powiedział prędko pan Marcin, spoglądając na drzwi — nie mów nic o tym matce, bo by się zaraz rozchorowała.

— Mówiłam ci już tyle razy, Marcinie, że Antoniemu koniecznie trzeba sprawić nową liberię — mówiła pani Orecka wchodząc do pokoju z pakietem bielizny, którą panna służąca miała przerobić dla wnuków Mośkowej. — Doprawdy że aż wstyd, jak on chodzi; a ile razy wejdzie do pokoju przy gościach, to aż mi się coś robi!

Ojciec i córka zamienili z sobą spojrzenia.

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, pani Marcinowa popatrzyła na oboje i zaraz zmiarkowała, że jest coś niedobrego; a choć pan Marcin, spuszczając oczy, zapewniał, że „nie wie o niczym", choć się zaklinał na swoją miłość dla niej i coraz słabszym głosem prosił, żeby mu dała pokój, mówiąc, że „nie wie, czego imość chce" — żona wydobyła z niego tajemnicę, bo też trudno było ukryć cośkolwiek przed bystrym wzrokiem pani Marcinowej.

Wiadomość, wyczytana w liście, sprawiła na niej wrażenie uderzenia gromu i byłaby się niezawodnie rozchorowała natychmiast, jak tego mąż jej się obawiał, gdyby nie łączący się z utratą posady męża fakt przybycia delegowanego Rady Nadzorczej, którego należało przyjąć jak gościa, a gościnność leżała już we krwi pani Oreckiej. Nigdy w żadnych okolicznościach nie zapomniała o obowiązkach gospodyni — i dla spełnienia ich odpowiednio honorowi domu gotowa była ponieść wszelkie ofiary. Potrzeba przygotowania przyjęcia była dla niej w tej chwili prezerwatywą[21] od choroby i opóźniła jej wybuch, jeżeli nawet nie osłabiła go.

— Musisz mi dać pieniędzy, Marcinie, bo ja już dziś ostatnie wydałam — rzekła po chwili — a nie ma w domu ani wina, ani likierów. Trzeba też będzie kupić ryb i z jednego zająca.

Pan Marcin zwrócił znowu na córkę oczy nacechowane wyrazem takiego cierpienia, że w dziewczęciu serce się ścisnęło. Wstał jednak posłuszny i wolnym krokiem poszedł do kantoru, gdzie stała ulubiona jego kasa ogniotrwała, niegdyś tak pełna pieniędzy, a dziś tak pusta... Wyjął kilkanaście banknotów i, chowając je do kieszeni, szepnął z boleścią:

— Ostatnia pensja!

Wracając z kantoru spotkał w sieni siedzącą na progu Mośkową, patrzącą przed siebie wzrokiem osłupiałym. Przystanął na chwilę, popatrzył i na twarzy jego odbiło się pewne wahanie. Nareszcie sięgnął do kieszeni i oddzieliwszy z sumy, stanowiącej jego ostatnią pensję, trzyrublowy papierek, wetknął go w rękę starej, oglądając się, czy kto nie widzi.

— Kupcie sobie towaru za to i handlujcie jak dawniej — powiedział prędko i odszedł.

W kilka minut potem znowu skrzypnęły drzwi od sieni i pani, oglądając się, czy czasem nie widzi mąż, który teraz miał wszelkie prawo wymagać od niej oszczędności, wsunęła w rękę Mośkowej rubla. Ledwie się oddaliła, ktoś drobnymi krokami zbiegł szybko ze schodów i znowu w rękę staruszki wpadł pieniądz. Był to złoty, błyszczący dukat. Mośkowa ujrzała się nagle bogatszą, niż była przed pożarem.

Odwróciła głowę i długo patrzyła na drzwi, za którymi zniknęli wszyscy troje, z których ani jedno nie znało wartości pieniędzy, i łzy puściły jej się z oczu.

Takie były pierwsze oszczędności w tym domu.

V

Pan Radlicz, delegowany Rady Nadzorczej, przyjechał wieczorem i przyjęty był nie tylko gościnnie, ale nawet wystawnie. Na stole nie brakowało ani ryb, ani zwierzyny, ani kosztownych przekąsek, ani starego, omszałego węgrzyna — co wszystko razem, przy cienkim holenderskim obrusie i zastawie, składającej się ze srebra, kryształów i porcelany sewrskiej, pochodzącej jeszcze z wyprawy pani, świadczyło pozornie o zamożności domu. Antoni w swej wytartej liberii prezentował się też nie najgorzej, dzięki starannie kredą wyczyszczonym guzikom i białemu krawatowi.

Pan Radlicz, przyjeżdżając w charakterze urzędnika, chciał się w nim utrzymać, ale to było niepodobne wobec szlachcica, przywykłego przez całe życie widzieć gościa w każdym, ktokolwiek przestąpił próg jego domu. Zresztą gość niczym urzędnika nie krępował, bo pani Orecka, mieszająca się niekiedy do rozmowy, odzywała się z prawdziwą pańską niedbałością o posadzie, jaką mąż jej miał utracić. Jedna tylko Helenka wiedziała, ile kosztowała matkę ta niedbałość i miła uprzejmość, jaką miała dla gościa. Ona sama tak była niespodzianie zaskoczona wypadkami dnia tego, że nie pomyślała nawet o żadnej roli dla siebie; była jak ten, komu niespodzianie grunt się spod nóg usuwa i nie wie, gdzie znaleźć dla siebie i swoich ukochanych oparcie. Zwykle wymowna wobec obcych, dziś w milczeniu słuchała rozmowy ojca z gościem o stosunkach ekonomicznych i handlowych miasta i okolicy — w której to rozmowie pan Radlicz był stroną wypytującą,

[21] *prezerwatywa* (tu daw.) — zabezpieczenie, ochrona. [przypis edytorski]

a ojciec objaśniającą, przy czym często plątał się w odpowiedziach, jakby myślał o czym innym.

Po wieczerzy naprężone siły gospodarstwa[22] tak się wyczerpały, że rozmowa, przez samego już tylko gościa podtrzymywana, rwała się co chwila. Pani zdawała się pilnie liczyć nitki holenderskiego obrusa, pan Marcin, zapatrzony w talerz, bębnił palcami marsza na stole i nie słyszał, co do niego mówiono. Spostrzegł to gość i, przypisawszy ogólne roztargnienie przyzwyczajeniu obojga gospodarstwa do wczesnego spoczynku, spojrzał na zegarek i choć jeszcze godzina nie była późna, powiedział dobranoc i oddalił się do przeznaczonego dla siebie pokoju.

Pani Orecka nie spała wcale tej nocy, pomimo silnej dozy opium, jaką zażyła; pan Marcin przewracał się z boku na bok i także nie zmrużył oka — a Helenka długo siedziała w swoim pokoiku na górze bez ruchu i bez światła. Wypadki dnia upłynionego wprawiły ją w pewien rodzaj osłupienia, które jej dotąd jeszcze nie opuściły. Póki była z rodzicami, spełniała różne drobne czynności, pomagała matce w urządzeniu przyjęcia dla gościa, rozmawiała i obracała się machinalnie; ale teraz, gdy została sama i nie potrzebowała udawać spokoju, którego nie miała, rzuciła się na krzesło, zmęczona, i puściła wolny bieg myślom.

Po raz pierwszy dopiero życie dało jej uczuć swoją prozę, i to ze strony najdotkliwszej, z troski o chleb powszedni... A więc to nie sen, ale najprawdziwsza prawda, że majątek, w którego istnienie wierzyła, już nie istnieje!... I to także prawda, że ojciec wziął z kasy ostatnią pensję i że gdy ona się wyczerpie, nie będą mieli z czego żyć... O Boże, Boże! Miesiąc egzystencji jest zabezpieczony, a potem co? Pożyczać u ludzi? Tak, to najłatwiej — ale z czego potem oddać? Lepiej już pozbyć się zbytkownych przedmiotów, choć ciężko będzie następnie żyć bez nich; jest powóz, są konie, srebra, porcelana, zwierciadła.. .. Ale jak tu sobie wyobrazić matkę chodzącą piechotą i obywającą się bez tych wszystkich rzeczy, którym codzienne nawyknienie odebrało charakter zbytku, a przeobraziło je w potrzeby codzienne! Ciężko będzie odwyknąć od nich, ale już lepsza ta ostateczność niż śmierć z głodu. Wszystkiego tego jednak zaledwie na rok utrzymania wystarczy, a po roku?... Jest jeszcze dom, ale ojciec powiada, że domy w małych miasteczkach małą mają wartość i nie znajdują chętnych nabywców. Przypuśćmy wreszcie, że się znajdzie nabywca: to fundusz ze sprzedaży domu wyczerpie się w parę lat tak samo, jak ostatnia pensja i fundusz ze sprzedaży zbytkownych przedmiotów. A potem... potem co się stanie, gdy już nie będzie co sprzedawać? Co z sobą zrobią, gdzie pójdą: znękany wiekiem i nieszczęściami starzec i chora, potrzebująca drobiazgowej troskliwości kobieta?

Na zegarze miejskim wybiła dwunasta i w tejże chwili z dwóch stron przeciwnych dało się słyszeć grzechotanie stróżów nocnych, obchodzących ulice co godzina. Odgłos ten wyrwał Helenkę z zamyślenia. Przetarła ręką czoło i teraz dopiero zobaczyła, że noc była piękna, a księżyc oświetlał środek pokoju. Smuga światła posuwała się powoli, ale ciągle coraz dalej i dalej — a Helence, patrzącej na to, przyszło na myśl że nędza i głód takim samym wolnym, ale nieustającym krokiem do domu ich przybliżać się będą. Zimne dreszcze wstrząsnęły jej delikatnym, rozpieszczonym ciałem, a w głowie uczuła pewien ból. Umysł, nie przyzwyczajony do praktycznego myślenia ani jakiegokolwiek bądź obrachowywania, pierwszy raz odbywający tę pracę z musu, znużony był nad wszelki wyraz.

Wstała i zbliżyła się do okna. Widać z niego było cały ogród, folwark Ofmana, rzekę i statki, zimujące wzdłuż brzegu, z poopuszczanymi masztami, a za tym wszystkim kawał pola, wioskę i las rozpostarty na wzgórzu. Woda była ścięta lodem, a promienie księżyca ślizgały się po nim i drżały; biedne dziewczę, patrzące dziś na wszystko przez posępne tło swego usposobienia, pomyślało sobie znowu, że one tak samo drżą jak jej serce wobec widma niedostatku, z którym nie wiedziała, jak walczyć.

Całe miasto spało — tylko w kajucie statku, stojącego najbliżej, błyszczało jeszcze światełko, a po cieniu zasłaniającym okienko w regularnych, szybko po sobie idących odstępach, można się było domyślić, że tam ktoś jeszcze szyje pracowicie. Dawniej, wpatrując się tak w blaski księżyca, Helenka dumała o nieszczęściach Marii Stuart, o Balladynie albo o dzielnym Rob Royu — a dzisiaj, śledząc ruch cienia w okienku, zastanawiała się nad tym, jak się to dzieje, że ludzie czuwający do późna w nocy przy pracy, żyjący

[22]*gospodarstwo* — tu: gospodarz i gospodyni. [przypis edytorski]

w ciasnych mieszkaniach i obywający się bez wielu potrzeb, uważanych przez nią i jej rodziców za niezbędne, mają jednak dobry humor i są zadowoleni ze swego losu! Co im daje ten humor i to zadowolenie? Skąd się bierze siła czyniąca z ludźmi takie cuda? Gdzie jej szukać i jak się ona nazywa?

Głos jakiś wewnętrzny powiedział jej, że to praca, która dając trud we dnie, słodkim czyni spoczynek w nocy; że ona to hartuje serca, drżące przed niedostatkiem, a przygnębionym umysłom przywraca jasność i pogodę... Przypominała sobie, jak kilka tygodni temu, gdy przez ciekawość poszła obejrzeć jeden statek, żona właściciela, oprowadzająca ją po nim, pokazywała jej z dumą kolorową bawełnianą serwetę kupioną w Gdańsku, dodając, że jest owocem oszczędności z całego kwartału — a duża, pucołowata jej twarz promieniała przy tym radością. Wówczas wydało się to zabawne, niemal śmieszne Helence, ale dziś, przypomniawszy to sobie, westchnęła tylko. Zrozumiała, że rozpromienienia tego źródłem była praca dająca zarobek i oszczędność pozwalająca gromadzić. Z czego powstała fortuna Ofmana, jeżeli nie z pracy i oszczędności? A upadku fortuny jej ojca co było powodem? Ach, nie tylko chęć pomagania drugim, ale i nieoględność w wydatkach, ale życie nad stan — czuła to dobrze w tej chwili.

Gdy grzechotka stróża nocnego odezwała się powtórnie, światło w kajucie zgasło, a Helenka — zapytywała siebie, czy w tej sile właśnie, która daje majątki ludziom ubogim a wytrwałym, ona nie mogłaby znaleźć środka ratunku dla rodziców? Nie należą przecież jeszcze do najbiedniejszych; niejeden na ich miejscu uważałby się za bogacza! Więc zamiast rozpaczać, należy raczej podziękować Bogu, że im zostawił dach nad głową, i wynaleźć pracę mogącą wystarczyć na chleb powszedni. Tak, ale kto będzie pracował? Czy ojciec, znękany wiekiem i złamany nieszczęściem, czy matka chora, potrzebu jąca wygód i do żadnej pracy niezdolna? Jedna jest tylko w domu istota, która może i powinna pracować...

Serce dziewczęcia mocniej uderzyło; w umyśle jej mętnym i odrętwiałym zaczęły świtać niewyraźne blaski, a w duszy budzić się siły, które tam leżały głęboko uśpione. Dziwiła się tylko, że na myśl tak dobrą nie wpadła od razu, ale doszła do niej dopiero po długim rozumowaniu, i wstyd jej było siebie samej.

„Czyż ja jestem taką egoistką?" — myślała z żalem.

Gdzie szukać pracy, za której pomocą chciała zabezpieczyć byt rodzicom, nad tym nie namyślała się długo. Powzięła ona pewien zamiar, zdający się jej łatwym do wykonania. Była jeszcze zbyt młoda i niedoświadczona, aby zastanawiać się nad mogącymi stanąć jej na drodze przeszkodami i trudnościami.

Teraz dopiero, gdy mniemała, że znalazła środki ratunku, uczuła potrzebę spoczynku. Zapaliła świecę i gdy łagodne światło rozświeciło pokój, można było widzieć dokładnie jego wytworne urządzenie. Znać tu było, że rodzice chcieli zadowolić wszystkie nie tylko upodobania, ale nawet kaprysy jedynaczki. Ściany, wyklejone papierem bladoróżowym w srebrne arabeski, zastosowane były barwą do tkaniny pokrywającej meble z dębu czarnego, naśladującego heban, i do firanek, przysłaniających weneckie okno. Surową powagę tego okna łagodziły białe, muślinowe falbanki, wyglądające spod różowych draperii. Łóżeczko osłaniała muślinowa kotara, podpięta różowymi kokardami, a obok łóżka z jednej strony stał stolik z lustrem w posrebrzanych ramach, a z drugiej umywalnik, wyłożony marmurem i zastawiony porcelaną, dobieraną widocznie do tonu barw panujących w pokoju. Pod oknem stało śliczne dębowe biureczko, a pod ścianą miękka kozetka ze stolikiem do roboty i dwoma fotelikami. Była tam jeszcze i szafka oszklona, pełna książek ładnie oprawnych, i różne drobne, kosztowne, a niepożyteczne graciki, i wzorzysty kobierzec, wyścielający część posadzki, i ozdobna lampa, zwieszająca się od sufitu w kształcie kielicha kwiatu: z bogatych ram złoconych wychylało się słodkie oblicze Matki Boskiej, wyborna kopia z obrazu Carlo Dolce.

Helenka, trzymając świecę w ręku, przypatrywała się swemu pokoikowi z taką uwagą, jakby go widziała dopiero po raz pierwszy. Nigdy jeszcze nie wydawał jej się tak piękny, miły i wygodny jak teraz, gdy wiedziała, że wkrótce będzie go musiała opuścić... Tyle lat swobodnych i szczęśliwych przepędziła tutaj, a z każdym niemal sprzętem wiązało się jakieś wspomnienie. Przed tym obrazem, będącym pamiątką rodzinną, modliła się zawsze; to biurko dostała na imieniny od ojca; tę szafkę matka jej ofiarowała niedawno; ten kobierzec przyniosła jej gwiazdka. Wszystkie otaczające ją sprzęty — byli to dobrzy

jej znajomi i przyjaciele, przed którymi nie miała tajemnic: każdy miałby coś ciekawego do powiedzenia o swej pani, gdyby tylko umiał mówić — a najwięcej może biurko:. na którym rysowała szkice do owego wymarzonego kostiumu leśnej bogini.

Przypomnienie balu wstrząsnęło Helenką jak iskra elektryczna i obudziło w duszy głuchy bunt przeciw powziętym przed chwilą dobrym zamiarom. Ach, ten bal! Ona o nim tyle marzyła, tyle z nim wiązała nadziei, a teraz ma go się wyrzec? Nieraz słyszała we śnie dźwięki muzyki, gwar rozmów, widziała jarzący blask świateł i siebie wspartą na ramieniu Stefana, unoszoną wirem tańca wobec powszechnego szmeru podziwu i uwielbienia. A gdyby też pogodzić z sobą dwie rzeczy: być na balu i po nim dopiero o pracy pomyśleć? Suknia już i tak obstalowana, więc w każdym razie zapłacić za nią trzeba... Co zresztą powiedziałby Stefan, któremu dała słowo, że będzie; Stefan, który ją do pierwszego tańca zamówił?

Długą chwilę trwała w duszy dziewczęcia walka egoizmu młodości z dobrymi zamiarami i te ostatnie zwyciężyły. Helenka nie była złą ani zbyt lekkomyślną; miała dobre serce i szczerze pragnęła ratować rodziców. Wrodzona jej szlachetność odepchnęła pokusę z oburzeniem.

— Nie godzi się nawet myśleć o tym — rzekła do siebie — Stefan, jeżeli zechce, potrafi mnie wszędzie znaleźć.

I, usiadłszy przy biurku, napisała do modniarki list cofający obstalunek — ale gdy go włożyła w kopertę i zapieczętowała, popłynęły jej z oczu łzy żalu za przyjemnością, którą dobrowolnie poświęciła, i za marzeniami, których się wyrzekała. Poemat jej życia przerwał się na samym początku.

Łzy te oczyściły ją z grzechu egoizmu i w końcu zmieniły się w słodkie łzy rozrzewnienia na myśl, że czyni to dla rodziców, którymi od tej chwili będzie się opiekowała. Była to pierwsza ofiara i pierwsze nad sobą zwycięstwo.

Gdy stróż nocny z grzechotką przechodził koło domu pana Marcina, na zegarze miejskim wybiła godzina druga, ale Helenka już tego nie słyszała. Spała snem twardym. Z całej rodziny ona jedna tylko spała tej nocy.

VI

Pan Radllcz był już człowiekiem niemłodym, lecz starym nie można go było jeszcze nazwać, pomimo pięćdziesięciu przeszło lat. Wprawdzie włosy i faworyty miał siwe, twarz porysowaną zmarszczkami, ale oczy pełne były życia, a w ruchach, w głosie przebijała się sprężystość i energia. Rysy były dość pospolite, ale miały wybitnie indywidualny charakter, którego wyrazem była siła i stanowczość; czoło przecinały ostre linie, a w zagięciu ust było coś nieubłaganego. Na pierwszy rzut oka nie był to człowiek sympatyczny, bo nie wzbudzający innego uczucia oprócz obawy i poszanowania; ale gdy spod brwi gęstych i krzaczastych popatrzył na kogo przez szkła okularów wzrokiem pełnym rozumu i dobroci, wzbudzał natychmiast nieograniczoną do siebie ufność i wiarę. Tak go też osądziła Helenka podczas wczorajszego wieczora.

Państwo Oreccy wstawali zwykle późno, a ruch prawdziwy w ich domu rozpoczynał się dopiero o dziewiątej. Delegowany Rady Nadzorczej jednakże inny miał widać obyczaj, bo o ósmej już był w kantorze zajęty przeglądaniem ksiąg i obliczaniem długich szeregów cyfr. W całym domu panowała jeszcze cisza, służba tylko co powstawała i zaczynała się krzątać leniwie po pokojach, chodząc na palcach i poziewając głośno.

Czoło pana Radlicza fałdowało się często przy tej czynności: z każdej niemal karty wyglądał brak praktycznej podstawy w obrotach pieniężnych pana Marcina i jego dyletantyzm — a znajdowały się pozycje, wprowadzające go w głębokie zdumienie. Zatopiony w pracy, nie słyszał drobnych kroków zbliżających się do drzwi kantoru i nieśmiałego pukania — dopiero gdy po chwili powtórzyło się nieco głośniej, usłyszał je.

— Proszę wejść — odezwał się, nie podnosząc głowy od papierów, nad którymi był pochylony.

Drzwi otworzyły się i zamknęły na powrót z delikatną ostrożnością i drobne kroki zbliżyły się do stołu, przy którym pracował delegowany. Pan Radlicz, mniemający zrazu, że to służąca, podniósł nagle głowę i zdziwił się, gdy ujrzał przed sobą córkę gospodarza

domu. Powitawszy ją uprzejmie, wyraził przypuszczenie, że prawdopodobnie spodziewała się zastać tu ojca zamiast niego.

— Nie, panie — odrzekła — ojciec mój nie wstaje tak rano, więc wiedziałam, że go nie zastanę w kantorze. Chciałam pomówić z panem bez świadków i dlatego tu przyszłam; jest to jedyna pora, w której nam nikt nie przeszkodzi.

Wypowiedziawszy te słowa odetchnęła głęboko; pierwszy ten krok na drodze samodzielności dużo ją kosztował. Zanim tu przyszła, musiała stoczyć niejedną walkę z wahaniem się na nowo ją ogarniającym, z fałszywym wstydem i tysiącznymi uczuciami, jakie ją po przebudzeniu się opanowały. Teraz, gdy wyrzekła pierwsze wyrazy, wszystko już było skończone; nie mogła się cofnąć. Zdziwienie pana Radlicza wzrosło jeszcze bardziej, ale nie dał tego poznać po sobie. Podał jej krzesło i rzekł, siadając także:

— Słucham panią.

— Pewnie się to panu wydaje dziwne, a nawet niewłaściwe, że człowiekowi obcemu, widzianemu po raz pierwszy w życiu, przychodzę czynić zwierzenie... ale bardzo ważne powody skłaniają mnie do tego. Proszę pana o trochę tylko cierpliwości. Niech mnie pan wysłucha, a potem mnie pan osądzi.

Przerwała na chwilę, jakby dla nabrania odwagi, zaczerpnęła powietrza i mówiła dalej:

— Ojciec mój wskutek różnych nieprzyjaznych okoliczności stracił majątek, a dymisja z posady ajenta odbiera mu jedyny środek utrzymania.

Pan Radlicz poruszył się na krześle.

— Przykro mi niezmiernie — powiedział — że na mnie spadł obowiązek wykonawcy tej smutnej dla państwa zmiany, ale nie przybyłem tu z własnej wyłącznie woli i nie powinniście państwo mieć o to do mnie urazy.

— O, bynajmniej — odpowiedziała z pośpiechem — rozumiemy wszyscy, że pan jest tylko reprezentantem instytucji.

— To, co słyszę od pani — mówił zapalając cygaro — dziwi mnie niewymownie — sposób bowiem życia państwa i stopa, na jakiej dom trzymacie, prowadzi do innych wniosków, a pani Orecka wczoraj nawet powtórzyła dwukrotnie, że rada jest, iż mąż jej pozbędzie się kłopotu z ajenturą.

Helenka zarumieniła się lekko.

— Mama jest dumną — wyszeptała — i ma wstręt do budzenia w ludziach litości.

Pan Radlicz pomyślał, że duma mogłaby się była inaczej objawić, niekoniecznie w ten sposób, ale zachował tę uwagę przy sobie, powiedział tylko:

— Zdaje mi się, że zgadłem powód obecności pani tutaj, i z góry żałuję, że muszę rozwiać pani złudzenie. Dymisji ojca pani nie wywołały względy prywatnej natury, więc cofniętą być nie może. Dalsze utrzymywanie ajentury w M. naraziłoby Dom Handlowy na straty.

— Pojmuję to — odpowiedziała — i omylił się pan przypuszczając, że przyszłam tu żądać rzeczy niemożliwych. Zamiary moje są inne: wiem, że co się stało, odstać się już nie może; ale położenie moich rodziców, nie znających dotąd, co to jest troszczyć się o jutro, jest więcej niż smutne. Otóż... pragnę los ich, o ile to jest możliwe, złagodzić. Jednym słowem, chciałabym pracować. Tyle kobiet w moim wieku zarabia na swoje utrzymanie, a nawet pomaga rodzinie...

Pan Radlicz, słuchający dotąd z grzeczną obojętnością, spojrzał z większym nieco zajęciem na mówiącą.

— Myśl bardzo dobra — zauważył, nie zgadując jednakże, dlaczego mu ona to wszystko mówi.

— Nie mam nikogo, co by mi w tym przedsięwzięciu umiał lub chciał poradzić. Moi rodzice nic jeszcze o tym nie wiedzą i będę miała niemałe z nimi trudności, zanim oswoją się z tą myślą... a wszyscy moi znajomi i przyjaciele mają dawne pojęcie o kobiecie i jedynie działalność w obrębie domowego ogniska uważają dla niej za właściwą, zwłaszcza jeżeli należy do mojej sfery.

Lekki uśmiech przebiegł po ustach pana Radlicza.

— Chciałabym się dostać do Warszawy, gdzie, jak czytam i słyszę, istnieją rozliczne sposoby zarobkowania dla kobiet, ale nie wiem, jak się do tego wziąć. Niech mi pan nie bierze za złe mej śmiałości, ale pański wiek, pańska twarz, choć surowa, budzi we mnie

zaufanie i nadzieję, że pan nie odmówi mi swojej rady. Mam dopiero lat siedmnaście[23], nie znam świata...

Podniosła nań oczy pełne gorącej, acz nieśmiałej prośby, oczy podobne do gwiazd, w których znać było, że nigdy nie patrzyły na ziemię z bliska.

Pan Radlicz w milczeniu spoglądał przez chwilę na delikatną twarzyczkę dziewczęcia, po której przemykały odblaski różnorodnych myśli i wrażeń; na wytworny układ włosów przepiętych złotą przepaską, na ubiór ściśle zastosowany do ostatnich wymagań mody, na ręce uderzające niezwykłą małością i ozdobione pierścionkami; na całą postać, tchnąca wdziękiem słabości, przyzwyczonej, jak się zdawało, widzieć spełnionymi natychmiast wszystkie zachcenia — patrzył i rozważał, nareszcie rzucił jej krótkie pytanie:

— Cóż pani umiesz?

Pytania tego, streszczającego kwestię w dwóch słowach, najmniej się spodziewała Helenka. Na twarzy jej odmalowało się zakłopotanie.

— Uczono mnie wszystkiego po trosze — rzekła po chwili — umiem mówić dosyć biegle po francusku, po niemiecku, po angielsku, grać, śpiewać, rysować z natury.

— Szkoda. Wolałbym, abyś pani umiała mniej, a dobrze. Czy przecież posiadasz pani choć jeden przedmiot gruntownie, to jest tak, że mogłabyś się podjąć go wykładać?

— Niestety, nie, ale od czegóż są książki?

— Metoda zadawania dzieciom lekcji z książek minęła już niepowrotnie — odparł pan Radlicz poważnie — pedagogika dzisiaj posługuje się innymi środkami. Nauczający przede wszystkim musi sam umieć dobrze to, czego chce uczyć.

Helenka posmutniała.

— Zdaje mi się, że znam nieźle muzykę — rzekła z mniejszą niż wprzód pewnością.

— Nauczycieli muzyki mamy w Warszawie więcej, niż potrzeba, z uczennicami konserwatorium nie wytrzyma pani konkurencji. Ludzie oddadzą zawsze pierwszeństwo tym, którzy swojej umiejętności będą mogli dowieść patentem.

— To może mogłabym dostać miejsce nauczycielki prywatnej? Tyle jest nauczycielek umiejących mniej ode mnie...

Pan Radlicz popatrzył na nią z politowaniem.

— Warszawa mało potrzebuje nauczycielek prywatnych — powiedział. — Przy wzrastającej drożyźnie mieszkań i artykułów spożywczych utrzymanie nauczycielki jest kosztownym zbytkiem. Zresztą najlepsza nawet nauczycielka nie może posiadać wszystkich przedmiotów ani zastąpić szkoły. Rodzice więc posyłają dzieci do którego z zakładów, gdzie nauka jest tańszą i lepszą. Ludzie bogaci wprawdzie pozwalają sobie zbytku utrzymywania kilku nauczycielek razem i dobrze im płacą, ale na to trzeba choć jeden przedmiot znać doskonale. Dlaczego pani jednakże szuka miejsca koniecznie w Warszawie? Czyż nie łatwiej bez porównania byłoby pani znaleźć je tutaj, jeżeli nie w samym mieście, to w okolicy, gdzie pani musisz mieć stosunki, znajomości?

— O, nie! — przerwała z mocnym rumieńcem — za nic w świecie nie zgodziłabym się przyjąć obowiązku płatnego w domu, w którym mnie dotąd przyjmowano jako gościa i odpowiednimi względami otaczano. Różnica stanowiska wobec tych samych osób byłaby dla mnie nazbyt przykrą. Ciągła obawa, aby mi tego uczuć nie dano, zrobiłaby mnie drażliwą na każde słowo, każde spojrzenie i upatrywałabym chęć upokorzenia mnie tam nawet, gdzie by jej nie było. Nie, nie! Pragnę opuścić te strony i między obcymi ludźmi nowe rozpocząć życie.

— Zdaniem moim jest to wstyd fałszywy — zauważył spokojnie — nikt nie powinien się wstydzić brać pieniędzy zarobionych uczciwie.

Helenka nic nie odpowiedziała.

— Dobrze władam obcymi językami, zwłaszcza francuskim — odezwała się po chwili — czy więc nie mogłabym dawać lekcji konwersacji?

— Każdy woli rodowitą Francuzkę, łaskawa pani, na zasadzie, że nauka obcego języka pewniejsza jest z pierwszej ręki niż z drugiej. Polki za konwersację otrzymują bardzo nędzne wynagrodzenie, a i ono jeszcze niełatwe jest do zdobycia. Należy wprzód dać się poznać, wyrobić sobie stosunki, a na to potrzeba czasu.

Ciężkie westchnienie wydobyło się z piersi Helenki.

---

[23]*siedmnaście* — dziś: siedemnaście. [przypis edytorski]

— Najkorzystniej byłoby nauczyć się jakiego rzemiosła, dostępnego dla kobiet, ale pani i do tego wydajesz mi się niezdolna; a szkoda, bo na tej drodze najprędzej można sobie zapewnić byt niezależny. Jestem ojcem trzech córek, każda z nich, oprócz wyższego naukowego wykształcenia, posiada jeszcze specjalne wykształcenie fachowe, dające zarobek; każda nie tylko utrzymuje się z własnej pracy, ale ma jeszcze po kilkaset rubli zaoszczędzonych.

Uczucie zazdrości obudziło się w sercu Helenki. Gdyby ona miała kilkaset rubli, rodzice na kilka miesięcy mieliby zapewniony spokój!

— Ta droga jest dla mnie niemożliwą — rzekła — dla nauczenia się rzemiosła trzeba czasu, a ja potrzebuję zaraz zarabiać. Mój ojciec wczoraj wziął ostatnią pensję!...

„I mimo to daliście wystawną kolację — pomyślał pan Radlicz nie bez oburzenia. — Na Boga, ci ludzie nie mają najmniejszego pojęcia o rachunku!"

— Słyszałam — mówiła dalej niepewnym głosem Helenka — że Polki, posiadające obce języki, bywają użyteczne na pensjach.

— Ma pani słuszność: sądzę, że pani mogłaby robić tłumaczenia z uczennicami klas niższych i objaśniać im znaczenie wyrazów. Znam przełożoną, która wspominała mi właśnie, że takiej osoby potrzebuje.

— Ach, panie! — zawołała z błyskiem nadziei w oczach — niech mi pan pomoże uzyskać to miejsce[24].

— Chętnie, ale czy pani jesteś mocna w języku rosyjskim?

Helenka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Nie znam go wcale, ale cóż to ma do rzeczy?

Z kolei pan Radlicz spojrzał ze zdziwieniem na Helenkę.

— Więc pani nic o tym nie wiesz, że wykłady na pensjach muszą się odbywać po rosyjsku? — zapytał. — Że polski język może się używać[25] tylko jako pomocniczy?[26]

Język, Rosja, Niewola

Helenka zbladła.

— Jak to! — spytała głosem drżącym, w którym czuć było niedowierzanie — więc obcy język wykłada się w innym, obcym także dla dzieci języku?

— Polski to język uważa się za obcy, łaskawa pani — odpowiedział z goryczą — i jako taki wykłada się po rosyjsku.

Źrenice dziewczęcia rozszerzyły się dziwnie; na twarzy odmalował się przestrach.

— Jakże sobie radzą z tym cudzoziemki? — pytała dalej.

— Uczą się po rosyjsku.

— A dzieci?

— Z początku nic nie rozumieją... z czasem przyzwyczajają się.

Zapanowało milczenie. Pan Radlicz rzucił nie dopalone cygaro, podniósł się i zaczął chodzić po pokoju z założonymi w tył rękami.

— Nie powinniśmy jednakże dlatego rąk opuszczać — rzekł, zatrzymując się przed nią — przeciwnie, w tych właśnie warunkach, jakie są, pomimo wszelkich trudności, należy starać się spełnić obowiązek. Naucz się pani po rosyjsku tak, żebyś mogła zdać z tego języka egzamin, a postaram się wyrobić ci miejsce na pensji.

— Ależ ja nie mogę czekać! — zawołała prawie z rozpaczą — nie mogę! Mówiłam już panu, że nie mam czasu do stracenia.

— Nic więc pani nie mogę poradzić.

Nastąpiło znowu milczenie. Helenka patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem.

— Może bym chociaż mogła uczyć kaligrafii i przy tym być użyteczną przełożonej pensji w jaki inny sposób? — wyszeptała głosem wychodzącym ze ściśniętego gardła, głosem, w którym czuć było, że ostatnia struna była wyprężona, jakby lada chwila miała pęknąć.

Pan Radlicz roześmiał się przykrym, ostrym śmiechem.

---

[24] *miejsce* (tu daw.) — posada, zatrudnienie. [przypis edytorski]

[25] *polski język może się używać* — dziś: język polski może być używany. [przypis edytorski]

[26] *wykłady na pensjach muszą się odbywać po rosyjsku (...) polski język może się używać tylko jako pomocniczy* — w zaborze rosyjskim w ramach represji po powstaniu styczniowym nasilono rusyfikację i zajęcia w szkołach nakazano prowadzić po rosyjsku, tak jak całą administrację. [przypis edytorski]

— O święta naiwności! Czy pani uczyć będziesz kaligrafii, czy robót, zawsze musisz mieć patent z języka rosyjskiego. Jakże państwo czytacie gazety, że wszystkie te rzeczy są dla was nowe!

Struna, zbytecznie wyprężona, pękła. Helenka wybuchnęła płaczem; siły jej moralne wyczerpały się w tej rozmowie do ostatka. Wczoraj myślała, że dość jej będzie objaśnić chęć do pracy, żeby ta praca sama weszła w jej ręce i przyniosła obfite korzyści, a tu napotykała trudności niezwalczone. W powieściach angielskich, które czytywała ze szczególnym upodobaniem, bywały piękne ustępy o pracy — a bohaterki, biorące się do niej, po mniej więcej niewielkich trudnościach zarabiały dużo pieniędzy i wychodziły za mąż. Myślała, że i z nią tak będzie; tymczasem przekonywała się, że życie w powieści, a życie rzeczywiste to dwie rzeczy bardzo różne. Za każdym słowem delegowanego odwaga jej słabła — i tylko przez ambicję nie dała tego poznać po sobie. Walczyła z sobą mężnie do ostatniej chwili, ale teraz siły opuściły ją zupełnie. Kaligrafii czepiła się jak tonący deski ocalenia, i to ją zawiodło. Tak była dumną ze swego wykształcenia, a dowodzenia pana Radlicza obróciły tę dumę wniwecz. Była upokorzona i złamana.

Praca

— Odebrał mi pan ostatnią nadzieję! — wyszeptała łkając.

Kobieta, Nauka

Boleść ta wzruszyła głęboko pana Radlicza. Chodził zamyślony po pokoju i zatrzymał się znowu.

— Biedne dziecię! — przemówił ze współczuciem — wychowano cię na kobietę bardzo przyjemną w salonie, ale niepożyteczną w życiu codziennym. Wykształcenie powierzchowne zrobiło cię bezbronną wobec walki o chleb powszedni. Ale uspokój się, pani, może jeszcze potrafimy coś wynaleźć.

Helenka pochwyciła obie jego ręce.

— Ach, panie! — zawołała, podnosząc ku niemu oczy łzami zalane — jeżeli tylko pan może, pomóż mi pan, na miłosierdzie Boskie!

— Przestań pani płakać — powtórzył — i wysłuchaj mnie spokojnie. Wspominałaś mi pani o kaligrafii; wnoszę stąd, że piszesz nieźle. Siadaj pani na moim miejscu i pisz, co ci podyktuję.

Helenka obtarła łzy batystową chusteczką i spełniła, czego od niej żądano. Pan Radlicz wziął w rękę jej pismo i przez chwilę uważnie mu się przypatrywał: litery były wyraźne, charakter piękny i wprawny.

— Egzamin wypadł nieźle — rzekł z uśmiechem — połóż pani teraz pióro i posłuchaj mnie uważnie. Jestem właścicielem składu nasion w Warszawie i mógłbym pani dać u siebie zajęcie w ekspedycji. Obowiązkiem pani byłoby przepisywać rachunki i przygotowywać obstalunki. Ofiarowałbym pani za to piętnaście rubli pensji miesięcznie na początek, wraz z całkowitym utrzymaniem. Czy chcesz się pani tego podjąć?

— Czy chcę! — zawołała z wybuchem radości. — Alboż mnie trzeba o to pytać?

— Ostrzegam panią, że jestem surowy i wymagający i nie znoszę nieakuratności ani najmniejszego lekceważenia przyjętych na siebie obowiązków. W razie gdybyś je pani zaniedbywała, będę zmuszony objawić pani moje niezadowolenie. Nie będę wówczas zważał, kto pani jesteś, ani ubierać słów moich w wytworne formy salonowej grzeczności, ale postąpię tak, jak bym postąpił z każdym z moich podwładnych. Namyśl się pani dobrze...

Kobieta, Praca, Ambicja

Helenka milczała przez chwilę.

„Miałażbym w bezczynności wyczekiwać, aż zjawi się konkurent i za cenę mej ręki wyratuje nas wszystkich z biedy? — myślała. — Nie, to i za ryzykowne, i nazbyt upokarzające. Wolę pracować". — To, co pan mówi, nie zniechęca mnie — rzekła z mocą — postanowienie moje jest niecofnione; wyboru nie mam...

— Brawo! — zawołał pan Radlicz — wychowano panią niepraktycznie, ale nie zdołano zepsuć dobrego materiału, jaki w duszy pani złożyła natura. Podaj mi pani rękę: jest ona wprawdzie za mała i zanadto wypieszczona, ale zasługuje na to, żeby ją uścisnąć z szacunkiem. Czy tylko pani wytrwasz? Brak wytrwałości jest naszą narodową wadą.

To powiedziawszy spojrzał na zegarek.

— Przepraszam panią, że muszę zakończyć naszą rozmowę, ale już dziewiąta, a ja mam jeszcze niemało papierów do przejrzenia, bo dziś wyjeżdżam. Ale będę tu znowu za dwa tygodnie dla ostatecznego ukończenia sprawy, to mógłbym panią zabrać. Pomów pani tymczasem z rodzicami. Żegnam panią.

Podał jej rękę i zagłębił się znowu w rachunkach.

U LUDZI
VII

Niemałe miała trudności Helenka, zanim przygotowała rodziców do swoich zamiarów. Z początku ani słuchać nie chcieli o zmianie, mającej nastąpić w ich domu. Ojciec płakał i wyrzucał sobie, że to z jego winy córka chce iść wycierać obce kąty; matka dostała ataku nerwowego i wyrzucała córce, że powzięła myśl szaloną, bo po co ma tam gdzieś szukać pracy, nieodpowiedniej dla panny tak starannie jak ona wychowanej, kiedy może iść tutaj za mąż bogato. Dość będzie sprawić kilka nowych sukien, pokazać się na kilku wieczorach, aby cel zamierzony osiągnąć. Mówiła, że się dziewczynie przewróciło w głowie, że „co powie na to świat", że wreszcie „nie ma prawdziwego przywiązania do rodziców, kiedy jej tak łatwo przychodzi opuścić ich teraz właśnie, gdy spadło na nich nieszczęście".

Helenka w milczeniu znosiła te wszystkie zarzuty, nie próbując się nawet usprawiedliwić, ale stała przy swoim. Ulegała matce dotąd zawsze we wszystkim, toteż pani Orecka zdziwiona była i rozgniewana tą nagłą stanowczością, o jaką córki dotąd nie podejrzewała. Okoliczności też wkrótce bardzo Helence do uskutecznienia zamiaru dopomogły. Ostatnia pensja wyczerpała się w połowie miesiąca i trzeba było żyć na kredyt. Postanowiono wprawdzie sprzedać konie, ale nie śpieszono się z tym, bo zbytni pośpiech w sprzedaży rozniósłby zaraz po mieście i okolicy wieść o ruinie majątkowej pana Marcina — a tego właśnie pani Marcinowa nie życzyła sobie.

Gdy delegowany Rady Nadzorczej powtórnie przyjechał, nikt się już nie sprzeciwiał wyjazdowi Helenki. Ojciec tylko stał się jeszcze więcej milczący, wzdychał ciężej i po całych dniach wybijał swojego marsza, nie mogąc się zdobyć na żadne inne zajęcie; matka po cichu płakała i zażywała krople uspokajające, ale rzeczy były już zapakowane. Dziwiła się bardzo pani Orecka, że żaden z kawalerów, którzy się o jej córkę dobijali na balu, nie przyjechał dotąd złożyć wizyty, ale pocieszała się nadzieją, że Helenka może w Warszawie lepiej jeszcze pójdzie za mąż. Żeby zaś świat nie robił żadnych niepotrzebnych domysłów, zapowiedziało się znajomym, że jedynaczka jedzie do stolicy na karnawał.

Z ciężkim sercem opuszczało dziewczę dom rodzicielski, a gdy przyszła chwila pożegnania i zrozpaczeni rodzice, poleciwszy córkę kilkakrotnie opiece pana Radlicza i otrzymawszy od niego przyrzeczenie, że będzie nad nią czuwał jak nad własną córką, wzajemnie ją sobie z objęć wyrywali; gdy słudzy rzucili się do nóg i rąk panienki, a pies, nieodstępny jej dotąd towarzysz i przyjaciel, jakby coś przeczuwając, zaczął dokoła niej biegać i skomleć; gdy nareszcie ulubiona jej klaczka, na której codziennie jeździła, wybiegła ze stajni, dopominając się chleba, otrzymywanego zawsze z rąk Helenki o tej porze — zesłabło serce w biednej dziewczynie. Zawahała się na chwilę i wielkim tylko wysiłkiem woli zdołała się przezwyciężyć. Wyrwała się prawie przemocą swoim kochanym i wskoczyła szybko do powozu.

Ofman, oparty łokciami na parkanie, przypatrywał się całej scenie i dziwił go trochę ten smutny wyjazd na wesołą zabawę, a ponieważ był człowiekiem przewidującym i wiedział już, że państwo Oreccy zaczęli brać to i owo na kredyt, ponieważ w przybliżeniu wiedział także, ile to stroje damskie pochłaniają pieniędzy, więc przez błękitne dymy swojej fajeczki, niby przez mgłę przeźroczystą, widział się już w niedalekiej przyszłości posiadaczem posesji pana Marcina.

Łzy

Gdy konie ruszyły z miejsca, z oczu Helenki, wstrzymującej się dotąd mężnie od płaczu, trysnęły łzy obfite. Teraz, gdy już zostawiła za sobą wszystko, co jej było drogie, i przecięła sobie drogę do odwrotu, odstąpiła ją cała odwaga. Ogarnął ją żal bezmierny za tym, co zostawiła, i obawa tego, co ją czekało. Pan Radlicz nie przeszkadzał jej płakać ani usiłował nawiązać z nią rozmowy. Znał dobrze życie i wiedział, że łzy przynoszą ulgę, a kilka godzin milczącego wpatrywania się w głąb własnej duszy może wyjść tylko na zdrowie osobie, która na świat patrzyła powierzchownie, a w siebie prawdopodobnie nigdy jeszcze uważnie nie spojrzała.

Większą część drogi przebyli w zupełnym milczeniu, potem jednakże Helenka ożywiła się bardzo i nie tylko nie unikała rozmowy, ale ją nawet podtrzymywała; dopiero gdy pociąg zbliżał się do Warszawy i z daleka ukazały się tysiące świateł migocących wśród

nocy, sposępniała bardzo na myśl, że wkrótce znajdzie się w obcym domu. Pan Radlicz, zgadując jej myśli, powiedział:

— Bądź pani spokojna, znajdziesz osoby chętne i życzliwe. My wszyscy pracujemy, więc umiemy zrozumieć i uszanować każdego, kto pracuje. Żona moja jest zacna i rozumna, dziewczęta poczciwe i wesołe, syn — chłopiec dzielny i pracowity: powinno ci z nimi być dobrze. Salonów pańskich wprawdzie u nas nie ma, zbytku nie znamy, aie jest za to dostatek, ład i oszczędność.

Pociąg zatrzymał się i wysiedli. Tłum gęsty zalegał platformę; zewsząd słychać było okrzyki radości i powitania, zmieszane z wołaniem posługaczy i służących hotelowych. Pan Radlicz podał Helence ramię i przeprowadził ją przez tłum na drugą stronę dworca.

— Nie kazałem nikomu czekać na siebie — rzekł do niej — bom nie mógł na pewno dnia powrotu oznaczyć, a nie lubię, gdy ludzie tracą czas nadaremnie. Dom mój jest niedaleko stąd, pójdziemy więc pieszo, a potem przyślemy po rzeczy.

„Czyż czas służących jest tak drogocenny? — myślała Helenka. — Cóż wielkiego, gdyby lokaj pana Radlicza przyszedł tu kilka razy na próżno!"

Przeszli między szeregami dorożek i skierowali się w aleję. Noc była ciemna, ale latarnie oświetlały drogę. Powiew mroźnego wiatru orzeźwiająco podziałał na nią: w głowie zrobiło się jakoś jaśniej, w duszy raźniej i wdzięczna była swemu opiekunowi za tę przechadzkę. Przed dużym, piętrowym domem zatrzymał się i rzekł:

— Jesteśmy już na miejscu.

W bramie pod samą latarnią na ławie siedział stróż i czytał „Kuriera". Ujrzawszy swego pana powitał go z widoczną radością i otworzył drzwi szklane, prowadzące na schody. Weszli na pierwsze piętro i zaledwie pan Radlicz pociągnął za dzwonek, gwar dwóch głosów dał się słyszeć w przedpokoju, jakby dwie osoby biegły na wyścigi drzwi otwierać, a w gwarze tym można było dokładnie rozróżnić te wyrazy:

— To ojciec, to pewno ojciec!

Nareszcie drzwi otworzyły się i pan Radlicz został obskoczony przez dwoje młodych dziewcząt, które zaczęły go ściskać, całować, zarzucać pytaniami, ściągać z niego futro, a z całego powitania widać było, jak bardzo był kochany ten rozumny ojciec. Helenka, stojąca na boku, patrzyła na tę scenę rodzinną z sercem ściśniętym, a przed oczyma jej stanął obraz rodziców samotnych i strapionych. Oswobodziwszy się z objęć córek, pan Radlicz obejrzał się za swoją towarzyszką i wziąwszy ją za rękę, powiedział:

— Moje dzieci, oto jest panna Orecka, o której wam pisałem; zapoznajcie się z nią i postarajcie się, żeby jej u nas było dobrze.

Obie panny Radliczówny wyciągnęły ręce życzliwie do nowo przybyłej, a ona ujęta ich pełną prostoty uprzejmością, każdą z rąk sobie podanych uścisnęła serdecznie. Była w obcym domu, daleka od wszystkiego, co kochała, i bardzo potrzebowała życzliwości. Gdy zdjęły z niej aksamitne, lisami podbite futro, pan Radlicz rzekł wesoło:

— Żebyś pani wiedziała, z jak dostojnymi osobami będziesz odtąd przestawać, wymienię pani ich tytuły: to jest Andzia, moja starsza córka, bardzo rozmiłowana w swoim fachu kwiaciarka, prawdziwa artystka w układaniu bukietów, za które na wystawie ogrodniczej otrzymała medal.

— Ach, ojcze, bo się zarumienię — przerwała śmiejąc się Anna.

— To Elżunia, rokiem od niej młodsza, zajmuje się malowaniem na porcelanie; powiada ona, że nie pragnie medalu, bo go sama sobie namalować potrafi.

Ogólny śmiech był odpowiedzią na te słowa.

— Najstarszej mojej córki nie mogę pani pokazać, bo mieszka na wsi z dziadkiem — mówił dalej pan Radlicz, a twarz jego przy tym sposępniała — prowadzi ona gospodarstwo kobiece, a głównie zajmuje się fabrykacją konfektów na podobieństwo kijowskich. Ta także nie ma jeszcze medalu, ale go dostanie z pewnością, bo wyroby jej znalazły wielkie w handlu uznanie. A teraz, kiedyś się pani dowiedziała, że będziesz żyła w gronie samych znakomitości, pójdziemy dalej. Andziu, gdzie jest matka?

— Mama jest w jadalnym pokoju z Andrzejem, proszę ojca, pewnie nie słyszeli dzwonka.

— To dobrze, chodźmy do nich, zrobimy im niespodziankę.

Pani Radliczowa siedziała w dużym krześle przy stole i cerowała starannie skarpetkę. Przed nią leżały dwa stosy tych skarpetek: jedne były już pocerowane, porządnie wycią-

gnięte i złożone, drugie jeszcze wcale nie ruszone. Obok tych stosów leżał duży kłębek bawełny, paczka tasiemek i nożyczki. Lampa, spuszczająca się od sufitu, rzucała światło wprost na jej głowę, pochyloną nad robotą, na czarny tiulowy czepek; na wysuwające się spod czepka włosy, gładko przyczesane na skroniach, a tak czarne, że aż wpadały w odcień błękitnawy: na czoło, porysowane licznymi podłużnymi i poprzecznymi liniami, na brwi szerokie i gęste, na nos orli i koniec brody, której kształty nieco ostre znamionowały wytrwałość i energię. Cera ciemnooliwkowa podnosiła jeszcze charakter energiczna jej twarzy, tak bardzo już charakterystycznej.

Syn siedział naprzeciw matki po drugiej stronie stołu i czytał głośno gazetę, a pani Radliczowa od czasu do czasu podnosiła na niego duże, wypukłe oczy, w których malowało się głębokie skupienie myśli i rozwaga — jakby w twarzy syna szukała rozwiązania faktów uderzających jej umysł — a podniesiona igła zatrzymywała się na chwilę w powietrzu, po czym poruszała się w jej rękach z większą jeszcze szybkością.

Czy była piękna kiedy lub nie, tego na pewno wiedzieć nie było można, ale to pewna, że rysy jej musiały być łagodniejsze w młodości i tylko życie wśród ciężkich okoliczności zaostrzyło ich kontury tak bardzo, że aż odebrało im delikatniejsze cechy kobiecości. Nie była to głowa piękna, ale każdy malarz byłby ją chętnie umieścił na swym płótnie, przypominała bowiem typy dawnych Rzymianek z najświetniejszych czasów rzeczypospolitej. Tak niezawodnie wyglądać musiała matka Gracchów[27].

Kto widział razem oboje państwa Radliczów, ten musiał być uderzony dziwnym między nimi podobieństwem — podobieństwem nie zasadzającym się na rysach, bo te były bardzo od siebie różne, ale na ogólnym wyrazie. Snadź[28] dwoje tych ludzi musiało się wzajem dobrze rozumieć, snadź musieli z sobą iść zgodnie ręka w rękę przez życie, skoro wędrówka ta napiętnowała ich twarze jednakowym wyrazem.

Andrzej był bardzo podobny do ojca: te same miał rysy nieregularne, te same oczy, błyszczące inteligencją i przenikające do głębi, nawet te same dwie fałdy idące wzdłuż czoła. Tylko kolorem cery i włosów przypominał matkę. Włosy te, krótko przystrzyżone i zaczesane do góry, sterczały na głowie jak szczotka, a krótka amerykańska broda dopełniała charakteru tej twarzy wyrazistej, która na pierwszy rzut oka wydawała się brzydka. Broda czyniła Andrzeja znacznie starszym, niż był, wyglądał bowiem na lat czterdzieści, a miał dopiero trzydzieści dwa.

Gdy pan Radlicz, przywitawszy się z żoną, przedstawił jej Helenkę, pani odjęła okulary[29] i przez chwilę przypatrywała się jej delikatnej twarzyczce i eleganckiemu podróżnemu ubiorowi, po czym podniosła na męża wzrok, który zdawał się mówić:

„Niewiele będziemy mieli pociechy z tej pracownicy".

Pan Radlicz zrozumiał znaczenie tego wzroku i rzekł głośno:

— Panna Helena nie otrzymała tak praktycznego wychowania jak nasze dziewczęta, ale szczerze pragnie nauczyć się pracować; dała tego dowód doprowadziwszy swój zamiar do skutku, pomimo przeszkód, jakie miała do zwalczenia ze strony rodziców. Miejmy nadzieję, że wytrwa.

— Daj Boże — odpowiedziała pani Radliczowa nieco przyjaźniejszym tonem — z całego serca życzę tego pannie Oreckiej.

Kobieta

I podawszy jej rękę, wskazała krzesło obok siebie. Helenka ze swej strony w milczącym podziwieniu przypatrywała się tej kobiecie, tak bardzo różniącej się od jej matki nie tylko twarzą, obejściem i głosem, brzmiącym niskimi tonami, ale nawet wszystkimi szczegółami ubioru, którego nadzwyczajna prostota biła w oczy. Tamta była skończonym typem wielkiej damy, delikatnej, nerwowej i wiecznie potrzebującej opieki — ta kobiety czynnej, energicznej i zdrowej, a szerokie jej ramiona i silna budowa pokazywały, że sama potrafi dużo znieść i jeszcze innych wesprzeć i obronić. Tamta była uosobieniem wdzięku słabości, ta siły moralnej i fizycznej.

---

[27] *matka Gracchów* a. *matka Grakchów* (190–100 p.n.e.) — Kornelia Afrykańska Młodsza, córka wodza rzymskiego Scypiona Afrykańskiego, matka 12 dzieci, które po śmierci męża wychowywała samotnie. Uważana w Rzymie za wzór matki, rozwijającej w dzieciach cnoty obywatelskie. Dwóch jej synów, Tyberiusz i Gajusz, zostało trybunami ludowymi. [przypis edytorski]

[28] *snadź* (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

[29] *pani odjęła okulary* — w XIX w. panie używały okularów typu *lorgnon*, które trzymało się przed twarzą za rączkę, a panowie nosili zaciśnięte za pomocą sprężynki na nasadzie nosa binokle (*pince-nez*). [przypis edytorski]

„Jest to niewątpliwie osoba wzbudzająca wielki szacunek — myślała sobie Helenka — ale jest w niej także coś, co jej się bać każe. Nie wiem, czy kiedy potrafię ją pokochać. Ale jak też może sama cerować tę szkaradną pończochę! Czy nie mogłaby tego kazać zrobić służącej?"

— To jeszcze jedna znakomitość — odezwał się pan Radlicz przedstawiając Helence swego syna — ogrodnik z zawodu, gorliwy mój pomocnik w handlu i przyszły wspólnik. Firma „Radlicz" zmieni wkrótce tytuł i będzie nosić nazwę: „Radlicz i Syn".

Andrzej ukłonił się z chłodną grzecznością. Piękność Helenki zrobiła na nim wrażenie, ale było to wrażenie innego zupełnie rodzaju niż te, do jakich ona była przyzwyczajoną; nie objawiało się widocznym zachwytem, ale wyrazem ciekawości i idącej za nią chwilowej obserwacji.

„Ach, jakiż brzydki! — pomyślała — czy też znajdzie się kiedy kobieta, co się odważy go zaślubić?"

Podano herbatę i Helenka dziwiła się w duchu, że zastawa była tak skromną; składały ją: bułki, chleb, masło, ser i szynka — co zaś najwięcej dziwiło, to, że pan Radlicz smakował widocznie więcej w tym skromnym posiłku niż w owej sutej wieczerzy, jaką go w M. przyjmowali jej rodzice. Ona sama nie jadła nic, choć ją uprzejmie częstowano — przyjęła tylko szklankę herbaty z rąk pani Radliczowej, a i ta wydawała się jej cierpka i niesmaczna, może z powodu, że ją podano w szklankach z grubego, nie szlifowanego szkła, a nie w filiżankach z francuskiej porcelany, jak to było zwyczajem w domu, gdzie nie dawano także najzylbrowych[30] łyżeczek. Już to srebra na stole nie było nawet na lekarstwo, a bielizna[31] stołowa nie odznaczała się bynajmniej cienkością i miała pospolity deseń.

Podczas gdy ojciec jadł, Andrzej zdawał mu sprawę z interesów, jakie zostały dokonane pod jego nieobecność, a gdy skończył, siostry prześcigały się w opowiadaniu różnych drobnych faktów, zaprawiając opowiadanie humorem. Wybuchy śmiechu, żarty, dowcipy niby błyskawice krzyżowały się ponad stołem; gwarno było i wesoło. Śmiał się ojciec, śmiał się syn, nawet matka uśmiechała się i wtrącała od czasu do czasu jakieś słowo, nie przestając ani na chwilę cerować swoich skarpetek. Na Helenkę nikt nie zważał; zostawiono ją samej sobie, jakby jej umyślnie chciano dać czas i sposobność do oswojenia się z nowym miejscem i otoczeniem. Dla niej wszystko tu było nowe, nawet ta atmosfera zdrowia moralnego, tryskającego z każdej twarzy, i ta rzeźwość umysłów, i to poprzestawanie na małym, wystarczające widocznie wszystkim — i te niewinne źródła humoru, wywołujące ogólną wesołość. Wychowanie i życie dotychczasowe nie dały jej tych pierwiastków. Czuła, że trudno jej będzie dostroić się do tonu panującego tutaj, i smutno jej się zrobiło. To co im wystarczało, jej wystarczyć nie mogło — co ich rozweselało, jej by nie mogło rozśmieszyć.

Obie panny Radliczówny były przystojne: rysy ojca i matki łączyły się w nich z mniejszą lub większą przewagą na korzyść jednego lub drugiego z rodziców, ale obie tak były do siebie podobne ze świeżości cery, pogody spojrzenia i rozwinięcia kształtów, że na pierwszy rzut oka niełatwo było jedną od drugiej odróżnić i umiało się to dopiero po dłuższym na nie patrzeniu. Wówczas dostrzegało się różnice nawet znaczne. Obie miały suknie z taniego wełnianego materiału, skrojone i uszyte z iście spartańską prostotą, bez kosztownych ozdób, jak to było u Helenki. Wyglądała ona między nimi jak osoba z innego świata, jak wątła, cieplarniana roślinka wśród świeżych kwiatów polnych, zahartowanych na wietrze i słońcu. Musiał sobie podobną zrobić uwagę pan Radlicz, bo spoglądał na nią i na swoje córki, jakby je z sobą porównywał.

Podróż całodzienna i zbytek nowych wrażeń tak zmęczyły Helenkę, że z upragnieniem oczekiwała chwili wstania od stołu i rozejścia się towarzystwa. Zauważyła to pani Radliczowa i zaproponowała jej, aby wcześniej udała się na spoczynek.

— Elżunia zaprowadzi panią do pokoju dla pani przeznaczonego — powiedziała — wszystko tam jest przygotowane na pani przyjęcie i łóżko już posłane.

---

[30] *najzylbrowy* (z niem. *Neusilber*: nowe srebro) — z imitacji srebra, wykonanej ze stopu miedzi, cynku i niklu, zwanej mosiądzem wysokoniklowym lub nowym srebrem. [przypis edytorski]

[31] *bielizna stołowa* (daw.) — tkaniny używane przy nakrywaniu stołu: obrus i serwetki. [przypis edytorski]

Helenka natychmiast skorzystała z tego pozwolenia i to była jedyna chwila, w której oczy jej żywszym zajaśniały blaskiem.

— Panno Heleno — rzekł pan Radlicz, gdy opuszczała pokój — obowiązki pani rozpoczną się dopiero pojutrze, jutro jest dzień świąteczny. Nie potrzebujesz pani zrywać się bardzo rano; wypocznij sobie dobrze.

— Będzie pani miała śliczny pokoik — mówiła Elżunia, prowadząc ją ze świecą po schodach na wyższe piętro — duży i słoneczny, z widokiem na ogród. Jestem pewna, że się pani spodoba.

Otworzyła drzwi, podniosła świecę do góry i, puszczając nowo przybyłą przed sobą, zawołała wesoło:

— A co! czy nie milutkie mieszkanko?

Ale Helenka nie zdobyła się na odpowiedź. Zdziwionym wzrokiem wodziła po ścianach świeżo wybielonych, po podłodze niefroterowanej, ale białej i czystej, po skromnych sprzętach i milczała. Składały się one z łóżka żelaznego, szafy jesionowej do rzeczy, stołu do pisania, dwóch wyplatanych krzesełek i umywalnika żelaznego także, na trzech nogach, z garniturem fajansowym. Elżunia, przypisująca milczenie Helenki przyjemnemu zdziwieniu, a nie mogąca się doczekać odpowiedzi, spytała powtórnie:

— Ładny pokoik, prawda?

— Tak, bardzo ładny — odpowiedziała machinalnie.

Było w tonie tej odpowiedzi coś, co uderzyło pannę Radliczównę. Spojrzała z uwagą w oczy nowej towarzyszki, ale oczy te wydały się zagadkowe jak oczy Sfinksa. Delikatność nie pozwalała zadać więcej pytań — zwłaszcza iż zdawało się Elżuni, że panna Orecka pragnie jak najprędzej zostać sama. Postawiła więc świecę na stole, powiedziała jej dobranoc i odeszła.

— I ona to nazywa „ładnym pokoikiem"! — rzekła, śmiejąc się sucho, Helenka, gdy się drzwi za wychodzącą zamknęły. — Ładny, ani słowa! Panna służąca mojej matki ma trochę lepszy, bo przynajmniej wytapetowany, i nigdy jeszcze nie myła się tym obrzydliwym prostym mydłem, którego sama woń przykra już może przyprawić o mdłości.

Niewiele myśląc otworzyła lufcik i wyrzuciła mydło z irytacją za okno. Spostrzegła przy tej czynności szarą płócienną roletę i spuściła ją, wzruszywszy ramionami z politowaniem na widok skromnego wyszycia z białej taśmy, które miało stanowić ozdobę, a w jej pojęciu było równie ordynarne jak firanka z białego perkalu w duże niebieskie kwiaty. Cóż to był za kontrast z prześlicznym, różowym pokoikiem, jaki miała w domu! Nie było tu ani jednego sprzętu wyściełanego, nic takiego, co by miało jakiekolwiek podobieństwo z fotelem lub kanapą, na czym by można usiąść wygodnie, oprzeć się lub położyć. Łóżko stało przy ścianie niczym nie osłoniętej, a na podłodze leżał mały wojłokowy dywanik.

— Ach! — jęknęła Helenka — bez wszystkiego obejść się można, ale jak tu żyć bez kanapy! Dama, Bieda

Świeca paląca się w mosiężnym lichtarzu i leżąca przy niej papierowa paczka zapałek raziły jej smak estetyczny — jak również stół czarno lakierowany i prosty szklany kałamarz. Kto inny na jej miejscu byłby zadowolony z pokoju czystego, ciepłego i zaopatrzonego we wszystkie potrzeby, ale ona upatrywała w nim podobieństwo do celi więziennej i czuła się bardzo pokrzywdzona. Pozbawiona komfortu, do którego przywykła od dzieciństwa, traciła ochotę do walki z losem na pierwszym zaraz kroku. Ogarnęła ją żałość już nie za rodzicami i ich osamotnieniem, ale nad sobą samą. Ciężka ich dola zbladła w jej oczach wobec wielkości własnego poświęcenia — a obrazy tego wszystkiego, czego się dla nich wyrzekła, przesunęły się kolejno przed oczyma jej duszy w barwach więcej uroczych niż kiedykolwiek.

Do serca czystego dotąd przystąpił szatan pychy i to, co było tylko obowiązkiem, przedstawił jej jako olbrzymią, podziwienia godną ofiarę.

Na łóżku leżała wełniana, grubo watowana kołdra w kolorowe kraty i duża, ciężka poduszka w perkalowej poszewce. Spojrzała na jedno i drugie z posępną rezygnacją, ale gdy, odwinąwszy kołdrę, spróbowała posłania i poczuła pod ręka materac z trawy morskiej, w którym nic miękkiego ani elastycznego nie było — brakło jej odwagi do położenia się.

Szybkim, nerwowym krokiem chodziła po pokoju, czekając na służącą, która, zdaniem jej, powinna była przyjść rozpakować jej rzeczy; ale służąca nie przychodziła. Chciała

zadzwonić, ale taśmy od dzwonka nie było nigdzie — wołać zaś nie chciała i nie mogła, bo nie wiedziała, w której stronie domu służba ma pomieszczenie. Mogłaby jeszcze zabłądzić w tym ogromnym budynku, pełnym długich a wąskich korytarzy i ciasnych zaułków, przypominających klasztor i napełniających ją obawą.

Minęło tak pół godziny, a nikt nie przychodził. Czując niezmierne znużenie, a nie chcąc czekać dłużej, Helenka z westchnieniem zabrała się sama do otwierania swych kufrów — a przyszło jej to z większą łatwością, niż przypuszczała. Na wierzchu zaraz leżała różowa atłasowa kołdra, podpięta webowym prześcieradłem, bogato haftowanym po brzegach, i jedwabna puchowa poduszka, obleczona w batystową poszewkę. Z radością pochwyciła te dwa przedmioty, tak żywo uprzytomniające jej ulubiony różowy pokoik, i odrzuciwszy z pogardą kraciastą kołdrę i ciężką pierzaną poduszkę, zastąpiła je swoją elegancką pościelą.

Klękła do pacierza, ale słowa modlitwy, przeplatanej gorącymi łzami, urywały się co chwila lub wydobywały bezwładnie. Usta jej tylko wymawiały, nie serce przepełnione goryczą.

Mimo wielkiego znużenia i senności, długo przewracała się na materacu z morskiej trawy, której źdźbło każde urażało ją, zanim wreszcie przyszedł sen dobroczynny i przyniósł jej zapomnienie.

VIII

Nazajutrz obudziło ją wejście służącej; była to niemłoda kobieta z dużą, poczciwą, ale poważną twarzą. Ubiór jej uderzał nadzwyczajną czystością, a biały, starannie wyrurkowany czepek leżał na głowie jak ulany i noszony był z godnością.

— Pani kazała mi się dowiedzieć, czy panna przyjdzie na śniadanie? Państwo już siedzą przy stole i tylko na pannę czekają.

Słowa te, powiedziane grubym i niezbyt słodkim głosem, od razu przypomniały Helence nowe położenie, w jakim się znajdowała od wczoraj. Przetarła oczy i, siadając na łóżku, rzekła:

— Moja dobro kobieto, przeproś bardzo państwa i powiedz, że nie przyjdę. Tylko co się obudziłam i nie zdołam ubrać się tak prędko.

„Dobra kobieta" nie śpieszyła się z zaniesieniem państwu tej odpowiedzi; patrzyła na batystowy kaftanik „panny" i przybierające go falbanki, na poszewkę i prześcieradło, zdobne delikatnymi haftami, zmierzyła ciekawie oczyma oba kufry i wyszła, mrucząc z niezadowoleniem.

— To dopiero będzie zawrót głowy z praniem i prasowaniem dla tej księżniczki. Potrzebnie też to pan przywiózł takie paniątko? Tylko trzeba będzie temu ciągle usługiwać! Ciekawam, czy też ona zarobi to, co zje?

Helenka dosłyszała tylko pierwsze wyrazy, dalsze bowiem wymówione już były za drzwiami i na schodach, ale to, co usłyszała, zdziwiło ją niesłychanie. U rodziców służące nigdy nie narzekały na pranie i prasowanie; wszystko im było jedno, co robiły, i zawsze były zadowolone.

Drzwi otworzyły się znowu i służąca wniosła na tacce szklankę herbaty i dwie bułki nasmarowane masłem. Helenka rzuciła okiem przelotnie na ten posiłek, który jej się wydawał mniej niż skromny, i widząc, że służąca zabiera się znowu do odejścia, rzekła:

— Moja dobra kobieto...

— Nazywam się Kunegunda — przerwała służąca z godnością.

— Moja dobra Kunegundo, proszę cię, przyjdź za kwadrans, to mnie uczeszesz.

Kunegunda, kładąca już rękę na klamce, odwróciła się na te słowa i sądząc, że się przesłyszała tylko, spytała:

— Co panna każe?

— Proszę cię, żebyś mnie przyszła uczesać — powtórzyła wymawiając głośno i dobitnie każdy wyraz.

Na twarzy Kunegundy odmalowało się prawdziwe zdumienie.

— Przepraszam pannę — rzekła po chwili milczenia — ale nie służyłam nigdy za garderobianą i nie umiem czesać nikogo, tylko siebie.

— Więc przyślij mi kogo innego do uczesania!

— Ciekawam kogo, proszę panny? Jest nas wszystkich kobiet tylko trzy: ja, praczka i kucharka, i one obie poszły do kościoła. A choćby i były w domu, to wiem, że takiej delikatnej rzeczy nie potrafią, bo mają ręce bardzo grube i narobione. Z przeproszeniem panny, ale to pewnie był tylko żart? Gdzie by zaś panna uczesać się nawet nie umiała! Nasze panienki mają bardzo ładne włosy, ale nikt ich nie czesze...

Kunegunda, nazywająca ją ciągle po prostu „panną" — miała jednak pieszczotliwsze nazwanie dla swoich „panienek". Helenka doskonale odczuła tę różnicę.

— Nie omyliłaś się, moja dobra Kunegundo — rzekła po namyśle, przygryzając usta — istotnie, żartowałam tylko.

— Ja też to zaraz zmiarkowałam — odpowiedziała i wyszła wzruszywszy ramionami.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, Helenka załamała ręce.

— A to dopiero historia! — zawołała — co ja teraz pocznę? Nigdy sama nie próbowałam się czesać! Nasza Julka była taka zręczna...

Kłopot ten odebrał jej apetyt. Wypiła czystą herbatę i odsunęła tackę.

— Nie ma rady! Trzeba samej spróbować — rzekła z westchnieniem i zaczęła wstawać.

Ale cała godzina upłynęła, zanim po kilkakrotnym splataniu i rozplataniu, upinaniu i rozpinaniu zdołała jako tako ułożyć włosy, których obfitość i długość przedstawiła istotną trudność dla osoby, mającej pierwszy raz z nimi do czynienia. Dodać trzeba, że coraz to szło gorzej i że w miarę niepowodzenia rosła niecierpliwość, a w miarę wzrostu niecierpliwości coraz więcej włosów pozostawało na grzebieniu — a doprawdy było czego żałować, bo gęste te włosy miały kolor jasnopopielaty, rzadkiej piękności, a miękkość i połysk jedwabiu. Gdy się tak męczyła, zapukano z lekka do drzwi i ukazała się w nich postać pani Radliczowej.

Jeżeli Helenka wczoraj, przestąpiwszy progi swego nowego mieszkania, była skromnością jego zdziwiona, to niewątpliwie więcej dziś była zdziwiona pani Radliczowa na widok zmian, jakie w nim znalazła. Bystre jej oczy chodziły kolejno od wykwintnej pościeli do otwartych kufrów, z których wyglądające przedmioty poprzewracane były w najwyższym nieładzie; od kufrów do torebki podróżnej ze złoconej skórki, przewieszonej przez poręcz krzesła; od torebki do cienkiego ręcznika, ozdobionego dużym monogramem z koroną; od ręcznika do srebrnego kubka z cyframi[32], stojącego obok miednicy; od kubka do leżącego na stole puzderka, wybitego zewnątrz skórą, a wewnątrz wysłanego czerwonym aksamitem. Na jego tle ładnie odbijały szyldkretowe grzebienie i kryształowe flakony, z których wydobywały się jakieś subtelne zapachy. Ukończywszy podróż naokoło pokoju oczy pani Radliczowej ze szczególną uwagą zatrzymały się na właścicielce tych wszystkich przedmiotów i, począwszy od kaftanika, ozdobionego różowymi kokardami, przesunęły się aż do jej stóp, obutych w niebieskie aksamitne pantofelki, haftowane srebrem.

Helenka niemiłego doznała uczucia wobec tych szczegółowych oględzin przedmiotów do niej należących i swojej osoby. Czuła, że ją badają, krytykują, że ją sądzą — choć nie pojmowała, co w niej być mogło wykraczającego przeciw panującym w tym domu przepisom.

— Patrząc na panią nikt by nie uwierzył, żeś tu przybyła zarabiać na chleb powszedni — przemówiła nareszcie pani Radliczowa — wyglądasz jak księżniczka, która przypadkiem tylko zabłądziła do ubogiego mieszczańskiego domu.

Słowa te, a więcej jeszcze ich ton, dotknęły Helenkę.

— Nie mam zamiaru grać tu żadnej roli — odrzekła podnosząc dumnie głowę — co zaś do mej powierzchowności, to nie moja w tym wina, jeżeli nie mam szczęścia podobać się pani.

— Nie chciałam pani obrazić — powiedziała pani Radliczowa łagodniej — powierzchowności pani nic nie zarzucam, wyjąwszy tego, że jest nazbyt pańską. Znać to, żeś pani przywykła rozkazywać, i budzi się we mnie wątpliwość, czy potrafisz żyć w zależności i ulegać woli innych. Pozwól mi pani dokończyć — mówiła spostrzegając, że Helenka chce coś odpowiedzieć. — Jeżeli panią nazwałam księżniczką, to głównie z powodu tych wszystkich kosztownych a niepożytecznych drobnostek i fatałaszków, jakich tu pełno wi-

[32]*cyfry* (tu daw.) — inicjały, pierwsze litery imion i nazwiska właściciela przedmiotu, często ozdobnie wykaligrafowane. [przypis edytorski]

dzę. Dziwią panią moje słowa? Już to pani pewnie spostrzegłaś, że dyplomatką nie jestem i mówię po prostu, co myślę, bez owijania w bawełnę. Powiem więc jeszcze, że te wielkie kufry wprawiają mnie w zdumienie. Po co pani przywiozłaś z sobą takie mnóstwo rzeczy? My tu żyjemy skromnie, bywamy bardzo mało i tylko u ludzi jak my pracujących; balów też nie wydajemy. Strojów pani nikt nie zobaczy. Będziesz pani miała z nimi tylko kłopot, bo to trzeba raz po raz przewietrzać i trzepać, żeby się nie zleżało. I samej się tym trzeba zająć, bo służące nic dobrze nie zrobią, jeżeli się ich nie pilnuje.

— Na żadne zabawy u państwa nie liczyłam — rzekła Helenka, która się znowu poczuła dotkniętą — tylko na pracę, dla której wyłącznie tu przyjechałam. W kufrach moich nie ma ani jednej sukni balowej, jest tylko kilka wizytowych, codziennych i bielizna. Wszystkiego razem niewiele.

— Można by w nie zmieścić dwie wyprawy i jeszcze by się coś miejsca zostało — powtórzyła pani Radliczowa obstając przy swoim. — Pani niezawodnie innego jesteś zdania i nie dziwię się temu. Wzrosłaś w atmosferze zbytku i nie masz pojęcia o przestawaniu na małym — a jednakże ono czyni ludzi szczęśliwszymi, bo im daje większą swobodę. Człowiek, nie mogący się obejść bez wielu rzeczy, staje się rzeczywiście ich niewolnikiem. Im więcej potrzeb, tym większa niewola.

Logika tych słów o mało nie rozśmieszyła Helenki. Ale bo też to była logika dziwna! Wszystko to służy do wygody, czyni przecież życie łatwiejszym i przyjemniejszym — tak przynajmniej ona sama i wszyscy w domu zapatrywali się na tę sprawę. Patrzeć na nią z punktu widzenia pani Radliczowej nikomu nie przyszło do głowy.

— Czy pani wiesz o tym, że te wszystkie przedmioty, jakie tu widzę porozkładane, przedstawiają niemałą wartość pieniężną i że za sumę, jaką niegdyś kosztowały, mogłaby żyć pół roku rodzina z kilku osób złożona?

— Czy być może — wyszeptała — nie przyszło mi to nigdy na myśl.

— Pewnie pani także nigdy nie pytałaś się, ile co kosztuje. Nieprawdaż?

— Istotnie, mało mnie to obchodziło.

— Żałuję pani bardzo.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Mąż mój opowiadał mi wiele o domu rodziców pani i o powodach, jakie cię skłoniły do szukania pracy — mówiła dalej pani Radliczowa siadając na krześle, co pozwalało wnosić, że nie zaraz myśli odejść. — Powiada on, że w pani są bogate materiały, które praca samodzielna na jaw wydobędzie i rozwinie. I ja tak myślę, ale obawiam się, że pani będziesz musiała dużo przecierpieć, zanim dostroisz się do naszych warunków życia i naszego porządku domowego. Przyzwyczajenie bowiem drugą jest naturą.

— Wiem o tym — rzekła posępnie Helenka — ale cokolwiek bądź miałoby mnie to kosztować, nie cofnę się.

— Roztropniej byłoby nie ręczyć za siebie, a wytrwałości w postanowieniu dowieść czynem. Ale już chwilę z sobą rozmawiamy, a nie powiedziałam pani jeszcze, po co tu przyszłam. Wyglądałaś pani wczoraj wieczorem tak blado, że gdy dziś rano nie zjawiłaś się przy śniadaniu, przypuszczaliśmy wszyscy, że jesteś niezdrowa. Nic łatwiejszego, jak przeziębić się w drodze, zwłaszcza gdy się podróż odbywa w styczniu. Przyszłam więc sama zobaczyć, jak się pani masz, i powiedzieć pani dzień dobry.

Były to pierwsze cieplejsze słowa, jakie Helenka usłyszała z ust pani Radliczowej, toteż uczuła żywą za nie wdzięczność.

— Dziękuję pani bardzo — odpowiedziała — jestem zdrowa, tylko długo wczoraj zasnąć nie mogłam i dlatego zbudziłam się tak późno.

— Pewnie pani było niewygodnie spać? Przyznaj się pani.

Komu innemu na podobne zapytanie Helenka zaprzeczyłaby w najgrzeczniejszy sposób — ale wobec osoby „nie lubiącej nic obwijać w bawełnę" i gardzącej wszelką dyplomacją prawdomówność zdawała się być najwłaściwszą.

— Jeżeli mam być szczerą, to tak — odpowiedziała — było mi cokolwiek za twardo; ale powoli przyzwyczaję się pewnie do tego.

— Moje córki sypiają tak zawsze i mówią, że im jest doskonale. A gdy raz w gościnie posłano im na puchowej pościeli, nie mogły, tak jak pani wczoraj, długo zasnąć i nazajutrz skarżyły się na ból głowy. Do wszystkiego przyzwyczaić się można. Starałam

się moje dziewczęta hartować, przyzwyczajałam do trudów i niewygód i dzięki tej metodzie wychowania wyrosły na kobiety zdrowe, silne, nie chorujące prawie nigdy. I jest to rzecz bardzo naturalna: ciało rozpieszczone zbyt miękkim wychowaniem nie posiada w sobie żadnej siły odpornej, wrażliwsze jest na szkodliwe wpływy zewnętrzne i przystępniejsze dla chorób. Pani jesteś bardzo wątłą i delikatną, ale gdy pożyjesz z nami czas jakiś, nabierzesz niezawodnie lepszej cery.

Podczas gdy pani Radliczowa mówiła, oczy jej nie spoczywały ani na chwilę. Biegały po różnych przedmiotach i coraz to odkryły coś nowego, czego nie dostrzegły przy pierwszej podróży naokoło pokoju. Kołdra kraciasta, rzucona niedbale na krzesło wraz z poduszką, raziła jej zmysł porządku. Wstała i złożyła ją starannie; to samo zrobiła z grubym płóciennym ręcznikiem, którego Helenka nie użyła, a który, spadłszy z łóżka, leżał sobie spokojnie na podłodze. Widząc ją podnoszącą go z ziemi, składającą ze szczególną uwagą na równość brzegów i wygładzającą rękami złożenie, Helenka czuła zakłopotanie i ogarniający ją strach przed tym porządkiem panującym widocznie w tym domu wszechwładnie i usiłującym wszystko i wszystkich podciągnąć pod swoje prawa.

Na fajansowej miseczce obok miednicy leżało wonne, migdałowe mydełko. Bystry wzrok pani Radliczowej musiał z kolei spocząć i na nim.

— Widzę, że pani nie lubisz mydła prostego — zauważyła spokojnie. — Moim zdaniem, czyści ono skórę lepiej od wszystkich innych, a jest bezwarunkowo higieniczniejsze, bo nie zawiera przeróżnych, a zdradliwych często mieszanin. Ma też i tę wielką nad nimi wyższość, że jest tańsze o dziewięćdziesiąt procentów; lecz skoro nie chcesz go używać, może pozwolisz, żebym je zabrała. Gdzież ono jest?

Helenka zmieszała się. Czuła teraz, że to, co z mydłem zrobiła, wyda się naganne pani Radliczowej — ale niestety, nie można już było tego odrobić.

— Wyrzuciłam je za okno — odpowiedziała — nie mogłam znieść jego przykrej woni.

— Jak pani mogłaś to zrobić! — zawołała z oburzeniem. — Czy pani wiesz, że to kosztuje pieniądze?

— Zdawało mi się — szepnęła Helenka, zmieszana jeszcze bardziej — że kawałek prostego mydła nie może kosztować więcej nad parę groszy...

— Więc grosze mają u pani tak małą wartość, że można je wyrzucać za okno? Z groszy składają się złotówki, moja pani! Czyż pani o tym nikt nie powiedział?

— Uczyniłam to pod wpływem chwilowego wrażenia — tłumaczyła się — nad konsekwencjami mego czynu nie zastanawiałam się bynajmniej. Nie przypuszczałam też ani na chwilę, że kto zwróci uwagę na taki drobiazg...

— Nie ma rzeczy tak drobnych, nad którymi nie byłoby warto się zastanowić — naucz się pani tej prawdy. Marnowanie lekkomyślne tego, co się może zdać na jakikolwiek bądź użytek, jest grzechem. Czy przedmiot ma większą, czy mniejszą wartość, czy kosztuje dukata, czy grosz, to wszystko jedno; tak czy owak, jest on owocem pracy ludzkiej, ludzkiego potu i wysiłku. Poniewierać więc nim, choćby to był tylko kawałek prostego mydła, jest to poniewierać życiem ludzkim.

Słowa pani Radliczowej padły na rolę niedostatecznie jeszcze do ich przyjęcia przygotowaną, toteż sprawiły zupełnie inne wrażenie, niż chciała mówiąca — podrażniły tylko Helenkę. Zaczęła żałować, że się usprawiedliwiała, i podnosząc głowę, rzekła z głęboką urazą w głosie:

— Sądziłam, że z tym, co było dla mnie przeznaczone, mogę robić, co mi się podoba, i że nikt nie zażąda z tego ode mnie rachunku. Widzę jednak, jak bardzo się omyliłam, i że moją nierozwagą znaczną wyrządziłam państwu szkodę. Toteż gdybym się nie obawiała pani obrazić...

Przy tych słowach wzrok jej pobiegł w kierunku stołu, na którym leżała jedwabna sakiewka.

— Tobyś mi pani zwróciła pieniądze za mydło, nieprawdaż? — odrzekła z ironią pani domu, zauważywszy to spojrzenie. — Nic byś pani jednak nie naprawiła. Cała sakiewka pani nie powróci rzeczy zmarnowanej, a ja z zasady potępiam marnotrawstwo, czy ono wielkich, czy małych rzeczy dotyczy. Pani dziś tego nie rozumiesz, bo nie znasz wartości pieniędzy, ale gdy sama zaczniesz pracować, nauczysz się je szanować. Firma „Radlicz"

stoi dziś w rzędzie zamożnych instytucji tego miasta i rozwija się coraz bardziej, i zdziwisz się pani pewnie, gdy powiem, że wszystkiego, co posiadamy, dorobiliśmy się własną pracą. Ale praca obróciłaby się wniwecz, gdyby jej nie towarzyszyła oszczędność i gospodarność. Drobiazgów nie lekceważyliśmy; szanowaliśmy grosze i dlatego rozporządzamy dziś setkami tysięcy. Z nich one powstały. Widok marnotrawstwa, będącego chroniczną chorobą naszego kraju, boli mnie, w nim bowiem widzę źródło naszych politycznych i ekonomicznych nieszczęść. Zaczynało się zawsze od drobiazgów, a że jednostek tak jak pani myślących było wiele, więc z tych drobiazgów rosły olbrzymie sumy, które dla bogactwa narodowego ginęły. Każdy grosz nie tylko jednostce, ale przez nią i ogółowi przynosi korzyść; gdy więc przepada, to razem z ową jednostką i ogół ponosi stratę. Kto więc nie bogaci kraju, ten go uboży, a kto go uboży, ten jest złym patriotą. Mój mąż powiada, że pani dużo czytałaś i pracowałaś nad sobą; musi ci więc być wiadome zdanie francuskiego publicysty, Saya: „Narody nie umiejące pracować i oszczędzać muszą zniknąć z powierzchni ziemi".

Kobieta

Podczas gdy pani Radliczowa mówiła, niewielka jej, choć barczysta postać zdawała się rosnąć, rysy przybrały jeszcze surowszy wyraz, a duże, wypukłe oczy jaśniały siłą głębokiego przekonania. Na Helence czyniła ona dziwne wrażenie: dotąd na ideał kobiety, w jej pojęciu, składała się słabość pełna wdzięku i dobroć — teraz spotkała się z siłą, której szorstkie formy raziły ją, ale kazały się podziwiać. W czarnej, wełnianej sukni, bez żadnych ozdób, z wąskim, płóciennym kołnierzykiem u szyi, w czarnym czepku tiulowym pani Radliczowa przywiodła jej na myśl kobiety sekty kwakrów, których głównymi prawidłami była prostota, surowość obyczajów i wstrzemięźliwość.

— Za wiele może powiedziałam pani rzeczy nieprzyjemnych jak na pierwszy raz — rzekła po chwili — musiałam panią bardzo do siebie zrazić, ale mówiłam pani z góry zaraz, że dyplomacji nie lubię. Z czasem, jak pani nabierzesz więcej doświadczenia i zobaczysz niejedno, co ja widzę, przyznasz mi słuszność. Im prędzej się to stanie, tym lepiej dla pani i otoczenia, w jakim żyć będziesz. Słowa moje może jeszcze nieraz dotkną panią, ale nie miej ich za złe starej. Zna ona świat i życie lepiej od pani i dlatego pozwala sobie czasem bez skrupułu młodym powiedzieć prawdę. Nie będę pani przeszkadzała dłużej; dokończ się ubierać i urządź w tym pokoju, jak możesz najlepiej. Jeżeli to pani dogodniej, możesz dziś nie schodzić na dół wcześniej jak na obiad, bo do kościoła już i tak nie zdążysz. Moje dziewczęta dawno poszły. Jadamy o drugiej i lubimy punktualność we wszystkim. Spodziewam się, że pani nie każesz czekać na siebie. Do widzenia!

Zabrała z sobą ręcznik i kładąc rękę na klamce, odezwała się jeszcze:

— Na miłość Boską, otwórz, pani, okno, jak będziesz stąd wychodzić: tak duszno od perfum i wszelkiego rodzaju zapachów toaletowych, że aż ciężko oddychać. Czy to może być nawet zdrowo siedzieć w takiej aptece!

Po jej wyjściu Helenka długo była jakby oszołomiona: nawał nowych myśli, pojęć i wrażeń tłoczył się do jej umysłu i nie znajdował tam miejsca dla siebie. Wszystko ją dziwiło w tej kobiecie, począwszy od jej ubioru, aż do jej prawdomównej szorstkości, będącej w oczach dziewczęcia brakiem delikatności.

— Dziwny dom — rzekła na koniec do siebie — pan nie każe po siebie przychodzić na kolej, żeby nie fatygować służącego; pani prawi godzinne kazanie z powodu kawałka prostego mydła i nie czuje jego przykrej woni, a zapachu fiołków parmeńskich znieść nie może i każe go oknem wypuszczać. Ciekawam, jaka przy bliższym poznaniu okaże się reszta rodziny. Przewiduję, że ciężko mi tu będzie oddychać. Kiedy składała ręcznik, pilnie zważając, żeby brzeg równał się z brzegiem, zdawało mi się, że to ja jestem tym ręcznikiem i że mnie tak samo będą chcieli złożyć, wyrównać i wygładzić.

IX

Druga godzina dochodziła na zegarze w jadalnym pokoju, gdy Helenka schodziła ze schodów, ubrana w niebieską jedwabną suknię, przybraną aksamitem. U szyi i rąk były obszycia pajęczej delikatności, dodając tej toalecie elegancji lekkiej a wytwornej, podczas gdy długi ogon dodawał jej powagi. Była to suknia, otrzymana w podarunku od matki jednocześnie z balową, aby pasowana na dorosłą pannę jedynaczka miała na publiczne występy galowy mundur, odpowiedni swej nowej godności. Trzeba przyznać, że w sukni

tej, w której, mówiąc nawiasem, mogłaby śmiało ukazać się na tańcującym wieczorku, było jej bardzo ładnie. Barwa niebieska odbijała dobrze od przeźroczystej cery, a rzucając na twarz pewien odcień niebieskawy, podnosiła jeszcze jej idealny charakter. Na zakręcie schodów posłyszała głosy dwóch osób rozmawiających na dole i wydało jej się, że słyszy wymówione swoje nazwisko. Wiedziona iście kobiecą ciekawością zatrzymała się, wychyliła się za poręcz i zobaczyła kawałek sukni kobiecej oraz czarną głowę, pokrytą krótko przystrzyżonymi włosami, sterczącymi jak szczotka.

— Jakże ci się podoba panna Orecka? — pytał głos należący, jak się zdawało, do Elżuni.

— Ładna laleczka — odrzekł z lekceważeniem Andrzej.

— Tylko tyle?

— Cóż chcesz, żeby powiedzieć więcej o osobie, którą się raz tylko przez godzinę widziało? Zdaje mi się, że nasz ojciec za wiele sobie po niej obiecuje. Zamiast pomocy, będziemy z niej mieli zawadę w kantorze; wygląda na osobę żyjącą tylko fantazją i lubiącą marzyć o niebieskich migdałach, a o pracy porządnej i systematycznej nie mającą najmniejszego pojęcia.

— Mój drogi, uprzedzasz się. Samo to, że przyjechała do nas, mówi o niej zupełnie co innego. Dla mnie jest ona sympatyczna: piękna, dystyngowana, delikatna i wygląda na dobrą.

— Przymioty to bardzo powierzchowne, siostrzyczko. Oprócz piękności, delikatności i dystynkcji szukamy jeszcze czegoś więcej w kobiecie, bo i dobroć sama, jeżeli nie jest rozumnie pojętą, może być szkodliwą. Zresztą panna Orecka pokaże sama wkrótce, czym jest. Przyznam ci się, że razi mnie zbyteczna elegancja w jej ubiorze. Żadna z was na wizytę nie ustroiła się jeszcze w tyle świecideł, co ona na podróż.

— To prawda! — zauważyła Elżunia.

Strój

— Widocznie ilością złota chce podnieść wartość swej osoby, a już grzywka, którą nosi, okazuje jawną pretensję — mówił dalej. — Trzeba nie mieć za grosz smaku estetycznego, żeby zakrywać czoło, tę najszlachetniejszą część twarzy, będącą siedliskiem myśli. Najpiękniejsza twarzyczka szpeci się tym sposobem, bo przybiera kształt nieforemnego trójkąta i przypomina kudłate pieski pokojowe z rasy pinczerów. Gdy widzę kobietę z czołem przysłoniętym, z góry mam o niej niekorzystne wyobrażenie: przypuszczam, że chce coś ukryć i obawia się, aby jej myśli nie wyczytano. Dlaczego wy grzywek nie nosicie? Bo jesteście dziewczętami rozumnymi. Wasz ubiór jest skromny, ale pełen smaku; wasze czoła są tak jasne i pogodne jak wasze myśli.

— Ach, ty pochlebco!

Mówili jeszcze coś, ale Helenka miała dosyć tego, co słyszała. Zdziwienie, oburzenie, gniew napełniały ją kolejno. Więc to o niej odzywano się w ten sposób? O niej? To nie do uwierzenia! Ją, której piękność zwracała powszechną uwagę, gdziekolwiek bądź się ukazała: ją, którą dwa tygodnie temu jednogłośnie obwołano królową balu, porównano w tej chwili do kudłatego pinczera?... I śmiał to uczynić człowiek brzydki jak grzech śmiertelny! Było to niepojęte zuchwalstwo!... Czyż w ciągu dwóch dni tak zbrzydła, że nie jest do siebie podobną, czy też Warszawa wyznaje inne zasady piękna niż M. i cały powiat tego nazwiska? Nie, tak nie jest, tylko ludzie tutaj zamykają oczy na piękność, a szukają w kobiecie czegoś dziwnego, niepojętego, niezrozumiałego dla niej — skoro podług słów Andrzeja dobroć nawet nie wystarcza. Ale jeżeli dobroć i piękność nic nie znaczą, to cóż będzie mieć wartość i znaczenie? Chyba świat się przewraca do góry nogami? „Ładna laleczka"... z jakim to lekceważeniem było powiedziane. Ach! pomawiał ją o brak smaku, ją, będącą wzorem dobrego smaku i wytworności dla całego miasta... Czy słyszał kto co podobnego? On to, on nie ma smaku, kiedy się na niej nie poznał.

„Boją się, żebym im nie zawadzała, zamiast pomagać — myślała z goryczą — dobra zachęta do pracy na samym początku. Co za twarde, niemiłosierne wyrazy!..."

Zdawało się Helence, że przestąpiwszy próg tego domu podbije serca wszystkich swoim wdziękiem i dobrocią, jak podbijała w M.; tymczasem na samym wstępie spotykały ją niepowodzenia. Po raz drugi już dzisiaj słyszała surowy sąd o sobie. Czuła się boleśnie zawiedzioną.

Nie mając ochoty dowiadywać się więcej nieprzyjemnych rzeczy, zeszła szybko po schodach, mniemając, że nagłym ukazaniem się swoim zmiesza i zawstydzi tego, który

przed chwilą tak zuchwale o niej wypowiedzią zdanie. Omyliła się jednak; Andrzej nie doznał żadnego wrażenia na jej widok. Skłonił się chłodno i co było rzeczą niepojętą, nie patrzył wcale na jej twarz, tylko na jej ogon, a lekki, ironiczny uśmiech zarysował się przy tym na jego ustach.

„Bardzo nieprzyjemny człowiek" — rzekła do siebie, przygryzając wargi, i podniosła oczy na Elżunię; ale spostrzegła, że i ona także przygląda się jej sukni z nie ukrywanym zdziwieniem i że równocześnie brat i siostra skrzyżowali za sobą spojrzenia szybkie jak błyskawice.

Zmięszana[33], zatrzymała się, nie wiedząc, czy się cofnąć, czy postąpić dalej; ale Elżunia wyciągnęła do niej rękę i, witając uprzejmie, zaczęła rozpytywać, jak noc przepędziła i czy nie czuje utrudzenia po wczorajszej podróży. Helenka odpowiadała półsłówkami, myśląc ciągle, co w niej mogło dać powód do ironicznego uśmiechu Andrzejowi i do zdziwienia jego siostrze, a także, co znaczyło ich porozumienie się oczyma — a czoło jej przy tym sfałdowało się lekko. Wszyscy troje szli do sali jadalnej: panny naprzód, a Andrzej za nimi. Młodzieniec nie mógł wziąć udziału w rozmowie ani się do panien zbliżyć, bo korytarz, którym szli, był wąski, a ogon niebieskiej sukni, wlokący się poważnie i kołyszący ciągle na prawo i na lewo, trzymał go w przyzwoitej odległości. Wspaniały ten ogon zmiatał gruntownie z podłogi wszystek pył białą muślinową falbanką, którą był podszyty.

Pan Radlicz chodził wzdłuż jadalnego pokoju z rękami w tył założonymi, rozmawiając z żoną i starszą córką, które już siedziały przy stole. Zobaczywszy Helenkę powitał ją z odcieniem jawnej życzliwości.

— No, jakże mi się pani masz? — zapytał wyciągając do niej rękę. — Dobrze?

— Dobrze — odrzekła, westchnąwszy lekko — dziękuję panu.

Pan Radlicz popatrzył na nią badawczo.

— Wyglądasz pani jakby wzruszona. Czy się pani przytrafiło co przykrego?

— Nie — odpowiedziała, a delikatne jej lica mocniejszym zafarbowały się rumieńcem — tylko obawiam się, czy zamiast być panu pomocą w kantorze, nie będę panu „zawadą" i to mnie niepokoi.

Powiedziawszy te słowa spojrzała na Andrzeja; ale on wytrzymał jej wzrok spokojnie, tak spokojnie, jakby się nie domyślał nawet, że były pod jego adresem posłane.

— Pierwszym warunkiem powodzenia każdego przedsięwzięcia jest, żeby o nim nie wątpić — odrzekł pan Radlicz poważnie. — Trzeba koniecznie mieć wiarę w to, co się robić zamierza: inaczej lepiej wcale nie zaczynać. Pani dowiodłaś już, że ci ani poczciwych chęci, ani pewnego zasobu sił moralnych nie brakuje: trochę tylko wytrwałości, a będzie dobrze.

Gdy ojciec to mówił, ona patrzyła na syna uparcie, jakby go spytać chciała, czy słyszy — ale na ustach Andrzeja zarysował się znowu lekki, zaledwie dostrzegalny uśmiech. Nieprzyjemny ten człowiek widocznie nie wierzył, że ona cokolwiek bądź potrafi.

— Ach, jakżeś się pani wystroiła! — mówił dalej pan Radlicz, spoglądając na jej ubiór, a w głosie jego czuć było niezadowolenie. — Czy się pani wybierasz gdzie na wieczór?

— Nie mam wcale znajomych w Warszawie — odpowiedziała — nigdzie więc wybierać się nie mogę.

Nie patrzyła w tej chwili na Andrzeja, czuła jednak, że jego oczy spoczywały na niej i że ów poprzednio zaledwie dostrzegalny uśmiech zarysował się teraz bardzo wyraźnie. Pani Radliczowa, panny, nawet służący, który wniósł wazę, wszyscy się po trosze uśmiechali.

Strój

— Zdaje mi się — rzekła, rumieniąc się coraz bardziej — że dałabym dowód zupełnej nieznajomości zwyczajów światowych i braku szacunku dla państwa, gdybym pierwszego zaraz dnia ubrała się po codziennemu. Wyglądałoby to tak, jakbym sobie nic z nikogo nie robiła...

— Moje dziecko — odrzekł pan Radlicz, potrząsając głową — najlepszy dasz dowód szacunku dla nas, jeżeli się będziesz stosowała do naszych zwyczajów domowych. Wszyscy, jak nas tu widzisz, jesteśmy ludźmi niewykwintnymi i nie lubimy zbytku. Przypatrz się moim córkom.

Helenka spojrzała po pannach i zobaczyła, że miały na sobie suknie wełniane, zrobione skromnie i ze smakiem; a choć nie było na nich żadnych kosztownych dodatków,

[33] *zmięszany* — dziś: zmieszany. [przypis edytorski]

przecież wyglądały bardzo dobrze. Gdy porównała te ich suknie z własną toaletą, czuła, że istotnie nazbyt jaskrawo od nich odbijała — i że pojęcia o tym, co wypada, a co nie wypada, nie mogą być ogólne, ale ulegać muszą pewnym zmianom, zależnie od okoliczności i otoczenia, w jakim się żyje. To, co w domu jej rodziców uważano za właściwe, a nawet konieczne, tu było po prostu śmieszne. Śmiech

W niewesołym usposobieniu siadła do stołu pomiędzy Anną i Elżunią. Obie czyniły wszelkie usiłowania, żeby zatrzeć niemiłe wrażenie, wywołane kwestią ubrania — ale nie tak to łatwo jest odzyskać humor komuś, kto zawsze uważał się za doskonałość i nagle spostrzegł, że się z niego śmieją. „Śmieszność zabija" — powiadają; Helenka wprawdzie nie była zabita, ale straciła coś, czego dotąd nigdy jej nie brakowało — pewność siebie.

Pani Radliczowa sama nalewała zupę, a służący roznosił kolejno talerze: był to rosół z makaronem. Helenka, niewielka amatorka rosołów, zjadła zaledwie kilka łyżek. Po rosole dano sztukę mięsa z sosem cebulowym. Sztuki mięsa nie jadano nigdy u państwa Oreckich; uważano ją za mięso niepożywne, jako już wygotowane, i nie podawano wcale na stół — do cebuli zaś Helenka czuła wrodzoną antypatię, nie wzięła więc ani jednego, ani drugiego, czekając na pieczyste. Ale widocznie był to dla niej dzień feralny. Pieczystego nie było, tylko kiełbasa z kapustą kwaszoną, której znosić nie mogła z powodu jej zapachu, nie przypominającego w niczym zapachu fiołków parmeńskich — wstyd ją było jednakże odsyłać półmisek; wzięła więc kawałek kiełbasy i, zaledwie skosztowawszy, odłożyła widelec. Nie mogło to ujść powszechnej uwagi i zarzucono ją pytaniami, dlaczego nie je. Nie mając odwagi powiedzieć prawdy, tłumaczyła się brakiem apetytu. Uwierzono temu na pozór i zostawiono ją w spokoju; tylko gospodyni domu „nie lubiąca nic obwijać w bawełnę", nie mogła wytrzymać, żeby nie powiedzieć głośno, iż „panna Orecka widocznie do lepszych obiadów jest przyzwycajona i dlatego jej nic nie smakuje". Widziała ona dobrze każdy ruch swego gościa, choć niby na niego nie patrzyła — a że sama jadała zawsze wszystko i nie znosiła żadnych wybredzań, więc nazwała ją w duchu grymaśnicą. Jedzenie

Wszyscy inni za to jedli kiełbasę z takim apetytem, jakby to była najwyborniejsza zwierzyna. Helenka, patrząc na to, mówiła sobie, że rodzina Radliczów nie jest wcale wybredna. Najwięcej drażnił ją widok siedzącego naprzeciw Andrzeja. Człowiek ten, nałożywszy sobie pełen talerz, dawał prawdziwy koncert i tak był tą czynnością zajęty, że zapomniał zupełnie o swoim pięknym *vis-à-vis*[34]. Ze zdziwieniem i pewną odrazą patrzyła na ten młodzieńczy apetyt, a Andrzej wydał się jej człowiekiem tak poziomym, że w żaden sposób nie mogła go sobie wyobrazić jako bohatera najprostszego choćby romansu. Kiełbasa i kapusta miały widocznie więcej uroku dla niego niż piękne szafirowe oczy. Odkrywała w nim coraz więcej niedostatków; twarz jego była, jej zdaniem, po prostu gminna[35] jak jego apetyt; ani jeden rys nie nadawał się do bohaterstwa. Surowy, milczący, poważny, z tym pożerczym apetytem i najeżonymi włosami wyglądał chyba na czarny charakter, na typ Sinobrodego, który pomordowawszy swoje żony, urządziłby z nich ucztę kanibala.

Takie i tym podobne myśli przebiegały jej przez głowę, podczas gdy oczy rzucały przelotne spojrzenia ku drzwiom, w których spodziewała się ujrzeć niesiony deser, coś słodkiego: jaką delikatną leguminę, konfitury, ciastka lub owoce — ale deseru nie było widać, a pani Radliczowa dała znak wstania od stołu. Helenka uczuła nie tylko zawód, ale i urazę, że ją tak lekceważono, że chociaż na pierwszy dzień jej pobytu w tym domu nie przygotowano lepszego obiadu. Czy tak by postąpili jej rodzice? Widziała, że tu nic nie znaczy, i przekonanie to napełniło ją goryczą.

— Obawiam się, że pani umrzesz u nas z głodu, kochana panno Heleno — rzekła do niej Anna po obiedzie — bo wszystkie nasze obiady są do dzisiejszego podobne. Dla nas to wystarcza i nie potrzebujemy lepszych, dzięki mamie, która nas przyzwyczaiła do prostych potraw; ale widzę, że pani dużo ucierpisz, zanim przywykniesz do naszej kuchni.

„Wszystkie obiady podobne do dzisiejszego — powtórzyła sobie Helenka z przerażeniem — ładna perspektywa!" — Ale że była dumną i nie chciała się wydać z tym, co się w niej działo, więc choć jej się zbierało na płacz, zdobyła się na uśmiech i odparła:

[34]*vis-à-vis* (fr.) — naprzeciw; tu: osoba siedząca naprzeciw, po drugiej stronie stołu. [przypis edytorski]
[35]*gminny* — tu: pospolity, prostacki. [przypis edytorski]

— O, to drobiazg!

Gdy wszyscy wstali od stołu, pani domu wyjęła z kredensu biały płócienny woreczek i, obchodząc stół dokoła, zbierała kawałki chleba, pozostawione przy talerzach, i kładła do woreczka, Helenka stanęła zdumiona na ten widok.

„Co za szkaradne skąpstwo — pomyślała — żeby też nie pozwolić nawet służbie tego sprzątnąć!"

Oszczędność, posunięta aż do zbierania nie dojedzonych kawałków chleba, oburzała ją po prostu. Ciekawa, co pani Radliczowa zrobi z woreczkiem, półuchem tylko słuchała, co do niej mówiono, i zobaczyła, że woreczek został starannie zawiązany, schowany na powrót do kredensu i zamknięty na klucz, jakby skarb jaki. Wydało się jej to tak zabawne, że o mało nie parsknęła śmiechem. Ale nie koniec był na tym: zobaczyła jeszcze coś. Pani Radliczowa wzięła w jedną rękę serwetkę, w drugą szczoteczkę i zmiotła najstaranniej ze stołu wszystkie okruchy; potem otworzyła lufcik i wysypała je na zewnętrzną platformę okna. Jakby na dany znak, zleciała się gromada wróbli i skwapliwie zaczęła wyrzucone okruchy zajadać, zwijając się z niepojętą szybkością i bijąc się o większe kąski. Pani Radliczowa patrzyła na to i uśmiechała się, a Helenka, widząc, jak uśmiech ten rozjaśnił i złagodził jej rysy, dziwiła się znowu, że ta twarz surowa może być tak sympatyczna.

Wiedziała już teraz, że okruchy były dla wróbli, ale jakie przeznaczenie miały owe kawałki chleba spoczywające w płóciennym woreczku pod kluczem, w głowę zachodziła. Zaczynała teraz pojmować oburzenie tej kobiety na wiadomość o wyrzuceniu mydła za okno. Kto nie chce zmarnować nawet drobnych okruchów chleba, temu czyn jej musiał się wydać występnym. Dom ten przygniatał ją siłą, której dotąd nie znała, a która ją dziwiła i przestraszała — siłą porządku i oszczędności. Co chwila zapytywała siebie, jak ona żyć potrafi w tym otoczeniu tak bardzo różnym od tego, w jakim żyła dotąd.

Po obiedzie całe towarzystwo przeszło do salonu i tam nareszcie Helenka znalazła meble wyściełane, których od wczoraj na próżno wszędzie upatrywała. Z przyjemnością zagłębiła się w fotelu i, oparłszy ręce na poręczach, myślała z westchnieniem o twardości krzeseł, jakie miała w swoim pokoju.

Salon państwa Radliczów był obszerny, oświecony trzema oknami, umeblowany ze smakiem, ale i z prostotą cechującą wszystko i wszystkich w tym domu. Meble dębowe pokryte były wełnianą brokatelą, na podłodze leżał duży dywan; między oknami stały w dębowej oprawie wielkie lustra, w których można się było przejrzeć od góry do dołu; ściany zawieszone były sztychami, a oprawa ich stosowała się ściśle do mebli barwą i gatunkiem drzewa. Zresztą żadnych cacek kosztownych lub ozdób, żadnych marmurów, kryształów lub brązów, nic, co by mogło oko popieścić żywością i delikatnością barw, filigranowością artystyczną kształtów — nic, co by usposabiało do długich, słodkich dumań i czyniło spoczynek ponętnym. Poważny styl tego pokoju budził raczej z zadumy i nawoływał do trzeźwości. Miękkość nie znajdowała tu wcale miejsca, bo nawet draperie firanek układały się w surowe linie. Znajdowało się tam wszystko, co może być potrzebne do wygody i rozrywki, bo był nawet przepyszny fortepian — ale nic nadto, żadnego zbytku.

Staranność w utrzymaniu porządku tu, jak wszędzie, była uderzająca: podłoga błyszczała jak zwierciadło, okna, pomimo pory zimowej, utrudniającej utrzymanie ich w czystości, miały przezroczystość kryształu, a najbystrzejsze oko nigdzie ani odrobiny pyłku dostrzec nie mogło. „Pokaż mi, jak mieszkasz, powiem ci, kim jesteś" — powiedział któryś z psychologów — mieszkanie państwa Radliczów sprawdzało w zupełności to przysłowie.

Rodzina pracująca niezmordowanie cały tydzień oddawała się w niedzielę bez przeszkody umysłowym rozrywkom, na które w dni powszednie niewiele miała czasu. Niedziela, dzień dla Helenki zupełnie obojętny — bo, nie mając żadnych obowiązkowych zajęć w domu, świętowała we wszystkie dni tygodnia — tutaj bywała oczekiwana z radosną niecierpliwością. Po sześciu dniach pracy[36] był to dzień wytchnienia i rozrywki, przybierający charakter uroczystości rodzinnej. Zgromadzono się w tym pokoju największym i najwygodniejszym z całego domu, czytano, grano, śpiewano, dyskutowano o sprawach

[36] *Niedziela (…) Po sześciu dniach pracy* — w XIX w. i w I poł. XX w. pracowano przez sześć dni w tygodniu. W Polsce wolne od pracy soboty wprowadzono dopiero w latach 70., pierwszą wolną sobotą był dzień 21 lipca 1973 r. [przypis edytorski]

społecznych i rodzinnych, układano plany na przyszłość, a w poniedziałek rano stawano znów do pracy z umysłem odświeżonym i wypoczętym. Niedziela była jakby rezerwuarem świeżości, z którego wszyscy czerpali chętnie. Wprawdzie i w dnie powszednie bywały godziny odpoczynku, zwłaszcza wieczorem po herbacie — ale były to godziny krótkie, które połowa osób wolała przepędzić w ciszy własnego pokoju. Niedziela tylko, dająca dłuższy wypoczynek, gromadziła wszystkich bez wyjątku.

Na stole leżało kilkanaście dzieł, świeżo wyszłych z druku, ilustrowane pisma i gazety. Helenka wzięła jeden z dzienników i, dziwiąc się trochę, że się nią nikt nie zajmuje, przysłuchiwała się ożywionej rozmowie, w której wszyscy brali udział prócz niej — bo kwestie ekonomiczne, interesujące całe towarzystwo, były jej zupełnie obce. Gdyby mówiono o arcydziełach literatury swojskiej lub obcej, miałaby niejedno do powiedzenia; ale co ją na przykład obchodzić mogły reformy sądowe albo projekt założenia banku włościańskiego? I ona, co umiała w domu zabawić najliczniejsze towarzystwo, ona, słynąca w M. talentem krasomówczym i erudycją, musiała siedzieć cały czas milcząca, jakby trzech zliczyć nie umiała, i nudzić się.

Nareszcie skończyły się te nudy: Andrzej zaproponował spacer po ogrodzie, dla skorzystania z reszty dnia pogodnego, choć mroźnego, i przyjęło z ochotą jego projekt. Panny poszły po ciepłe okrycia — każda dla siebie — tylko państwo Radliczowie pozostali w salonie, bo nie mieli wziąć udziału w spacerze.

Wchodząc do siebie Helenka niemile została uderzona widokiem nie sprzątniętego pokoju: wszystko znalazła tak, jak zostawiła, to jest w najwyższym nieładzie — co po wzorowym porządku, panującym na dole, jeszcze więcej raziło. Elżunia, mająca swój pokoik zaraz obok i idąca z nią razem, zauważyła to wrażenie i tonem objaśnienia rzekła:

Sługa

— Kunegunda nie uprzątnęła u pani, bo póki pani tu była, nie mogła tego zrobić, a po południu wyszła. Dzisiaj jest jej dzień wolny.

Helenka spojrzała na nią, nie rozumiejąc, co chciała powiedzieć.

— Dzień wolny — powtórzyła — co to znaczy?

— To znaczy — odpowiedziała Elżunia, dziwiąc się, że potrzebuje to pannie Oreckiej tłumaczyć — że służąca może rozporządzać swoim czasem, jak chce; wolno jej iść na spacer, na wizytę, do teatru, gdzie jej się podoba, i nie wracać aż wieczorem. Gdyby zaś wolała zostać w domu, nie ma żadnego obowiązku usługiwać; może sobie przyjmować gości lub spać, jeżeli ma ochotę. Każda służąca bywa wolna co drugą niedzielę.

— Więc w dni wolne pokoje nie bywają wcale sprzątane?

— Przeciwnie, ale sprzątanie odbywa się z rana, zanim nadejdzie czas pójścia na nabożeństwo. Jeżeli która z nas chce spać dłużej, sama potem sprząta.

„Znaczy to mniej więcej, że ja dziś muszę spełnić czynność pokojówki, ponieważ za długo spałam; ładna perspektywa" — myślała Helenka, marszcząc brwi lekko, i spytała z odcieniem ironii w głosie: — Więc żeby słudzy mogli wypocząć, państwo ich wyręczają w robocie?

— Niech to pani nie dziwi — odpowiedziała Elżunia, której się ten ton nie podobał — słudzy są także ludźmi i mają prawo do odpoczynku tak samo jak my. Po ciężkiej dwutygodniowej pracy należy im się ten dzień odpoczynku. I oni mają swoje stosunki rodzinne i towarzyskie, swoje radości i smutki, pragnienia i upodobania, które potrzebują też z kimś podzielić, a nie mogą sobie na to pozwolić żadnego innego dnia. Zresztą jest to jedyny dzień, w którym mogą używać najdroższego skarbu każdego człowieka — swobody. Odbierać im ją dla zadowolenia naszych kaprysów byłoby rzeczą nieludzką. Dzięki Bogu minęły już czasy, gdy sługa był uważany za bydlę pociągowe.

— U nas — odezwała się Helenka — służące nie miały nigdy dni wolnych, a mimo to służyły po kilka lat i chwaliły, że im dobrze.

— Ileż u państwa jest służby?

— Pięcioro: stangret, lokaj, kucharka, pokojówka i panna służąca — mówiła wyliczając nie bez pewnego przyjemnego uczucia długi szereg służby.

— Pięcioro sług do trzech osób! — zawołała zdumiona Elżunia — a toć oni próżnują od rana do wieczora, więc nie ma potrzeby oddzielnie jeszcze wolnych dni im wyznaczać. My się trzymamy innej metody pod tym względem. Nie chcemy, żeby nasze sługi miały czas próżnować, bo próżniactwo jest matką złych myśli i najuczciwszych ludzi na złą drogę wprowadza — trzymamy więc służby tyle tylko, ile koniecznie potrzeba, ale płacimy im

podwójnie i jesteśmy podwójnie z siebie zadowoleni. Jeżeli której z nas zdarzy się kiedy własnoręcznie uprzątnąć swój pokoik, nie uważamy się bynajmniej za nieszczęśliwe. I tak codziennie ścielemy sobie łóżko, ścieramy kurze.

— Panie to same robicie? Ależ w takim razie od czego są słudzy?

Wierzenia

— Od tego, żeby nam pomagali w pracy i odrabiali wszelką grubszą robotę, na którą żałujemy czasu, mogąc go w inny sposób lepiej spożytkować. Umiemy jednak po trosze i grubsze roboty. Andzia i ja, i od biedy potrafiłybyśmy być niezłymi służącymi.

Helenka nieznacznie wzruszyła ramionami. Chluba z posiadania takiej umiejętności wydała jej się bardzo naiwną. Myśl, że będzie musiała sama słać swoje łóżko i ścierać kurze, nie uśmiechała się jej wcale.

„Już trzy kazania dziś słyszałam — rzekła do siebie — jedno było o oszczędności, drugie o strojach, trzecie o sługach. A to kaznodziejska rodzina! Zamiast sprzedawać nasiona, powinni by wszyscy, wziąwszy biblie pod pachy, jechać do Indii Wschodnich lub do Australii. Widzę, że ja tu gram rolę jednego z dzikich i że mnie chcą nawrócić!..."

Strój

— Czy pani nie zmieni sukni? — pytała Elżunia, widząc, że Helenka na swoją elegancką toaletę nakłada futro.

— Nie chce mi się przebierać — odrzekła z pańską niedbałością — ta zresztą czy inna, wszystko jedno.

— Nie będzie pani mogła swobodnie iść z tym ogonem, a ciągłe trzymanie go w ręku zrobi pani ambaras.

— Jestem do tego przyzwyczajona — odrzekła zarzucając go na lewą rękę, co jednakże nie było prawdą. Ogon był dla niej nowością i dlatego nie chciała się z nim rozstać.

Czuła, że istotnie rozsądniej byłoby zmienić suknię, ale pod wpływem uwag i nauk, jakie ciągle słyszała, zaczął się w niej budzić duch sprzeczności i oporu. Postanowiła nie poddawać się. Zresztą Andrzej, który jej strojność ganił i wiedział, że słowa jego słyszała, gotów by teraz pomyśleć, że zrobiła to, chcąc zasłużyć na jego pochwałę.

Schodząc ze schodów Elżunia i Helenka zobaczyły Andrzeja ze starszą siostrą, czekających już na nie przy ostatnim stopniu. We wzroku obojga, zwróconym na niebieską suknię, Helenka wyczytała naganę. Anna milczała jednak, Andrzej zaś powiedział tonem nieco szyderskim:

— Brakuje pani pazia.

Spojrzała na niego gniewnym wzrokiem i wydał jej się jeszcze brzydszy i nieprzyjemniejszy niż rano.

Gdy mijali korytarz, Anna, idąca obok niej, pokazała jej drzwi, znajdujące się na prawo, i rzekła:

— Tutaj pani będzie przepędzała większą część dnia, począwszy od jutra.

Helenka podniosła głowę i przeczytała napis ułożony z dużych mosiężnych liter: *Kantor*.

„Aha! — rzekła do siebie z goryczą — tutaj to zacznę zawadzać od jutra".

Wyszedłszy na dziedziniec, minęli budynki cieplarniane i skierowali się prosto do ogrodu, którego furtkę Andrzej kluczem wyjętym z kieszeni otworzył. Był to wielki obszar gruntu, zasadzony grupami drzew i drzewek, których większa część poobwijana była słomą, co im nadawało podobieństwo do ludzkich postaci w białych koszulach. Altany i szpalery wyglądały jak góry śniegowe, bo śnieg pokrywał ogród na półtora łokcia wysoko. Helenka bez ustanku poprawiała swoją suknię podciągając ją coraz wyżej.

W samym środku ogrodu była duża sadzawka, a z niej wypływało kilka wąskich kanałów, przerzynających ogród w kilku kierunkach; na kanałach rzucone były mostki z poręczami. Teraz woda wszędzie ścięta była lodem, a śnieg starannie był odmieciony i błyszcząca powierzchnia pokazywała, że tu używano ślizgawki.

— Czy pani lubi się ślizgać? — zapytał Andrzej, gdy stanęli nad sadzawką.

— O, bardzo lubię — odpowiedziała, zapomniawszy o swoim gniewie. Urodzona i wychowana nad wodą, lubiła namiętnie wszystko, cokolwiek z wodą miało związek, a więc ślizganie, jeżdżenie łódką, łowienie ryb.

— Więc służę pani — powiedział wyjmując z kieszeni parę malutkich łyżew.

Helenka wyciągnęła rękę uradowana, ale opuściła ją w tejże chwili — czyż podobna bowiem ślizgać się w sukni z ogonem?

— Dziękuję panu — rzekła obojętnie — nie mam dzisiaj ochoty.

— Suknię można by jeszcze zmienić — powiedział odgadując jej myśl.

Ale kwestia sukni, dzisiaj szczególnie, była dla niej drażliwa.

— Dziękuję panu — powtórzyła z pewnym rozdrażnieniem — nie będę się ślizgała.

— Szkoda — odpowiedział — to dobra gimnastyka dla ciała. Wyrabia siłę i zręczność. — I, nie zajmując się nią więcej, usiadł na ziemi i zaczął sobie łyżwy przypinać.

Z mostu zwieszonego półkolisto nad ujściem wody z sadzawki do kanału przypatrywała się Helenka zręcznym obrotom trojga rodzeństwa, wymijających się z nadzwyczajną szybkością, pewnością i wprawą. Panny Radliczówny ślizgały się bardzo dobrze, a krótkie suknie dawały ich ruchom zupełną swobodę. Patrzyła na nie z błyszczącymi oczyma, zazdroszcząc tej tak ulubionej sobie rozrywki i złorzecząc ogonowi, od trzymania którego już zaczynała ją ręka boleć. Po pół godzinie takiej zabawy, podczas której stojąc na miejscu dobrze zziębła, przyszło jej do głowy przejść przez środek sadzawki na drugą stronę i usiąść na grupie kamieni, ułożonych nad brzegiem. Łatwiej bez porównania byłoby obejść naokoło, choć trochę dalej, ale czuła niepowściągnioną ochotę dotknięcia nogami twardej powierzchni lodu. Zeszła z mostka i, pomimo odradzania wszystkich, puściła się przez sadzawkę. Andrzej wołał na nią, żeby się nie zbliżała do brzegu z lewej strony, bo tam był świeżo zrobiony przerębel dla ryb, ale czy go nie słyszała, czy też usłyszała za późno, dość że dochodząc już do brzegu poślizgnęła się i upadła — a choć podniosła się natychmiast bez żadnego szwanku, ogon szwank poniósł i na wspaniałości bardzo stracił, bo w czasie upadku wysunął się z rąk i w przerębiu umaczał.

Wszystko troje, Andzia, Elżunia i Andrzej, wyciągali go razem z wody niby wieloryba, bo przybiegli na pomoc Helence — a że jej już nie potrzebowała, ratowali chociaż ogon znajdujący się po tej zimnej kąpieli w bardzo smutnym stanie. A byli wszyscy bardzo pomartwieni i wyrażali głośne dla biedaka współczucie. Wróżono mu, że kataru dostanie, i każdy inne lekarstwo radził. Właścicielka ogona okazała w tym wypadku godność prawdziwie książęcą i zadziwiająco zimną krew — może nawet za zimną, bo dziękowała za ratunek oziębłe — i tylko oczy świecące fosforycznym blaskiem mówiły, że ta oziębłość jest udaną. Los sukni mało ją obchodził, ale zirytowała mocno przygoda stawiająca ją w śmiesznym świetle i stwierdzająca niedorzeczność jej oporu wobec dobrych rad. Gdyby ich była posłuchała, nie byłoby tego wszystkiego.

Słońce zaszło, a z nim zmrok szybko zapadać zaczął. Wracano do domu, ale że sadzawka znajdowała się w samym środku ogrodu, więc mieli dosyć duży kawał drogi do przebycia. Ogon, choć wyciśnięty z wody, tężał na powietrzu coraz bardziej, aż stał się nareszcie twardy jak drewno; właścicielce wydawał się tak ciężki, że zaledwie go mogła udźwignąć. Widząc to, panny Radliczówny ulitowały się nad nią i ofiarowały swoją pomoc, a choć się temu zrazu bardzo opierała, Elżunia i Andzia wzięły go w ręce i, rozpostarłszy, żeby lepiej wysychał, niosły tak razem. Dziwny ten orszak postępował w milczeniu, bo Helenka wyglądająca teraz jak prawdziwa księżniczka, której nie brakowało paziów, nie okazywała żadnej ochoty do rozmowy — a myśląc o eskortującym ją grenadierze, połykała łzy gorzkie.

Było już prawie ciemno, gdy wchodzili do domu, i tylko Kunegunda, wracająca z wizyty, przeżegnała się na ten widok. Całe szczęście, że na niej się skończyło, bo Helenka ucierpiałaby bardzo na tym, gdyby jej pochód, wyglądający na tryumfalny, miał był liczniejszych świadków. Szybko wbiegła po schodach na górę, a ogon, na wskroś przemarznięty i stwardniały, uderzał niby taran w deski schodowe. Przelękniona i zawstydzona tym łoskotem, przybierającym w jej uszach kolosalne rozmiary, dopadła drzwi swego pokoju i, rzuciwszy się na krzesło, zakryła twarz rękami.

Ale trzeba było przebrać się nareszcie i stawić w jadalnym pokoju na herbatę. Zapaliła świecę, włożyła inną suknię, poprawiła włosy, a śpieszyła się z tym wszystkim bardzo, bo przechadzka na świeżym powietrzu obudziła w niej szalony apetyt. Młody żołądek ma swoje prawa, których zmartwienie nawet nie usuwa. Po dniach, przez które nic prawie w ustach nie miała prócz herbaty, z jakąż ochotą zjadłaby kawałek zimnego pasztetu lub kurczęcia, przekąsiwszy wprzód odrobiną kawioru lub łososia!

Gdy się zjawiła w sali jadalnej, zastała całą rodzinę siedzącą już przy stole, a chociaż obrus był tak biały, że mógł śmiało sprzeczać się ze śniegiem o pierwszeństwo, przecież nie było na nim ani kurczęcia, ani pasztetu, ani nawet łososia lub kawioru — tylko jakaś pieczeń na zimno, chleb, masło i sucharki. Na ten widok zrobiło się Helence na sercu

dziwnie miękko i ogarnęła ją taka melancholia, że świat i wszystko, co jest na nim, wydało się jej bezcelowym. Nie tknęła tego wieczora już nic prócz szklanki herbaty, co Andrzej i jego siostry przypisali wrażeniu z powodu przygody z ogonem.

Tak się skończył dzień drugi pobytu jej w obcym domu, dzień, w którym uważano ją jeszcze w połowie za gościa. Nazajutrz miała się stawić do pracy.

— Pamiętaj pani się nie spóźnić — powiedział pan Radlicz, podając jej rękę na dobranoc. — Otwieramy kantor o godzinie ósmej, a mamy jutro dużo paczek do wysłania.

Wróciwszy do siebie, zastała świecę zgaszoną, zdziwiło ją to, ponieważ pamiętała, że ją umyślnie palącą się zostawiła, żeby mieć widno w pokoju, gdy powróci. Długo macała tu i ówdzie, zanim natrafiła na zapałki, bo nie pamiętała wcale, gdzie je położyła. Nareszcie upragnione światło zabłysło, a z nim wyszedł na jaw cały nieład pokoju. Ogon niebieskiej sukni w temperaturze pokojowej roztajał i prosto z niego płynęła ciemnoszafirowa struga. Widząc to wszystko, Helenka załamała ręce.

— I ja to mam sama porządkować! — jęknęła. — O Boże, na jakież mnie próby wystawiasz! Nie, niech się dzieje, co chce! Ani myślę!

Było już późno, czuła się zmęczona i położyła się zaraz. Usnęła nadspodziewanie prędko — co też po nocy wczorajszej, w połowie bezsennie spędzonej, było zupełnie naturalne. I idealnej tej istocie, co z odrazą patrzyła przy obiedzie na jedzącego Andrzeja, tej istocie eterycznej, której marzenia bywały zawsze utkane ze mgły i słońca, śniły się rzeczy tak prozaiczne, jak stoły zastawione jedzeniem. Ale jedzenie to składało się z najpyszniejszych potraw: więc w licznym orszaku defilowały przed nią smakowite przekąski, ryby wspaniale przystrojone, zwierzyna, drób, owoce, lody, wina, słowem wszystko, co było podane na balu u stryja Bartłomieja, a woń delikatna tych potraw łechtała podniebienie.

X

Gdy Helenka nazajutrz zjawiła się w sali jadalnej, nie znalazła ani śladu śniadania: widocznie przyszła zbyt wcześnie albo zbyt późno — jedno z dwojga. Zapomniała wieczorem nakręcić zegarka, więc stanął i nie wiedziała wcale, która godzina, ale zdawało jej się, że nie musi być późno. Niepewna, czy ma odejść, czy zostać, stała chwilkę na środku pokoju, namyślając się, co robić. Gdyby to było w M., po ciągnęłaby tylko za taśmę od dzwonka i kazałaby służącej przynieść sobie śniadanie — ale w tym dziwnym domu, gdzie ludzie inaczej żyli i myśleli, nie wiedziała, jak postąpić, żeby nie ściągnąć na siebie niezadowolenia. Na szczęście ukazała się wc drzwiach Kunegunda ze ściereczką w ręku; od tej można się było przecież czegoś dowiedzieć.

— Moja dobra Kunegundo — spytała głosem, jak mogła najgrzeczniejszym — czy śniadanie już było?

Służąca spojrzała na nią spod oka.

— To się rozumie — mruknęła — pewnie byśmy czekali za panną do południa!

I najobojętniej w świecie zaczęła wycierać krzesła z kurzu.

Z oczu Helenki strzeliły błyskawice gniewu.

— Jak śmiesz odzywać się tak do mnie? — zawołała podnosząc głos.

— A cóż tak złego powiedziałam? — spytała hardo. — Mówię to, co jest prawdą. Kto chce jeść śniadanie, niech wstaje rano, a kto lubi długo spać, musi się kontentować apetytem. Nasi państwo jadają o siódmej, a o ósmej już jest sprzątnięte ze stołu. Tu nie ma czasu dla jednej osoby dziesięć godzin dmuchać w samowar, żeby nie wystygł. Każdy ma swoją robotę.

— Moja Kunegundo, powściągnij swój język — odezwała się pani Radliczowa, która, wchodząc w tej chwili do pokoju, słyszała ostatnie wyrazy — nie do ciebie należy robić uwagi pannie Oreckiej. Idź, przynieś śniadanie; kazałam, żeby samowar był gorący.

Kunegunda wyszła, mrucząc niechętnie, a Helenka dosłyszała w tym mruczeniu, że ją nazwała „księżniczką". Druga to już osoba dawała jej ten tytuł.

— Jest to kobieta rzadkiej uczciwości i pracowitości — mówiła pani po wyjściu Kunegundy — ale ma jedną wadę, ostry język i nie umie go utrzymać na wodzy. Wybaczamy jej jednak tę wadę przez wzgląd na jej wielkie do nas przywiązanie. Trzydzieści lat już służy w naszym domu i dzieliła z nami zarówno złą i dobrą dolę; nie uważa się też za służą-

cą, ale za członka rodziny, i we wszystkim, co nas obchodzi, żywy bierze udział. To, co powiedziała pani przed chwilą, wypłynęło nie z jej złej woli, ale z temperamentu.

— Miły temperament — wtrąciła Helenka.

— Zresztą słowa jej nie były pozbawione słuszności — mówiła dalej pani Radliczowa. — Służba nasza ma tak wiele zajęcia, że gdyby musiała każdemu z osobna usługiwać, nie dałaby sobie rady. Tylko poddaniem się dobrowolnie przyjętemu rygorowi osiągamy w gospodarstwie ład, z którego wszyscy korzystamy, i gdybyśmy się chcieli z niego wyłamać, wszystko by się powoli rozprzęgło; bo gospodarstwo, choćby najmniejsze, porównać można do machiny, w której każdy domownik gra rolę kółka. Jedno kółko, nieprawidłowo idące, może całą machinę zatrzymać. Godzin przeznaczonych na posiłek pilnujemy wszyscy bez wyjątku i jeżeli się kto spóźni, najczęściej nie je, dla nienaruszenia porządku domowego.

— A więc i ja nie powinnam jeść — rzekła Helenka z pozornym spokojem, choć wszystko się w niej burzyło. — Przepraszam panią bardzo za moje spóźnienie się, ale nie uczyniłam tego rozmyślnie. Zegarek mi stanął i nie wiedziałam, która godzina.

Skłoniła się, zwróciła ku drzwiom, a choć pani domu usiłowała ją koniecznie nakłonić, żeby wprzód zjadła śniadanie, podziękowała, mówiąc, że chce dać dowód szacunku dla zasady.

— Ta dziewczyna umrze z głodu — rzekła do siebie pani Radliczowa po jej wyjściu — już trzeci dzień nic nie je. A z jaką to ona powiedziała godnością, z jakim chłodem! Księżniczka!...

Sam ten wyraz „rygor" napełniał wstrętem Helenkę, a myśl, że będzie zmuszona odgrywać rolę kółka w machinie, burzyła w niej wszystką krew. Kto wie, czy jakie chęci buntownicze nie byłyby jej przyszły do głowy, gdyby nie odgłos zegara bijącego poważnie godzinę dziesiątą. Porachowała uderzenia i zdziwiła się, że już tak późno. Stanąwszy przed drzwiami kantoru, które pokazała jej wczoraj Anna, przycisnęła ręką serce, poruszające się w piersiach żywiej na myśl, że spotka się po raz pierwszy z czymś, czego jeszcze nigdy nie znała, a z czym miała odtąd żyć ciągle — z pracą. Ciekawość, niepokój, obawa przepełniały jej duszę, a wczorajsze słowa Andrzeja, przychodzące jej w tej chwili na myśl, nie przyczyniły się wcale do złagodzenia tych uczuć. Przeżegnała się i nacisnęła klamkę. Znalazła się w obszernym pokoju, zawieszonym od góry do dołu kolorowymi rycinami, przedstawiającymi w naturalnej wielkości kwiaty, owoce, warzywa, pomiędzy którymi na honorowym miejscu wisiały dyplomy nagród i medali otrzymanych za nasiona na rozmaitych wystawach. Dwie wielkie szafy pełne były książek, a na samym środku stał duży stół założony książkami rachunkowymi, papierami i próbkami nasion w słoikach i kapsułkach. Przy tym stole siedział przedstawiciel firmy i pisał coś na dużym blankiecie, zaglądając co chwila do książki notatkowej. Na odgłos, otwarciem drzwi sprawiony, nie podniósł wcale głowy, Helenka zbliżyła się do niego i, podając mu rękę, przemówiła głosem, w którym się przebijała cała do niego ufność:

— Dzień dobry panu. Przyszłam na swoje stanowisko.

Pan Radlicz nie przerywał pisania.

— Za późno trochę — odezwał się nareszcie, nie odpowiadając wprost na powitanie. — Prosiłem panią, żebyś się stawiła o ósmej, a teraz jest dziesiąta... Mówiłem, że mamy pilną robotę, pani jednak nie przyszłaś. Zdawało mi się, że mogę na panią liczyć i omyliłem się. Przykro mi to bardzo.

Wyciągnięta rączka opadła.

— Nie moja w tym wina — rzekła z pomieszaniem — zegarek mi stanął.

— Nic pani nie tłumaczy — wyrzekł surowo — poczucie obowiązku powinno było panią obudzić. Miałaś pani wczoraj dosyć czasu do wyspania się i wypoczęcia po podróży; dzisiaj należało się pilnować.

Helenka patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem. Nikt jeszcze nigdy w życiu nie przemawiał do niej takim tonem. Co to miało znaczyć? Byłże to sen przykry czy też istotna rzeczywistość?

— Czegóż ja się mogę nadal od pani spodziewać — mówił dalej pan Radlicz — jeżeli początek jest niefortunny?

— To tylko początek — szepnęła — dalej będzie lepiej.

— Jaki początek, taki bywa koniec. Człowiek pokazuje swoją wartość w każdym swoim czynie i z jednego można wróżyć o innych. Pani w pierwszym dniu swojej służby okazałaś się niesłużbistą, niedbałą; dałaś dowód lekceważenia mnie samego i spraw mających pani być powierzonymi.

— Ależ ja nie chciałam tego, niech mi pan wierzy. Proszę o przebaczenie...

— Przebaczenie rzeczy nie naprawia. Wszystko mi jedno, czyś pani chciała, czy nie; ja na rezultaty patrzę. Potrzebuję pracownicy pilnej, energicznej i wytrwałej, mówiłem to pani jeszcze w M. ...Powinnaś pani była wprzód dobrze się zastanowić i obliczyć z własnymi siłami, zanim zgodziłaś się jechać ze mną. Mówiłem pani, że jestem surowy i wymagający. I powtarzam pani jeszcze raz: jeżeli się nie czujesz na siłach, jeżeli przyjęte obowiązki wydają się pani nazbyt ciężkimi, możesz się jeszcze cofnąć.

Gdyby kto inny mówił to wszystko Helence, niezawodnie obrażona duma i wrodzona drażliwość podyktowałyby jej niejedną ostrą i dobitną odpowiedź. Ale że te słowa karcące pochodziły od człowieka będącego w wieku jej ojca, w którym spodziewała się tutaj drugiego ojca znaleźć, od człowieka, w którego życzliwość dla siebie wierzyła do tej chwili — więc zabolało ją serce, że okazał się dla niej tak srogi i niemiłosierny, i uczuła się w tym domu obcym, gdzie wszystko na każdym kroku raziło ją dotkliwie — sama, bez pomocy, bez opieki i bez obrony.

Dwie wielkie łzy stoczyły się po jej policzkach.

— Pan wie — rzekła cicho — że ja nie mogę się cofać. Zna pan moje położenie.

Pan Radlicz, który śledził wyraz jej twarzy i zdawał się na niej czytać, odezwał się tonem nieco łagodniejszym:

— Moje dziecko, wydałem ci się człowiekiem twardym, ale wiedz, że nie byłem inny dla moich własnych dzieci i z siebie dawałem im przykład. Zapytaj moich dziewcząt, niech ci powiedzą. Nieubłagany jestem, gdy widzę nie spełniony obowiązek — bo w tym to leżała przyczyna naszych politycznych nieszczęść, naszego narodowego upadku — i tylko z pełnienia go skrupulatnie może powstać odrodzenie. Lekceważenie obowiązku w małych rzeczach prowadzi do lekceważenia go w wielkich; wierz memu doświadczeniu. Gdybym chciał pani pobłażać, musiałbym także pobłażać innym i — wkradłoby się do zakładu mego rozprzężenie. Jestem akuratny i musi u mnie iść wszystko jak w zegarku. Na porządku świat stoi, nieporządkiem upadają narody i społeczeństwa.

Helence przypomniało się w tej chwili, że słowa bardzo podobne tym słyszała wczoraj rano od pani Radliczowej z powodu wyrzuconego kawałka mydła, i uderzyło ją nie ich podobieństwo, ale znaczenie, jakie ci ludzie przypisywali drobiazgom. Czyż one istotnie tak wiele ważyć miały w życiu społeczeństw? Czy jej dzisiejsze spóźnienie się do kantoru, rzecz, szczerze mówiąc, tak podrzędna, a do tak wielkich przez pana Radlicza podniesiona rozmiarów, istotnie mogło dać powód do wniosku, że na nią nie można liczyć — i czy naprawdę istnieje w świecie ta nieubłagana logika faktów, która czyn jeden czyni zależnym od drugiego; wedle której jeden czyn wywołuje cały, nieprzerwany łańcuch czynów podobnych? Z tej strony nikt jeszcze nie pokazywał jej życia... Bo też i ludzi takich nie spotykała: znała dobrodusznych jak ojciec, jowialnych jak stryj Bartłomiej, eleganckich jak Stefan — ale takich twarzy surowych i poważnych nie widywała ani słyszała słów, co padały niby uderzenia żelaza, ostre, głębokie i nieodwołalnie jak przeznaczenie.

— Postaram się opóźnienie moje wynagrodzić — rzekła po długim milczeniu.

— Nic pani nie wynagrodzisz — odpowiedział posępnie. — Godziny upłynione nie powracają nigdy, pamiętaj pani o tym. Andrzeju — zawołał syna, pracującego w drugim pokoju — chodź no tutaj.

Młody Radlicz wszedł i ukłonił się Helence — ona jednak nie widziała tego ukłonu. Spuściła oczy, żeby nie poznał, że płakała.

— Obznajmij pannę Orecką z jej obowiązkami i daj zaraz jaką robotę.

— Dobrze, ojcze — odrzekł i zwróciwszy się do Helenki, dodał: — służę pani.

Z kantoru widać było w perspektywie cały szereg dalszych pokoi. Były one zastawione szafami, a szafy te od góry do dołu miały rzędy szuflad większych i mniejszych, opatrzone numerami i napisami w dwóch językach, polskim i łacińskim. Przy tych szufladach, których większa część była do połowy wysunięta, kręciło się kilka osób, mężczyzn i kobiet; jedni z kartkami w rękach wybierali z nich małe papierowe torebki z nasionami,

inni przynosili je stosami z drugiej izby, gdzie nasiona ważono i nasypywano przy wielkich stołach, i napełniali nimi szufladki. We wszystkich pokojach panował bezustanny ruch ludzi zajętych pracą, nie tracących ani chwili na próżno, a nad tym ruchem górował jednostajny stuk ręcznej maszynki drukarskiej, wybijającej napisy na papierowych torebkach. Helenka jednym rzutem objęła to wszystko, ciekawa, jakie też zajęcie będzie jej przeznaczone, gdy Andrzej wskazał jej niewielki stół pod oknem, gdzie były wszystkie przybory do pisania, i pokazawszy blankiety zaopatrzone firmą zakładu, prosił o przepisanie kilku rachunków z notatek, które przed nią położył — po czym oddalił się.

Pracownicy pana Radlicza, widząc młodą damę wykwintnie ubraną, mniemali, że przyszła tylko zwiedzić zakład; ale gdy zajęła miejsce przy stoliku, niektórzy z nich, zwłaszcza kobiety, okazali jawne, choć milczące zdziwienie. Dostrzegła to Helenka i ciemny rumieniec pokrył jej lica. Nie oswoiła się ona jeszcze z myślą, że musi na chleb zarabiać, i kosztowało ją to. Spuściła oczy na papiery, leżące przed nią, ale litery skakały jej przed oczyma. Jeszcze nie zaczęła pracować, a tyle już ją spotkało rzeczy bolesnych i ciężkich do zniesienia, że straciła ochotę do wszystkiego. A jednak to był dopiero wstęp... Podniosła oczy w niebo, jakby, opuszczona od wszystkich, tam chciała szukać wsparcia i pomocy — ale nieba zaledwie wąski kawałek było widać, bo je zasłaniała poprzeczna oficyna. Oczy dziewczęcia, przyzwyczajone do szerokich przestrzeni, do widoku łąk, lasów i rzeki malowniczo przybranej szeregami statków żaglowych, uczuły się jakby w więzieniu. Nie ceniła tych rzeczy, dopóki je posiadała; ale teraz, gdy marzące jej oczy daremnie chciały przebić tę zaporę z wysokiego muru, zasłaniającą jej świat, odbiło się w nich uczucie bolesnej za tym wszystkim tęsknoty.

Odgłos maszynki drukarskiej przypomniał jej, że nie było to miejsce właściwe do żalów i tęsknot, ale miejsce pracy; toteż gdy Andrzej w pół godziny potem przyszedł zobaczyć i zabrać, co było gotowe, podała mu kilka rachunków przepisanych. Przebiegł je oczyma i kładąc na powrót przed nią, powiedział:

— Pismo bardzo wyraźne i ładne, tylko cyfry nie stoją równo jedne pod drugimi. Pani będzie łaskawa przepisać to jeszcze raz.

Pot wystąpił jej na czoło; spojrzała na niego wzrokiem ptaszyny śmiertelnie zmęczonej i, nie wyrzekłszy ani słowa, na nowo pisać zaczęła. Cóż miała odpowiedzieć? Wiedziała, że jeżeli po raz drugi wywiąże się źle z polecenia, okaże się, że zamiast pomagać, „zawadza" tylko w kantorze. A nie chciała za nic w świecie dopuścić, żeby Andrzej miał słuszność pod tym względem — przeciwnie, pokaże mu, że nie wolno jej tak lekceważyć. Jakoż istotnie, rachunkom, powtórnie napisanym, nie było już nic do zarzucenia.

Dnia tego usiadła do obiadu z uczuciem silnego głodu i zjadła wszystek rosół z talerza — ale do mięsa gotowanego razem z jarzyną nie mogła się przekonać. Uprzątnęła za to wszystek swój chleb z taką dokładnością, że nic z niego nie zostało nawet dla wróbli. Spartański ten posiłek rozjaśnił trochę jej pogląd na świat. Powiedziała sobie, że może z czasem przyzwyczai się do tego domu i tych ludzi — ale w pół godziny potem zmieniła zdanie, usłyszawszy przypadkiem rozmowę Kunegundy z lokajem przy drzwiach swego pokoju, gdzie stojący szaflik z wodą i szczotką kazały się domyślać, że go świeżo umyto.

— Licho przyniosło tę księżniczkę — mówiła Kunegunda — człowiek ma dosyć roboty ze swoimi, jeszcze ta pupka przyjechała i trzeba koło niej tańcować. Nastawiaj dla niej osobno samowar, dmuchaj w niego dziesięć godzin, sprzątaj po niej co chwila! A jaka nieporządna! Kiedy powiadam panu Franciszkowi, że nic, jak należy, nie złoży! A jej rzeczy to po wszystkich kątach porozrzucane i pomieszane jak groch z kapustą. Musi tam być i w głowie taki sam bigos.

— Ahm! — potwierdził Franciszek.

— W sobotę rano umyłam tak ślicznie ten pokoik, że aż pachniało. Myślałam sobie: będzie na jakie dwa tygodnie, a już dzisiaj musiałam go myć znowu. Poszła wczoraj do ogrodu na spacer i nie chciało jej się zakasać, więc tak zaszargała sobie ogon, że jak suknię z siebie zdjęła, to z niej ze dwie kwarty wody wyciekło na podłogę. Porobiły się od tego takie plamy, że musiałam je aż szarym mydłem szorować, bo nie chciały puścić. Skaranie Boskie, doprawdy! Ale sukni nie myślę czyścić, o nie! Kto mi każe? Schowałam ja do szafy tak, jak jest. Niech sobie sama czyści!

Parsknęli śmiechem oboje, a Kunegunda mówiła dalej:

— Dobrze jej tak. Niech spróbuje, co to jest za robota czyszczenie. Jak ona to sama będzie musiała zrobić, to jej się odechce stroić w takie długie suknie jak król Herod, co go na Boże Narodzenie w szopce pokazują.

Roześmiali się znowu.

— Nasze panienki to ogonisko wczoraj niosły, jakby jaki rarytas. A żeby pan Franciszek wiedział, jak to zabawnie wyglądało! Tom[37] się tak śmiała, że aż się trzymałam za boki, bo myślałam, że co we mnie pęknie. Widziałam, że i panu Andrzejowi śmiać się chciało, bo ino wąsami ruszał. Co też to za sens w tej głowie, żeby ze sukni robić miotłę!

— To ona zamiotła nam wczoraj schody i sień ta księżniczka?

— A zamiotła!

— O, niechże tak robi co dzień, mogłaby ją pani Kunegunda od nas poprosić!

Nowy wybuch śmiechu przerwał rozmowę.

— A co to ona za tłumok nosi z tyłu? — pytał Franciszek.

— Iii, pan Franciszek to też nic się na modzie nie zna, to jest taka maszyna, co się nazywa tiurniura i kładzie się pod suknię, żeby udawała tęgość.

— Tfu! — splunął Franciszek — żeby moja baba włożyła taką maszynę, tobym jej w tym samym miejscu skórę tak kijem wygrzmocił, żeby pamiętała ruski miesiąc. To jest z przeproszeniem nieprzyzwoitość i obraza Boska.

Honor

Helenka aż zbladła z gniewu słysząc te słowa, ale jak ich miała za to ukarać? Gdyby to było w M., wypędziłaby natychmiast oboje — ale w obcym domu nie wolno jej było w niczym się rozporządzać. Iść na skargę do pani domu? Ależ to upokarzałoby ją i nie przydałoby się na nic. Pani Radliczowa nie odprawi sługi, która służy jej wiernie lat trzydzieści. Jeden był tylko środek wyjścia z honorem z tej sprawy: zachować się tak, jak gdyby nic nie słyszała. Tak też zrobiła, bo nie mogła wymyślić nic lepszego.

„Słyszałam dziś trzy kazania — rzekła do siebie — a wczoraj trzy, to sześć".

Moda

Franciszek, dając w prostocie ducha tak energiczny wyraz swemu przeciwko Helence oburzeniu, zapomniał, poczciwiec, że tradycja krynoliny, w której niewiasta z trudnością tylko mogła się we drzwiach zmieścić, żyła jeszcze w pamięci współczesnych i jego własnej. Nie wiedział, że moda to pani tak potężna, iż rzadko kto ma odwagę wyłamać się spod jej władzy — i że kobieta woli dziwacznie wyglądać niż być niemodnie ubraną. Tylko w domu Radliczów nie pozwalano kaprysom mody brać góry nad zdrowym rozsądkiem. Umiano tam szczęśliwie unikać ekscentryczności, tej wszechwładnej pani — i biorąc coś z jej ogólnych zarysów, zachowywano właściwą miarę. Stwarzano zawsze estetyczną całość, nie pozbawioną szlachetnej prostoty.

XI

Trzeci to już raz kładła się na spoczynek pod obcym dachem, a żaden dzień nie był dla niej tak ciężkim, jak ten trzeci właśnie. Sen też nie zaraz skleił jej powieki, bo dzieje dnia całego, począwszy od fatalnego spóźnienia się na śniadanie, stanęły przed nią z całą wyrazistą dokładnością i wyraziły raz jeszcze scenę bolesnego upokorzenia w kantorze, gdzie musiała usłyszeć, że jej zarzucano brak poczucia obowiązku.

Toteż gdy naprawdę zasnęła, poczucie obowiązku budziło ją co chwila. Zrywała się, siadała na łóżku, zapalała świecę, ale czas wlókł się powoli i noc ciągle jeszcze trwała — a Helence zdawało się, że ta noc nigdy się nie skończy. W krótkich odstępach między jednym przebudzeniem a drugim podniecona wyobraźnia przesuwała przed jej oczyma różne obrazy z nadzwyczajną szybkością: rodzice, miasteczko, bal u stryja, Stefan, konik ulubiony, pies przyjaciel, różowy pokoik, wszystkie osoby rodziny Radliczów, nawet ryciny wiszące w kantorze z łacińskimi pod nimi podpisami — a mnogość tych obrazów sprawiała, że noc po każdym przebudzeniu stawała się jeszcze dłuższą. Nareszcie wydało jej się, że tuż przy sobie słyszy surowy głos swego pryncypała: „Nic pani nie tłumaczy, poczucie obowiązku powinno było panią obudzić" — a ogórek Noa himalajski, kapusta Graczewa, burak Victoria, olbrzymi pomidor Garfield, dynia Kantalupa paryska zaczęły się ruszać w swoich ramach i wołały: „Obudź się, obudź!"

[37] *Tom się tak śmiała* — to (toteż, więc) się tak śmiałam. [przypis edytorski]

Zerwała się po raz już nie wiadomo który, przetarła oczy i spojrzała w okno. W oknie było ciemno, ale ranki zimowe zawsze ciemne bywają. Zapaliła świecę i zobaczyła, że zegarek wskazywał godzinę piątą.

„Dziwna rzecz — pomyślała kręcąc głową — niedawno patrzyłam na niego i także pokazywał piątą. Pewnie znów stanął, bo niepodobna, żeby wskazówki posuwały się tak leniwie".

Przyłożyła go do ucha, ale nic nie słyszała prócz uderzeń własnych pulsów w skroniach.

„Stanął — rzekła do siebie — to widoczne. Musi już być siódma"...

Położyła go na powrót i, z obawy spóźnienia się znowu na śniadanie, zaczęła się spiesznie ubierać. Kwadrans czasu wystarczył na dopełnienie tej czynności, która wczoraj jeszcze zabrała jej półtorej godziny.

Gdy schodziła ze świecą na dół, dziwiła się, że wszędzie było ciemno — tylko latarnia, wisząca w bramie, rzucała słaby odblask światła na klatkę schodową. W całym domu była taka cisza, jakby wszyscy jeszcze spali, ale to nie dziwiło Helenki. Od pierwszego dnia zauważyła, że chociaż służby tu było niewiele, wszystko odbywało się składnie i bez tej hałaśliwej krętaniny, jaka w domu jej rodziców cechowała każdą czynność służących.

W sali jadalnej nie zastała jeszcze nikogo, a i na stole nie było widać przygotowań do śniadania, nawet lampy jeszcze nie zapalono. Stanęła słuchając przez chwilę, czy kto nie nadchodzi, ale żadnego ruchu słychać nie było — zegar tylko szedł jednostajnym miarowym krokiem i przywiódł jej znowu na myśl słowa pana Radlicza: „Upłynione godziny nie powracają nigdy, pamiętaj pani o tym". Podeszła ku niemu i podniosła świecę w górę. Wskazówki pokazywały kwadrans na szóstą — a więc jej własny zegar szedł dobrze. Jak się to jednak stało, że czas dziś upływał tak wolno? Przez chwilę myślała wrócić do siebie i położyć się na powrót, ale obawa, że położywszy się może zasnąć mocno i nie obudzić się na czas, skłoniła ją do pozostania raczej. Usiadła na jednym z krzeseł, stojących przy stole, wsparła głowę na ręku i ani się spostrzegła, jak zasnęła.

W dwie godziny potem, gdy blady brzask poranku na próżno chciał rozproszyć szare chmury i nie mógł tego dokazać, Kunegunda przyszła zapalić lampę w jadalnym pokoju i zdziwiła się mocno ujrzawszy już tam pannę Orecką. Zdziwienie jej zwiększyło się jeszcze, gdy spostrzegła, że śpi, a świeca dopalająca się w lichtarzu pokazywała, że musiała się tam znajdować już czas jakiś. Kunegunda, choć miała ostry język, ale nie była bez serca — toteż uczuła coś na kształt litości na ten widok. Nakrywając do stołu, stąpała, jak mogła najciszej, a spoglądając od czasu do czasu na śpiącą spod oka, wyrzucała sobie swoją wczorajszą dla niej niegrzeczność.

Pierwszą osobą, która po Kunegundzie tam weszła, był Andrzej. I on także uczuł litość. Stanął przed śpiącą i długo na nią patrzył. Życie zaczęło już zaznaczać swoje ślady na tej pięknej twarzy, której brakowało dotąd głębszego wyrazu. Na czole nie przysłoniętym w tej chwili włosami znać było ślady walk i rozmyślań. Bladość tego czoła, wydatne rysowanie się na nim żyłek niebieskich, lekko nabrzmiałych, i drobne kropelki potu mówiły, że walki te przychodziły ciężko... Powieki zmęczone bezsennością miały obwódki zaczerwienione, a długie rzęsy rzucały na nie silny cień. Usta, zawsze tak świeże, spieczone były gorączką, a naokoło nich osiadł jakiś bolesny wyraz. W całej postawie przebijało się znużenie, graniczące niemal z wyczerpaniem i uwydatniające jeszcze bardziej wątłość budowy. Ręka, podpierająca głowę, mała i delikatna, a tak piękna, że mogłaby służyć za wzór rzeźbiarzowi, blada była także i prawie przeźroczysta.

Andrzej patrzył, a litość, jaką miał dla niej, obudziła w jego sercu uczucie, jakie widok słabości budzi zawsze w duszy szlachetnego a silnego mężczyzny: przyjazną życzliwość i chęć podania dłoni pomocnej temu słabemu dziewczęciu. Posłyszawszy za sobą kroki idących na śniadanie, usunął się nieco na stronę.

Cała rodzina, zobaczywszy śpiącą, stanęła, spoglądając po sobie, a pani Radliczowa, nie będąca także z kamienia, odezwała się do męża:

— Biedne dziecko: życie jej między nami nie jest bynajmniej słodkie. W ciągu trzech dni pobladła i zmizerniała. Ale bo też nic nie je! Nasze potrawy nie chcą jej jakoś przejść przez gardło. Edwardzie, może by dla niej kazać zrobić coś delikatniejszego, na przykład kuropatwą pieczoną lub potrawkę z kurczęcia?

Jedzenie

Cierpienie, Wychowanie

— Nie — rzekł stanowczo pan Radlicz — to opóźniłoby tylko jej dojrzałość; niech jada to samo co my. Nasze obiady, choć niewykwintne, zdrowe są i posilne, a panna

Orecka przyzwyczai się do nich z czasem. Celem posiłku nie jest rozpieszczanie podniebienia, ale dostarczenie sił, potrzebnych organizmowi. Dziecko to wyrosło w miękkiej atmosferze, zabijającej ducha, i my musimy ją inaczej wychować. Niech zakosztuje walki i trudu.

— Ale ona cierpi, mój ojcze — wtrąciła Elżunia.

— Niech cierpi: cierpienie hartuje duszę i wyrabia charakter. Niech własnym doświadczeniem pozna, że życie nie jest bezcelową przechadzką po kwiecistym kobiercu, ale szkołą, w której się człowiek uczy rozumu i znosić musi różne ciężary.

— Ojcze — szepnął Andrzej — byłeś może za surowy dla niej wczoraj w kantorze. Widziałem, że płakała...

— Czy łagodniejszymi środkami nie można by osiągnąć tego samego celu? — spytała Anna. — Czyż sam przykład nie podziałałby na biedną księżniczkę dość skutecznie? Po co jej mówić przykre rzeczy?

— Środki łagodne mają tę wadę, że powoli działają — odparł pan Radlicz — do nich należy także wpływ przykładu. Żeby doprowadzić do rezultatów, jakich pragniemy, trzeba by lat całych. Nie mamy na to czasu. Długie czekanie byłoby uciążliwe zarówno dla nas, jak dla niej. Obrałem metodę doraźnego, energicznego działania, bo znam jej skuteczność. Prawda największe czyni wrażenie, kiedy się wypowiada po prostu; przybrana w subtelności konwencjonalne i rozwałkowana traci swoją siłę przekonywającą. Czy myślicie, że bez przykrości mówiłem jej wczoraj twarde wyrazy o potrzebie ścisłego pełnienia obowiązków? Czy sądzicie, że nie dostrzegam walki, jaką ta dziewczyna stacza z sobą od chwili wejścia w nasze progi? Widzę, co się w niej dzieje, i mam dla niej współczucie, ale nie zmienię postępowania. Mówiłem wam, że to jest grunt szlachetny i bogaty, i każdy dzień utwierdza mnie w tym przekonaniu. Nie przeszkadzajcież mi w wyrywaniu z niego szkodliwych chwastów, ale pomagajcie raczej. Proszę was wszystkich o to.

— Ty przynajmniej, mateczko, nie bądź dla niej nazbyt surową — szepnęła z cicha Elżunia, całując rękę matki.

Pani Radliczowa przesunęła pieszczotliwie dłoń po jej włosach.

— Dziecko — rzekła z łagodnym wyrzutem — czy myślisz, że mogłabym jej zrobić krzywdę? I ja mam dla niej współczucie, ale jestem tego samego zdania co ojciec: musimy ją wychować!

Rozmowa prowadzona półgłosem nie obudziła Helenki; całonocne czuwanie uczyniło teraz sen jej twardym — dopiero gdy Elżunia, postawiwszy przed nią szklankę herbaty, dotknęła lekko jej ramienia i przemówiła do niej łagodnie, otworzyła oczy.

Pan Radlicz miał słuszność: tego samego dnia jeszcze Helenka zjadła kawałek sztuki mięsa, przyznając w duchu, że ta pogardzana zawsze dotąd potrawa nie jest wcale tak złą, jak przypuszczała.

Tajemnica nie dojedzonych resztek chleba, tak intrygująca ciągle Helenkę, w kilka dni potem została przypadkowo odkrytą. Na dziedzińcu przy drzwiach prowadzących do kuchni panna Orecka zobaczyła starą, ubogo odzianą kobietę, a w rękach jej dobrze sobie znajomy płócienny woreczek. Powodowana ciekawością zbliżyła się do niej i zapytała:

— Moja dobra kobieto, co będziecie robić z tymi kawałkami chleba, twardymi jak kamienie?

Staruszka, zabierająca się właśnie do przełożenia chleba z woreczka pani Radliczowej w inny, przyniesiony z sobą woreczek, zwróciła ku niej twarz bladą i schorzałą.

— O, moja panienko — rzekła — a toć to człowiek będzie miał jedzenia na kilka dni. Widzi panienka, to się sparzy wrzątkiem, osoli, okrasi słoniną i jest wyborna zupa. Dobra pani, niech jej Bóg za to odpłaci, daje mi zawsze słoniny i soli. Panienka pewnie nietutejsza?

— Nie — odpowiedziała zamyślając się — jestem z daleka.

— Aha! Ja jestem bardzo nieszczęśliwa, moja panienko. Nie mogę na siebie zarobić, bo już mało co widzę. Dawniej brałam pranie do domu, a córka mi pomagała; ale od dwóch lat, jak ją sparaliżowało, leży mi ciągle jak drewno, a ja jeszcze bardziej oślepłam i pewnikiem dawno byśmy zmarniały, gdyby nie dobra pani, niech jej Bóg najwyższy da zdrowie, co nas ratuje od głodu i płaci za nas komorne. We wtorek przychodzę tu zawsze po ten chleb, we czwartek dostaję mąki albo kaszy, a w sobotę trochę pieniędzy na mięso.

Helenka sięgnęła do kieszeni i, nie rzekłszy słowa, wręczyła jej kilka sztuk drobnej monety. Gdy wchodziła do jadalnego pokoju, pani Radliczowa zamykała właśnie okno wychodzące na dziedziniec.

— Jakże? Czy chowanie resztek chleba jeszcze wydaje się pani godne szyderstwa? — spytała prawie ostro.

— Szyderstwa?

— Widziałam ja dobrze ironiczny uśmiech, z jakim pani co dzień na mnie patrzyłaś. Nieładnie to ze strony pani, panno Orecka, że się śmiałaś ze starej kobiety, której pobudek postępowania nie rozumiałaś, zamiast się spytać otwarcie, dlaczego tak czyni. Byłabym to pani chętnie powiedziała; ale, widząc, że ze mnie szydzisz, milczałam.

— Nie mam zwyczaju nigdy śmiać się z osób starszych — odpowiedziało dziewczę mocno dotknięte tym posądzeniem. — Nie osoba pani była powodem mego zupełnie mimowolnego uśmiechu, ale ów chleb, którego zbieranie zdawało mi się bezużyteczne.

— A cóż zdaniem pani należało z nim zrobić?

— Nie zastanawiałam się nad tym.

— Trzeba zastanawiać się nad wszystkim, panno Orecka.

— U moich rodziców nikt się nie troszczył o chleb pozostały na stole. Zdaje mi się, że służba psom go dawała. Chleb

— Nie wierz pani temu. Służba w pańskich domach była leniwa i niedbała: psy wasze prawdopodobnie mało z tego korzystały, a resztki chleba szły w pomyje lub w śmietnik. Czy pani wiesz, ile chleba marnuje się na świecie tym sposobem?

Helenka milczała. Co ona mogła wiedzieć o tych rzeczach! Pani Radliczowa zdjęła ze ściany tabliczkę kamienną, wzięła w rękę sztyfcik, uwiązany przy niej na sznureczku, i rzekła:

— Liczmy. Gdyby tylko połowa czterystu tysięcy mieszkańców Warszawy zostawiała dziennie po pół łuta[38] nie dojedzonego chleba, to zrobi się z tego trzy tysiące sto dwadzieścia pięć funtów[39]. Na rok wyniesie to do nieuwierzenia ogromną ilość, którą jednak rachunek potwierdza, jak pani sama możesz to sprawdzić, jeżeli umiesz rachować, o czym wątpię.

Helenka zarumieniła się.

— Otóż z owych pół łutów codziennych urośnie przez rok milion sto czterdzieści tysięcy sześćset dwadzieścia pięć funtów i te pogardzone, a raczej nieuszanowane resztki mogą co dzień wyżywić z górą tysiąc czterysta osób, czyli dwieście rodzin, licząc na osobę po trzy funty, co jest dostateczne nie tylko dla uchronienia od głodowej śmierci, ale nawet do podtrzymania sił. Więcej powiem: te nic nie znaczące półłuty, zbierane przez cały rok, wystarczyłyby do nakarmienia w jeden dzień całej prawie ludności Warszawy, bo dla trzystu siedemdziesięciu dziewięciu tysięcy dziewięćset sześćdziesięciu pięciu osób. Cóż pani powiesz na to?

Helenka patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma. Cyfry, jakie ta kobieta stawiała przed nią, zdumiewały ją. Nie przypuszczała nigdy, żeby z drobnostek rosły takie wielkości olbrzymie. Była jakby oszołomiona. Pani Radliczowa kreśliła liczby biegle, dochodziła do wypadku[40] działań arytmstycznych szybko, co Helenkę, nie lubiącą rachunków i uważającą je za niepotrzebne kobiecie, dziwiło niesłychanie, imponując jej zarazem.

— Są ludzie tak ubodzy — mówiła dalej pani Radliczowa, wieszając tabliczką na ścianie — że i ze śmietników wygrzebują kawałki chleba. Dlaczego my nie mamy im tego trudu oszczędzić? Dlaczego resztki, których łakną, mają spożywać zbrukane?

— Ma pani zupełną słuszność — odrzekła Helenka — i proszę pani o przebaczenie, jeżeli mimo woli postępowaniem moim dotknęłam panią w czymkolwiek.

„No — rzekła do siebie pani Radliczowa, udobruchana tym wyznaniem — ta księżniczka nie jest złą dziewczyną, chociaż strasznie niepraktycznie wychowana!"

---

[38]*łut* — daw. jednostka masy, licząca 1/32 funta, tj. w różnych miejscach i czasach od 10g do 50g. W końcu XIX w. w Warszawie używano miar systemu rosyjskiego, w którym łut wynosił niecałe 13g (ok. 0,0128 kg). [przypis edytorski]

[39]*funt* — daw. jednostka masy, licząca w różnych miejscach i czasach od 0,3kg do 1 kg; tu miara rosyjska, ok. 0,410 kg. 3125 funtów to ok. 1,2 tony. [przypis edytorski]

[40]*wypadek* — tu: wynik. [przypis edytorski]

Wieczorem, gdy Helenka znowu znalazła się w jadalnym pokoju, cyfry na tabliczce nie były jeszcze zmazane. Po wyjściu wszystkich ona jedna została i długo przed nią stała zamyślona.

Wróciwszy do siebie, zastała znów ciemność, chociaż pamiętała doskonale, że zostawiła zapaloną świecę odchodząc. Zdarzyło się to już kilka razy.

— Ciekawa jestem, kto mi tak co dzień na złość robi — szepnęła do siebie, niezadowolona, że musi znowu szukać zapałek — pewnie Kunegunda!

XII

Jednego dnia pryncypał odwiedził Helenkę w jej pokoiku na górze i zapytał, czy jest zadowoloną ze swego mieszkania oraz czy jej czego nie brakuje. Wyznała mu, że czuje brak fotelu i że właśnie chciała o niego prosić. Pan Radlicz, spodziewający się zupełnie czego innego i prawie pewny, że go będzie prosiła o książki do czytania, popatrzył na nią w milczeniu, a chociaż fotel przysłać obiecał, widziała w jego zachowaniu się lekkie niezadowolenie.

Po jego odejściu długo myślała, co było przyczyną tego niezadowolenia i co w jej żądaniu mogło mu się nie podobać — ale nic znalazłszy w sobie żadnej na to odpowiedzi, postanowiła sama go o to zapytać, i to zaraz. Przykrą jej była myśl, że jedyny w tym domu człowiek, mający dla niej trochę życzliwości, jest z niej niezadowolony.

Było to po obiedzie, w godzinach, które pan Radlicz zwykł był przepędzać w bibliotece na czytaniu gazet. Helenka, pewna, że go tam znajdzie, omyliła się jednak; w bibliotece nikogo nie było.

„Przyjdzie za chwilę" — pomyślała sobie i usiadła w dużym wygodnym fotelu, wybitym skórą amerykańską.

Biblioteka była niewielkim pokojem, mającym wszystkie ściany zastawione szafami, pełnymi książek. Na środku stał stół okrągły i kilka krzeseł i to stanowiło całe umeblowanie. Dwoje drzwi łączyło go z resztą mieszkania: jedne wychodziły na korytarz, drugie prowadziły do salonu. Te ostatnie zawsze były otwarte. Zastępowała je ciężka, wełniana portiera, uchylona trochę w tej chwili tak, że Helenka, choć sama niewidzialna, mogła widzieć obie panny Radliczówny: jedna z nich stała przy fortepianie i układała nuty, druga porządkowała pisma ilustrowane i zeszytowe. Lubiła ona te dziewczęta tak miłe, wesołe i swobodne, przyznawała im wielkie przymioty, ale nie szukała ich towarzystwa, bo nie mogła się jakoś dostroić do ich tonu. Czuła, że jej nie rozumieją, więc wolała czekać tu samotnie na ich ojca niż iść do nich. Wygodne krzesło miało dla niej urok z niczym nieporównany. Siedząc na nim odzyskiwała niejako swoją dawną istotę i przypominała sobie szczęśliwą przeszłość.

„Ach — myślała — jak to przyjemnie zagłębić się tak całym ciałem pomiędzy miękkie wysłania i mieć zarazem wygodne oparcie dla głowy i rąk!"

— Wiecie, co wam powiem — mówił Andrzej wchodząc w tej chwili do salonu — księżniczka kazała sobie przynieść na górę fotel. Czy która z was nie ma czasem stołeczka pod nogi dla tej staruszki?

Obie siostry jednocześnie podniosły głowy, spojrzały na siebie i parsknęły śmiechem. Wszyscy troje śmieli się długo i serdecznie, a najgłośniej nad nimi górował śmiech Andrzeja. Helenka słuchała tego wesołego tercetu, skamieniała z gniewu i oburzenia.

Do tego więc doszło, że się z niej wyśmiewano? Ach, to niegodnie! Dotkliwy ból przeszył jej serce. Trzecia to już osoba nazywała ją szyderczo „księżniczką".

— Wiesz przecie, Andrzeju — odezwała się nareszcie Anna — że u nas w całym domu nic podobnego nie ma; nasza mama, choć jej minęło lat pięćdziesiąt, trzyma się prosto i nie używa nigdy ani fotela, ani podnóżka.

— Nieładnie to z naszej strony tak się bawić cudzym kosztem — zauważyła Elżunia. — Biedna dziewczyna! Nie powinniśmy się jej dziwić, że nie jest podobna do nas i że ma inne, niż my, potrzeby. My jesteśmy wszystkie silne, zdrowe, zahartowane, ona wątła, delikatna i rozpieszczona. Nie ona temu winna, że ją tak wychowano. Ja jej żałuję.

— Masz słuszność — odrzekł Andrzej wesoło — kto w drogę życia wybiera się z poduszką, jest istotnie godzien pożałowania, bo można z góry przewidzieć, że prześpi najlepsze chwile nie tylko we własnym życiu, ale i w życiu ogółu. Wasza księżniczka jest

śpiąca! — Wziął w rękę jeden z dzienników, położył go na powrót i zanucił piosnkę Wasilewskiego[41]:

Drzym[42] sobie, duszo! — co ci do tego,
Że tam myśl czyjaś po niebie lata,
Że ktoś, ciekawy początku swego,
Ze starych grobów kurze obmiata,
Wola do życia umarłych ludzi,
Jądro granitu myślą przewierci,
Wszystko obnaży, wszystko obudzi
I z tego wróży: życie po śmierci!

— Ona nie jest ospała — zaprotestowała Elżunia — tylko ma naturę na wskroś marzycielską. My przyjmujemy życie takim, jakie ono jest, ona nie może się z nim zgodzić. Nie jej wina, że jej nie nauczono chodzić po ziemi.

„Ta przynajmniej nie ma w sobie nic kolczastego" — rzekła do siebie Helenka.

— Nie lubię kobiet eterycznych — mówił Andrzej dalej — tylko istoty rzeczywiste. Tamte nigdy nie wiedzą, dokąd idą i czego chcą. Ale gdzie ona jest, ta księżniczka?

— Nie wiem — odrzekła Anna — pewno u siebie.

Helenka wstrzymała oddech, żeby nie zdradzić swej obecności w bibliotece. W pierwszej chwili chciała wyjść ze swego ukrycia i powiedzieć, że słyszała wszystko... ale po namyśle dała pokój. Ach, jak ona nie cierpiała tego Andrzeja! Od pierwszego dnia wyśmiewał się z niej tylko: śmiał się z jej grzywki, z jej elegancji, z przygody biednego ogona, z chęci posiadania fotela i teraz jeszcze nazywa ją ospałą! Ospałą? Czy ona naprawdę śpi?

— „Kobiety eteryczne nie wiedzą, dokąd idą i czego chcą" — powtarzała sobie. — Na Boga, dokądże ja iść powinnam? Nigdy jeszcze w życiu nie przyszło mi do głowy zastanawiać się nad tym, dokąd ja idę... Tam, dokąd wszyscy. A gdzież idą wszyscy? Idą przez życie ku śmierci, starając się uczynić sobie tę drogę jak można najprzyjemniejszą i najlżejszą. Byłżeby jeszcze jaki cel inny? Co to za cel?

Machinalnym ruchem sięgnęła po pierwszą lepszą książkę ze stołu, otworzyła ją i dziwnym trafem spotkała następujące wyrazy:

Drzym sobie, duszo! — ty byś nie śpiąca
Spłonęła ogniem od zimna skrzepła,
Tyś sama w sobie jasna, gorąca,
Tobie nie trzeba zimna ni ciepła.
Ty sobie możesz stworzyć, co zechcesz,
Mar fantastycznych osnuć się wiankiem.
Ty, gdy przyrodę myślą połechcesz,
Milej ci niż dziewicy z kochankiem.
Co ci do tego, że tam grom pali,
Że jesień wichrzy lub śniegi prószą?
Ty na promykach zapachów fali,
W pieluchach marzeń, drzym sobie, duszo!

W miarę, jak czytała, coraz mocniejszy rumieniec występował na jej lica, aż przybrał prawie barwę purpury. Głowa jej pochyliła się, jakby przygnieciona uczuciem wstydu, a usta kilkakrotnie powtórzyły pytanie: Myśl

— Dokąd ja idę? Dokąd ja idę?

W umyśle, nie przyzwyczajonym do zgłębiania, zrobił się chaos. Myśli, jak ptaki długo w klatce trzymane i nie umiejące używać skrzydeł a niesforne, zrywały się, podlatywały bez jakiegokolwiek bądź ładu i opadały na powrót, znużone nową, nie znaną sobie pracą. Jakieś słabe brzaski zaczęły świtać w jej głowie i rozjaśniać ciemności zasłaniające jej oczy,

[41] *Edmund Wasilewski* (1814–1846) — poeta związany z Krakowem, jego patriotyczne wiersze z muzyką Stanisława Moniuszki były bardzo popularne. [przypis edytorski]

[42] *drzymać* — dziś: drzemać. [przypis edytorski]

a z nimi widok ziemi, po której chodziła, ale na którą dotąd nie chciała patrzeć. Wszystko jednak było mętne i niewyraźne.

W salonie nie było już nikogo. Helenka nie spostrzegła nawet, kiedy i jak wszyscy wyszli. Pan Radlicz nie pokazywał się, ale też już nie pragnęła go widzieć. Nie miała do niego żadnego interesu, bo kto inny powiedział jej to, o co pytać chciała.

Drzwi skrzypnęły i wszedł służący.

— Czego chcesz? — spytała nierada, że jej przeszkadzają.

— Pan kazał mi ten fotel zanieść na górę — powiedział, chcąc go zabrać.

— Nie trzeba — rzekła lekko brwi ściągając — możesz odejść.

Franciszek odszedł, wzruszając nieznacznie ramionami, a ona ścisnęła głowę obiema rękami i wyszeptała raz jeszcze:

— Dokąd ja idę?

XIII

W niedzielę powiedziała sobie, że choćby ją najbardziej namawiano na spacer, nie pójdzie do ogrodu, żeby uniknąć przypomnienia smutnej przygody z ubiegłej niedzieli — ale nikt jej nie namawiał, bo na dworze był mroźny wiatr, rzucający śniegiem jakby piaskiem w oczy i zapierający oddech. Nikt nie myślał o spacerze. Spędzano czas na gawędce i czytaniu w salonie. Helenka się do gawędki nie mieszała, bo czuła urazę do wszystkich za śmiech wczorajszy, a czytanie nie zajmowało jej dzisiaj. Nie mogła się zdobyć na potrzebne do czytania skupienie myśli i uwagę. Cokolwiek bądź wzięła w rękę, wszędzie widziała wielkimi literami wypisane pytanie, nurtujące ją od wczoraj. Jeden tylko fortepian ciągnął ją do siebie, fortepian podobny jak dwie krople wody do jej własnego fortepianu, przy którym chwile spędzone uważała zawsze za najmilsze. Wstała, zbliżyła się do niego i dotknęła kilku klawiszów. Pan Radlicz rad, że ją nareszcie coś interesuje, rzekł podnosząc oczy od gazety:

— Może pani zagrasz nam cośkolwiek? Prosimy bardzo.

— Prosimy, prosimy — powtórzyło kilka głosów.

Helenka skorzystała chętnie z zaproszenia, jako z pierwszej sposobności popisania się tym, co umiała. Na pulpicie leżała rozłożona sonata Beethovena; była to właśnie sztuka, nad którą pracowała najwięcej i umiała ją prawie na pamięć. Beethoven nie był jej kompozytorem ulubionym, bo tylko poważni, zdolni do głębszego myślenia ludzie umieją odczuć takiego mistrza i pokochać go — a ona grywała tylko salonowe, eleganckie kompozycje. Że jednak czytywała i słyszała, jak ludzie o Beethovenie podniośle się wyrażają, jak cenią artystów grywających jego utwory, więc i ona postanowiła spróbować tego autora, a chociaż jej nie smakował, wypracowała jedną z sonat, aby i ona także mogła się Beethovenem popisać. Zagrała ją i zdawało jej się, że gra lepiej niż kiedykolwiek, że sama siebie przewyższa. Raz rzuciła sponad fortepianu badawcze spojrzenie na swoich słuchaczy, jakby chcąc widzieć wrażenie grą swoją sprawione, ale nic odgadnąć nie mogła — nie wątpiła jednak, że było głębokie.

Skończywszy spuściła oczy, oczekując w skromnej postawie na poklask i pochwały, jakie ją zawsze w M. po odegraniu jakiejś sztuki spotykały — ale echo ostatnich akordów umilkło, a cisza była jeszcze w salonie. Biorąc tę ciszę za objaw silnego wzruszenia, podniosła nieśmiało oczy, a lekki rumieniec twarzyczkę jej okrasił. Ciszę przerwał nareszcie głos pana Radlicza, który znał się na muzyce, bo będąc niegdyś uczniem uniwersytetu niemieckiego w Lipsku, uczęszczał w wolnych chwilach na studia muzyczne.

— Grasz pani dosyć biegle — powiedział bez najmniejszego cienia zachwytu — ale nie rozumiesz wcale Beeihovena. Nie poznałby się wielki mistrz, gdyby panią posłyszał.

Gdyby piorun wypadł z jasnego nieba, nie byłby Helenki więcej zdumiał i przeraził. Ona nie rozumiała Beethovena? Ona, której artyzm wynoszono ponad niebiosa i która, biorąc raz udział w koncercie amatorskim na rzecz ubogich miasta M. , zarzucona była kwiatami? Czy słyszał kto co podobnego? Bladość śmiertelna zajęła miejsce rumieńca, zdobiącego ją przed chwilą. Chciała przemówić, ale głos zamarł jej w gardle. Z niemałym wysiłkiem zdołała zaledwie wyjąknąć:

— Ja nie rozumiem Beethovena?

Pan Radlicz widząc wrażenie, jakie słowa jego na niej sprawiły, położył gazetę, którą w ręku trzymał, i zbliżył się do fortepianu.

— Moje dziecko — przemówił łagodnie — niech cię nie zraża to, co powiedziałem. Masz niezaprzeczone zdolności do muzyki, ale żeby je rozwinąć należycie, potrzeba trzech rzeczy: duszy, duszy i jeszcze raz duszy! Czytać biegle nuty i mieć łatwość w palcach, to nie dosyć.

„Duszy? — rzekła do siebie machinalnie Helenka — więc ja jej nie mam? Więc tamten wczoraj prawdę mówił?"

— W Beethovenie — mówił dalej pan Radlicz — jest spokojna, świadoma siebie siła; jest głębia przejrzysta, mimo kilkowarstwowej najczęściej brzemienności; jest uczucie, wywiązujące się z refleksji czy zadumy i wykrywające niepowszednie duszy porywy; jest prostota i trzeźwość, mimo bogactwa kombinacji i niezwykłych wywodów z tematu, który się zdaje nadawać tylko do utrzymania słuchacza w obojętności. Słowem, jest w Beethovenie cały świat myśli i uczucia; myśli wzniosłych i głębokich, uczucia, które goreje i rozpłomienia słuchacza. Cechy te najsilniej się objawiają w symfoniach na orkiestrę, w dziełach do muzyki kameralnej należących, jak duety, tria, kwartety itp.; wreszcie w sonatach na sam fortepian. Wszystko to dostojne, pełne znaczenia, a niejednokrotnie i bogatej charakterystyki. Oto, co ja widzę w Beethovenie. Pani mało jeszcze znasz życie, co się zdarza w ogóle młodym osobom, ale nie masz i przeczucia, boś nie zajrzała jeszcze w głębię własnego ducha, jako mało dotąd rozbudzonego. W grze pani, jeśli znać pragnienie, jeśli znać już poszukiwanie, to znajdziesz pani to tylko, co na samym wierzchu leży, jak kwiat wonny o barwach uroczych — ale nie przypuszczasz pani nawet, że coś się dzieje z jego liśćmi, łodygą, a nade wszystko korzeniem, który już sam jeden czyni możliwym istnienie kwiatu i dostarcza soków całej roślinie.

Helenka słuchała z uwagą słów pana Radlicza, a choć mu za nie była wdzięczna, bolało ją bardzo, że zganił ją tak publicznie wobec całej rodziny. Co też oni wszyscy myśleli sobie teraz o niej? Niezawodnie śmieli się w duchu z jej niepowodzenia. Chciała ich olśnić swoim talentem, tymczasem naraziła się na śmieszność... Straszne rozczarowanie! Dobrze, że choć Andrzeja przy tym nie było — miałby nowy powód do wyśmiewania się z niej. Pan Radlicz zabrał się na nowo do czytania, a ona, chcąc uniknąć z kimkolwiek rozmowy, stanęła przy oknie i patrzyła na drzewa, stojące wzdłuż alei dwoma rzędami, oraz na gałęzie ich, pokryte szronem i błyszczące przy świetle latarni.

Andrzej, nieobecny do tej pory, przyszedł teraz, usiadł na jej miejscu przy fortepianie, spojrzał na nuty rozłożone na pulpicie i zaczął grać tę samą sonatę, którą ona grała przed chwilą. Zrazu Helenka nie słyszała nic prócz tętna własnej krwi wzburzonej i rozdrażnionej! Po chwili jednak zaczęła przysłuchiwać się tonom, odbijającym się dotąd martwo o jej uszy, i w miarę, jak słuchała, wzburzona krew płynęła w żyłach spokojniej, falowanie nerwów łagodniało, a do duszy wstępował łagodny spokój, kojący ból i rozdrażnienie. Słuchała coraz baczniej, a słuchając dziwiła się temu, co słyszała. Byłaż to ta sama sonata, którą znała tak dobrze, jak jej się zdawało? Andrzej wydobywał z niej rzeczy dziwne, potężne rzeczy, jakich się nawet nie domyślała, że się tam znajdują.

„I ten prozaiczny człowiek umie tak grać? — mówiła do siebie — to dziwne..."

Podano herbatę, lecz Helenka nie miała ochoty w niej uczestniczyć, wolała iść do siebie. Chciano ją zatrzymać, ale wymówiła się znużeniem i potrzebą wczesnego spoczynku. Brała już za klamkę, gdy pani Radliczowa podała jej lichtarz mówiąc:

— Oto jest świeca pani, panno Orecka. Zostawiłaś ją pani na górze palącą się, a ja ją zgasiłam i przyniosłam tutaj, bo uważam za niepotrzebne, żeby świeca paliła się, gdy nikogo nie ma w pokoju. Gdy pani w nim jesteś i pracujesz, to zapal sobie nawet cztery świece, żeby ci było jaśniej, nie mam nic przeciwko temu — ale po co się światło ma palić niepotrzebnie? Może pani chcesz świecę zaraz zapalić? Zapałki tu są.

Helenka spojrzała na nią wzrokiem martwym, wzięła lichtarz i, wyszeptawszy machinalnie słowo: „przepraszam", odeszła. Wiedziała już teraz, kto jej codziennie gasił świecę.

„Nie, ja nie zniosę takiego życia — mówiła do siebie chodząc po swoim pokoju, gdzie nikt jej nie słyszał i gdzie mogła dać folgę wezbranym uczuciom — nie chcę zakopać się jak w grobie w tym domu, tak podobnym do klasztoru lub więzienia, gdzie moja duma cierpi tak boleśnie, gdzie na każdym kroku upokarzają mnie, szydzą z mojej słabości i dają mi nauki, o które nie proszę! Jak to! Mam dopiero lat siedmnaście i już miałabym się

wyrzec wszystkiego, do czego młodość daje prawo, i zabijać się moralnie wypisywaniem tych przebrzydłych cyfr, o których nigdy nie mogłam myśleć bez wstrętu? Ależ ja chcę żyć! używać! bawić się! Chcę powietrza, przestrzeni i swobody, robienia tego, co mi się podoba, a nie tego, co muszę!... Nienawidzę tego okrutnego rygoru i żelaznej logiki tych ludzi, którzy pojedyncze osoby czynią odpowiedzialnymi za losy narodów!"

Jak ptak nawykły do swobodnego lotu szarpie się w klatce, chcąc rozbić jej ściany, choćby miał skrzydła o niego połamać, tak biedna „księżniczka" rzucała się w ścianach swego pokoju, który uważała jako więzienie. W domu tym pełnym ludzi czuła się samotna i opuszczona, niby Robinson Kruzoe na bezludnej wyspie. Ale Robinson korzystał z odkryć, jakie czynił, i urządzał sobie podług nich życie, a ona gardziła odkryciami, porobionymi w dziedzinie myśli i prawdy życiowej. Robinson przyzwyczaił się do swojej wyspy i kochał ją nawet, a ona czuła, że znienawidzi raczej swoją, niż przyzwyczai się do niej kiedykolwiek. Tydzień próby dostatecznie ją o tym przekonał. Robinsona odkrycia jego podnosiły, cieszyły i dodawały mu otuchy, a jej odkrycia działały na nią przygnębiająco, odbierały jej swobodę, żywość, humor, wiarę w siebie, słowem, wszystko. Pełniła, co jej kazano, ale nie kładła w swoją pracę ani cząstki duszy, tylko wykonywała ją mechanicznie, jakby istotnie nie była niczym innym, tylko prostym kółkiem w maszynie — a ten przymus przytłumił na chwilę jej żywy temperament. Ale to było tylko pozornie; temperament ten odezwał się teraz z podwójną gwałtownością. Wybuch wywołało napomnienie pani Radliczowej z powodu świecy — a choć to był tylko mało znaczący drobiazg wobec tego, co już zniosła, stał się jednak kroplą przepełniającą naczynie.

Przycisnęła płonące czoło do szyby, lecz lodowate jej zimno nie ochłodziło go bynajmniej. Dziedziniec pogrążony był w mroku, ale niebo iskrzyło się gwiazdami tak samo jak owej nocy, kiedy, obwołana królową balu, odbierała hołdy młodzieży i podbiła serce najpiękniejszego w okolicy młodzieńca. Była to noc tryumfów i upojeń! Wydało jej się, że słyszy jeszcze orkiestrę, grającą dziarskiego kujawiaka, rzęsiste oklaski patrzących i słyszy fanatyczne okrzyki i toasty, wychylane za jej zdrowie. To było życie! Takim życiem mogła była żyć jeszcze, gdyby była usłuchała matki i przyjęła zaproszenie na bal do barona. Miała już zamówioną tak cudowną toaletę... O, nie wątpiła ani na chwilę, że każdy z tych, co u stryja dobijali się o jeden z nią taniec, o jej spojrzenie, o jej uśmiech i o jej słówko, gdyby tylko chciała, złożyłby chętnie u jej stóp serce i majątek. Ale ona wybrałaby tylko jednego, jedynego, młodzieńca z twarzą boga greckiego, niepodobną w niczym do twarzy tego niemiłego, szorstkiego Andrzeja, nie mającego w sobie nic eleganckiego ani salonowego. O ileż łatwiej i przyjemniej byłoby dojść do celu po woskowanej posadzce, w wesołych podskokach i przy dźwiękach muzyki — niż w pocie czoła zarabiając na kawałek chleba... Była stworzona do szczęścia, nie do cierpienia, do dawania rozkazów, nie do słuchania ich; czuła to. I ona miałaby zagrzebać tutaj swoją młodość i piękność wraz ze swymi pragnieniami i nadziejami? Chybaby rozum straciła! Nie, ona powróci do domu. Dziś jeszcze powie panu Radliczowi, że nie czuje się na siłach do pełnienia dłużej tak trudnych obowiązków. Czyż on sam nie powiedział kilka dni temu, że może jeszcze się cofnąć? Że powinna się dobrze namyślić... Otóż namyśliła się właśnie. Co oni jednak wszyscy na to powiedzą? Jakże wartość jej, i tak już w ich oczach niewielka, obniży się jeszcze! Andrzej z uśmiechem powie: „przewidywałem, że tak będzie". Sama myśl o tym, że ją, przez wszystkich uwielbianą, on jeden śmie lekceważyć, burzyła wszystką krew w jej żyłach. Ale cóż on ją może obchodzić! Mniejsza o niego i jego zdanie! Lepiej zresztą raz znieść milczącą naganę niż na każdym kroku znosić upokorzenia...

Gdy odchodziła od okna, zamiar jej już był powzięty. Zejdzie na dół i oznajmi o nim całej rodzinie — teraz właśnie, gdy wszyscy siedzą przy stole. Przyjdzie jej to łatwiej niż potem mówić każdemu z osobna.

Zapukano do drzwi i Franciszek podał jej list. Na kopercie poznała pismo matki: rozerwała ją drżącymi rękami i przysunąwszy do światła, zaczęła czytać:

> Moja najdroższa Helciu! Od czasu Twego wyjazdu jest nam tu bardzo smutno; oboje z ojcem chodzimy z kąta u kąt i nigdzie sobie miejsca znaleźć nie możemy. Ojciec po całych dniach nic nie mówi, tylko gra swego marsza, a ja przez ten tydzień strasznie zmizerniałam i nerwy mam okropnie rozdrażnione. Ale jak tu mieć nerwy spokojne, kiedy na moją biedną gło-

wę wali się coraz więcej kłopotów! Żyjemy ciągle na kredyt, a tu znikąd nie można się spodziewać żadnego dochodu i nie wiadomo nawet, z czego się będzie długi płacić... Ach, ten ojciec, ten ojciec! Co on nam swoją zbyteczną dobrocią narobił.

— Biedny ojciec! — westchnęła Helenka przerywając czytanie.

Konie jeszcze nie sprzedane. Rozpuściłam pogłoskę, że chcemy sobie inne kupić, i teraz nie możemy się opędzić faktorom. Za nasze dają nam bardzo mało, więc się wstrzymujemy; tymczasem trzeba je żywić, a owies coraz droższy. Powozu nie sprzedam, żebym mogła chociaż czasem przejechać się do kościoła lub na spacer, pożyczywszy koni od kogo, bo chodzenie mnie męczy. Zresztą gdybym zaczęła chodzić piechotą, ludzie by się zaraz wszystkiego domyślili, a ja bym tego nie zniosła.

— Biedna mama! — szepnęła i czytała dalej:

Niespokojna bardzo jestem o Ciebie, moje dziecko kochane, czy nie zanadto męczysz się pracą. Tyś taka delikatna! Boję się, żeby Ci to nie zaszkodziło. Napisz mi, czy dużo osób bywa u państwa Radliczów i czy byłaś też już na jakiej zabawie. Chciałabym wiedzieć, jakie porobiłaś znajomości, mianowicie, czy poznałaś już kogo z arystokracji. To jedno mnie tylko pociesza, że Twoja praca niedługo będzie trwała; że może tam w Warszawie pójdziesz lepiej za mąż niż tutaj. Ale zapomniałam ci donieść, że był u nas z wizytą Stefan Jerski i bardzo się dziwił, żeś wyjechała na karnawał do Warszawy, kiedy w okolicy szykuje się tyle pięknych i świetnych zabaw; żałował, że największa ozdoba tych zabaw zniknęła. Ściskam Cię po tysiąc razy, moje dziecko kochane.

Helenka długo stała nieruchoma z listem w ręku, a po twarzy przebiegały jej na przemian światła i cienie. Nareszcie schowała list do kieszeni, zgasiła świecę i wolnym krokiem zeszła na dół. W sieni spotkała Franciszka i spytała go o pana, powiedział, że pan jest w swoim gabinecie. Nie była tam jeszcze nigdy, ale wiedziała, że jest tuż przy kantorze. Zapukała z lekka.

— Kto tam? — zapytano.

— To ja — odpowiedziała nieśmiało — czy mogę wejść?

— Proszę.

— Przepraszam pana bardzo, że przychodzę o tej porze, ale chciałam pomówić z panem w pilnym i ważnym dla mnie interesie.

Pan Radlicz był zajęty pisaniem listów. Położył pióro i wskazując jej krzesło, rzekł z wolna:

— Zapewne pani namyśliłaś się i chcesz odjechać. Czy zgadłem?

— Przed godziną jeszcze miałam ten zamiar — rzekła z całą szczerością, choć lekki rumieniec zabarwił przy tym jej lica — ale teraz postanowiłam zostać...

— A zatem?

— Przyszłam pana prosić o pozwolenie pracowania w kantorze wieczorem, niezależnie od godzin dziennych. Mam dosyć wolnego czasu i mogłabym...

— Chcesz pani więcej zarabiać, czy tak?

— Tak — odparła rumieniąc się jeszcze więcej, bo kwestia zarobku była zawsze dla niej drażliwą — zdaje mi się, że nauczyłabym się prędko ważyć nasiona i nasypywać je w torebki.

— Nie jest to nic trudnego — odpowiedział — trzeba mieć tylko wprawę, a tej pani wkrótce nabierzesz. Dobrze się stało, że dziś się o tym dowiaduję, bo jutro właśnie chciałem przyjąć jednego więcej nasypywacza. Odbieramy zawsze tak liczne zapotrzebowania, że ci, co są, nie mogą nastarczyć ważyć i ekspediować posyłek.

— Dziękuję panu.

— A więc od jutra — rzekł pan Radlicz, zabierając się z powrotem do pisania.

Ale Helenka nie ruszała się z miejsca.

— Mam jeszcze drugą prośbę do pana — wyrzekła z wielką nieśmiałością.

— Słucham panią...

— Czy nie mogłabym...

Głos jej uwiązł w gardle; zatrzymała się dla zaczerpnięcia powietrza. To, o co miała prosić, wiele ją kosztowało. Duma jej cierpiała nad tym niezmiernie.

— Czy nie mogłabym dostać naprzód mojej pensji za cały miesiąc...

Pan Radlicz pomilczał chwilkę.

— Nie mam zwyczaju wypłacać nigdy naprzód — powiedział — i nierad bym od niego odstępować, bo to prowadzi do nieporządku w rachunkach.

Helenka uczuła bolesne ściśnięcie serca. Na próżno więc się tak upokorzyła! Ale czyż mogła przewidzieć, że ją spotka odmowa? Jej ojciec wszystkim chętnie wypłacał pensje z góry, nie czyniąc w tym najmniejszych trudności, a niektórzy nawet powybierali je naprzód za cały rok.

— Dla pani zatem nie będę robił wyjątku, bo gdybym to uczynił, upoważniłbym innych moich podwładnych do żądania tego samego, ale ofiaruję pani pożyczkę, równą wysokości miesięcznej pensji pani. Czy dobrze?

— Dobrze — odpowiedziała dziwiąc się w duchu temu postępowaniu, w istocie bowiem było to wszystko jedno — będę panu bardzo wdzięczna.

— Słowo wdzięczność wykreślamy z naszej rozmowy — odparł z pewną dobrotliwą wesołością — zrobiliśmy prosty interes. Zostałaś pani moją dłużniczką, której wypłacalności ufam, choć ją jedynie na moralnej ewikcji oprzeć mogę.

Wyjął z pugilaresu kilka banknotów i podał jej; podziękowała mu bladymi usty[43], czuła bowiem, że biorąc te pieniądze sprzedawała swoją wolność, poddawała się pod jarzmo, jak to sama nazywała. Dopóki jeszcze miała otwartą furtkę do wycofania się, było jej jako tako — ale gdy ta furtka zamknęła się za nią na rygiel, ogarnęło ją coś podobnego do rozpaczy.

W sieni spotkała Andrzeja. Widząc ją wychodzącą z gabinetu o tej porze, okazał niemałe zdziwienie. Milcząc usunął się jej z drogi, ale widziała z jego twarzy, że będzie się ojca pytał, po co tam była. W tej chwili jednak było jej to zupełnie obojętne.

Wróciwszy do siebie napisała do matki list, w którym między innymi znajdował się ustęp następujący:

List, Kłamstwo

> Jest mi tu bardzo dobrze, droga mateczko. Pokoik mam ładny i wygodny, zajęcia niewiele; wszyscy są dla mnie dobrzy i psują mnie swoją troskliwością, toteż czuję się tutaj jak między swymi, jakby w domu. Jestem wesoła i gdyby nie to, że mi tęskno do domu, gdyby nie myśl, że rodzice tam żyją pod naciskiem trosk, byłabym zupełnie szczęśliwą. Na żadnej zabawie jeszcze nie byłam, bo jestem tu dopiero tydzień, ale spodziewam się, że wkrótce poznam cały wielki świat warszawski, bo u państwa Radliczów przygotowuje się świetna zabawa.

W przypisku był jeszcze dodatek, że posyła rodzicom pierwsze zarobione przez siebie pieniądze, bez objaśnienia jednak, że szczupła ta kwota stanowi jej całą pensję miesięczną.

Skończywszy ten list, w którym ani jedno słowo nie było zgodne z prawdą, włożyła w niego pieniądze i odetchnęła swobodniej. Dla zadowolenia matki napisała szereg fałszów i zdawało jej się, że spełniła dobry uczynek.

XIV

Prosząc swego pryncypała o pozwolenie pracowania w kantorze wieczorem, Helenka mniemała, że będzie pracować samotnie i zdziwiła się niepomału widząc tam dwie młode kobiety, które widocznie także chciały zarabiać poza godzinami obowiązkowymi. Dla panny Oreckiej, nie spodziewającej się nikogo zastać o tej porze, obecność ta była bardzo niemiłą. Myślała, że oprócz rodziny Radliczów nikt więcej o tym wiedzieć nie będzie, tymczasem jej współtowarzyszki od pierwszego dnia zaraz miały być tego świadkiem. Gdy się jest elegancką damą, ubierającą się podług najpierwszej mody, to nie doznaje się przyjemnego uczucia, gdy ludzie wiedzą, że się tak bardzo potrzebuje zarobku...

[43] *usty* — dziś popr. forma: ustami. [przypis edytorski]

Pan Radlicz zapoznał ją z tymi młodymi osobami, z czego ona nie bardzo była zadowolona. Wolałaby już pracować zupełnie incognito[44]. Proszone przez pryncypała, panie te obznajmiły Helenkę z całą manipulacją ważenia i nasypywania, za co otrzymały grzeczne, ale nieco lekceważące podziękowanie. Skromne ich suknie, nie odznaczające się elegancją, a głównie brak salonowych manier, dały jej do myślenia, że ma do czynienia z osobami niezmiernie niżej od siebie stojącymi nie tylko pod względem towarzyskim, ale i umysłowym. Ze zaś chłodne zachowanie się panny Oreckiej nie mogło do niej towarzyszek pociągnąć ani ośmielić, a obecność jej krępowała do pewnego stopnia ich swobodę, więc wszystkie trzy pracowały w milczeniu. Helenka wkrótce nabrała wprawy w swoim nowym zajęciu, a myśl, że za gorliwszą pracę lepiej będzie wynagrodzona, dodawała szybkości jej rękom.

Milcząca praca trzech kobiet nie mogła jednak trwać długo, po kilku dniach obie towarzyszki przestały zważać na obecność trzeciej i gawędziły z dawną swobodą. Z rozmów ich powoli dowiedziała się Helenka, że jedna z nich od lat pięciu opiekuje się czworgiem drobnego rodzeństwa, a druga posyła pieniądze bratu na wyspę Sachalin[45]. Odkąd się o tym dowiedziała, wielkość jej własnego dla rodziców poświęcenia bardzo zbladła. Obie te kobiety posiadały ukształcenie mniej świetne wprawdzie niż ona, ale za to gruntowniejsze; obie były młode, miały więc także prawo żądać czegoś od losu, używać rozrywek i przyjemności, a przecież znosiły go cierpliwie, a nawet były szczęśliwe, że mogły zarabiać.

Blade zimowe słońce skąpo oświecało ziemię, gdy Helenka w godzinie południowej wyszła do ogrodu, żeby odetchnąć trochę świeżym powietrzem po czterech godzinach nużącego siedzenia na jednym miejscu. Nogi jej śmielej już teraz stąpały po śniegu, bo długie suknie, które wprzód z uporem nosiła, musiały zostać odłożone na lepsze czasy. Okazały się one bardzo niepraktyczne przy codziennej pracy, a pył, wydzielający się z nasion, osiadał na muślinach i koronkach i zmieniał do niepoznania ich barwę. Toteż wydobyła z kufra podróżną suknię z granatowego sukna, zrobioną krojem marynarskim, najskromniejszą ze wszystkich, i musiała przed sobą przyznać, że z powodu braku przy niej wytworniejszych ozdób właśnie ta była najwygodniejszą. Powierzchowność Helenki nic na tym nie straciła; wyglądała wprawdzie mniej elegancko, ale za to jakoś raźniej i swobodniej, a szeroki płócienny kołnierzyk dodawał temu ubiorowi świeżości i prostoty. Nie kładła też już na ręce złotych bransoletek, bo sama dziś wiedziała, że to byłoby śmieszne — a od noszenia tiurniury, której żadna z kobiet w tym domu nie nosiła, powstrzymywał ją jakiś wstyd.

Strój

Przechodząc koło cieplarni spotkała się oko w oko z wychodzącym stamtąd Andrzejem. Chciała się cofnąć, ale już było za późno — zresztą „nieprzyjemny człowiek" niósł w ręku coś, co przyciągało jej wzrok siłą magnetyczną. Był to przepyszny egzemplarz białej azalii cały okryty kwiatami i pączkami, spod których nawet gałązek nie było widać, jeden olbrzymi bukiet bielszy od śniegu. Oczy dziewczęcia zajaśniały.

— Co za prześliczne kwiaty! — zawołała mimo woli.

Andrzej przystanął.

— Lubisz pani kwiaty? — rzekł jakby zdziwiony. — Nie wiedziałem o tym. Ale kiedy tak, to proszę z sobą. Mam tu coś, co panią pewnie zainteresuje.

I otworzył drzwi cieplarni, puszczając ją przed sobą.

Był to duży budynek, obmyślany podług wszelkich wymagań nowoczesnego budownictwa szklarnianego. Nakryty szklanym dachem, wspartym na lekkim, ale mocnym wiązaniu żelaznym gromadził wielką ilość światła potrzebnego roślinom. Stały tam olbrzymie paprocie, zwieszające ku dołowi swoje koronkowe liście, stały palmy, sięgające niemal do sufitu, a dokoła nich grupowały się gardenie, franciscee i inne rośliny okryte kwiatami. Na ziemi były ustawione setki cebulkowych roślin kwitnących o tej porze: tulipany, hiacynty, konwalie, szafrany — a żywe ich barwy przepysznie odbijały na ciemnym tle innych krzewów. W rogu cieplarni, gdzie były zgromadzone wszystkie paprocie, znajdował się niewielki okrągły basen napełniony wodą, a złote rybki to wypływały na wierzch, to chowały się między rośliny wodne czepiające się ścian obmurowania. Tuż przy basenie

[44]*incognito* (łac.) — bez podania nazwiska, zatajając swoją tożsamość. [przypis edytorski]

[45]*posyła pieniądze bratu na wyspę Sachalin* — na wyspie Sachalin, leżącej pomiędzy Rosją a Japonią na Oceanie Spokojnym, znajdowała się w II połowie XIX w. carska kolonia karna, na którą zsyłano m.in. Polaków walczących z caratem. [przypis edytorski]

stała mała ławeczka żelazna, zachęcająca do siedzenia — a druga ławeczka pod ścianą, która cała bluszczem była pokryta, miała jeszcze przed sobą niewielki żelazny stoliczek. Z góry, niby żyrandole, zwieszały się rosnące w korze drzewa i mchu przepyszne storczyki.

— Jest to pracownia moich sióstr — powiedział Andrzej wskazując ławeczki — jedna przychodzi tu często malować z natury kwiaty na porcelanie, druga układa obstalowane bukiety.

„Przyjemna pracownia" — pomyślała Helenka, oddychając orzeźwiającym powietrzem oranżerii, nasyconym wonią kwiatów.

Nie wiedziała ona o istnieniu tego raju w obrębie swego więzienia, bo apatyczna na wszystko, co się dokoła niej działo, myśląca ciągle tylko o własnej osobie i tym, co nazywała swoim nieszczęściem — nie okazała ani razu chęci zwiedzenia budynków. Oczy jej patrzące od dwóch tygodni na same ciemne barwy i formy surowe nie mogły się nasycić tym widokiem.

Andrzej pokazał jej olbrzymi krzew, którego wielkie, zębate, błyszczące liście, podziurawione w duże foremne serca zwracały już uwagę swoją oryginalnością, jak również wielka ilość korzeni grubości palca, wyrastających wzdłuż łodygi i zwieszających się na dół niby dziwaczna frędzla. Helenka przypatrywała mu się ciekawie.

— Jest to filodendron — odpowiedział Andrzej — znajduje on się we wszystkich cieplarniach i zaczyna się bardzo rozpowszechniać w hodowli pokojowej dla swych ozdobnych liści. Nie zwracałbym na niego uwagi pani, gdyby nie jedna okoliczność. Roślina ta w naszym kraju jeszcze nie kwitła. Sądziliśmy, że do tego potrzebuje koniecznie swego ojczystego powietrza i słońca, tymczasem... Spojrzyj pani w górę...

Helenka podniosła głowę do góry i wydała okrzyk podziwu. Z samego wierzchołka wykwitał kwiat osobliwy. Z kształtu podobny do wielkiej muszli wyrzuconej z głębi morza, do połowy rozwartej, olśniewał oczy swą śnieżną białością. W muszli, niby Wenus, leżała pewnego rodzaju szyszka, kolbą zwana, pokryta wypukłym rysunkiem, który to rysunek odciśnięty na śnieżnym jej łożu, zdobił je jak koronka.

— Ależ to cud prawdziwy — przemówiła po chwili, w której się przyglądała kwiatowi w niemym podziwie — jak żyję, nie widziałam nic podobnego. Dziękuję panu bardzo, żeś był łaskaw mi to pokazać.

— Jest to istotnie kwiat cudowny, ale mnie on tak nie zadziwia jak panią. Od czasu gdy jako przyrodnik zacząłem ściślej badać naturę, widzę cuda na każdym kroku i drobne źdźbło trawy, które depczemy nogą nie zwracając na nie uwagi, jest dla mnie cudem nie mniej godnym podziwu jak ten kwiat wspaniały; a im więcej tajemnic natury poznaję, tym bardziej staję się pokornym i zaledwie śmiem oczy podnieść ku gwiazdom i powtarzać z poetą:

Potężny Boże na ziemi i w niebie,
Gdy spojrzę na dzieł Twoich widowisko,
A potem oczy obrócę na siebie,
Jak mnie Twa wielkość upokarza nisko![46]

— I pan to przemawiasz językiem poety? Pan, uważający za szkodliwe wszelkie marzenia i zawzięty ich przeciwnik!

— Jestem przeciwnikiem chorobliwego marzycielstwa i gorączkowo wybujałej fantazji — odpowiedział — ale poezję prawdziwą cenię tak samo jak pani. Tylko w tym się z sobą różnimy, że pani gardzi pospolitymi sprawami codziennego życia i rada by się od ziemi oderwać, a ja rad na niej pozostaję i żadnej sprawy nie uważam za błahą. Wszystko, cokolwiek istnieje na świecie, jest godne uwagi i potrzebne, a wielkie sprawy tak samo nie mogą istnieć bez drobnych, jak drobne bez wielkich. Rzekłbym, że jedne podają rękę drugim, a wszystkie razem sprzęgają się w jeden ogromny łańcuch, którego my jesteśmy tylko ogniwami.

[46] *Potężny Boże na ziemi i w niebie, Gdy spojrzę na dzieł Twoich widowisko, A potem oczy obrócę na siebie, Jak mnie Twa wielkość upokarza nisko!* — pierwsza strofa *Pieśni o wielkości Boga, a nikczemności człowieka* Franciszka Karpińskiego. [przypis edytorski]

— Czy jednak, patrząc w niebo, nigdy panu nie przyjdzie ochota podumać i pomarzyć? Czy nigdy pan nie zapragnie ściągnąć stamtąd na ziemię, jak ze źródła wszelkiego dobra, światła, ciepła i wszelkiej szczęśliwości?

— Nie, pani, bo zdawałoby mi się, że niebo mówi do mnie: „Spełnienie twoich pragnień od ciebie samego zależy. Zamiast patrzyć we mnie z założonymi rękami, weź się raczej do pracy nad urzeczywistnieniem ich". Pan Bóg złożył w duszach naszych pierwiastki sił potrzebnych do wytworzenia sobie dobra i szczęścia — nie godzi się więc żądać jeszcze od niego, żeby odrabiał za nas całą robotę!

Helenka uśmiechnęła się mimowolnie.

— Marzycielstwo jest rzeczą szkodliwą, jako przytępiające energię i prowadzące do lenistwa duchowego. Czy pani znany jest wiersz Pauliny Krakowowej[47] o kobiecie?

— Nie.

— Cierpiała ona wiele i rozumiała dobrze potrzeby swego społeczeństwa. Oto jej słowa:

Kobieta? puch marny! Kobieta? niebianka!...
Kobieta? to cacko
To raju mieszkanka!
To wietrzna istota! Serc ludzkich królowa!
To rodu ludzkiego... mniej ważna połowa!

Kobieta?... a ja wam powiadam zaiste;
Gdy myśli porządnie i serce ma czyste,
Gdy od czczych uniesień i marzeń jest wolna,
Gdy szczerze dla drugich poświęcić się zdolna,

Gdy ziemię swą kocha uczuciem poczciwem,
Gdy myślą od ziemi do nieba aż sięga,
Och! wtedy kobieta jest *świętym ogniwem*,
Które ziemię z niebem sprzęga.

Marzenie, Kobieta

Słowa te: „gdy myśli porządnie", kazałbym złotymi literami wyryć na marmurze i umieścić w miejscu tak widocznym, żeby je wszystkie kobiety czytać mogły; bo tylko kobieta myśląca porządnie i wolna od czczych uniesień i marzeń może być prawdziwie użytecznym członkiem społeczeństwa. Bujać po obłokach nie wolno nawet kobietom narodów szczęśliwych... bo jeśli są takie narody, to marzenia kobiet nieszczęśliwymi by je zrobiły. Nasze nie powinny ani na chwilę odrywać się od ziemi, co je na świat wydała, ale trzymać jej się mocno sercem i pilnować jak skarbu, bo inaczej mogą ją utracić. Nie mówię, żeby nie spoglądały w niebo, bo mają o co się modlić; ale niech nie tworzą sobie fikcyjnych sytuacji i nieszczęść urojonych, gdy rzeczywistość wszystkimi głosami i ze wszystkich stron nawołuje je do trzeźwości, baczności i czuwania. Czymże jest poezja marzeń wobec rozgrywających się bezustannie dokoła tragedii i dramatów, o których wszyscy wiedzą, chociaż chór milczy!...

Helenka słuchała, dziwiąc się, jak tym ludziom nieodstępnie towarzyszyła na każdym kroku myśl o położeniu społeczeństwa, w którym żyli, i poczuwanie się z nim do solidarności. Rodzina Radliczów, choć żyła prawie na ustroniu, nie prowadziła życia odosobnionego, ale odczuwała wszystko, co się dookoła niej działo. Helenka w domu nie widziała nic podobnego. Tam prądy przepływały obok ich rodzinnego ogniska, ale nie przez jego środek; a jeśli które poruszyły struny bolesne w sercach, umysły pozostawały smutne i zniechęcone. Tu nie poddawano się zniechęceniu; zastanawiano się nad

[47] *Paulina Krakowowa* (1813–1882) — społeczniczka, pisarka i dziennikarka. Jej ojciec, warszawski mieszczanin, stracił cały majątek w czasie powstania listopadowego i popełnił samobójstwo, więc Paulina była zmuszona zarabiać na życie jako nauczycielka. Wyszła za mąż za uczestnika powstania listopadowego, wychowała pięcioro dzieci, trzech jej synów brało udział w powstaniu styczniowym. Założyła i prowadziła szkołę dla dziewcząt. Głosiła idee patriotyczne i emancypacyjne. Zofia Urbanowska pisała *Księżniczkę* na konkurs „Tygodnika Ilustrowanego", ogłoszony na cześć zmarłej właśnie Pauliny Krakowowej, i uzyskała pierwszą nagrodę. [przypis edytorski]

przyczynami złego, patrzano niebezpieczeństwu śmiało w oczy i szukano na nie środków zaradczych.

— Jak państwo wszyscy jesteście do siebie podobni — rzekła — podobne słowa słyszałam już od ojca pańskiego i od matki. Co mnie zaś najwięcej zadziwia, to że ani na chwilę nie odstępuje was myśl należenia do ogólnej całości.

Nieśmiertelność, Społecznik, Patriota, Praca organiczna

— I pani myśl ta z czasem towarzyszyć będzie, bo ona przychodzi do człowieka w miarę lat i nabytego doświadczenia. Dziecko zrazu nie widzi nic prócz siebie; młodzieniec widzi więcej, ale własna osobistość zasłania mu świat cały, który zdaje się być wyłącznie dla niego stworzonym. Ale z każdym upłynionym rokiem życia osobista wielkość w umyśle człowieka razem z jego własnymi sprawami maleje, a wielkość społeczeństwa, jako istoty zbiorowej, wzrasta. Starzec kładący się do grobu, ten sam, który będąc młodzieńcem uważał siebie za środkowy punkt świata, wie, że jest tylko prochem, z którego powstał.

„Z tego wynika — pomyślała Helenka — że ja jestem jak owo dziecko, które nie widzi nic prócz siebie" — i spytała:

— A nieśmiertelność?

— Na nieśmiertelność zarobić trzeba: może ją mieć tylko ten, kto tak się umiał zjednoczyć myślami i uczuciami ze swym społeczeństwem, że cierpiał jego cierpieniem, cieszył się jego radościami, żył jego życiem i umiał się do jego dobra czymkolwiek bądź przyłożyć. Taki, choć umrze, nieśmiertelny jest, bo czyny jego żyją.

Helenka zamyśliła się. Ten człowiek mówił jej dziwne rzeczy... Zaczęła przebiegać w myśli swoje życie i szukać w nim chwil takich, którymi mogłaby sobie zarobić na nieśmiertelność, ale nic nie znalazła. Były tam same zabawy, rozrywki, tańce; były i dobre uczynki, ale te ostatnie ją nic nie kosztowały, bo w kieszeniach rodziców miały swoje źródło. Żeby łzę otrzeć cierpiącemu, nie potrzebowała sobie niczego odmawiać. A praca, której się podjęła dla rodziców, czy dawała jej już do tego prawa? O nie! Czuła to dobrze; praca ta była jej nieznośną, a ona nie była pewną nawet, czy przy niej wytrwa, chociaż szczerze tego pragnęła. Co zaś do zjednoczenia się ze społeczeństwem, w którym się żyje, to jakże to ona zrobić miała? Podniosła na Andrzeja wielkie, szafirowe oczy, pełne niepokoju, i rzekła:

— Zastanawiałam się nad słowami pana o zjednoczeniu się ze społeczeństwem: czy czuć dlań miłość nie jest już zjednoczeniem? Kocham mój kraj.

Patriota

— Kochasz go, pani?

Błyskawice gniewu strzeliły z oczu Helenki.

— Panie! — zawołała — samo to pytanie już jest obelgą.

— Niech mi pani wybaczy moją szczerość, ale wątpliwość co do tego wczoraj właśnie powstała w moim umyśle.

— Czy mogę wiedzieć, co ją panu poddało?

— I owszem, będę szczery do końca. Patrzyłem na panią czytającą gazetę: na samym wstępie była wiadomość, zapewne mylna, o odmówieniu subwencji rządowej zakładom dobroczynnym w Królestwie, wiadomość rujnująca podwaliny bytu tych zakładów — pani jej nawet nie zauważyłaś. Dalej było obliczenie majątków ziemskich na Litwie, znajdujących się w obcych rękach — pominęłaś je pani nie czytając, jak również artykuł o projekcie zniesienia Banku Polskiego. Dalej jeszcze, w części politycznej, znajdowała się mowa księdza Jażdżewskiego w parlamencie niemieckim w obronie języka polskiego, oczy pani zaledwie prześlizgnęły się po niej. Szukały one felietonu, gdzie autor w sposób bardzo zajmujący opisywał nader zawikłaną intrygę — i utonęły w nim z widoczną przyjemnością. Wstrzymywałem się jednak z sądem moim o pani, czekałem, co dalej będzie; pani jednakże po ukończeniu felietonu gazety przeczytałaś felieton w dwóch „Kurierach", felieton z „Tygodnika Ilustrowanego", felieton z „Kłosów", felieton z „Bluszczu", jeden krótki poemacik i na tym skończyłaś czytanie. Wówczas powiedziałem sobie: w tej młodej piersi nie ma ani odrobiny miłości dla kraju, bo najważniejsze sprawy narodowe są jej zupełnie obojętne. Nie kocha ojczyzny, kto nie ma w sobie poczuć obywatelskich i w czyjej krwi nie drgają tętna narodu.

Helenka stała przed nim śmiertelnie blada.

— Kto panu dał prawo przemawiania do mnie w ten sposób! — zawołała głosem drżącym z gniewu.

— Spełniłem tylko życzenie pani — odpowiedział poważnie — chciałaś pani wiedzieć, jakim sposobem doszedłem do mej wątpliwości, i powiedziałem pani prawdę. Bardzo mi przykro, jeżeli miałem nieszczęście panią obrazić.

Helenka gryzła wargi do krwi niemal; w piersiach jej wrzało, w myśli szukała broni, którą by dotknąć go mogła tak samo, jak on ją dotknął.

— Mówiłeś pan — przemówiła po chwili — że trzeba czynem dowodzić miłości dla kraju. Czy pan z patriotyzmu, nie dla własnej korzyści, produkujesz i sprzedajesz nasiona? Czy pańska najstarsza siostra dla miłości ojczyzny i zarobienia sobie na nieśmiertelność smaży konfitury, że już nie mówię o podkładach do bukietów, wyrabianych przez młodszą?

Patriota, Praca, Pieniądz

— Tak jest, pani — odrzekł z niezachwianym spokojem — bo pieniądze, posyłane do Erfurtu, Gandawy i Kwedlinburga za nasiona, do Moskwy i Kijowa za konfekty, do Paryża za podkładki, w znacznej części pozostaną w kraju. Prawda, że my sami na tym korzystamy, ale korzysta nie mniej kraj cały. Gdy jednostki się bogacą, wzrasta bogactwo narodowe. Moje siostry biorąc się do przemysłu, wcale dotąd u nas nie uprawianego, spełniły czyn obywatelski. Nie ci tylko zasługują na wdzięczność i pamięć ludów, którzy z orężem w ręku giną w ich obronie, ale i ci, co się do ich dobrobytu przyczynili. Holandia czci pamięć Jana Peekela, który wynalazł sposób solenia śledzi, i tym cały kraj wzbogacił — jakby największego bohatera. Dążąc do odrodzenia narodu powinniśmy nie tylko w moralne, ale i w materialne siły wzrastać. Franklin[48] jeszcze powiedział, że „pusty worek nie może stać prosto".

Wszedł służący i podał Andrzejowi karteczkę.

— Przepraszam panią — powiedział, rzuciwszy okiem na kartkę — ale przybył dla nas transport z kolei, muszę go odebrać.

Ukłonił się i odszedł. Helenka pozostała sama. Długo stała na tym samym miejscu z oczami utkwionymi w ziemię, a po twarzy jej gorące przechodziły płomienie. Tak więc nisko stoi w jego oczach, że odmawia jej nawet tego, czego się nie odmawia prostemu wyrobnikowi! Jak on śmiał jej to w oczy powiedzieć? Jak śmiał śledzić ją bez jej wiedzy i sądzić? Gdy jego ojciec robił jej uwagi, słuchała go z szacunkiem; gdy jego matka ją strofowała, znosiła to z cierpliwym pobłażaniem; ale żeby młody mężczyzna mógł jej w oczy powiedzieć coś innego jak komplement — to było rzeczą niesłychanie zdumiewającą. Wiele ciężkich chwil przebyła już w tym domu, ale takiej...

Podniosła machinalnie oczy w górę i patrzyła na wspaniały kwiat filodendronu nie widząc ani jego misternych arabesków, ani śnieżnej białości, tak zachwycającej przed chwilą — wzrok jej bowiem zwrócony był w głąb jej własnej duszy. Szukała tam obrony już nie przed tym człowiekiem, który odszedł, ale przed trybunałem własnego sumienia, przed którym stawiała się sama. Ale nie znalazła tej obrony. Wszystko, co on przed chwilą tu powiedział, było prawdą, i to właśnie bolało ją najwięcej. Tak jest; rzeczy błahe zajmowały ją więcej niż poważne, ale nigdy jej nie przyszło do głowy, że to jest dowód obojętności na sprawy publiczne. Teraz dopiero, gdy jej zwrócił na to uwagę, prawda ta stała się jasna dla niej samej.

Wieczorem po skończeniu pracy w kantorze zamiast iść zaraz spać, jak to czyniła zwykle, udała się do biblioteki, gdzie leżały na stole pisma ilustrowane i gazety. Tą razą[49] nie szukała felietonów powieściowych, ale artykułów dotąd pomijanych, rozbierających sprawy, o których mówił Andrzej.

Czytała i odczytywała, a to, czego się z nich dowiedziała, wstrząsnęło głęboko jej sercem i umysłem i wywołało szybsze krążenie krwi w żyłach. Andrzej, który w godzinę później chciał wejść do biblioteki i uchylił lekko portierę, zobaczył, jak spomiędzy palców, zasłaniających twarz dziewczęcia, spłynęło kilka łez. Oczy jego zajaśniały radością i oddalił się niepostrzeżony, mówiąc do siebie:

„Przebudzenie duszy drogo ją kosztowało, ale przyszło nareszcie!"

Północ już była, gdy panna Orecka opuściła bibliotekę. Twarz miała bledszą niż kiedykolwiek, a tak była zamyślona, że nie posłyszała delikatnego skrzypnięcia drzwi kantoru

[48] *Benjamin Franklin* (1706–1790) — amerykański polityk i publicysta, jeden z autorów Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych. Był też malarzem i naukowcem, wynalazcą m.in. piorunochronu. [przypis edytorski]

[49] *tą razą* — dziś popr.: tym razem. [przypis edytorski]

ani nie dostrzegła stojącej w nich wysokiej, męskiej postaci, której wzrok odprowadził ją do końca korytarza. Był to Andrzej chcący zbadać, jak też długo posiedzi ona w bibliotece. Szła jak lunatyczka krokiem wolnym, automatycznym, a odblask świecy, trzymanej w ręku, padający na jej twarz, pozwalał widzieć skupiony i zarazem bolesny wyraz tej twarzy. Znalazłszy się w swoim pokoju, stała chwilę przy stole, na którym postawiła świecę, zapatrzona w migający jej płomień, po czym westchnęła i klękła do pacierza. Ale modlitwy, których słowa wymawiała co dzień i prawie machinalnie, plątały się dziś na jej ustach nie przylegając do nich. Klęczała tak czas jakiś z głową wspartą na rękach, wreszcie sięgnęła po książkę do nabożeństwa, ale zamiast niej natrafiła na inną, którą przed kilku dniami przyniosła sobie z biblioteki. Otworzywszy ją, znalazła wiersz następujący:

Orate fratres[50]

Módlmy się, bracia! — mówi u ołtarza
Kapłan, najświętszą składając ofiarę.
Módlmy się! — prosty lud za nim powtarza,
Co w prawym sercu szczerą chowa wiarę.

Módlmy się! — wżywa z wież kościelnych dzwonek,
Czystymi dźwięki dążąc pod niebiosy;
Módlmy się! — śpiewa w poranku skowronek,
Lekko skrzydełka otrząsając z rosy.

Odwróciła kartkę dla zobaczenia nazwiska autora i wyczytała imię Pauliny Krakowowej, tej samej, której wiersz o kobiecie wypowiedział jej dziś Andrzej w oranżerii. Muskuły w jej twarzy lekko drgnęły na wspomnienie tej rozmowy i czytała dalej:

I my, choć z dala od świętych podwoi,
Z powszechnej troski, od prostej roboty,
Z ziemskiego życia codziennej tęsknoty,
Módlmy się w duszy, Bóg smutek ukoi!

— Są jednak smutki, których modlitwa ukoić nie może — szepnęła — ja dziś na próżno próbowałam się modlić...

Za tych, co czarną, drogą ziemię naszą,
Potem oblani, uprawiają w ciszy
I ciężką pracę rzewną piosnką kraszą,
Módlmy się, módlmy. Bóg nasz głos usłyszy.

— Tu jest mowa o rodzinie Radliczów — rzekła z lekką goryczą — oni uprawiają ziemię rodzinną w pocie czoła. Dla mnie tu nie ma nic, nic...

Za tych, co jęczą w smutku i ucisku,
A przecież trwają w nadziei i wierze;
Za tych, co giną wpośród mieczów błysku,
Módlmy się! Krew ich Pan przyjmie w ofierze!

— Zginąć wpośród mieczów błysku dla ojczyzny, tak jak to czynili moi przodkowie, łatwiej by mi przyszło niż zdobywać się co dzień na kilka godzin pracy nużącej i jednostajnej — szepnęła z westchnieniem.

Za tych, co ducha szlachetne poloty
W urocze słowa zdobią umiejętnie,
By nas przynęcić i podnieść do cnoty,
Módlmy się, módlmy, a słuchajmy chętnie.

[50]*orate fratres* (łac.) — módlcie się, bracia. [przypis edytorski]

— I to nie dla mnie. Marzyłam niegdyś wprawdzie nie o umiejętnym zdobieniu w urocze słowa szlachetnych polotów ducha, ale o podnoszeniu i zachęcaniu do cnoty moich bliźnich. Szalona! Nie przeczuwałam, że ludzie będą mieli prawo rzucić mnie samej w oczy ciężkie oskarżenie...

Za tych, co w ciężkiej niedoli zamęcie,
Na śliską drogę pokusy wtrąceni,
Stracili święte braterstwa pojęcie.
Módlmy się! kąkol niechaj Bóg wypleni.

— To dla mnie. Ja jestem podobno tym kąkolem, który lepiej, żeby Bóg wyplenił. Dano mi to do zrozumienia aż nadto wyraźnie. Autorka każe się modlić za tych, którzy stracili święte pojęcie braterstwa... cóż jednak będzie z tymi, co go nigdy nie mieli? Widać, że niewarci, aby się za nich modlono, że są winniejsi od tych nawet, którzy, uległszy pokusom, upadli.

Roześmiała się gorzko.

Bo silnej woli olbrzymia potęga
Kruszy opoki, kieruje falami —
Ale modlitwa pod niebiosa sięga;
Módlmy się zatem, a Bóg będzie z nami.

— „Ale modlitwa pod niebiosa sięga" — powtórzyła zamyślając się — więc Bóg usłyszy głos biednego kąkolu, jeśli podniesie się ku niemu nieśmiały... usłyszy i przebaczy, że nie wyrósł w złotodajne ziarno pszenicy! Ach, czemuż nie wiedziałam wielu rzeczy wcześniej, czemu od obcych ludzi dopiero musiałam się o nich dowiedzieć! Ileż by mi to oszczędziło wstydu i upokorzenia!... O Boże, nie proszę Cię już o poprawienie mojej doli, ale o dobre pojęcie braterstwa... Spraw, aby niepożyteczne ziarno kąkolu przemieniło się w ziarno zboża!

Długo jeszcze dumała, z głową wspartą na rękach, i ani się spostrzegła, jak znużenie wzięło górę nad znękanym umysłem. Ciałem jej sen zawładnął, a tak głęboki, że ranek zastał ją śpiącą w klęczącej postawie.

Była to właśnie już siódma godzina. Helenka obmyła twarz zimną wodą i zeszła do jadalnego pokoju.

XV

Kłamstwo, przez Helenkę w liście do matki wymyślone dla sprawienia jej przyjemności o mającej się odbyć u państwa Radliczów zabawie, niespodziewanie stało się prawdą. Jednego dnia Elżunia powiedziała do niej z uśmiechem nieco tajemniczym.

— Mam dla pani nowinę, w sobotę będzie u nas wieczór tańcujący.

Oczy Helenki rozjaśniły się na te słowa.

— Doprawdy? — spytała patrząc na mówiącą z niedowierzaniem — wieczór tańcujący tu, w tym domu?

— Cóż w tym tak dziwnego?

Zawahała się.

— Widząc państwa wszystkich pracujących niezmordowanie od rana do nocy, słysząc ciągle powtarzane, że „czas to pieniądz", że „marnowanie go jest zbrodnią", bo „żadna z chwil upłynionych nie wróci" — myślałam, że z zasady przeciwni jesteście wszelkim rozrywkom nie przynoszącym umysłowi korzyści i że taniec uważa się tutaj za rzecz zakazaną, godną piekielnego potępienia.

Elżunia roześmiała się.

— Miała nas pani za ludzi bardzo dziwacznych i całkiem do wszystkich innych niepodobnych, niby jakichś średniowiecznych pustelników lub ascetów — rzekła wesoło — a my jesteśmy tylko zwykłymi śmiertelnikami, pracującymi w dzień powszedni, odpoczywającymi w niedzielę i tańcującymi ochoczo, gdy się zdarzy sposobność, w karnawale. Na wszystko jest czas właściwy; żadna z nas nie zaniedbałaby swej codziennej pracy dla

zabawy, ale bawimy się chętnie, gdy możemy, bez szkody dla naszych zajęć. Ja na przykład bardzo lubię tańczyć, a moja siostra Anna także.

— A siostra najstarsza, panna Wanda, której jeszcze nie znam?

— Ona nie tańczy od śmierci swego narzeczonego — rzekła z westchnieniem Elżunia — zresztą nie opuściłaby dla zabawy naszego dziadka, którym się opiekuje i który ani chwili bez niej obejść się nie może.

— Czy... i pan Andrzej lubi tańczyć?

— Ach, ten nie tańczy wcale. Powiada zawsze, że jest na to zbyt niezgrabny, i ma słuszność. Zacny, szlachetny chłopak, ale nie salonowiec.

„To prawda" — pomyślała Helenka, a Andrzej jeszcze więcej stracił w jej oczach. Młody mężczyzna nie umiejący tańczyć był dla niej istotą niezupełną. Stefan tańczył tak pięknie.

A więc tańcujący wieczór miał nareszcie przerwać jednostajność tego życia pracowitego, którego dnie podobne były do siebie jak krople wody. Helenka wiele myślała o tym wieczorze, tylko martwiła się, że nie ma świeżej toalety. Kufry jej wprawdzie pełne były eleganckich i kosztownych sukien, ale na pierwszy występ publiczny w Warszawie pragnęła mieć coś nowego, gustownego a oryginalnego. Niestety, ani myśleć o tym było można! Kasa jej była wyczerpaną, a na dnie eleganckiego woreczka leżało już tylko kilka sztuk drobnej monety; zresztą chociażby nawet miała pieniądze na sprawienie sobie odpowiedniego stroju, nie godziło się ich na to używać, czuła to dobrze.

Zdziwiła się też bardzo, gdy na godzinę przed mającą się rozpocząć zabawą Kunegunda przyniosła jej do pokoju list i duże pudło, opatrzone firmą jednego z pierwszorzędnych magazynów warszawskich, z którego matka jej zawsze zaopatrywała w garderobę siebie i córkę. List był z domu i zawierał słowa następujące:

> Moja najdroższa Helciu! W tydzień po Twoim wyjeździć nadeszła z Warszawy suknia, którą obstalowałaś sobie na bal u barona. Magazynierka dziwi się, żeś cofnęła obstalunek, i zapytuje, czy przy ostatniej przesyłce nie zadowoliła w czymkolwiek Twego gustu, co by ją bardzo bolało. W końcu dodaje, że toaleta, wykonana z największą dokładnością podług zrobionej przez Ciebie akwareli, jest tak piękną, iż posyła Ci ją, mimo Twej woli, żebyś chociaż zobaczyła, jakie wymyśliłaś arcydzieło. Pewna jest, że zobaczywszy, nie będziesz miała siły odesłać. W przeciwnym razie przyjmie tę suknię chętnie na powrót, bo wie, że łatwo znajdzie na nią kupca. Rzeczywiście, moje dziecko, jest to prawdziwe arcydzieło i nie wiem, czy nawet hrabina K., sprowadzająca sobie suknie z Paryża od Wortha, znalazłaby jej co do zarzucenia. Ten odcień zielonawy jest przepyszny, a ten fantazyjny węzeł z boku niezrównany! Kwiaty wybornie dobrane do koloru Twoich włosów, będzie Ci w nich bardzo do twarzy. Naturalnie nie odesłałam na powrót tych śliczności, ale zatrzymałam je dla Ciebie, bo pisałaś mi, że się dobrze bawisz i że ma być świetna zabawa u państwa Radliczów. Nie masz żadnej zupełnie świeżej sukni, a niepodobna przecież, żebyś wyglądała gorzej od innych. Jak cię widzą, tak cię piszą. Pożyczyłam pieniędzy od Ofmana, w sekrecie przed ojcem, i odesłałam zaraz magazynierce. Że zaś pan F., znajomy nasz, jechał do Warszawy, więc prosiłam go, żeby to pudło z sobą zabrał, bo wysłane pocztą mogłoby na czas nie zdążyć. Kwiaty są prawdziwe paryskie, znać to po delikatności wyrobu; będziesz mogła użyć ich jeszcze raz. Dobre rzeczy, choć drogie, zawsze się opłaci kupować; jest to nawet dobrze zrozumiana oszczędność.

Helenka załamała ręce po przeczytaniu tego listu. Matka pożyczyła pieniędzy od Ofmana na zapłacenie sukni; w sekrecie przed ojcem, który w sekrecie przed matką poręczył Ofmanowi za Teckiego — co za fatalne pokrzyżowanie interesów przyśpieszające ruinę rodziny, a sprzyjające zamiarom tego Niemca względem posesji pana Marcina, zamiarom, które dla ślepych chyba nie były widoczne! I ona to, córka biednego starca, znękanego nieszczęściem, jego jedyne ukochane dziecko, ma przyłożyć rękę do jego ostatecznej ruiny. Matka, nie wiedząca o poręczeniu, nieświadomie stawała się wspólniczką Ofmana — miałażby i ona ze świadomością tego stać się jego wspólniczką także? Dreszcz ją przeszedł.

A jednak nie przyszłoby do tego, gdyby, cofając obstalunek, napisała z całą szczerością modniarce, iż cofa go z powodu, że w położeniu jej zaszła zmiana, zmuszająca ją do wyrzeczenia się balowych toalet na przyszłość. Powodowana fałszywym wstydem, dała za powód błahy, prosty kaprys, który modniarce, mającej do czynienia po większej części z osobami ulegającymi częstym kaprysom, mógł dać do myślenia, że przeminie równie prędko, jak przyszedł — i że młodej damie, odwołującej zamówienie dlatego tylko, że jej się „odechciało być na balu", zechce się tańczyć na niejednym jeszcze balu do końca karnawału. Kłamstwo, na pozór nieszkodliwe nikomu, ściągnęło jej zgryzotę przytłaczającą teraz jej piersi kamiennym ciężarem. Gdyby chociaż w liście do matki nie była pisała tyle rzeczy dalekich od prawdy o swoim życiu w Warszawie i o przyszłej świetności zabawy, nie będącej wówczas jeszcze nawet w projekcie, matka nie byłaby zatrzymała dla niej tej sukni, bo wiedziałaby, że ona córce na nic się nie przyda. Wieczór — to nie bal jeszcze. Tłumaczyła sobie, że uczyniła to dla sprawienia matce przyjemności, ale był to tylko pozór, pod którym ukrywała się jej własna słabość. Nie miała odwagi napisać do domu całej prawdy i stawić czoła pojęciom będącym tak długo jej własnymi, a teraz zaczynającym się chwiać w swoich posadach... Słabość niewinna na pozór stawała się grzechem ciężkim, bo sprowadzała skutki opłakane.

Przesunęła ręką po czole, jakby chcąc pozbyć się myśli niepokojących i wielce podobnych do wyrzutów sumienia, i zamyśliła się, co robić z tą suknią, która spełniała tak niespodzianie jej niedawne marzenia, a była już zapłacona, więc musiała przy niej pozostać!... Z wolna czysto kobieca ciekawość zajęła miejsce wyrzutów sumienia; ręce z pewną niecierpliwością odkryły wieko pudła.

To, co pani Orecka nazywała arcydziełem smaku, było nim istotnie i o wiele przewyższało rysunek, służący mu za wzór, a leżący teraz na wierzchu. Był to prawdziwy kostium leśnej bogini. Gaza, podobna raczej do mgły niż do tkaniny, przybrana była ciemnymi liśćmi bluszczu, mchem, porostami drzewnymi, paprociami, konwaliami i poziomkami, czerwieniącymi się jak rubiny, a do złudzenia naśladującymi naturę, bo nawet krople rosy, gęsto na kwiatach i liściach błyszczące, były tak świeże, jak gdyby tylko co na nich osiadły. Przy sukni leżała para białych atłasowych bucików, z których każdy ozdobiony był zieloną gałązką; długie, do łokcia sięgające rękawiczki ze stemplem paryskim, girlandą z bluszczu niby bransoletką otoczone — i wachlarz zrobiony z atłasu, gazy, liści i leśnych kwiatów.

Helenka przyglądała się temu wszystkiemu ze znajomością artystki dumnej ze swego pomysłu, oczy jej błyszczały gorączkowo, a na twarz ciemne wystąpiły rumieńce. Wszystkie dawne nałogi odezwały się w niej z siłą tym większą, że tak długo były z konieczności powstrzymywane i tłumione — bo też pokusa była zbyt wielką!...

„Jeżeli suknia jest zapłacona i musi przy mnie pozostać, to czemu nie miałabym się w nią dziś ubrać — mówiła do siebie, usiłując zagłuszyć wyrzuty sumienia. — Czyż zamiast ją więzić w kufrze do śmierci, nie lepiej, nie rozsądniej postąpię czyniąc z niej użytek, na jaki była pierwotnie przeznaczoną?"

Zrzuciła z siebie swoje codzienne ubranie, zniszczone już cokolwiek od pyłu, jaki na nie codziennie z nasion padał, i zaczęła się ubierać w ten strój poetyczny a oryginalny, którego pomysłu istotnie mógł jej pozazdrościć malarz. A gdy ją owinęły obłoki jedwabiu i gazy, gdy poczuła za sobą powłóczysty ogon, nie mający gdzie pomieścić w ciasnym pokoiku całej swej wspaniałości, gdy rozplotła i spuściła na plecy bogate jasnopopielate włosy, ozdobiwszy je girlandą z kwiatów i zieleni, odżyła w niej na nowo cała jej dawna istota, i gdy zapinała paryskie rękawiczki na guziczki z masy perłowej, w pięknej jej główce nie było już miejsca na żadne głębsze myśli. Strój i zabawa zajmowały ją całą. Lusterko z podróżnej toaletki, służące jej do codziennego użytku, okazało się za małe do odbicia tak świetnej toalety. Z pewną niecierpliwością obejrzała się za czymś większym, ale nic podobnego tam nie było.

„Pójdę do salonu — rzekła do siebie. — O tej porze nie ma tam jeszcze nikogo, a jest to jedyne miejsce, gdzie można przejrzeć się od stóp do głów".

Uwiązawszy wachlarz na białej atłasowej wstążce, wzięła w jedną rękę ogon sukni, w drugą świecę i zeszła ostrożnie po schodach. Zmrok już był i służący zapalał światła w sieni, korytarzu i na schodach. Przemknęła obok niego niepostrzeżona, ale spotkała się oko w oko z Kunegundą, która na jej widok przeżegnała się głośno.

W salonie nie było nikogo i lampy jeszcze wcale nie zapalano. Postawiła święcę na konsoli i zaczęła się sobie przypatrywać, a uśmiech zadowolenia ożywił małe jej usteczka. Rzeczywiście, w tej szacie, podobnej do wstających wieczorem nad wodami oparów, w tych ozdobach z liści i mchów była piękną jak marzenie poety i wypowiedziała to sobie głośno z dumą.

— Istotnie, jesteś pani bardzo piękną — odezwał się tuż przy niej głos dobrze znany, którego dźwięki były zimne, ostre i jakby szyderskie — tak piękną, że każdy artysta uważałby się za szczęśliwego, gdybyś mu służyć chciała za model do obrazu; tak piękną, że nie potrzebujesz wcale balowego stroju, żeby tę piękność uwydatnić, bo nawet w codziennym ubraniu jest ona bardzo widoczną. Ale cóż z tego? Piękność nie jest wcale pani zasługą, jak nie byłoby winą pani, gdybyś była brzydką!

Uroda

Helenka zawrzała gniewem. Więc on był tu znowu, ten człowiek, którego znosić nie mogła, i zatruł jej pierwszą chwilę, w której zapomniała o swojej niedoli i swoim więzieniu! Był tu znowu i podpatrywał ją w chwili, gdy się zachwycała sama sobą — a ona o jego obecności nie wiedziała! To było oburzające. Odwróciła się i, zmierzywszy go od stóp do głów, rzekła gniewnie:

— Podsłuchiwanie i szpiegowanie wszelkiego rodzaju nie bardzo się zgadza z honorem mężczyzny. Po raz to drugi już podpatrujesz mnie pan bez mojej wiedzy. Oświadczam panu, że nie życzę sobie bynajmniej służyć za przedmiot pańskich studiów, i proszę, abyś mnie raczył uwolnić od tego zaszczytu.

Nigdy jeszcze z delikatnych ust panny Oreckiej nie wyszły słowa równie gwałtowne jak te, nigdy jeszcze słodki, srebrzysty jej głos nie miał takich tonów syczących. Usłyszawszy je, sama im się zdziwiła — ale nie mogła pohamować swego uniesienia. Drżała.

Andrzej podniósł się z krzesła, w którym siedział zagłębiony.

— Jesteś pani bardzo porywczą i bardzo niesprawiedliwą — rzekł ze spokojem, który ją zdziwił. — Nie godzi się wymawiać lekkomyślnie słowa honoru ani czynić ubliżających zarzutów bez przekonania się o ich zasadności. Osoba pani nie obchodzi mnie do tego stopnia, żeby aż wzbudzała moją ciekawość. Tak dziś, jak i poprzednio przypadkiem się tu znajdowałem, gdyś pani weszła, i skoro pani mimowolnie głośno przed lustrem wyraziłaś myśl swoją i ja też wyraziłem głośno swoją, choć nie całkowicie...

— Był więc dalszy ciąg?

— Tak, pani, był.

— Czy można wiedzieć jaki?

— Lepiej, żeby pozostał przy mnie, bo pani nie lubisz słuchać prawdy i bierzesz ją zawsze za obrazę.

Helenka patrzyła na niego, gniotąc w ręku swój wachlarz. Zdumiewało ją i oburzało zuchwalstwo tego człowieka, mówiącego jej w oczy, że ona go nic nie obchodzi — jednak... ciekawość kobieca przemogła.

— Mów pan — rzekła z błyszczącymi oczyma.

— Proszę zatem pamiętać, że spełniam tylko pani życzenie: patrząc na panią, zadawałem sobie pytanie, czy forma tak doskonała zawiera treść równie szlachetną, jak jest sama, czy też istnieje między nimi sprzeczność.

— Wątpliwość bardzo dla mnie pochlebna. Cóż dalej?

— Dalej dziwiłem się lekkomyślności, z jaką pani marnotrawisz swoją pracę. Ile to tygodni, ile miesięcy trzeba, żeby szczupła płaca, pobierana przez panią, pokryła koszt tak świetnego stroju! Myśląc o tym, nie widziałem już doskonałości form, tylko treść wypełniającą je.

— I przyszedłeś pan do przekonania, że między treścią a formą jest wielki przedział?

— Niestety, tak.

— Że jest licha, nędzna, że jej nie ma wcale? — pytała coraz gwałtowniej. — Mówże pan!

— Dziwiłem się, że w duszy uposażonej w skarby serca i umysłu, w duszy pełnej pięknych zamiarów i szlachetnych uniesień jest taki brak siły charakteru.

Cały rząd guziczków z masy perłowej, na które lewa rękawiczka była zapięta, prysnął w tej chwili i posypał się jak grad na podłogę.

— Potrzebowałabym tylko dwa słowa wyrzec dla przekonania pana, że jesteś w błędzie, ale nie uczynię tego! Pozostań pan w mniemaniu, że jestem nierozsądną marnotrawnicą i bez charakteru.

To powiedziawszy wzięła świecę i wyszła, nie spojrzawszy na niego.

„Charakter jest — rzekł do siebie Andrzej patrząc za nią — brak mu tylko panowania nad sobą, ale i to przyjdzie z czasem. Dużo mnie kosztowały słowa, które jej musiałem powiedzieć, ale pewien jestem, że nie będą bezskuteczne. Nieprędko mi je przebaczy... Biedna dziewczyna, zraniłem ją głęboko!"

Powrócić do siebie równie niepostrzeżoną, jak tu przyszła, nie udało się Helence. Przez korytarz niesiono duży stół do sali jadalnej, a że u stołu odkręciła się noga, więc cały tabor stanął i zaczęło się przykręcanie. Chcąc to wszystko ominąć, musiała się wrócić i przejść przez pokój pani Radliczowej. Zastała tam Annę i Elżunię zajęte przygotowywaniem wieczorowych ubiorów. Tego właśnie najmniej sobie życzyła. Widok jej wprawił siostry w takie zdumienie, że żadna nie wyrzekła ani słowa, tylko obie spoglądały na siebie w milczeniu. Elżunia, w której gust artystki ponad wszystkimi innymi uczuciami przemagał, odezwała się pierwsza z zachwytem:

— Co za przepyszny strój i jak pani w nim jesteś cudownie piękna!

— Panna Orecka wybiera się gdzieś na bal — zauważyła zimno pani Radliczowa.

— Czy pani na nasz skromny wieczór tak się ubrała? — zapytała z niedowierzaniem Anna.

Helenka wytrzymała spokojnie wszystkie spojrzenia, a na ustach osiadł bolesny uśmiech.

— Ze sposobu i tonu tych zapytań widzę, jak bardzo się państwu nie podobam — rzekła patrząc kolejno po wszystkich — i jak każda z pań w duszy mnie potępia. Jestem marnotrawnicą nie umiejącą uszanować grosza zapracowanego. Nieprawdaż? A jednak nie zasługuję na tak bezwarunkowe potępienie, jak się to zdaje z pozoru. Suknię tę, obstalowaną przed miesiącem, gdym jeszcze nie domyślała się nawet naszej majątkowej ruiny, posłała teraz modniarka do M., pomimo że natychmiast po katastrofie cofnęłam obstalunek, a matka moja tu mi ją przysłała, przypuszczając, że mi się przydać może. Pragnie ona bardzo, żebym się bawiła, i sądzi, że mam dosyć czasu na to; a że sama nigdy nie potrzebowała rachować się z pieniędzmi, więc nie zastanawiała się, że bądź co bądź jest to wydatek za wielki w naszym obecnym położeniu.

— Dziwna nieprzezorność — wtrąciła pani Radliczowa.

— A teraz, gdy panie już znają źródło mojego marnotrawstwa, proszę o radę, co mam począć z tym fantem, który mi się dostał wbrew mojej woli? Czy nie lepiej uczynię tańcząc w tej sukni na dzisiejszym wieczorze, niż gdyby miała zamknięta w kufrze nie ujrzeć nigdy światła dziennego ani wieczornego?

— Czy rachunek już zapłacony? — spytała pani Radliczowa słuchając Helenki z wielką uwagą.

— Ach, naturalnie — odpowiedziała, dziwiąc się, że mogła zajść pod tym względem najmniejsza wątpliwość.

— Szkoda, bo to utrudnia cokolwiek sprawę. Jeżeli pani w samej rzeczy nie chcesz mieć tej sukni, to powinnaś ją zwrócić modniarce.

Na twarz Helenki wystąpiły mocne rumieńce.

— Zwrócić? — wyszeptała z pomieszaniem. — Ależ jak to będzie wyglądało? Będzie to czyn wysoce niedelikatny!

— Czas już, żebyś się pani oduczyła patrzeć na życie z punktu widzenia wielkopańskiego — odparła z pewną niecierpliwością w głosie. — Zwrócenie modniarce sukni, którą ona zrobiła i przysłała pani, pomimo odwołania obstalunku, będzie czynem zupełnie racjonalnym. Jesteś pani w swoim prawie i ona powinna pani zwrócić pieniądze.

— Być może, ale...

— Ale przyznanie się przed nią do zmiany położenia za wiele by pannę Orecką kosztowało, czy tak? A więc marnuj pani swoją własną pracę, skoro się to lepiej zgadza z twoją godnością, ale zapłacz nad sobą zawczasu, bo przepowiadam ci, że nie dojdziesz nigdy do niczego. Kto nabywa rzeczy niepotrzebne, ten potrzebne wkrótce sprzedawać zacznie.

To powiedziawszy z właściwą sobie szorstkością, zamilkła i odwróciła głowę z niechęcią.

Helenka stała na środku pokoju, nie wiedząc, co czynić.

Rada była rozumna i praktyczna, ale nie zgadzała się z jej dotychczasowymi zwyczajami i pojęciami. Zrobić to, co jej radzono, wydawało się jej czymś nie bardzo szlachetnym względem modniarki. Swoją drogą też powstrzymywał ją wstyd fałszywy, a może i skryty żal pięknego stroju.

— Kochana panno Heleno — odezwała się Elżunia, która zawsze była pierwsza, ilekroć chodziło o załagodzenie sporu, i umiała kwestie stawiać z najlepszej strony, jak matka stawiała je na ostrzu noża — mama ma słuszność. Powinna pani koniecznie pozbyć się tej sukni, bo ona dla pani teraz jest zupełnie bezużyteczna. Nawet dzisiejszego wieczora nie radziłabym pani w niej występować, bo to jest strój balowy, a nasz wieczorek będzie bardzo skromny. Wszyscy nasi goście są to ludzie zarabiający pracą na swoje utrzymanie tak jak i my i żadna z ich żon czy córek nie ubierze się po balowemu. Sama jedna wśród wszystkich odbijałabyś pani zanadto jaskrawo i świadomość ta niezawodnie nie byłaby pani przyjemną. Ubiór jest jedną z tych form towarzyskich, które koniecznie stosować trzeba do miejsca i do ludzi. Byłabyś pani między nami niewątpliwie prześlicznym obrazem, ale... w niewłaściwych ramach.

— Ma pani słuszność — rzekła Helenka — rada pani Radliczowej jest rozumna i będę z niej korzystała. Pójdę do modniarki jutro.

— Nie — odezwała się pani Radliczowa odrywając oczy od roboty — takich rzeczy nie należy odkładać. Jutro jest niedziela, więc poszłabyś pani dopiero w poniedziałek. Im prędzej się to zrobi, tym lepiej. Idź pani dziś jeszcze, natychmiast!

— Czy pani chcesz, żebym ci towarzyszyła? — spytała Elżunia.

Helenka spojrzała na nią z wdzięcznością.

— Dziękuję pani — odrzekła po namyśle — pójdę sama.

Bardzo pragnęła mieć towarzyszkę, ale nie chciała, żeby ta towarzyszka była świadkiem jej rozmowy z modniarką i tego, co nazywała upokorzeniem.

XVI

W kwadrans potem Helenka siedziała sama jedna w dorożce, a na przednim siedzeniu stało pudło z wypisanym wielkimi literami adresem firmy, której wziętość i sława ustaloną była od dawna w całym modnym świecie.

Wsunięta w głąb powozu, otulona w futerko, zamyślonym wzrokiem wodziła po ulicach pełnych ruchu i gorączkowego, karnawałowego życia, tego życia, do którego ona tak wzdychała, którego tak pragnęła, a którego zmuszoną była się wyrzec. Wspaniałe wystawy sklepowe, oświetlone gazowymi lampami, zawierające przedmioty zbytku, niedostępne już dziś dla niej, napełniały jej serce goryczą, a tłum pojazdów, zajeżdżających przed główną bramą ratusza, gdzie tego wieczora miał odbyć się bal, przypomniał jej ów wieczór, gdy to kareta na saniach zatoczyła się przed dwór pana Bartłomieja — wieczór tak dla niej pamiętny... Wówczas była swobodna, bogata, szczęśliwa, nie przewidująca żadnej przykrej zmiany. Od tego czasu miesiąc dopiero upłynął, a już jest zmuszona sprzedać swoją suknię! Fortuna kołem się toczy!

Dorożkarz zatrzymał konie przed jednym z najświetniejszych sklepów, a Helenka, spojrzawszy na napis ułożony z gazowych płomyków, wysiadła i kazała zanieść za sobą pudło. W magazynie, urządzonym z prawdziwym dekoratorskim talentem, bo były tam i szafy pokryte bogatą rzeźbą, i piękne draperie, i przepyszne wazony majolikowe, znajdowało się kilka dam należących widocznie do wielkiego świata, nader ważnymi radami zajętych. Subiekci rozkładali przed nimi kolorowe materie, aksamity i gazy przeźroczyste, nakrapiane srebrem i złotem. Na stole leżały rozrzucone koronki, kwiaty, wstążki, a wszystko było brane pod głęboką rozwagę, zbliżane i oddalane od światła, podnoszone do góry i zniżane, drapowane i wygładzane, porównywane, dobierane. Wszelkie możliwe efekty, jakie tylko osiągnąć się dały za pomocą umiejętnego przedstawienia danego przedmiotu, zostały wyzyskane. Subiekci nie żałowali ani zręczności, ani trudu, ani cierpliwości, która przy właściwym kobietom braku decyzji często bywała wystawiona na próbę. Narady odbywały się w kilku punktach półgłosem, czasem zniżały do szeptu, niekiedy przerywały chwilowym milczeniem pełnym głębokiego skupienia ducha, a twarze naradzających się były tak poważne, jak gdyby chodziło o toalety nie dla osób pojedynczych, ale dla całych narodów.

Naprzeciw wchodzącej Helenki posunęła się niemłoda dama, której ubiór, będący ostatnim wyrazem mody, stanowił żywą i najwymowniejszą reklamę zakładu. Twarz jej zwiędła miała wyraz wystudiowanej dystynkcji i powagi, a małe, ruchliwe, głęboko osadzone oczy zdradzały wrodzoną żywość. Jedno zmrużenie oczu wystarczyło tej poważnej osobie do zauważenia kosztownego futra, białego aksamitnego kapturka, jak i klasycznej piękności przybyłej — toteż z wielką uprzejmością wskazała jej zielony aksamitny fotel i spytała, czym każe sobie służyć.

Gdy Helenka wymieniła swoje nazwisko, dama ta podwoiła jeszcze uprzejmość. Klientki bowiem płacące rachunki natychmiast, co się nawet arystokratycznym paniom rzadko zdarza, są wielce cennymi nabytkami i należy je sobie zjednywać wszelkimi sposobami. Nie dając jej przyjść do słowa, zasypywała ją potokiem wymowy:

— Prawdziwe to dla mnie szczęście, że dostarczając pani dotąd sukien na listowne zamówienia tylko, mogę nareszcie poznać panią osobiście. Co pani rozkaże? Mamy świeże modele z Paryża: z tych jeden od samego Wortha, cudowne połączenie koloru mahoniu *acajou* z kolorem bladoniebieskim *électrique*, bo dziś bez elektryczności nie może się nigdzie obejść. Może pani sobie życzy obejrzeć? Niedroga nawet suknia, kosztuje tylko trzysta franków. Dla pani oddamy ją po cenie kosztu. Nie? Aha, pani przyszła pewnie z gotowym planem własnego pomysłu. O, bo pani miewa pomysły oryginalne i prześliczne, jak ten kostium leśnej bogini! Pokazywałam rysunek Worthowi, bo byłam w Paryżu i dopiero dwa tygodnie temu wróciłam, i czy uwierzy pani, że był nim zachwycony, a pochwała Wortha to najwyższa wyrocznia! Cóż to więc ma być? Suknia balowa czy wieczorowa?

— Ani jedna, ani druga — przemówiła Helenka, zmieszana i onieśmielona tym wstępem — ale...

— A więc zapewne wizytowa: noszą teraz bardzo w dzień kolor szary, w odcieniach *pigeon* lub *souris*, a także kolor mahoniu od najciemniejszego do najjaśniejszego, zwanego *terracotta*. Co do materiałów, to najwięcej używane są obecnie *taffetas-glace* i *surah-duchesse* mieniące się. W Paryżu widziałam prześliczne kompozycje z tych materiałów i w tej chwili właśnie w pracowni naszej wykończa się kilka sukien w tym guście. Oto są próbki.

— Dziękuję pani, nie będę ich przeglądała — odezwała się nareszcie Helenka — nie przyszłam tu dziś nic kupować ani obstalowywać. Celem mego przybycia jest suknia balowa, którą mi pani przysłała do M.

— Zapewne coś trzeba poprawić — podchwyciła — najchętniej, łaskawa pani, najchętniej, chociaż mamy taki nawał roboty, że pracujemy po nocach, i mimo to nie możemy wydołać. Dla pani jednak jesteśmy zawsze na usługi. Co tam trzeba zrobić, proszę pani, kwiaty odmienić? Czy kokardę przypiąć? Panno Aleksandro! — zawołała uchylając lekko portierę — proszę przyjść tutaj, jest mała poprawka dla młodej damy!

— Niechże pani mi pozwoli przyjść do słowa — rzekła nareszcie zniecierpliwiona ciągłym przerywaniem Helenka — bo się nie porozumiemy. W sukni, o której mowa, nie ma nic do poprawienia.

— Spodziewałam się tego — wtrąciła — o ile pamiętam, utrafialiśmy pani zawsze jakoś. Bo też rzadko doprawdy tak zgrabnej figurki.

— Ale mimo to muszę pani tę suknię zwrócić, jako zupełnie dla mnie nieużyteczną! Szkoda wielka, że pani nie zastosowała się do mego listu, w którym cofałam obstalunek, zrobiony o dzień wcześniej... oszczędziłoby to nam obydwóm przykrości.

Wypowiedzenie tych słów przyszło Helence z trudnością.

Muskuły na twarzy modniarki drgnęły nieznacznie. Małe jej oczka spod przymrużonych powiek rzuciły bystre spojrzenie na mówiącą:

— Suknia była już w robocie, gdy przyszedł drugi list pani; wreszcie sądziłam, że gdy pani zobaczy swój pomysł wykonany, zatrzyma pani go chętnie, zwłaszcza że powód, jaki pani podała w liście, niebytność na jednym balu, nie wyłączał bytności na balach innych. Czyż podobna, aby tak piękna toaleta nie przydała się młodej osobie w ciągu karnawału! Może obraziliśmy panią posyłając rachunek? Ale to wina mojej panny od kroju, która ekspediowała posyłkę i nie wiedziała, że mamy z państwem rachunki roczne.

— Nie, pani — wyrzekła z lekkim rumieńcem Helenka, nierada, że natarczywość modniarki zmusza ją tłumaczyć się wyraźniej — położenie nasze majątkowe zmieniło się i nie jesteśmy już w stanie ponosić tak zbytkownych wydatków.

Po twarzy modniarki przemknęło coś na kształt gniewnego zdziwienia, a w zachowaniu się jej i wyrazie twarzy zaszła raptowna zmiana. Nadskakująca grzeczność zniknęła w jednej chwili, a miejsce jej zajęła wyniosłość i chłód lodowaty. Podniosła głowę i popatrzywszy przez chwilę przymrużonymi oczyma na swoją dawną klientkę, rzekła sucho:

— A to dobre! więc dlatego, że ktoś bankrutuje, zakład nasz ma ponosić straty! Ciekawam, z jakiej racji? Trzeba było odesłać posyłkę odwrotną pocztą; teraz już nie da się to odrobić. Gdy rachunek jest zapłacony, rzecz uważa się za skończoną. My nie przyjmujemy żadnych zwrotów.

Bezwzględność i niedelikatność, z jaką te słowa zostały wypowiedziane, oburzyły Helenkę. Nieśmiałość jej i zakłopotanie ustąpiły zbudzonemu nagle poczuciu swojego prawa. Teraz już nie miała żadnych wątpliwości pod tym względem. Duma i pewność siebie, które ją były odstąpiły przy wejściu do magazynu, wróciły w tej chwili.

— Zapomina się pani — rzekła podnosząc się — pani to wina, że suknia znalazła się w M. wbrew mojej woli; pani sama wie o tym dobrze. Co zaś do strat, o jakich pani mówi, to w liście pani, który mam przy sobie, wyraźnie jest powiedziane, że chętnie pani przyjmie tę suknię na powrót, bo „na tak piękną toaletę łatwo się znajdzie nabywca".

Postawa panny Oreckiej, pełna obrażonej dumy, wyniosły ton, z jakim przemawiała, nasunęła modniarce przypuszczenie, że może nie była tak ubogą, aby nie potrzebowała w przyszłości mniej więcej eleganckich, choćby tylko wizytowych toalet. Żałowała, że posunęła się za daleko.

— Przepraszam panią — rzekła grzeczniejszym tonem — nasz zawód naraża nas na tak częste przykrości różnego rodzaju, że te czynią nas zgryźliwymi. Gdy rachunek jest uregulowany i zapisany w księdze, nie mamy zwyczaju zwracać pieniędzy. To nasza zasada. Ale może pani zechce wybrać sobie coś innego do wysokości tej sumy: może inną, praktyczniejszą suknię?

— Będzie pani łaskawa na ten raz odstąpić od zasady — rzekła zimno Helenka — nie mam bowiem zamiaru na teraz kupować więcej sukien.

— Niech pani chociaż będzie łaskawa obejrzeć. Przed godziną właśnie dwie świeżo wykończone przyniesiono z pracowni, jedna ozdobiona haftem maszynowym, zwanym mousse, druga sznelą.

I nie czekając odpowiedzi, podniosła zasłonę przyległego gabinetu, gdzie na manekinach wisiały dwie suknie wizytowe: jedna modnego koloru *électrique*, druga *pigeon*. Helenka spojrzała na nie i dawne nałogi znowu się w niej odezwały. Okiem znawczyni od góry do dołu przebiegła wszystkie fałdy, podpięcia i ozdoby, co widząc modniarka tak natarczywie zapraszała ją do wejścia, że nie chcąc być niegrzeczną, uczyniła zadość jej żądaniu.

„Nie obowiązuje mię[51] to przecie do niczego" — rzekła do siebie, myśląc jednocześnie, że dobrze byłoby mieć obie te suknie tak eleganckie i modne, a nie nadto strojne, że w jednej z nich nawet mogłaby się ukazać na dzisiejszym wieczorze.

I ani się spostrzegła, jak się wdała w rozmowę o szczegółach, chwaląc jedne, krytykując drugie. Modniarka słuchała z rozjaśnioną twarzą.

— Wszystko to da się łatwo zmienić — rzekła nareszcie — zastosujemy się zupełnie do życzenia pani, zresztą...

— Przepraszam panią — przerwała Helenka spostrzegłszy, że zachowaniem się swoim mogła jej dać powód do takiego mniemania — żadnej z tych sukien nie mam zamiaru nabywać, bo jakkolwiek są ładne, ale... kolor mi się nie podoba.

Próżność jej wzięła w tej chwili nad nią górę; nie miała odwagi przyznać się, że tak wiele zależy jej na tym, żeby gotowe pieniądze[52] odebrać. W duszy dziewczęcia odbywała się nieustanna walka szlachetnych instynktów z niskimi słabostkami. Był to ciągły przypływ i odpływ, na przemian to jednych, to drugich.

Modniarka przygryzła usta.

— Taak... a więc można by pani zrobić coś w tym guście ze sztuki. Mamy tu właśnie cudowne wyroby francuskie, lekkie wełniane *laine brochée*.

W mgnieniu oka rozrzuciła przed nią kilka sztuk.

---

[51] *mię* — dziś: mnie. [przypis edytorski]

[52] *gotowe pieniądze* (daw.) — gotówka. [przypis edytorski]

— Niech pani tylko spojrzy, co za delikatność, jaka miękkość! Już to wyroby francuskie posiadają niezaprzeczoną wyższość nad angielskimi, bo są piękne, trwałe i dobrze wyglądają aż do zdarcia. Niech pani tylko będzie łaskawą wziąć w rękę. Ten kolor *électrique* będzie pani bardzo do twarzy!

I ująwszy w rękę kilkanaście łokci udrapowanej materii, szybkim ruchem zarzuciła ją na ramiona Helenki. Był to już ostatni atak.

— Co za pyszne tło do jasnych włosów pani i tej świetnej cery! Jest w nim pani prześlicznie!... Zrobimy pani *veste bretonne* do figury, z baskiną okrągłą i upięciem *à la Vailière*.

Znalazłszy się tak przypartą do muru, Helenka poczuła, jak źle zrobiła nie powiedziawszy od razu całej prawdy, bo to postawiło ją znowu w fałszywym położeniu; spostrzegła, że chcąc wybrnąć, plątała się coraz bardziej. Atak ten zresztą przypuszczony do jej kobiecej próżności obudził w niej dumę szlachetną. Usunęła łagodnie modniarkę i rzekła spokojnie, lecz stanowczo:

— Ani z tego, ani z żadnego innego materiału sukni obstalowywać nie mogę. Garderobę mam dostatecznie zaopatrzoną na moje dzisiejsze potrzeby; że zaś z konieczności muszę się bardzo ograniczać, więc i na żadne zmiany nie przystanę. Proszę pani o zwrot pieniędzy.

— Trzeba tak było powiedzieć od razu — mruknęła modniarka przez zęby — zamiast mi mówić o kolorach! Chciałam pani tylko dogodność zrobić, ofiarując co innego w zamian za tonletę balową, a skoro pani własnego interesu zrozumieć nie chce, to musi pani czekać, aż suknia sprzedaną zostanie. Powieszę ją w sklepie, to jest, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy. Jeżeli się trafi kupiec...

Zrobiła rękami gest, oznaczający wątpliwość, i dodała:

— Mówiąc między nami, pomysł jest trochę dziwaczny i wątpię bardzo, czy się komu spodoba.

Skinęła głową protekcjonalnie i zajęła się dwiema damami, które w tej chwili weszły do magazynu.

Helenka została sama. Była jak odurzona tym, co usłyszała. Jak to! więc ów świetny pomysł, którym się Worth zachwycał, stał się dziwaczny w przeciągu kwadransa i wątpiono, żeby się mógł komukolwiek podobać? Taka ogromna zmiana w tak krótkim czasie! Dopóki myślano, że jest bogatą, pomysły jej były mądre, oryginalne i pełne gustu, a skoro przekonano się, że tak nie jest, straciły od razu wszelką wartość. O, jak to źle być ubogą! Klasyczna jej piękność nawet nic nie znaczyła bez pieniędzy...

Nie miała już na co czekać tu dłużej i powinna była odejść, ale rozmowa tocząca się w magazynie zatrzymała ją. Przybyłe damy żądały sukni balowej tego jeszcze wieczora i modniarka wyjęła z pudła kostium leśnej bogini, przedstawiając jako pomysł samego Wortha. Wrażenie sprawione imieniem tego króla mody było wielkie. Damy porozumiały się z sobą oczyma, a z wyrazu ich twarzy było widać, że postanowiły zdobyć ten strój za jaką bądź cenę. Wniesiono pudło do gabinetu, gdzie siedziała Helenka, zasłonięta piętrzącymi się w stos materiałami, które ich właścicielka porzuciła była z gniewem na stole. Zaczęło się szczegółowe oglądanie i przymierzanie, przy czym modniarka nie szczędziła młodszej damie, dość brzydkiej nawet, pochlebstw w tych samych niemal wyrazach, jakie mówiła Helence. Nareszcie dobito targu, choć cena była znacznie wyższą od tej, jaką zapłaciła pani Orecka — i damy wyszły zabierając pudło do karety.

Wówczas Helenka wstała ze swego krzesła i, wchodząc do magazynu, rzekła spokojnie, lecz stanowczo:

— Ponieważ suknia została już sprzedaną, proszę panią zatem o zwrot moich pieniędzy. Przemiana

Modniarka najpewniejsza, że jej dawna klientka już wyszła, była właśnie w tej chwili zajęta zgarnianiem pieniędzy do szuflady. Zaczerwieniła się lekko i ruchem nerwowym posunęła ku niej banknoty. Scena ta odbyła się w milczeniu.

Gdy Helenka znalazła się na ulicy, a mroźne powietrze owiało jej rozpaloną twarzyczkę, odetchnęła głęboko, przebyła bowiem ciężką godzinę w tym przybytku mody. Bóg jeden widział, ile ją kosztowało jawne przyznanie się do ubóstwa, ile pokonanie nieśmiałości i natarczywe dopominanie się po trzykroć pieniędzy, ile pokus zwalczyć musiała...

Jednak była teraz dumna z odniesionego nad sobą zwycięstwa, a chociaż powtarzała sobie jeszcze, że źle jest być ubogą, chociaż z goryczą myślała o różnicy w zachowaniu się modniarki na początku i na końcu, przecież gorycz ta właśnie dała jej poczucie własnej wartości, niezależnej od utraconego w modnym świecie stanowiska — i obudziła żywszą sympatię dla ludzi, których twardość i surowość raziła ją, ale którzy nie majątek, nie powierzchowność, tylko wartość moralną cenili w człowieku. Jakże wielcy wydawali się jej w tej chwili ze swoją purytańską prostotą wobec tego świata modnego, myślącego tylko o gałgankach, wśród którego spędziła tę godzinę! Jakże czcze wydały jej się słyszane tam rozmowy, gdy je porównywała z poważnymi zagadnieniami i celami, jakimi tamci byli zajęci! A jednak świat ten był niegdyś jej światem, a to, czym w tej chwili gardziła, było niegdyś najmilszym dla niej i nigdy nie wyczerpanym tematem do rozmowy. Spostrzegła, że między jej istotą dawniejszą a dzisiejszą jest pewna różnica, i zdziwiła się.

Ściskając mocno w ręku portmonetkę, stała na chodniku, chcąc zawołać na przejeżdżającą dorożkę, gdy nagle zrobiło się jej żal pieniędzy odzyskanych z takim trudem.

„Pójdę pieszo — rzekła do siebie po chwili namysłu — jest wprawdzie trochę daleko, ale wieczór pogodny, to się jakoś przejdzie".

Była to pierwsza jej oszczędność.

XVII

Iść pieszo i bez lokaja było dla Helenki rzeczą zupełnie nową. Z początku zdawało jej się, że każdy przechodzień patrzy na nią i dziwi się temu, ale wkrótce spostrzegła swoją omyłkę. Warszawa to nie miasteczko M., gdzie każdy jej krok zwracał uwagę i był wszystkim wiadomy. Tu panny Oreckiej nikt nie znał, nikt na nią nie zważał i mogła była iść nawet boso, a nikogo by to nie obeszło.

W innym razie spostrzeżenie to obudziłoby w niej niezawodnie gorzkie myśli i co najmniej przypomniało słowa Cezara, że „lepiej być pierwszym w lichej chacie niźli drugim w Rzymie" — ale w tej chwili odzyskanie uważanych za stracone pieniędzy napełniło ją taką radością, że nie miała czasu nawet zastanawiać się nad tym.

Lekkim, szybkim krokiem szła przez ulice, nie czując bynajmniej zmęczenia, a ujrzawszy nareszcie z daleka wielki dom, dobrze sobie znany, zdziwiła się prawie, że się tak prędko u bramy jego znalazła.

Z pewnym miłym uczuciem wchodziła teraz w progi swego więzienia, jak gdyby czyn spełniony zbliżył ją z duchem ożywiającym jego mury. Oświetlone okna pierwszego piętra i przesuwające się w nich cienie pokazywały, że tam już tańczono; gdy wchodziła w bramę, słyszała wyraźnie dźwięki mazura, ale to nie zatrzymywało jej ani na chwilę. Uśmiechnąwszy się mile do odźwiernego, zdziwionego niepomiernie tą niebywałą uprzejmością dumnej panny, pobiegła do siebie na górę, gdzie siadłszy przy stole, napisała natychmiast list do Ofmana i włożywszy w niego pieniądze, dopiero ubierać się zaczęła. I rzecz dziwna! ona, co przed paru godzinami pragnęła jaśnieć w świetnym balowym stroju, włożyła teraz skromną muślinową sukienkę w kolorowy rzucik i splótłszy po prostu swoje przepyszne włosy w dwa grube warkocze, spuściła je swobodnie na plecy. Gdy w chwilę potem zjawiła się w progu salonu, twarz jej była pogodna, a w wielkich ciemnych oczach, gdzie dotąd błyszczały na przemian łzy żalu lub ognie błyskawic gniewu, jaśniał dawno niebywały spokój.

Powiodła oczyma po salonie i spotkała się ze wzrokiem Andrzeja. Oparty o framugę okna, stał patrząc we drzwi. I gdy ją tylko spostrzegł, przesunął się między parami tańczących i stanął przy niej.

— Jakże pani długo nie wracałaś! — rzekł tonem łagodnym i niemal serdecznym — byłem już o panią niespokojny i chciałem iść pani szukać.

— Pan? — spytała wpatrując się zdziwionymi oczyma w tego człowieka, zdającego się nie pamiętać, że przed trzema godzinami w tym właśnie miejscu wyrządził jej ciężką obelgę. — Pan? To chyba żart?

Andrzej lekko brwi zmarszczył.

— Gdybym chciał użyć tej broni, tobym jej niczym nie osłaniał — rzekł z pewną niecierpliwością w głosie — pani wiesz dobrze, że jestem zbyt szczerym, bym chciał pod moje wyrazy podkładać inne znaczenie. Niepokoiłem się istotnie o panią i miałem za złe

moim siostrom, że panią puściły samą jedną wieczorem w ulice wielkiego miasta, nie znanego pani wcale, choć z drugiej strony rad byłem, że pani nauczysz się sama sobie radzić i obywać się bez pomocy drugich. Nic tak prędko nie wyrabia w człowieku samodzielności, jak potrzeba, jak przekonanie, że w sobie samym siły szukać musi, bo jej nigdzie nie znajdzie.

„Dziwny człowiek" — myślała sobie po raz już setny może.

— Dlaczego więc pan powiadasz, że byłeś niespokojny o mnie, skoro wedle pańskiego sposobu widzenia było to dla mojej samodzielności potrzebne?

— Bo nieobecność pani zbyt długo trwała i zaczynałem już przypuszczać, że panią spotkało co złego.

— Czyli że mnie kto ograbił lub zamordował — mówiła dalej z odcieniem lekkiej ironii — a jednak w myśl pańskiej teorii powinna bym się z tego tylko cieszyć. Najlepszą sposobność do rozwinięcia samodzielnej siły dałaby mi właśnie walka o mienie lub życie!

— Pani teorię moją, na doświadczeniu życiowym opartą, obraca w śmieszność, ze złośliwością, jakiej się w pani nie domyślałem — odrzekł Andrzej z uśmiechem — chociaż powiem, że nawet ewentualność, o jakiej pani wspomina, nie byłaby dla pani bez korzyści. Serce pani wzbogaciłoby się o jedno wrażenie więcej, nie mówiąc już o tym, że duch w zetknięciu się z niebezpieczeństwem mężnieje.

— O! korzyść byłaby jeszcze większa — pochwyciła podrażniona, że on mógł z takich rzeczy żartować — szczęśliwy bowiem wypadek mógł był mnie na zawsze od wszelkich przykrości i szyderstw uwolnić...

— Nie, pani, takiego wypadku nie można by nazwać dla pani szczęśliwym, święty Piotr bowiem nie wpuściłby pani do nieba.

— Doprawdy, a to dlaczego, jeśli wolno zapytać?

— Bo tam nikogo nie wpuszczają z próżnymi rękami. Wielki odźwierny, święty Piotr, staruszek dobry, ale wielce surowy, pyta najprzód każdego o robotę i na sam widok rąk nazbyt delikatnych w straszny gniew wpada.

— O! — rzekła z goryczą, patrząc na swoje palce, pokłute przy obszywaniu pakietów w grube, drelichowe płótno — moje już straciły swoją delikatność...

— Nie jestem tego zdania: zresztą od tak niedawna pracować pani zaczęłaś, że suma tej pracy, jak mniemam, nie zdołałaby pani jeszcze wyrobić paszportu do królestwa niebieskiego; same zaś dobre chęci są monetą nie mającą wcale kursu w niebie, bo, jak pani wiadomo, piekło jest nimi wybrukowane.

— Czyli że poszłabym prosto do piekła?...

— Tego nie śmiem stwierdzić na pewno: są dusze, do których ani niebo, ani piekło przyznać się nie chce; mówi o nich Dante w pieśni trzeciej *Boskiej komedii*:

...Mistrzu, skąd ten zgiełk zawiły?
Czy to jęk ofiar krwawego zapasu?
A on: — Z nałogu tak płuc trwonią siły
Nędzne te dusze, co niegdyś na ziemi
Bez żadnej chwały i bez hańby żyły.
Tu one goszczą z anioły owymi.
Co samolubnie, stroniąc kroków czynnych,
Acz nie buntowni, nie byli wiernymi.
Niebo w czystości pozbyło się winnych,
Piekło zaś w głębsze nie przyjęło tonie,
By w pychę nie wzbić potępieńców innych.
Więc ja: — Cóż, mistrzu, dręczy ich w tej stronie,
Że z takim jękiem dobywają głosu?
— To — odrzekł — w kilku ci słowach odsłonię:
Dla nich nadzieja znikła śmierci ciosu;
Gdy zaś tu nędzne dni ich muszą płynąć,
Zazdroszczą teraz jakiego bądź losu.[53]

[53] *Mistrzu, skąd ten zgiełk zawiły? (...) Zazdroszczą teraz jakiego bądź losu.* — fragment *Pieśni 3* z *Piekła* Dantego w tłumaczeniu Ludwika Kamińskiego (1786–1867). [przypis edytorski]

— Nie rozumiem, do czego to zmierza — powiedziała wysłuchawszy tego ustępu, na który nigdy nie zwróciła głębszej uwagi, choć znała dobrze, jak się jej zdawało, *Boską komedię*.

— Że pani żyć koniecznie potrzeba, żeby zarobić sobie na jaki taki paszport do nieba. Uciec od wszystkich ciężarów życia poza próg śmierci byłoby może najwygodniej; ale czyż nie wstyd byłoby pani leżeć sobie w grobie jak w łóżku, podczas gdy my tu wszyscy trudzimy się, nosimy ciężary, walczymy? Tylko leniwym duszom śmierć się uśmiecha. Śmierć, Praca

Helenka dziwnym wzrokiem patrzała na tego człowieka mówiącego jej ciągle o pracy i przypomniała sobie Stefana, który z nią tylko o przyjemnościach życia i zabawach rozmawiał i który, była pewna, pragnąłby od niej usunąć trud najlżejszy. Przez chwilę porównywała z sobą tylko dwóch ludzi. To, co Andrzej mówił, wyższe było bez wątpienia, ale był taki brzydki, taki niezgrabny, a tamten taki piękny, taki pociągający.

— Któż tu mówi o śmierci, gdy muzyka wzywa do mazura? — spytała Elżunia, która, przechodząc, słyszała ostatnie wyrazy Andrzeja. — Ach, to pani już powróciłaś, panno Helenko? Jak to dobrze, byłyśmy już bardzo niespokojne o panią. Jakże się pani powiodło? Suknia będzie sprzedaną?

— Już sprzedana; przyniosłam z sobą pieniądze.

— Ach, to wybornie! — zawołała klasnąwszy w dłonie. — Biegnę powiedzieć mamie. Ucieszy się.

— W sądzie moim o pani, jaki tu przed trzema godzinami wyraziłem, omyliłem się bardzo i proszę o przebaczenie — rzekł Andrzej, gdy siostra jego odeszła. — Chciałem to pani zaraz powiedzieć, skoro tylko panią ujrzałem wchodzącą, aleś mi pani przeszkodziła i powiodła myśl moją na inne tory. Proszę o przebaczenie i zapomnienie.

Wyraz triumfu zajaśniał na twarzy Helenki. Nareszcie ten dumny człowiek, który ją zawsze upokarzał, upokorzył się przed nią, uznał swój błąd i prosił o przebaczenie. Byłaby mu go chętnie odmówiła, ale zwycięstwo, jakie dziś nad sobą odniosła, i płynące stąd zadowolenie usposabiały ją mniej niechętnie dla niego.

— Wiem, że pan lubi szczerość — rzekła patrząc mu prosto w oczy — więc też szczerą dam panu odpowiedź. Przebaczyć mogę, ale nie w mojej jest mocy zapomnieć. Dotknąłeś mnie pan ciężko wiele razy, a dziś uczyniłeś to w sposób bardzo bolesny i byłeś niesprawiedliwy dla mnie; nie żądaj więc pan za wiele.

Po twarzy jej, gdy mówiła, przemknął znowu bolesny wyraz i Andrzej uczuł żal, że swymi słowy zmącił pogodę, jaka się przed chwilą objawiła.

— Muszę więc na tym poprzestać — powiedział z pozornym spokojem, który ją mniej korzystnie dla niego usposobił i tym trudniejszym uczynił zapomnienie.

Jak mało ten człowiek dbał o nią, chociaż niedawno mówił, że był z powodu jej długiej nieobecności niespokojny! Stefan byłby pewnie w rozpaczy, gdyby mu coś podobnego powiedziała, póty by ją błagał, dopóki by mu nie przyrzekła, że zapomni.

Rozmowie tej położył kres pan Radlicz. Zbliżył się do Helenki i rzekł życzliwie:

— A! jesteś pani nareszcie! Upatrywałem ciebie w sali od godziny i dziwiłem się, że pani dotąd nie ma; córki moje dopiero wytłumaczyły mi pani nieobecność. Rad jestem z ciebie, moje dziecko. Przeczuwałem ja od razu, że się wyrobisz na porządną kobietę, i widzę, żem się nie omylił.

Uścisnął jej rękę i zapytał:

— Czy lubisz pani tańczyć?

— O, i bardzo — odpowiedziała zarumieniona lekko tą pochwałą.

— A więc pozwól, abym ci młodzież naszą przedstawił i zapoznał z całym towarzystwem. Nie znajdziesz tu pani wprawdzie ludzi utytułowanych ani magnatów, ale będziesz miała do czynienia z inteligencją. Jest kilku literatów, kilku artystów, a reszta przemysłowcy.

W chwilę potem Helenka wmieszała się w grono tańczących, a tańczyła ochoczo i bawiła się doskonale, tak doskonale, jak nie przypuszczała nawet, że bawić się można w skromnym mieszczańskim salonie i przy dźwiękach fortepianu tylko. Bo też w atmosferze otaczającej ją coś się nagle zmieniło; wszyscy domowi mieli dla niej życzliwe słowa, cieplejsze spojrzenia. Nawet pani Radliczowa patrzała na nią bez niechęci i troszczyła się o nią bardzo przy kolacji. Zmiana ta wywołała w niej zadumę. Zrozumiała, że nabrała prawa do ich szacunku.

Po wieczerzy, gdy towarzystwo rozproszyło się po salonie i przylegających do niego pokojach, chodząc i rozmawiając, Helenka schroniła się do biblioteki, a słowa dwa tygodnie temu usłyszane tu o sobie stanęły jej żywo w pamięci. Wspomnienie to przykre jej było; już chciała wyjść stamtąd, gdy ucho jej, jak wówczas, uderzył głos Andrzeja.

— Gdzież to się podziała księżniczka?

— Musi być w sali — odpowiedziała Elżunia — ale co się to stało, że mój brat raczy się nią interesować? Dotąd byłeś do niej dziwnie uprzedzony.

— Ta dziewczyna zaczyna mieć charakter i więcej jest warta, niż myślałem.

„Ten pan raczy nareszcie przyznawać, że mam charakter — rzekła do siebie Helenka — i przypuszcza nawet, że jestem coś warta... Wielka to łaska z jego strony! "

— Ja ci to pierwszego zaraz dnia powiedziałam — wtrąciła Elżunia.

— W swojej skromnej sukience wydała mi się daleko piękniejszą niż w stroju balowym, w którym ją przed kilku godzinami widziałem, a w którym jednakże była czarującą. Przybył jej urok, jakiego nie posiadała dotąd, urok prostoty. Czoła też już nie zasłania grzywką ani nie nosi za sobą tego fatalnego tłomoka[54], który ją czynił podobną do wielbłąda. Gdy się ukazała w sali, o mało jej nie powiedziałem, że jest prześliczna!

— I to już zobaczył mój braciszek! — zawołała wesoło Elżunia — ostrożnie, Andrzeju, ostrożnie, bo się w niej zakochasz.

Fala gorącej krwi uderzyła do głowy dziewczęcia i jednocześnie uczuła dziwną radość, że ten szorstki człowiek pochwalił ją na koniec, radość niepojętą dla niej samej.

— Bądź spokojna — odpowiedział Andrzej — moje serce nie jest tak łatwe do zdobycia. Wreszcie tylko kobietę takiego hartu duszy jak matka nasza mógłbym pokochać, bo tylko taka może dać szczęście mężczyźnie, widzącemu w małżeństwie coś więcej niż zwykły romans. Księżniczka jest niezaprzeczenie dobrym dzieckiem, ale wątłym i słabym.

Helenka przygryzła wargi. Nie dbała wcale o jego serce, ale czuła się dotkniętą, że ją osądził za niegodną tego serca. Śmieszyło ją to też, że je nazwał „niełatwym do zdobycia". Kto by też kusił się o zdobycie serca tego człowieka z nieregularnymi rysami, z włosami najeżonymi jak szczotka i nie posiadającego najmniejszego daru podobania się kobietom? Nie ona z pewnością!

XVIII

Ze wszystkiego, co zaszło owego wieczora, najwięcej utkwiło Helence w pamięci to, że ją nazwano „słabym, wątłym dzieckiem", którego nie może pokochać silny, rozumny mężczyzna, szukający dzielnej towarzyszki w kobiecie. Wyrazy te przez kilka dni następnych widziała we wszystkich rachunkach, adresach i pakietach, czytała je wszędzie, gdzie tylko zwróciła oczy. Przyczepiły się do niej ze szczególną mocą i nie chciały się odczepić, co ją dziwiło i gniewało — nie miała bowiem nigdy pretensji do zostania towarzyszką życia Andrzeja: kochała przecież innego! A gdyby nawet ten inny nie istniał, to wcale nie uśmiechała jej się perspektywa spędzania całego życia w tym ponurym, kwakierskim domu. Nie miało dla niej powabu chodzenie z kluczami u pasa na wzór pani Radliczowej ani cerowanie własnymi rękami tych szkaradnych grubych skarpetek.

Myliłby się bardzo, kto by sądził, że w Helence od owego wieczora nastąpił jaki nagły zwrot; że myśli, jakie jej przechodziły przez głowę, gdy szła z magazynu pieszo, zmieniły ją do gruntu. Takie zmiany nie dokonywają się tak łatwo: instynkty, leżące we krwi, i nałogi, na których wyrobienie pracowały pokolenia, nie mogły się przeobrazić w jednej chwili. Dziewczyna patrzyła, słuchała, rozważała, uznawała za dobre to i owo, ale nic z tego, co uznawała, nie przylegało do niej, tak jej się przynajmniej zdawało. Chwilami, jakby na gorącym uczynku, łapała się na myślach i uczuciach nie będących dawniej jej myślami i uczuciami. Dusza była rozbudzona, tylko nie mogła jeszcze znaleźć właściwej równowagi; pojęcia nowe walczyły z dawnymi, rugowały je, ale nie mogły się ustalić, bo im nie oddawano gruntu dobrowolnie, ale broniono go uporczywie, prawie z gniewem — musiały go zdobywać powoli, krok za krokiem. Czując, że te pojęcia biorą nad nią przewagę, tym usilniej ganiła w duchu wiele, niemal wszystko, co ją otaczało, i nie czyniła ze swej

[54]*tłomok* — dziś: tłumok; tu mowa o tiurniurze, konstrukcji wkładanej pod spódnicę, aby biodra noszącej wydawały się obfitsze i bardziej kobiece. [przypis edytorski]

strony nic, żeby się do panującego w domu tonu dostroić. Pozornie poddawała się domowemu porządkowi i zwyczajom, ale było to poddanie bierne, w którym dusza nie brała żadnego udziału, poddanie przerywane napadami tajonych łez, gwałtownych wzburzeń, głuchych żalów... Źle jej było, a że nie nauczono jej panować nad sobą, więc choć usta milczały, stan duszy odbijał się mimo woli w wyrazie twarzy, uderzającej chorobliwymi rumieńcami, to znów objawami najwyższego zniechęcenia i apatii. Cieplejsza atmosfera, jaka się dokoła niej wytworzyła owego wieczora, nie podsycana niczym z jej strony, miała ostygnąć. Oceniano ją, ale jej nie kochano.

Andrzeja jeszcze więcej nie lubiła od czasu, jak wyrzekł słowa, których nie mogła zapomnieć, od czasu gdy ją nazwał „słabym dzieckiem" — i unikała z nim spotkania sam na sam. Do oranżerii chodziła czasem popatrzeć na kwiaty, ale wybierała zawsze godzinę, w której wiedziała, że go tam nie ma. Wspaniały filodendron nie okwitł jeszcze.

Jednego dnia, gdy siedziała na ławeczce żelaznej i patrzyła zamyślona na rybki pluskające wesoło i na koronkowe liście paproci przeglądające się w wodzie, nagle drgnęła. Obok paproci ujrzała w wodzie odbicie twarzy Andrzeja. Wstała, chcąc odejść, ale nie dopuścił tego, zastąpiwszy jej drogę.

— Widzę, że spotkanie ze mną nie jest wcale przyjemne dla pani — rzekł z lekkim uśmiechem — i przykro mi, że panią na tę nieprzyjemność narażam, ale chcę panią prosić o chwilę rozmowy.

— Słucham pana — rzekła chłodno.

— Od dnia swego tu przybycia stronisz pani systematycznie od nas wszystkich: jesteś milcząca, zamknięta w sobie i chociaż dom nasz nie jest bynajmniej pustynią, pani w nim żyjesz niby Robinson Kruzoe na bezludnej wyspie...

Helenka spojrzała na mówiącego uważniej: i ona niejednokrotnie porównywała tu już siebie do Robinsona.

— Robinson był przynajmniej o tyle szczęśliwszym od pani — mówił dalej — że miał Piętaszka, a pani nie masz nikogo. Ludzie zmuszeni żyć pod jednym dachem powinni koniecznie wynaleźć sobie jakiś *modus vivendi*[55] i jakiekolwiek bądź byłyby ich antypatie, czynić wszelkie możliwe usiłowania w celu uczynienia się nawzajem znośnymi.

„Ma słuszność — pomyślała — życie obecne jest dla mnie nieznośne. Dobrze byłoby uczynić je cokolwiek znośniejszym".

— Z wyjątkiem ojca mego — mówił dalej — zdajesz się pani do nas wszystkich jednakową czuć antypatię, że już nie mówię o sobie, którego zaledwie pani raczysz znosić.

Lekki rumieniec zabarwił lica Helenki.

— Odpłacam tylko pięknym za nadobne — odpowiedziała. — Oprócz ojca pańskiego, bardzo surowego dla mnie, pomimo okazywanej mi życzliwości, nie mam tu nikogo, co by czuł dla mnie choć odrobinę sympatii. Ale proszę nie myśleć, że się na to skarżę — dodała z pośpiechem — tłumaczę się tylko z uczynionego mi przez pana zarzutu. Nie potrzebuję sympatii niczyjej. Obywam się tu bez wielu rzeczy, potrafię się obejść i bez tego.

Mówiąc to spuściła oczy dla ukrycia łez, jakie w nich zabłysły.

— Winszuję pani — rzekł Andrzej, udając, że wierzy jej słowom — ale nie zazdroszczę. Rzadko kto może się zdobyć na podobny stoicyzm, ja przynajmniej nie potrafiłbym. Sympatia ludzka nie jest mi rzeczą obojętną i nie gniewałbym się wcale, gdyby na przykład pani, zamiast nienawidzić, lubiła mnie troszeczkę.

Oczy Helenki pociemniały, błysnęło w nich coś na kształt gniewu.

— Nie znaczy to jednakże, żebym sobie rościł do sympatii pani jakiekolwiek prawo. Jest to nawet rzeczą niemożliwą, ponieważ mnie pani prawie nie zna. Myli się pani jednakże, przypuszczając w nas wszystkich niechętne dla siebie usposobienie. Wszyscy bez wyjątku jesteśmy pani życzliwi, ale za mało panią znamy, abyśmy mogli panią pokochać. Piękna powierzchowność, jaką natura panią tak hojnie obdarzyła, nie wystarcza jeszcze do pozyskania miłości.

Helenka przygryzła wargi. Patrzyła na niego z nie ukrywanym zdumieniem. Każdy inny na jego miejscu powiedziałby: „Ach, pani, któż by pani nie uwielbiał! ", a ten

[55] *modus vivendi* (łac.) — sposób życia; tu: zasady współżycia. [przypis edytorski]

nie wahał się mówić jej w oczy bez zająknienia, że nikt jej dotąd nie pokochał i że jej powierzchowność nic nie znaczy. Andrzej mówił dalej:

— Pani sama zresztą największe temu stawiasz przeszkody.

— Ja?

— Tak jest, nie chcesz się pani dać poznać. Poznanie następuje tylko przez zbliżenie się ludzi do siebie, przez wymianę myśli, pomagającą do ocenienia wzajemnej wartości.

— Wartość i zawsze wartość — rzekła z goryczą Helenka. — Od chwili, w której przestąpiłam próg tego domu, słyszę na wszystkie strony, z wszystkich ust ten wyraz *wartość* odmieniany przez wszystkie formy i przypadki. Czy idzie o rzeczy martwe, czy ludzi, państwo wszystko oceniacie po...

— Po kupiecku, chciała pani powiedzieć, czy zgadłem?

— Niech i tak będzie. Proszę się temu nie dziwić; wszelkie rachunki bywały mi zawsze wstrętne. Nigdy nie rachowałam!

— Gdybym był pani przyjacielem... a raczej, gdyby pani chciała mnie uważać za swego przyjaciela, radziłbym pani, żebyś się nauczyła co najprędzej rachować. Rachunek jest podstawą wszelkiego porządku społecznego, a więc i szczęścia w rodzinie. Jeżeli sympatia rodzi się z przekonan a o wzajemnej wartości ludzi, to i miłość nie jest czym innym, jak tylko rachowaniem wzajemnym dwojga ludzi na siebie, popartym wiarą, że żadne nie popełniło pomyłki.

Helenka westchnęła. Ona nie myślała o wartości Stefana, gdy serce jej uderzyło dla niego. Pokochała go bez rachunku!

— Pytałaś mnie pani raz, jakim prawem ośmielam się mówić pani słowa prawdy: istotnie, nie jestem ani bratem pani, ani przyjacielem nawet... ale mam dla pani serdeczną życzliwość...

— Pan?

— To panią dziwi?

— Niezmiernie. Pan, co obawiasz się, abym zamiast pomagać, nie „zawadzała" w kantorze; pan, co odmawiasz mi najświętszego ze wszystkich uczuć, uczucia miłości dla kraju; pan, co wyśmiewałeś mój ubiór, mój sposób układania włosów na głowie, moją chęć posiadania fotelu; pan, na koniec co mnie szyderczo nazywasz „księżniczką" — pan masz mi być życzliwym?

— Wszystko, o co mnie pani oskarża, popełniłem — odparł Andrzej z uśmiechem — chociaż słowa pani nadają występkom moim rozmiary, jakich nigdy nie miały. Odkąd panią widzę pracującą pilnie i wytrwale w kantorze, pomimo że to pani nie bawi i dużo wysilenia kosztuje, zmieniłem moje zdanie pod tym względem: nie tylko pani nie zawadzasz, ale pomagasz nam istotnie. Od czasu zaś, jak „księżniczka" dobrowolnie sobie powiększyła godziny pracy i sprzedała swoją suknię balową, powziąłem dla niej szacunek i życzliwość.

— Nie przeszkadza to jednak panu upokarzać mnie na każdym kroku, dowodzić wszelkimi możliwymi sposobami, że nic nie umiem, że nie potrafię nawet czuć tak jak inni ludzie. Rodzina państwa stoi niewątpliwie bardzo wysoko pod względem obywatelskim, ale... niech pan wybaczy, że i ja będę mówić prawdę — ale brak jednej cnoty odejmuje wam cechę doskonałości: cnotą tą jest wyrozumiałość. Dumni waszą siłą fizyczną i moralną, potępiacie bez sądu wszystko, co wam się wydaje być błędem lub słabością, bo słabość pod każdą postacią jest w oczach waszych występkiem, jest raną, którą leczyć chcecie rozpalonym żelazem. Pański ojciec, pańska matka, pańskie siostry, wszyscy wypowiadacie swoją prawdę z rzadką bezwzględnością, nie przebierając w słowach i nie bacząc, czy one zranią kogokolwiek, czy nie. Wasze słowa są ostre jak noże! Nie miałeś pan prawa, powtarzam, czynić mi tu na tym miejscu przed dwoma tygodniami ciężkiego zarzutu na zasadzie jednorazowej krótkiej obserwacji. Alboż pan mnie znasz? alboż pan wiesz, jakie uczucia mogą być we mnie? Nie powinieneś pan był mówić mi tak bolesnych wyrazów, jakiekolwiek bądź były pańskie intencje. Czyż dlatego, że jestem tu sama jedna, obca dla was i daleka od swoich, można mnie bezkarnie znieważać? O, jesteście czasem okrutni!

Słowa te, wypowiedziane z wybuchem, w którym czuć było gorzki wyrzut, wywołały na twarzy Andrzeja rumieniec widoczny nawet na jego ogorzałej twarzy. Popatrzył chwilę na drobną postać, stojącą wśród kwiatów egzotycznych, tak wątłą jak one, i zrobiło mu się

żal, że był dla niej zbyt surowy, że nie oszczędzał jej więcej — ale zapanował nad swoim wzruszeniem i rzekł poważnie:

— Odpowiem pani na to słowami, które wydadzą się pani jeszcze okrutniejsze: żelazo rozpalone jest lekarstwem bolesnym, ale najskuteczniejszym, bo leczy prędko i niszczy chorobę u źródła.

— Słysząc pana — przerwała — zdaje mi się, że mam przed sobą Dantona lub Marata i że lada chwila ujrzę błyszczący nóż gilotyny. Może lepiej byłoby dla mego osobistego bezpieczeństwa, gdybym wstąpiła w ślady arystokracji francuskiej i szukała ratunku w emigracji...

— Jestem pewien jednak, że pani wybierzesz sobie rolę zaszczytniejszą i zostaniesz — rzekł łagodnie. — Pojęcie, jakie wyrobiłaś sobie pani o nas, jest błędne: nie uważamy się za doskonałych i nie jesteśmy dumni ani niewyrozumiali. Przekona się pani sama o tym, gdy nas pani lepiej pozna, tylko nasz sposób widzenia rzeczy, wyrażający się prosto, bez szukania form subtelniejszych, razi panią, nie przyzwyczajoną snadź do słuchania prawdy. Nie przypuszczałem, niech mi pani wierzy, żeby moje uwagi mogły panią tak razić. Mówiłem po prostu, com myślał, i tym właśnie dawałem dowód mego szacunku dla pani. Nie znałem pani dobrze, ale zdawało mi się, że stoisz wyżej ponad banalne komplementy wystarczające płytkim umysłom.

Helenka milczała.

— Panno Heleno — rzekł po chwili — wiem, żem na sympatię pani nie miał sposobności zasłużyć i że od czasu naszej poprzedniej w tym miejscu rozmowy czujesz pani do mnie głęboką niechęć. Czyż jednak, pomimo to, nie wierzysz pani, że moje uczucia względem niej nie są nieprzychylne, i czy nie podałabyś mi ręki z ufnością, jak człowiekowi uczciwemu, gdybym o to prosił?

To mówiąc, wyciągnął ku niej dłoń otwartą: była to dłoń spracowana, szeroka, żylasta, opalona. Helenka, która podczas ostatnich słów jego patrzyła machinalnie na złote rybki, pluskające się w wodzie, i na delikatne listki paproci, podniosła ku niemu swoje wielkie oczy, pełne nieokreślonych pragnień i cichych smutków, i patrzyła przez chwilę na tego człowieka, tak dla niej niemiłego. W postawie jego tyle było prawdziwie męskiej godności i energii, w oczach tyle siły spokojnej i pewnej siebie, że już miała położyć swoją malutką rączkę na jego dłoni, gdy pamięć, płatająca ludziom tak częste figle w najniewłaściwszych chwilach, przypomniała jej słowa: „ona jest tylko słabym, wątłym dzieckiem" — i zawahała się, co widząc Andrzej, usunął natychmiast swoją.

— Nie masz pani odwagi dotknąć się mojej ręki, której sama wielkość przestrasza panią — powiedział z przymuszonym nieco uśmiechem — nie mam pani tego za złe. Owszem, podoba mi się ta szczerość nie zamaskowana fałszywą grzecznością.

— Ale pan się myli — rzekła śpiesznie i z lekkim pomieszaniem, chcąc podać mu rękę, ale Andrzej cofnął się mówiąc:

— Przepraszam panią, ale zwykłem brać tylko to, co może mi być dane dobrowolnie. Nie lubię nic nikomu narzucać. Pierwszy ruch pani był szczery i pokazał, że pomimo pozornego wstrętu do prawdy, stosujesz ją pani jednak w postępowaniu. Niechże pani źle zrozumianą delikatnością nie psuje mi dobrego wrażenia. Do widzenia.

Zniknął między krzewami, a Helenka chwilę jeszcze patrzyła w stronę, w którą odszedł, po czym wzruszyła lekko ramionami, a przed oczyma jej duszy stanął obraz Stefana w całym blasku jego młodzieńczej urody i rycerskiego wdzięku.

— Czy ja go zobaczę jeszcze kiedy! — szeptała z niezmierną tęsknotą. — Musi być równie szlachetny i dobry, jak jest piękny!

XIX

Usposobienie gorączkowe, w jakim się Helenka w pierwszych tygodniach znajdowała, ostygło powoli i zastąpione zostało stanem mniej więcej normalnym. Nauczyła się też wstawać o jednej godzinie, ani za wcześnie, ani za późno, i czy się czuła wypoczętą, czy znużoną, zdrową czy niezdrową, z jednakową zawsze pracowała gorliwością. Chwle słabości i zniechęcenia przychodziły na nią tak jak dawniej, ale nie poddawała im się przez dumę. Przez dumę wypełniana z największą dokładnością swoje obowiązki i stosowała się we wszystkim do porządku domowego. Nie chciała być gorszą od innych „kółek obra-

cających się w maszynie" ani przedmiotem politowania. Miała już tego dosyć. Przy stole nie odsyłała też już nie tkniętych półmisków, ale jadła prawie wszystko. Młody żołądek, osłabiony długim początkowym postem, dopominał się gwałtem o swoje prawa i mniej był wybredny w wyborze, a po upływie pewnego czasu właścicielka jego zaczęła nawet znajdować smacznym to i owo. Wprawdzie prostota przypraw nieraz przywiodła jej na pamięć wspomnienie innych obiadów; wprawdzie brak deseru zawsze dotkliwie czuć się dawał, ale rozpieszczone podniebienie przyjmowało z rezygnacją to, co było, wiedząc, że wszelkie protestacje byłyby bezużyteczne.

Otrząsając się na samą myśl o cerowaniu pończoch nie wiedziała biedna księżniczka, że sama będzie musiała się zapoznać z tą „szkaradną" robotą. Cienkie, po większej części ażurowe jej pończoszki, w energicznych rękach praczki, nie przyzwyczajonej do takiej „pajęczyny", zaczęły się drzeć w przerażający sposób — i trzeba było, chcąc nie chcąc, wziąć się do cerowania. W garderobie także od czasu do czasu pokazywały się różne, drobne uszkodzenia, wymagające natychmiastowej naprawy, a nie było pod ręką panny służącej, która by się tym zajęła. W tym domu kobiety same sporządzały bieliznę, nie powierzając jej rękom służących — trzeba więc było zrzucić pychę z serca i sporządzać także. Były to dni prawdziwej niedoli dla biednej dziewczyny, bo musiała robić to, czego nie umiała i nie lubiła; toteż ciężkie westchnienia wydobywały się z jej piersi przy robocie i nieraz łza spadła tu i owdzie.

A jakie to było sporządzanie! Pani Radliczowa, odbierając bieliznę z prania, aż się za głowę wzięła widząc te pośpieszne, nieudolne próby na cienkim batyście.

— Miłosierny Boże! — zawołała — a toć ta księżniczka nie ma najmniejszego wyobrażenia o sporządzaniu. Czy widział kto kiedy coś podobnego? Ściegi wielkie i nierówne jak dziecka, co się dopiero zaczyna uczyć szycia; wszystko pościągane, a jedno do drugiego nie pasuje. Gdzie delikatnie zesnuć by należało, zeszyte okrętką Bóg wie po jakiemu. Co też za matka być musiała niepraktyczna, że nie nauczyła córki nawet igły w ręku trzymać!

I wziąwszy *corpus delicti*[56], pani Radliczowa, która umiała cerować tak, że nikt nie poznał, gdzie było rozdarcie, szła na górę do pokoju Helenki, spędzającej zwykle wolne chwile nad książką.

— Odłóż, pani, na bok tę książkę — mówiła swoim zwykłym, niezbyt łagodnym głosem — a weź się do tego, co jest pilniejsze. Czy to nie wstyd, żeby taka duża panna nie umiała jeszcze cerować? Patrzże pani sama, jak to wygląda! Moje dziewczęta, kiedy miały po sześć lat, lepiej to robiły.

I wziąwszy nożyczki, pruła robotę Helenki w jej oczach i wykładała jej elementarne zasady sporządzania we właściwy sobie, szorstki, ale jasny sposób — powtarzając często:

— Dłużej starego niż nowego.

Wyrazy takie i tym podobne pokrywały zwykle krwawym rumieńcem twarzyczkę Helenki. Znała już ona tę kobietę i wiedziała, że jeżeli czas swój drogi poświęca na uczenie jej, czyni to przez życzliwość — bo błyski życzliwości dla siebie widywała u niej od czasu, gdy sprzedała swoją suknię balową. Dawniej pani Radliczowa byłaby poprzestała na pogardliwym ruszeniu ramion — dziś chciała ją nauczyć, więc należała jej się za to wdzięczność. Czuła to Helenka — ale człowiek nie od razu przerobić może swoją naturę. Więc choć nauki słuchała cierpliwie i z uwagą, choć dziękowała za nią, jednakże zostawiało to na niej wrażenie podobne do zgrzytu żelaza po szkle i zaledwie drzwi zamknęły się za panią Radliczową, gniotła z gniewem trzymaną w ręku sztukę bielizny lub rzucała ją na ziemię i wybuchała płaczem. Wrodzona jej duma jednakże nie dopuszczała, żeby podobne sceny powtarzały się często; zrobiła się bystrą i uważną na tę przykrą naukę i tak z niej korzystała szybko, że pani Radliczowa dziwiła się aż skuteczności swej metody.

Wychowanie, Nauka

— Dosyć jest pojętna ta księżniczka — mówiła do córek — i kto wie, czy się jeszcze nie wyrobi na porządną kobietę.

I nie tylko bieliznę nauczyła się sporządzać; robiła i takie rzeczy, jakich dotknąć się uważałaby sobie niegdyś za ubliżenie: czyściła sama suknie i trzewiki — a i do tego także popchnęła ją duma. Zmuszona bardzo oszczędzać, nie była w stanie dawać służbie datków pieniężnych — a nie mogąc ich dawać, nie chciała żądać żadnych usług. Toteż wszyscy domownicy opowiadający sobie dawniej po cichu różne anegdoty o „księżniczce", prze-

[56]*corpus delicti* (łac.) — przedmiot przestępstwa; dowód rzeczowy przestępstwa. [przypis edytorski]

stali się z niej wyśmiewać — a stara, najbardziej jej z początku nie lubiąca Kunegunda zaczęła jej nawet okazywać jawną przychylność i częstokroć, gdy Helenka brała się do zrobienia porządku koło swego ubrania, znajdowała je uporządkowane i oczyszczone, kurze w pokoju starte i każdą rzecz na swoim miejscu.

Obyczajem osób przywykłych do licznej służby Helenka zwykła była wszystko rozrzucać w swoim pokoju i swoich kufrach — i co za tym idzie, często nie mogła długo trafić do tego, czego szukała. Gorszyło to bardzo panią Radliczową.

— Porządek nierównie mniej trudu kosztuje od nieporządku — mawiała ta wzorowa gospodyni — a czasu ludziom oszczędza. Zamiast marnować go na szukanie czegoś, co powinno mieć wyznaczone miejsce, żeby nawet po ciemku mogło być znalezionym, czy nie lepiej obrócić go choćby na rozrywkę lub odpoczynek? Setki, tysiące godzin przepadają w ten sposób na bezużytecznej a daremnej krętaninie w życiu człowieka, a gdyby je pomnożyć przez pewną liczbę ludzi, zrobią się z tego lata, a nawet wieki — by nie mówić już o tym, że człowiek nie mogący zaraz znaleźć tego, czego szuka, jest niewolnikiem swego niedołęstwa i często traci przez nieporządek właściwą do działania sposobność.

Słowa te, chociaż czyniły pewne na Helence wrażenie, nie mogły przełamać jej natury — rozrzucała wszystko jak dawniej, a podłoga w jej pokoju wyglądała często jak śmietnik od rzucanych na nią niepotrzebnych papierów. Ale od czasu, jak pani Radliczowa, przyszedłszy raz do niej w odwiedziny, pozbierała starannie drobne kawałeczki podartego listu, schyliwszy się ze dwadzieścia razy, taką jej wymowną dała naukę, choć ani słowa przy tym nie wyrzekła — odtąd można było ze szkłem powiększającym chodzić i ani źdźbła nie znaleźć. Przyzwyczaiwszy się do utrzymania podłogi w porządku, doszła powoli do porządku na stole, w szafie i kufrach. Jedno wywoływało drugie.

Pomimo tej zmiany w przyzwyczajeniach istota moralna Helenki, pod tym przynajmniej względem, bynajmniej nie była zmienioną. Czuła się ciągle nieszczęśliwą i nie bez skrytej boleści widziała swoje ręce coraz bardziej grubiejące i tracące przezroczystość alabastru. Tylko chęć zarobku wzrosła jeszcze więcej; pracując po kilka godzin wieczorami w ekspedycji nasion, oprócz dziennej pracy w kantorze, doszła do tego, że podwoiła swoją pensję — a pryncypał widząc szybkość i gorliwość, z jaką pracowała, podniósł jej jeszcze płacę.

Zarabiała więc dosyć, ale pieniądze nigdy nie były długo w jej rękach: szły do domu, a i ta mała kwota, jaką zostawiała sobie na niezbędne potrzeby, rozchodziła się nie wiadomo kiedy i nie wiadomo na co; bo choć Helenka nie wydawała ani grosza niepotrzebnie, zawsze zdawało jej się, że powinna mieć w portmonetce więcej, niż miała. Wynikało to stąd, że nie pamiętała, na co wydawała, a wydatków swoich nie zapisywała. Pani Orecka nie miała tego zwyczaju wychodząc z zasady, że przez zapisywanie nie przybędzie jej pieniędzy w kieszeni, a córka myślała tak samo. Ale w domu Radliczów nie pozwolono jej długo tej zasady wyznawać. Bystry, darem spostrzegawczym obdarzony umysł pani Radliczowej odkrył ją wkrótce w Helence i „księżniczka" usłyszała znowu prawdę „nie obwiniętą w bawełnę".

— Nie zapisujesz pani swoich wydatków — mówiła — a więc i dochodów zapewne. Nie wiesz zatem, gdzie się podziewa to, co zapracujesz; nie wiesz, ile na konieczne poszło wydatki, które stale ponosić trzeba, a ile na przygodne i takie, bez których się obejść można było — a takich właśnie najwięcej robią ci, co się z funduszami swymi nie liczą. Dowodów niedaleko byś pani szukać potrzebowała...

— Na co się przyda zapisywać, skoro się pieniądze już wydało — wtrąciła nieśmiało Helenka. Historia, Cnota

— Lenistwo i nieoględność wynika z tego zdania, a nie sąd trafny o sprawie, panno Orecka. Co człowiek zapracuje, to mu nie przyszło bez trudu ciała i myśli, włożył w to zatem część swego życia. Wkłada je także w to, co wydaje, bo miał potrzeby, fantazje, przyjemności, a nieraz i boleści. Wiele z tego albo się pokrywa wydatkami pieniężnymi, albo je za sobą pociąga. Ja gdy zajrzę do moich rachunków z lat dawniejszych, przypominam sobie historię mego życia i stosunków moich i mojej rodziny. W rachunkach jak w zwierciadle widzę moje pojmowanie życia, moje błędy, a czasem i dobrą moją stronę. Kto by nasze rachunki przejrzał, zrozumiałby nas lepiej, niż gdybyśmy najszczerzej i najobszerniej starali się to objaśnić wyrazami, bo rachunki to dowody, że tak było, a nie inaczej. Rachunek to nasz mentor, nasz historyk, to nasze sumienie. Rachunek to

podstawa cnoty tak doniosłej, jak oszczędność wiodąca do dobrobytu, z którym znowu idzie w parze moralność. Porządek w rachunkach prowadzi do porządku w czynnościach i myślach. Spróbuj pani zapisywać wszystko, co się da cyfrą wyrazić, a po niejakim czasie będziesz wiedziała, jaki kierunek przybierają twoje czynności, i będziesz miała z czego wnieść, jakie zmiany w tym kierunku zaprowadzić. Doraźna korzyść ze skrupulatnego — uważaj pani dobrze, co mówię — *ze skrupulatnego* prowadzenia rachunków jest ta, która się zawiera w przysłowiu: „Pamiętaj, rozchodzie, żyć z przychodem w zgodzie". Ja bym to przysłowie jeszcze poprawiła i kazała rozchodowi koniecznie być mniejszym od przychodu, żeby coś zostało na nieprzewidziane, a niezbędne wydatki. Naturalnie nie zrobi się ich, gdy nie ma z czego, ale ile się nieraz przez to traci, ile to nieraz boli!

I nie poprzestając na wypowiedzeniu teorii, pani Radliczowa wprowadziła ją natychmiast w czyn. Przyniosła Helence w podarunku małą książeczkę, poliniowaną kolorowym atramentem i podzieloną na rubryki — potem od czasu do czasu przychodziła kontrolować i krytykować używanie tego podarunku.

Biedna „księżniczka" wzięta była w obroty ze wszystkich stron!

Praca, z uporczywą prowadzona wytrwałością, z początku męczyła ją bardzo, ale potem posłużyła jej na zdrowie: czas jej szybko upływał, apetyt miała nie gorszy od apetytów innych członków rodziny. Przekonała się, że może dużo wytrzymać i że bezzasadnie wmawiano w nią w domu wątłe i delikatne zdrowie; cerę miała nawet lepszą niż w domu, gdzie po całych dniach próżnowała.

Tak minęła zima. Od rodziców coraz gorsze przychodziły wiadomości i to ją dręczyło. Pieniądze, jakie posyłała, nie wystarczały, przeto, żeby więcej jeszcze zarabiać, pracowała do północy. To tak źle oddziałało na jej zdrowie, że gdy wiosna nadeszła, bladość jej twarzy zaniepokoiła pana Radlicza, któremu Andrzej zwrócił na to uwagę.

— Zdaje mi się, że temu dziecku brak jest powietrza — mówił pryncypał — trzeba ją posłać na jaki tydzień na wieś. Jedziesz do dziadka, Andrzeju, to weź ją z sobą. Wandzia się nią zaopiekuje i postara, żeby lepiej wyglądała.

Helenka mocno się opierała temu projektowi, narażającemu ją na straty materialne, ale wola pana Radlicza okazała się niewzruszoną i musiała usłuchać. Przed wieczorem siedziała już obok Andrzeja w małym jednokonnym powoziku. Stosunki jej z nim niewiele się zmieniły przez kilka upłynionych miesięcy; uznawała jego zalety, ceniła go nawet wysoko, ale go nie lubiła i unikała, gdy tylko mogła. On też jej nie szukał; był z nią grzeczny, ale z daleka. Tylko muzyki jego nie unikała Helenka, ale słuchała jej zawsze z rozkoszą, dziwiąc się, że ten prozaiczny człowiek umiał tak grać: jakim sposobem on, zwolennik czystego rozumu, do którego uczucie zdawało się nie mieć przystępu, potrafił tak odczuwać muzykę?

To samo myślała sobie siedząc obok niego w powozie i patrząc na ostry profil jego twarzy, w uszach bowiem brzmiała jej jeszcze cudowna symfonia, jaką grał wczoraj długo wieczorem.

Powóz toczył się szybko po gładkiej szosie, a gdy się zwrócił w drogę boczną, między pola, Andrzej, palący dotąd w milczeniu cygaro, odezwał się do swej towarzyszki:

— Rad jestem, że pani pozna moją siostrę Wandę; jest to kobieta, którą po mojej matce stawiam najwyżej i do której jestem najwięcej przywiązany.

„A więc ten człowiek kocha coś więcej prócz swojej pracy i zimnego rozumu — rzekła do siebie — tego nie myślałam. Dlaczego jednak tej właśnie siostrze daje nad innymi pierwszeństwo w swym sercu? Musi być między nimi pokrewieństwo duchowe".

— Uwielbiam ciągłą pogodę jej umysłu i moc duszy — mówił dalej. — Z twarzy jej, zawsze jasnej, nikt by się nie do myślał, jaki bolesny dramat rozegrał się w jej życiu. Była zaręczona z człowiekiem ze wszech miar godnym miłości i ślub miał się odbyć wkrótce, ale człowiek ten zginął wśród burzy wstrząsającej krajem, a raczej musiał umrzeć... Został skazany na śmierć, a ona nie mogła go nawet pożegnać.[57]

Z ust Helenki wyrwał się okrzyk bolesnego zdziwienia.

— I kobieta ta ani szlochała, ani załamywała rąk, ani złorzeczyła, tylko wzięła się do pracy! Łzy jej płynęły cicho i rzadko kto je widział, tylko włosy jej w ciągu jednego

[57] *człowiek ten zginął wśród burzy wstrząsającej krajem, a raczej musiał umrzeć… Został skazany na śmierć, a ona nie mogła go nawet pożegnać.* — mowa o powstaniu styczniowym, którego uczestników władze carskie skazywały na powieszenie lub zesłanie. [przypis edytorski]

roku posiwiały, choć gdy to się stało, miała dopiero lat szesnaście. Pracowała niezmordowanie od rana do wieczora, a gdy ją wstrzymywano, prosząc, by się nie zabijała trudem nadmiernym, odpowiadała, że to jest jej lekarstwo i że wypełnia testament zmarłego, którego dążności szlachetne znała dobrze. Dwadzieścia lat upłynęło od tego czasu, a ona nie znała prawie, co to jest odpoczynek. Najpierwsza wstaje, ostatnia się kładzie; pracuje z namiętnością, jakby zagłuszyć chciała bolesne głosy wspomnień. Rządzi ogromnym gospodarstwem kobiecym na wsi, pielęgnuje dziadka z drobiazgową troskliwością, leczy chorych i jeszcze przez kilka miesięcy letnich prowadzi fabrykację owoców suszonych i konfektów, które wysyła do Warszawy, a które właściciele handlów kolonialnych kupują chętnie zamiast kijowskich, jako lepsze i tańsze. Dawniej uczyła jeszcze dzieci wiejskie, ale jej tego wzbroniono z urzędu — i utrzymywała gospodę chrześcijańską, którą jej zamknięto. Niegdyś była bardzo żywą i wesołą dziewczyną, a choć wesołość znikła, żywość pozostała. Ruchliwy jej umysł nie tylko całość z wielką bystrością ogarnia, ale pamięta o najdrobniejszych szczegółach, o wszystkim i o wszystkich. Na twarzy ma zawsze miły uśmiech dla każdego, każdemu pomóc gotowa i usłużyć, każdego umocni, pocieszy, podniesie; zawsze spokojna, pogodna, słodka, nie skarżąca się na nic, zadowolona z tego, co jej życie daje, i nie pragnąca więcej. Jeden jest tylko dzień w roku, w którym jej moc i panowanie nad sobą słabnie: rocznica śmierci Jerzego — ale i wtedy znać na niej tylko znużenie, nic więcej. Zacni ludzie starali się o jej rękę, ale nie chciała jej oddać nikomu, mówiąc, że nie przestała się uważać za zaręczoną. Takie jak ona nie zapominają...

Rzucił cygaro i wsunął się w głąb powozu.

— Będzie to jedyna stara panna w naszej rodzinie — rzekł po chwili milczenia — bo Anna za kilka miesięcy zostanie żoną naszego ajenta w H., a narzeczony Elżuni kończy szkołę handlową w Berlinie.

— Nic o tym wszystkim nie wiedziałam — szepnęła.

— Nie okazałaś im pani nigdy, że cię bliżej obchodzą, więc nie narzucały się pani ze swoim zaufaniem — odpowiedział.

Helenka milczała. Dzieje życia Wandy zrobiły na niej silne wrażenie.

— Biedna kobieta! — odezwała się po chwili — ileż ona musiała wycierpieć! A ten nieszczęśliwy młodzieniec... Co za straszna rzecz pomyśleć, że czyjeś życie zostało zmarnowane!

— Zmarnowane? Nie, pani, poszło do skarbnicy, gdzie od dawna zbiera się fundusz narodowy, fundusz, z którego wszyscy czerpią zapomogę. Nic nie ginie na świecie.

I przytoczył jej wiersz, powiedziany kiedyś przez Henryka Merzbacha[58] do Kraszewskiego:

Nic nie ginie, mistrzu, na tym świecie Bożym,
Każda potu kropla, co ze skroni spada —
Każda łza, przed którą w boleści się korzym —
Trudu krew czerwona, zwątpienia myśl blada —
I te długie lata cierpień, gorzkich śmiechów —
I ten strumień tęsknot, co przez życie płynie —
I duch nasz zatruty jadem złych oddechów —
I ciche westchnienie — nic, mistrzu, nie ginie!

„I to ma być człowiek prozaiczny — rzekła do siebie Helenka — ależ to poeta! ”

Konie[59] zatrzymały się przed niewielkim dworkiem, podobnym z kształtu do dawnych dworków szlacheckich, bo był niski, parterowy i z frontu miał ganek wsparty na dwóch drewnianych kolumnach. Zmrok już był, a w jednym z okien dworku błyszczało światło.

— Jesteśmy już u celu — rzekł Andrzej otwierając drzwiczki.

Wysiadł, podał rękę Helence i wprowadził do obszernego pokoju, którego jedna połowa była oświetlona blaskiem ognia płonącego na kominku, a druga pozostawała w cie-

[58] *Henryk Merzbach* (1836–1903) — polski poeta pochodzący z żydowskiej rodziny księgarzy i wydawców. Brał udział w powstaniu styczniowym, był redaktorem konspiracyjnego pisma „Prawda”, a potem przebywał na emigracji w Belgii. [przypis edytorski]

[59] *Konie zatrzymały się* — powyżej jest mowa o tym, że Andrzej z Helenką jechali jednokonnym powozem. Określenie *konie* należy tu rozumieć jako utarty zwrot na oznaczenie pojazdu, powozu. [przypis edytorski]

niu. Przed kominkiem stało duże wyściełane krzesło z poręczami i podnóżek. Snadź ktoś tutaj siedział i niedawno opuścił to miejsce. Helenka zdejmowała z siebie okrycie, gdy pani tego domu, Wanda Radliczówna, weszła do pokoju ze świecą.

Dziewczę nie mogło się oprzeć wzruszeniu na jej widok. Patrzyło na tę postać wysoką, szlachetną, na oczy podkrążone sinymi obwódkami, ale pełne blasku, na włosy białe, dziwnie odbijające od cery świeżej i zdrowej, i trudno jej było uwierzyć, że ta postać pogodna i spokojna to bohaterka opowiadanego dramatu. Tylko wyraz bolesny około ust zdradzał cierpienie.

Siostra i brat przywitali się bardzo serdecznie, a Andrzej powiedział zaraz, w jakim celu przywiózł ze sobą gościa.

— O, to dobrze — rzekła wyciągając do Helenki rękę — będzie nam weselej we troje, a panna Orecka odetchnie trochę naszym powietrzem. Postaramy się, żeby w ciągu tego tygodnia, przeznaczonego na wakacje, nabrała rumieńców.

— Gdzie jest dziadek? — zapytał Andrzej.

— Dziadek już śpi, nie zobaczysz go dzisiaj.

Podano herbatę w pokoju kominkowym i gawędka przeciągnęła się dość długo. Helenka niewiele mieszała się do rozmowy rodzeństwa; patrzyła na panią domu i dziwiła się. Gdy ją odprowadzono do pokoju, przeznaczonego na nocleg, długo siedziała na łóżku nie rozbierając się. Myślała ciągle o tym życiu zapełnionym pracą i o dziwnym testamencie zmarłego.

XX

Dwór z ogrodem leżał na wzgórzu, a ze wzgórza był widok na całą okolicę: na pola, na łąki, na las, na rozrzucone chaty wioski i na bielejące w dali drogi, wysadzane rosochatymi wierzbami. Widok ten, którego największym urokiem była szerokość przestrzeni, wydawał się dziwnie piękny Helence, odwykłej od podobnych widoków w murach wielkiego miasta. Patrzyła nań jak na coś znanego, a niewidzianego dawno, z pragnieniem i tęsknotą, a uchem chwytała odgłosy idące od pól, od lasów, od łąk, przenikające do jej duszy i wywołujące w niej dziwne myśli i uczucia. Gdy ziemia budzi się z zimowego snu do życia i okrywa zielenią, w sercu człowieka, czy to starego, czy młodego, budzą się uśpione nadzieje, przytłumione pragnienia i wołają głosem wielkim o szczęście... Coś podobnego działo się w duszy Helenki. Wtem posłyszała śpiew:

Już tam ojciec do swej Basi
Mówi zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany
Marsz, marsz!

Śpiew ten, pochodzący widocznie z piersi starganej wiekiem, ale czerstwej jeszcze i raźnej, zaciekawiał Helenkę; zwróciła się ku niemu i zobaczyła żwawego staruszka w granatowej kapocie, w rogatej czapce i z ogromnymi wąsami. Trzymał w ręku koneweczkę i podlewał grządki kwiatowe.

Już tu ziomek pilnie słucha,
Czy armata ryczy;
Walecznego pełny ducha,
Każdy moment liczy.
Marsz, marsz!

Spostrzegłszy nadchodzącą Helenkę staruszek przerwał swoją robotę, przysłonił oczy ręką od słońca, żeby lepiej widzieć, i odezwał się:

— Hm, hm, co też to za śliczna panienka spadła nam z nieba! Szkoda, że pan pułkownik nie widzi, bo miałby czym oczy ucieszyć. Jest na co popatrzeć, jest, jak mi Bóg miły! Dzień dobry panience!

— Dzień dobry — odpowiedziała przypatrując się ciekawie temu sympatycznemu staruszkowi — czy wy tu jesteście ogrodnikiem, przyjacielu?

— Rozumie się. Żeby nie ja, toby tu nic nie było. Bo to dzisiejsze ogrodniki co potrafią? Może to panienka jest ta sama panienka, co to ją nazywają księżniczką?

— Tak, to ja.

— A to wiem, wiem; moja córka Kunegunda, jak tu u mnie była na Wielkanoc, to mi o panience naopowiadała fura rzeczy. Umie też panienka maszerować?

— Maszerować?

— Aha!

— Nie, nie umiem.

— To źle, niech się panienka nauczy. Kobiety powinny umieć maszerować; to potrzebne, jak panna za mąż idzie, bo która tego nie umie, to zamiast iść w jednym szeregu z mężem, będzie szła albo za prędko, albo za wolno, a taki fuszerski maszerunek do niczego dobrego nie doprowadzi. A jaszcze jak taka żona obejmie komendę, to niech Bóg broni! Pan pułkownik mówi tak samo. On powiada: Wojciechu, u nas kobiety źle wychowują. Jeżeli chłop idzie naprzód, to baba zostaje w tyle, a jak chłop zwolni kroku, to znowu baba leci naprzód jak opętana, ten do Sasa, ta do Lasa, i nie mogą się zgodzić. Źle, źle, Wojciechu, kobiety powinny razem z mężczyznami maszerować krok w krok, równo, ot tak, raz, dwa, raz, dwa. Rozumie panienka?

— Rozumiem — rzekła wstrzymując uśmiech.

— No, to niechże panienka tu zaczeka, a ja pójdę do strumienia po wodę i jak wrócę, dokumentniej to panience wyłożę. Ładne panny bardzo lubię musztrować, do stu tysięcy fur beczek! Nasz kochany komendant, panna Wanda, ta by umiała maszerować, ale nie ma biedaczka z kim!

Żebrak

Machnął ręką i, wziąwszy koneweczkę, pomaszerował do furtki. Helenka szła za nim i, stanąwszy w progu patrzyła na drogę idącą pod parkanem ogrodu i na strumień płynący tuż za nią po łące, gdy człowiek jakiś, który od kilku chwil badawczo jej się przypatrywał, przystąpił do niej i poprosił o jałmużnę. Przestraszona niespodzianym zjawieniem się żebraka drgnęła lekko i cofnęła się o krok — bo też powierzchowność jego nie budziła bynajmniej zaufania. Był to mężczyzna jeszcze młody, z twarzy bladą, nabrzękłą i chytrym spojrzeniem małych, ustawicznie biegających oczu, nie zgadzających się ani z płaczliwym głosem, ani z pokornie zgiętą postawą. Pierwszym wrażeniem, jakiego Helenka doznała na jego widok, był wstręt — ale łachmany obudziły jej litość. Sięgnęła do portmonetki.

— Nie dawaj mu, pani, ani grosza, bardzo proszę — zabrzmiał tuż nad nią głos ostry Andrzeja. — Precz stąd, nędzniku! Jak śmiesz przychodzić tutaj? Nie pokazuj mi się na oczy, jeżeli nie chcesz, żebym cię oddał w ręce strażników.

Żebrak nie czekał dłużej; wyprostował się i rzuciwszy na Andrzeja wzrokiem pełnym bezsilnej wściekłości, szybko się oddalił.

— Ach, panie — szepnęła Helenka z wyrzutem — ten człowiek jest głodny i prawie nagi? Pozwól, żebym go przywołała i dała choć trochę pieniędzy...

— Nie — zawołał — on niewart litości! Wypędziłem go stąd za próżniactwo i szerzenie ducha nieporządku między moimi robotnikami.

Nigdy go jeszcze nie widziała tak rozgniewanego; żyły mu nabrzmiały na skroniach, oczy ciskały błyskawice, głos grzmiał jak piorun.

— Nie przeczę, że musiał być bardzo winny, skoro go pan tak surowo ukarał — odpowiedziała — ale jeżeli jest głodny, czyż mamy mu dozwolić umrzeć bez pomocy?

— Niech zarabia na chleb.

— A jeżeli nie może znaleźć pracy?

— Pracę znajduje każdy, kto jej szuka — odpowiedział — ale temu zachciewa się żyć kosztem pracy innych. Słowa pani przynoszą zaszczyt dobremu jej sercu, ale dowodzą jego niepraktyczności i braku doświadczenia. Wspierać żebraków jest to podtrzymywać nędzę. Człowiek, któremu pani chciałaś dać jałmużnę, poszedłby jutro znowu żebrać, bo po co ma pracować na swoje utrzymanie, jeżeli go społeczeństwo utrzyma? Głód zmusi go do pracy. Młody jest, silny, zdolny, ja go znam. I dobroć musi być rozumna, jeżeli nie chce zostać bezwiednym narzędziem złego.

Helenka westchnęła.

— Twardy z pana człowiek — rzekła smutnie.

— Tak — odpowiedział spokojnie — jestem twardy, gdy czuję, że słuszność jest po mojej stronie, i gdy czynię, jak powinienem. Ale widzę, że go pani żal... Czy pani jesteś pewna, że on by chleba kupił za twoje pieniądze? Najpewniej przepiłby je w karczmie. Jeżeli pani koniecznie chcesz mu okazać miłosierdzie, to wesprzyj lepiej jego biedną żonę, o którą on się wcale nie troszczy. Jest to kobieta chora i obarczona dziećmi. Ale już chwilę z sobą rozmawiamy, a nie powiedzieliśmy jeszcze sobie dzień dobry. Dlaczego pani wstała tak wcześnie? Jeszcze nie ma szóstej.

— Zapomniałam wczoraj spuścić roletę i wschodzące słońce obudziło mnie. Zobaczyłam przez okno, że poranek jest piękny, i chciałam jego świeżością odetchnąć.

— Dobrze pani zrobiła. Nie mogę z panią dłużej rozmawiać, bo mi pilno zobaczyć dziadka; już wstał podobno. Do widzenia.

„Może on ma słuszność, mówiąc, że ten człowiek przepiłby w karczmie moje pieniądze — rzekła do siebie, gdy odszedł — bo mu niedobrze patrzyło z oczu, ale któż to może wiedzieć na pewno? Bądź co bądź lepiej się dziewięćdziesiąt dziewięć razy omylić niż jednemu prawdziwie potrzebującemu odmówić".

Gdy tak myślała, żebrak stanął znów przed nią i, rzuciwszy bystre spojrzenie na wszystkie strony, ponowił swoją prośbę w sposób tak natarczywy i zuchwały zarazem, że dziewczę, chcąc się go pozbyć, a bardziej jeszcze obawiając się, żeby Andrzej przypadkiem nie wrócił i nie zobaczył go znowu, rzuciła mu kilka sztuk drobnej monety i szybko zatrzasnęła furtkę. Ale furtka otworzyła się sama i Helenka zobaczyła, jak żebrak policzywszy na dłoni otrzymane pieniądze schował je do kieszeni i pogroziwszy pięścią w stronę, w którą się Andrzej oddalił, odszedł powoli. To, co widziała, napełniło ją niewytłumaczoną obawą i niepokojem. Długo chodziła po ogrodzie zamyślona, a bujna wyobraźnia coraz straszniejsze czyniła przypuszczenia co do tego włóczęgi grożącego Andrzejowi; widziała w nim złodzieja, podpalacza, mordercę i serce jej biło z trwogi na myśl, że on może być kiedy znienacka napadnięty. Nie obchodził ją wprawdzie nic, ale był jej znajomym, a to zawsze przykro myśleć... A gdyby o tym siostrze jego powiedzieć? Tak pewnie będzie najlepiej.

Zwróciła się ku domowi i tu oczy jej uderzył widok niezwykły. Andrzej prowadził starca, zdającego się wiek cały dźwigać na sobie. Wysoki, chudy, przygarbiony, wspierał się jedną ręką na ramieniu wnuka, drugą na kiju. Głowa jego uderzała szlachetnością kształtów, a rysy piękne były i wyraziste: nosiły one ślady ciężkich cierpień, wielkich burz, ale piętnował je wyraz tego spokoju, jaki daje bliskość grobu. Długa biała broda spadała mu na piersi, osłonięte ciepłym kożuchem, sięgającym aż za kolana.

Z macierzyńską niemal troskliwością prowadził go Andrzej między krzewami ku miejscu otwartemu, wystawionemu na słońce, gdzie stało już wygodne krzesło z poręczami, leżała poduszka i ciepła wełniana kołdra. Na ziemi rozpostarta była skóra tygrysia. Starzec postępował ostrożnie i powoli, macając przed sobą drogę kijem, a gdy ciepłe promienie wiosennego słońca dotknęły jego głowy, wyraz błogiej radości rozlał się po twarzy i wyszeptał:

— Jaki Bóg jest dobry, że daje nam już ciepło! Pod jego dobroczynnym tchnieniem inne życie wstępuje w krew stygnącą, zesztywniałym kościom zdaje się, że jeszcze odmłodnieją, a piersiom lżej oddychać... Dziękuję ci, mój chłopcze, żeś mnie tu przyprowadził.

Podniósł głowę i patrzył wprost na słońce, a Helenka spostrzegła z przerażeniem, że te wielkie, szeroko otwarte źrenice nie drgnęły pod jego oślepiającymi promieniami, ale pozostały nieruchome. Starzec był niewidomy. Andrzej doprowadził go do krzesła, a gdy ten usiadł, podłożył mu poduszkę pod plecy i okrył kolana kołdrą. Spostrzegłszy z daleka Helenkę, dał jej znak, żeby się zbliżyła — co gdy uczyniła, zapytał półgłosem:

— Czy pani możesz pozostać tu przy nim przez chwilę i czuwać w razie, gdyby czego potrzebował?

— Zostanę chętnie — odpowiedziała wzruszona mimowolnie tą troskliwością „twardego człowieka".

— Dziadku — przemówił pochylając się nad starcem — ja muszę stąd odejść na chwilę, ale zostawiam ci w moje miejsce pannę Orecką, o której ci opowiadałem. Ona mnie zastąpi.

— Dobrze, mój chłopcze — odrzekł zamyślony starzec i pochylił głowę na piersi, a Helenka zobaczyła wtedy, że były na niej dwie głębokie blizny, jakby od dwukrotnego cięcia pałasza. Czas jakiś siedział zadumany, a potem wsparł obie ręce na poręczach krzesła i zapytał:

— Czy jest tu kto?

— Ja jestem, panie, Helena Orecka — odpowiedziała stojąc przed nim.

— Helena Orecka, Helena Orecka — powtarzał, jakby zbierając wspomnienia — a wiem, wiem. Mówił mi o tobie mój wnuk. Wiem. Upadek fortuny, niedola, a więc córka musiała iść w świat za chlebem. Wszystko, co nie stoi mocno, upaść musi... Ale człowiek jest z twardej ulepiony gliny i tam, gdzie żelazo pęka i kamień się kruszy, on wytrzyma. Ja widziałem trzy razy upadek nadziei wielkiego narodu, moje dziecko, a żyję... Byłem na Dalekiej Północy, w kraju, gdzie słońce schodzi blado, a mróz przenika do kości, i patrzyłem co dnia na tęsknotę, trawiącą powoli najsilniejsze organizmy, na ciągłe odradzanie się i zamieranie nadziei i nie umarłem... A kiedy nareszcie po długiej rozłące wróciłem do swoich, straciłem oczy i nie mogłem już ujrzeć mojej ziemi; dziękowałem jednak Bogu, że mi jej choć dotknąć pozwolił. Odtąd patrzę na świat oczyma tych, co są przy mnie. A świat idzie dalej swoją drogą, ziemia co wiosnę odradza się na nowo, a wiosna jest tak samo piękna jak w dniach mojej młodości... Słońce tak grzeje! Czuję błogie ciepło rozchodzące się po żyłach moich. Dzień jest pogodny, więc musi tu być dokoła pięknie, nieprawdaż? Nie byłem tu jak w jesieni, gdy liście już z drzew pospadały... dopomóż pamięci starego, moje dziecko, i powiedz mi, co widzisz.

— Wszystko dokoła zieleni się — zaczęła Helenka głosem lekko drżącym od wzruszenia — pierwiosnki, przylaszczki, fiołki, bratki i stokrocie kwitną, wierzby pokryły się gęsto drobnymi listkami i powypuszczały baźki; wiązy, leszczyna, olsze i brzozy kwitną także, brzoskwinie rumienią się różowym kwieciem i gwarzą rojami pszczółek, co się koło nich uwijają; na innych drzewach owocowych pękają już pączki...

— Widzę je, widzę, cóż dalej?

— Czereśnia, co tu stoi przed nami, cała w bieli jak w welonie z kwiatów; jaskółka siedzi na gałęzi i buja się, a na ścieżce przed nami skacze wróbel i trzyma słomę w dziobku. Pewnie ściele sobie gniazdko.

— Miłe, wdzięczne ptaszyny. Widok ich w dalekim kraju wzruszał mnie zawsze do głębi. Mów dalej.

— Za ogrodem widzę strumień wijący się po łące; koło niego bydło idzie na paszę, a pasterz je pogania.

— Słyszę jego wołania. A pod lasem?

— Pod lasem pług, zaprzężony we dwa siwe woły, kraje ziemię.

— Wiosna wczesna... Będziemy mieli urodzaj. Dalej, dalej!

— Lekka mgła unosi się nad strumieniem, ale słońce zaraz ją rozproszy. Spośród kępy brzóz i topoli wynurza się wieża kościoła, a krzyż na niej błyszczy w słońcu jak złoto.

— Widzę, widzę ten obraz tak, jakbym na niego patrzył własnymi oczyma — przerwał starzec, który jej pilnie słuchał, a nieruchome jego oczy jaśniały radością. — O, jakże świat jest piękny.

Spod lasu dało się słyszeć długie przeciągłe hukanie.

— To derkacz odzywa się na błotach — mówił dalej — poznaję jego głos, zdaje mi się też, że słyszę gromadę ptactwa lecącego w tę stronę.

Praca organiczna, Powstaniec

Zamilkł i słuch wytężył. Po chwili dało się słyszeć trzepotanie skrzydeł; stado dzikich gęsi niby chmura przeleciało nad ogrodem i pociągnęło ku lasowi. Starzec patrzył w górę, jakby je mógł widzieć.

— „Gromada wielki człowiek" — rzekł po chwili. — Mądre, roztropne ptaki dają naukę ludziom. Za moich czasów wszyscy chcieli dobrze, ale jedni szli w prawo, drudzy w lewo. Nie było gromady, toteż burze budynek nasz rozsypały w gruzy. Mój syn powiada, że praca zaczyna się na nowo od fundamentów i że co myśmy budowali śpiesznie i gorączkowo, oni postawią powoli, ale mocno. Myśmy używali do budowy krwi i żelaza, oni biorą oświatę, postęp, trzeźwość, cierpliwość i oszczędność — bo powiadają, że ona prowadzi do dobrobytu, a ten znów do bogactwa, które daje siłę. Co myśmy rozrzucali pełnymi garściami, oni zbierają po ziarnku... Zaczynają od tego, na czym my chcieliśmy skończyć, od pracy organicznej. Bóg z nimi!

Zamilkł. W ogrodzie dał się słyszeć znowu śpiew.

Ja mówiłem wam nieraz,
Że dziś zuchów już mało;
Wiara, bracia, źle teraz.
Dawniej lepiej bywało![60]

Śpiew utonął w gęstwinie, a starzec westchnął i mówił dalej:

— Ja się już na nic nie przydam, bezsilny jestem... a choćbym nawet miał siły, to nie potrafiłbym już żyć inaczej, jak żyłem, ani walczyć inaczej jak mieczem. Inne czasy, inni ludzie! Ale powtarzam moim dzieciom: pamiętajcie, że odrodzenie narodu nie może się dokonać bez kobiety; pamiętajcie, że tylko z jej pomocą i przez nią budynek stanie potężny, trwały.

Kobieta

— A jakim to sposobem, panie? — spytała Helenka.

— Bo kobieta wychowuje dzieci, a dzieci są takie, jakimi je wychowa. Nie brak w Polsce kobiet zacnych, pracowitych i poświęcających się, ale brak jasno pojmujących swoje obowiązki i rozumnych. Za wiele myślą o rzeczach błahych, o rozrywkach i gałgankach — a kraj potrzebuje obywatelek, nie istot lekkomyślnych. Duch narodu w rodzinie przede wszystkim szukać musi dziś schronienia. Dom powinien mu być sądem, szkołą, a poniekąd i kościołem; nie może zaś nim być tam, gdzie gospodaruje kobieta lekkomyślna i ograniczona. Takie były i za moich czasów, ale co wtedy było lekkomyślnością tylko, dziś jest występkiem przeciwko narodowi, bo wstrzymuje jego pochód na drodze odrodzenia.

Prorok, Spowiedź

Helenka, słuchająca starca z głębokim wzruszeniem, klękła przy nim i zawołała z płaczem:

Sumienie

— O dobry panie! to ja jestem występna! ja myślałam tylko o rozrywkach i gałgankach; ja żyłam nieświadoma celów i dążeń społeczeństwa, marząc samolubnie o życiu szczęśliwym i bez troski; ja miałam pustki w sercu i głowie. A od czasu gdy potrzeba zmusiła mnie do pracy, uważałam się za ofiarę niesprawiedliwości losu i nazywałam poświęceniem to, co było tylko obowiązkiem. Byłam głucha na prawdy słyszane dokoła siebie, a choć światło wszelkimi szczelinami przeciskało się do mego umysłu, z uporem na nie zamykałam oczy. Ale teraz, panie, spadła z nich reszta bielma. Czuję się winną, bardzo winną!

Łkanie gwałtowne wyrwało się jej z piersi. Starzec położył rękę na jej głowie.

— Biedna dzieweczko — powiedział wzruszony także głęboko — twoja matka jest może niezłą kobietą, ale słabą i źle cię wychowała. Żal, moje dziecko, zmazuje winy. Uspokój się i żyj odtąd tak, jak czujesz, że żyć powinnaś, i jak ci wskaże twoje sumienie. Ja cię rozgrzeszam!

Helenka płakała ciągle.

— Przyszłość ludów jest w ręku Boga — mówił dalej — ale on pomagać lubi tym tylko, co sami sobie pomagają. Bezczynnych i leniwych wyrzeka się i opuszcza. Pamiętaj o tym, moje dziecko. Ja już lepszych czasów nie doczekam, ale Bóg dobry, który noc wieczną nade mną roztoczył, zsyła na mnie czasem promienne chwile, w których pozwala mi widzieć przyszłość... Wówczas widzę lud oświecony i pracowity, widzę miłość i zgodę wszystkich stanów, widzę kobietę, jako rozumną towarzyszkę mężczyzny i dzielną pomocnicę w jego obywatelskiej działalności, widzę swobodę myśli i przekonań, widzę panowanie sprawiedliwości i prawdy, widzę przyjście Królestwa Bożego na ziemię... Widzę to, widzę!

Słońce otaczało aureolą głowę starca jak głowy świętych, gdy wymawiał te słowa prorocze; twarz jego promieniała. W powietrzu była cisza uroczysta. Gdy skończył, z wieży kościółka zabrzmiał głos sygnaturki zwołującej na mszę poranną. Słysząc to, poruszył się i rzekł:

— Chciałbym się pomodlić, moje dziecko; mów ty modlitwę, a ja będę słuchał.

— Jaką modlitwę mam mówić, panie? — spytała, obcierając tzy.

[60] *Ja mówiłem wam nieraz (...) Dawniej lepiej bywało!* — druga strofa pieśni *Bartłomiej Głowacki* Gustawa Ehrenberga (1818–1895), polskiego poety i działacza niepodległościowego. [przypis edytorski]

— Mów tę, której nas nauczył nasz Zbawiciel, bo w niej zawiera się wszystko, co pojedyńczemu i zbiorowemu człowiekowi jest potrzebne.

Helenka zaczęła:

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie: święć się imię Twoje.

Starzec słuchał.

— Przyjdź Królestwo Twoje.

Starzec wyciągnął drżące, wychudłe ręce ku niebu i, podnosząc nieruchome źrenice, zaszłe w tej chwili wilgocią, ku słońcu, którego nie mógł widzieć, powtarzał ze wzruszeniem:

— Przyjdź Królestwo Twoje, przyjdź Królestwo Twoje!

XXI

Wzruszającą prawdziwie była miłość i troskliwość, jaką wnuki otaczały swego dziadka, pana pułkownika. Jeżeli ten człowiek długie lata niegdyś wycierpiał w tęsknocie i osamotnieniu, to teraz schyłek życia upływał mu pod tchnieniem serdecznego ciepła rodzinnego. Jedna z wnuczek, najwięcej mu ulubiona, mieszkała przy nim ciągle, a syn, synowa i reszta wnuków przyjeżdżali go często odwiedzać.

Gospodarstwo kobiece i domowe dużo czasu zajmowało Wandzie, ale mimo to potrafiła się tak urządzać, że jeżeli tylko dziadek nie spał — a sypiał po kilka godzin dziennie — była zawsze przy nim, gotowa, czy go prowadzić do pokoju, czy mu coś przeczytać, czy słuchać jego opowiadań o dawnych czasach. Mając ciągle na usługi młode oczy, starzec nie czuł tak boleśnie swego kalectwa. Wszystko, cokolwiek bądź dziadek jadł, musiało być przyrządzone ręką Wandy. Ona mu gotowała co dzień polewkę z wina, ona do niej piekła grzanki, ona odgadywała jego myśli i uprzedzała życzenia; ona była dobrym duchem, baczącym na każdy ruch starca, i czuwała nad nim bezustannie niby matka nad dzieckiem.

Gdy po śniadaniu pokazywała Helence swoje gospodarstwo, ta widząc ogrom i różnorodność jej prac, nie taiła swego zdziwienia i zadała jej pytanie, jakim cudem znajduje czas na to wszystko.

— O, to nie tak trudno, jak się z pozoru zdaje — rzekła z uśmiechem — cała tajemnica w tym, żeby sobie zajęcia odpowiednio rozłożyć i na każde właściwą porę naznaczyć. Gdy się to raz urządzi i porządku w zajęciach regularnie przestrzega, idzie już wszystko jak z płatka. Gospodaruję tak już od lat wielu, więc pojmie pani, że miałam czas wprawić się i wypróbować wszystkie kółka mojej machiny gospodarczej. Idzie też u nas wszystko jak w zegarku, a ja od czasu do czasu tylko potrzebuję pokręcić jakąś śrubkę.

— Czy to pani nie męczy?

— Nie; przywykłam do tych zajęć, wypełniających moje życie, i gdy one z konieczności przerwać się muszą, w czasie dni świątecznych na przykład, męczy mnie odpoczynek dający mi sposobność zostawania sam na sam z moimi myślami i wspomnieniami. Tęsknię wówczas do pracy jak do anioła dobrego, niosącego mi spokój i pociechę. A gdy nadejdzie lato i z nim zbieranie, suszenie i smażenie owoców, gdy będąc w ciągłym ruchu nie mam ani chwili czasu na odpoczynek, wówczas czuję się najszczęśliwszą i błogosławię pracę.

Helenka patrzyła na nią z uwielbieniem, ale nie dziwiła się temu, co słyszała. Rozumiała już tych ludzi, którzy z początku wydawali się rodziną dziwacznych oryginałów. Zrozumiała ich od chwili, gdy sama uwierzyła w świętość źródła, z którego czerpali swą siłę. Oni, co z początku pobudzali ją do śmiechu, byli teraz w jej oczach niemal olbrzymami ze swoją surowością zasad, z ideą ciągle przytomną ich myśli, ze świadomością swoich celów i wytrwałością, z jaką do nich dążyli. Ten ojciec, zdobywający majątek własną pracą i pracujący dalej niezmordowanie; ta matka, hartująca swoje dzieci i wychowująca je po spartańsku; ten syn nieelegancki, ale zacny i rozumny, a tak inny od tych, co jej we fraku i jasnych rękawiczkach prawili komplementy; ten starzec wierzący niezachwianie w lepszą przyszłość; ta kobieta nareszcie z zakrwawionym, ale nie złamanym sercem, szukająca spokoju w pracy, znosząca swój los pogodnie i bez skargi...

Cierpienie

— Pan Andrzej mówił mi, że pani wiele cierpiała — szepnęła nieśmiało.

— Tak — odpowiedziała — ale czyż dlatego, że cierpiałam, mniejsze ciążą na mnie obowiązki społeczne i obywatelskie? Cierpienie nie wyjmuje ludzi spod ogólnych praw życia ani ich z obowiązków nie zwalnia. Każdy z nas, bez względu na to, czy jest szczęśliwy lub nieszczęśliwy, powinien oddać społeczeństwu, co wziął z niego, a któż z nas nie jest jego dłużnikiem? Któż od urodzenia nie korzystał z jego zdobyczy i skarbów? Bóg, który zażąda od nas rachunku z żywota, nie będzie nas pytał, ileśmy cierpieli, ale w jaki sposób; nie sztuka cierpieć wiele, ale sztuka umieć cierpienie znosić. Mój ból jest dla mnie, nie dla innych, po cóż ma więc od niego padać ponury cień na moje otoczenie? Wreszcie, czy to ja jedna tylko cierpię? Cierpią miliony ciągle, na wszystkie strony i nie od dzisiaj dopiero. Odkąd życie istnieje na ziemi, odtąd datuje też i cierpienie; jest ono stare jak świat. Miliardy ludzi cierpiały, zapadały w wieczność i nie zatrzymały świata w swoim biegu — mamże ja zatrzymywać i niepokoić myśli otaczających mnie swoją osobą? Po co? Nie odstanie się już i tak, co się stało. Są nieszczęśliwsi ode mnie. Zżyłam się już z moim cierpieniem i dobrze mi z nim jest; przyszłam nawet do przekonania, że to, co się stało, stało się dobrze. Potrzeba było życia jednego szlachetnego człowieka dla ogólnej sprawy i Bóg je wziął.

— Ach — zawołała Helenka przejęta do głębi — jacy wy wszyscy jesteście wielcy, jak szlachetni! Nie rozumiałam was długo, ale rozumiem teraz. Dziadek wasz, choć niewidomy, zdjął bielmo z moich oczu. Zrozumiałam wasze pobudki i serce moje, co dotąd od was stroniło umyślnie, rwie się do was. Teraz już nie ma różnicy między naszymi myślami i uczuciami. Przyjmijcie mnie do waszego grona jak swoją.

— Z całego serca — odpowiedziała Wanda i przytuliła ją serdecznie do piersi. — Andrzeju — rzekła zwracając się do nadchodzącego brata — przybyła nam jedna siostrzyczka!

Oczy jego żywą zajaśniały radością.

— Doprawdy! — zawołał — serdecznie się z tego cieszę. Przewidywałem ja, że to kiedyś nastąpi, ale nie wiedziałem, że dziś właśnie. Chceszże mnie pani, panno Heleno, uważać odtąd za brata? Chceszże mi zaufać i podać rękę, której mi niegdyś podać nie chciałaś?

— O, chętnie! Powiedziałeś mi pan, panie Andrzeju, wiele prawd gorzkich, a choć uczyniłeś to może w sposób nazbyt szorstki, miałeś słuszność...

— Jeżeli panią zraniłem nieraz mimowolnie, przebacz mi to przez wzgląd na intencje, jakie miałem. Jestem szorstki, to prawda, ale kto mi zaufał, nie żałował jeszcze tego. Weź mnie pani za przyjaciela takim, jakim jestem.

Za całą odpowiedź złożyła swoje małe, delikatne rączki w jego duże, żylaste dłonie. Andrzej uścisnął je serdecznie. Przy tym sojuszu rąk oczy przez chwilę spoczęły wzajem na sobie — i chociaż to chwila była krótka, Helenka miała czas zauważyć, że w siwych tych oczach, choć nie pięknych, była głębokość, ogień i słodycz zarazem, i doznała uczucia dziwnej radości i dumy na myśl, że posiada jego przyjaźń.

— Kochana Wandziu — powiedział z uśmiechem do siostry — biorę cię za świadka umowy zawartej między nami.

— Kiedyście się pogodzili, moi drodzy — odpowiedziała — to mogę zostawić was samych bez obawy, że się pokłócicie. Idę do dziadka.

— Przyszedłem tu z zamiarem oddania pani listu — rzekł, gdy odeszła — oto jest.

Helenka rozdarła kopertę i szybko przebiegła oczami treść pisma, a twarz jej przy tym śmiertelnie pobladła.

— Czy jakie złe wieści? — zapytał Andrzej, który jej z oka nie spuszczał.

— Bardzo złe — odpowiedziała głosem zmienionym i, zawahawszy się chwilę, podała mu pismo.

Andrzej czytał:

Upadek

> Moje najdroższe dziecko! Okropne spotkało nas nieszczęście; Ofman chce nas zlicytować. Wystaw sobie, że Tecki pożyczył od niego pieniędzy na poręczenie ojca, jeszcze dwa lata temu, a ja nic o tym nie wiedziałam. Ojciec zawsze źle robi, ile razy się z czym ukryje przede mną. Termin trzy miesiące temu upłynął, a że Tecki pieniędzy nie oddawał, więc Ofman porwał ojca,

żeby za niego zapłacił — że zaś ojciec zapłacić nie ma czym, więc nas zlicytuje. Nie wiedziałam nic o tym wszystkim, bo chociaż różne papiery urzędowe przychodziły, ojciec chował je zaraz do biurka, a ja nie przypuszczałam nic złego, tylko myślałam, że idzie o podatki. Dowiedziałam się dopiero wtenczas, kiedy komisarz sądowy przyszedł spisywać nasze rzeczy i pieczętować je. O mój Boże! mój Boże! Co ten człowiek nam swoją nieopatrznością narobił! Zostaniemy nędzarzami bez dachu i bez chleba!... A mówiłam, ostrzegałam, nic nie pomogło! Tyle razy ojciec się przekonał, że jak tylko mnie nie słucha, zawsze źle na tym wyjdzie. Co to ludzie powiedzą! Ach, czemuż dożyłam tej chwili! Może też Bóg da, że umrę, zanim ujrzę nasze rzeczy wynoszone na rynek przez tych okropnych ludzi u mundurach... Jestem coraz bardziej chora i tak źle wyglądam, że trudno mnie poznać. Co dzień miewam ataki nerwowe. Doktór kazał mi pić ekstrakt słodowy na wzmocnienie, ale niestety, za drogie to dziś dla mnie lekarstwo i jeszcze by je trzeba aż z Warszawy sprowadzać. Biedny ojciec bardzo się martwi, nic nie je i nic prawie nie mówi, aż się boję o niego. Zapisał mu doktór lekarstwo, ale go nie chce zażywać. Ach! Czegośmy się doczekali, czegośmy się doczekali! Co my teraz poczniemy? Mówię ojcu, żeby się udał do stryja Bartłomieja, ale ojciec nie chce: powiada, że on sam powinien się tego domyślić. Licytacja ma się odbyć za tydzień. Ten nędznik Ofman jest nieubłagany; prosiłam go, żeby termin jeszcze na jakiś czas odłożył, ale nie chce nawet słuchać o tym. Takem się wydarła z czepków, że nie mam co na głowę włożyć, aż mnie wstyd bierze, a o kupieniu sobie nowego nawet myśleć nie mogę.

Andrzej doznawał różnych uczuć przy czytaniu tego listu: współczucia, litości, zdziwienia, gniewu — ale nic z tych uczuć na zewnątrz nie okazał. Włożył list do koperty i oddał go Helence.

— Co pani zamierzasz uczynić?

— Muszę tam jechać — odpowiedziała — nie mogę zostawić rodziców samych i bez opieki w tak ciężkich okolicznościach. Jak oni to zniosą?

Dwie wielkie łzy stoczyły jej się po twarzy.

— Okazuję się słaba, nieprawdaż? — mówiła, szybko je ocierając. — Nie umiem cierpieć tak po bohatersku jak wy wszyscy... Gdyby o mnie samą tylko chodziło, zdaje mi się, że nie płakałabym; ale gdy pomyślę, że moi rodzice mają utracić całe swe, bardzo już teraz szczupłe mienie, serce mi pęka. Moja matka jest bardzo słaba i delikatna, panie Andrzeju; mój ojciec stary i znękany...

Nowe łzy trysnęły spod jej powiek.

— Masz mnie pani za człowieka bardzo twardego — rzekł serdecznie — skoro przypuszczasz, że łzy będące dowodem siły uczucia, wezmę za słabość... Nie, panno Heleno, nie potrzebujesz przede mną wstydzić się łez twoich; rozumiem je. Wypłacz pani swój żal swobodnie, ja odejdę; a gdy pierwsza gorycz bólu spłynie ci z serca i odzyskasz spokój, pomówimy o tej sprawie.

— Nie, nie — rzekła stanowczo, wstrzymując gwałtownie łzy — nie wolno mi tracić czasu na łzach bezużytecznych, bo nie mam go wiele do stracenia: mówmy o tym zaraz. Radź mi pan, co mam czynić, żeby ojca ratować!

— Chcąc pani dać radę praktyczną, musiałbym mieć dokładną świadomość wszystkich okoliczności i szczegółów sprawy dotyczących — odrzekł po chwilowym namyśle — a świadomości tej nie mam i pani zdajesz się nie mieć także, bo matka donosi pani tylko o fakcie mającym się spełnić w krótkim czasie.

— Nigdy nie mówiono ze mną o interesach — rzekła smutnie — dopiero gdy ojciec pański przyjechał do M., jako delegowany Domu Handlowego, ojciec mój powiedział mi, jakie nam grozi nieszczęście, ale szczegółów nie dał żadnych. Myślałam, że to dopiero za jaki rok nastąpi...

— Niewesoła to rzecz, że kobiety w naszym kraju powszechnie są uważane za dzieci, z którymi się nie mówi o interesach. Uważają je za dzieci, a żądają od nich, żeby były ludźmi. Nic więcej pani radzić nie mogę, bo nic nie wiem; ale z tego, czego się mogłem dowiedzieć z listu, wnoszę, że rada byłaby nawet bezużyteczną. Sprawa jest jasna: pan

Tecki pożyczył pieniądze od Ofmana za poręczeniem ojca pani; poręczyciel obowiązany jest zapłacić dług w razie niemożności dłużnika. Ojciec pani dobrze o tym wiedział poręczając. Zatem, jeżeli Tecki czy dla braku pieniędzy, czy z innych jakich powodów stał się niewypłatnym[61], pan Orecki musi zapłacić za niego, Ofman, domagając się tego, jest w swoim prawie i niesłusznie pani Orecka nazywa go nędznikiem. On się tylko upomina o swoje! Tak czy nie?

— Tak, chociaż jest to człowiek chytry, podstępny i wyzyskujący położenie.

— Być może, ale to nie należy do rzeczy. Jakikolwiek bądź jego charakter, Ofman jest silnym przeciwnikiem, z którym walka będzie bezużyteczną, bo za nim stoi prawo. Dłuższe opieranie się, procesowanie na przykład, narazi państwa tylko na większe straty, a odwleczenie terminu licytacji odwlecze katastrofę, ale jej nie usunie.

— Nie ma więc żadnego ratunku?

Andrzej milczał przez chwilę.

— Jeden tylko Tecki mógłby państwa uratować. Do niego trzeba się zwrócić, na nim wymóc, żeby oddał, co winien.

Słaby promień nadziei zabłysnął w oczach Helenki.

— A jeżeli nie chce lub nie będzie mógł? — spytała.

— Ha, to wtedy trzeba poddać się konieczności.

— Poddać się! — zawołała z wybuchem — pan nie znasz mojej matki. Gdybyś wiedział, jak jest dumną... A ja czy nic dla nich zrobić nie mogę?

— Pani możesz niejedno uratować swoją energią i przytomnością umysłu. Nie mogę pani uczyć, jak powinnaś postąpić, bo to okaże się dopiero, gdy pani będziesz tam na miejscu i zbadasz położenie. Zrobisz pani wtedy, co uznasz za właściwe i potrzebne, co pani podszepnie miłość dla rodziców, sumienie i poczucie sprawiedliwości. Musisz pani szukać do ratunku środków sama w sobie, bo ich gdzie indziej nie znajdziesz. Kto wie, może pani przyjdzie jaka myśl szczęśliwa, której przyjścia jeszcze w tej chwili nie dopuszczamy. Ale do tego potrzeba koniecznie zimnej krwi i spokoju, bo spokój tylko pozwala wznieść się do pewnej wysokości, z której można jednym rzutem oka ogarnąć położenie. Spokój tylko przynosi szczęśliwe pomysły, daje przytomność umysłu, szybkość decyzji i energię do działania. Ze wzburzonego umysłu nic dobrego wydobyć się nie da. Spokoju więc i męstwa, panno Heleno. Jedź pani, ale jeżeli chcesz tam być użyteczna, to bądź odważna i patrz śmiało niebezpieczeństwu w oczy.

Gdy Andrzej tak mówił, ona patrzyła w ziemię, a w głowie jej myśli, z początku mętne, zaczęły się powoli rozjaśniać. Zrozumiała, że znikąd nie może się spodziewać pomocy i tylko na siebie samą liczyć może, że nikt jej nie da wskazówek, tylko w sobie samej poszukać ich musi. Smutna ta rzeczywistość wytrzeźwiła ją z boleści. Chciała ratować rodziców, a poczucie ważności obowiązku, jaki dobrowolnie na siebie wzięła, postawiło na miejscu bólu rozwagę i przytomność. Gdy oczy od ziemi podniosła na Andrzeja, były już prawie pogodne.

— Jestem na wszystko przygotowana i jadę zaraz — rzekła spokojnie, lecz stanowczo.

— Spodziewałem się tego — powiedział i gorąco dłoń jej uścisnął.

Turkot na dziedzińcu zwrócił ich uwagę: to pan Radlicz przyjechał odwiedzić ojca. Andrzej opowiedział mu zaraz o zamiarze Helenki, a zacny ten człowiek nie tylko nie stawiał jej żadnych przeszkód, ale udzielił jej urlopu dwutygodniowego i wypłacił pensję za dwa miesiące z góry. Żegnając się z nią powiedział:

— Odwagi, moje dziecko, odwagi i męstwa! Powinnaś go mieć duży zapas, bo potrzebujesz go nie tylko dla siebie, ale i dla rodziców. Bierzesz na barki niemały ciężar, ale mam nadzieję, że mu podołasz. Masz charakter!

Helenka blado uśmiechnęła się na te słowa. Wszyscy teraz przyznawali, że ma charakter...

Żegnano ją bardzo serdecznie. Dziadek, dowiedziawszy się, co zaszło, błogosławił na drogę. Wanda uściskała po siostrzanemu, a gdy z kolei Andrzej zbliżył się do niej, przypomniała sobie o żebraku i jego groźbie i opowiedziała mu swoje obawy.

[61] *niewypłatny* — dziś: niewypłacalny. [przypis edytorski]

— Śmiał więc jeszcze napastować panią, ten nędznik! — szepnął marszcząc brwi. — Bądź pani spokojna, nie ja jego, ale on mnie obawiać się potrzebuje. Ale jak pani jesteś dobrą, że mając sama ciężkie zmartwienie, mną się jeszcze zajmujesz.

Słowa te, tak niezwykłe u niego, wywołały słaby rumieniec na jej lica. Skinęła mu głową i powóz ruszył z miejsca.

W kilka godzin potem siedziała już w wagonie.

NA PRZEBÓJ

XXII

Kto widział Helenkę przed kilku miesiącami, przyjeżdżającą do Warszawy, jak oglądała się za lokajem, który by za nią trzymał jej piękny francuski szal, lekki jak piórko, a jednak robiący jej subiekcję; kto widział jej eleganckie futro, olbrzymie kufry z mosiężnym okuciem, wyniosłość w jej spojrzeniu, a w ruchach pańską niedbałość, nie poznałby jej teraz w skromnym, syberynowym okryciu i czarnym filcowym kapeluszu, którego jedyną ozdobą była tylko opasująca go wstążka. Nie miała z sobą żadnych pakunków prócz dużego worka podróżnego ze skrzyneczką u dołu, a i ten, choć za ciężki na jej słabe siły, sama zaniosła sobie do wagonu trzeciej klasy, bo posługaczom kolejowym płacić trzeba za usługę, a ona potrzebowała bardzo oszczędzać. Wiozła wprawdzie sporą sumkę pieniędzy, otrzymaną ze sprzedaży bransoletki, broszki, kolczyków, łańcuszka od zegarka i kilku kosztownych drobiazgów, przy pomocy pani Radliczowej — ale suma ta przeznaczona była na zapłacenie różnych drobnych długów państwa Oreckich i ani jeden grosz z niej nie mógł być uroniony. Pańska niedbałość, widoczna niegdyś w jej ruchach, ustąpiła miejsca spokojnej godności; w oczach, zamiast rozmarzenia poetycznego a bezcelowego, jaśniała myśl samowiedna i świadoma celów, do jakich dążyła. Na twarzy, będącej wówczas białą kartą, życie wypisało już swoją moralną cyfrę.

A że nikt nie pozbywa się zupełnie swej dawnej natury, więc też Helenka, znalazłszy się w towarzystwie ludzi uboższych, których zachowanie się nieco krzykliwe i rubaszne, ubiór niezbyt estetyczny, a zapasy żywności mocno woniejące raziły jej zmysł estetyczny, doznała wielkiego niezadowolenia, ale niezadowolenie to nie trwało długo. Cel, w jakim odbywała podróż, wkrótce odwrócił jej myśli w inną stronę. Nazwisko sprawcy nieszczęścia rodziców nie wychodziło z jej głowy ani na chwilę, powtarzała je sobie ciągle i usiłowała przypomnieć, czy widziała go kiedy u ojca. Ale w kantorze pana Marcina tylu bywało interesantów, że choćby go nawet widziała, to nie mogła jego twarzy zapamiętać. Zaglądała ona nieraz do kantoru, zwłaszcza gdy chciała ojca wyciągnąć na śniadanie lub obiad — i wówczas pan Marcin przedstawiał jej znajomych sobie bliżej obywateli, których zaraz do jadalni prowadził. Tecki prawdopodobnie zasiadał nieraz przy jego stole... Kolejno przebiegała pamięcią wszystkie postacie, jakie widziała kiedykolwiek, zatrzymując się przy każdej... Ach! czy to nie ten, co ściskał ojca tak serdecznie na balu u stryja Bartłomieja?

Iprzed oczyma jej stanęła wyraźnie postać szlachcica średniego wzrostu, ze szpakowatymi, krótko przystrzyżonymi włosami, okazałymi wąsami, twarzą zwiędłą i małymi, niespokojnymi oczyma. Przypomniała sobie, jak się przechadzał po gabinecie stryja, z rękami włożonymi w kieszeni spodni i niecierpliwie gryzł trzymane w zębach cygaro — a przeczucie powiedziało jej, że to on. Myśl pracująca ustawicznie w tym kierunku przypomniała jej powoli i inne okoliczności, o których nawet nie wiedziała, że zaznaczyły się kiedyś w jej umyśle — a mianowicie nazwisko[62] jego majątku, fakt, że majątek ten był bardzo obdłużony i że Tecki miał bogatego ojca, który mu nie chciał dać ani grosza; wreszcie, że ojciec ten posiadał duży dom w mieście gubernialnym. Wiadomości te pojedyńcze, oderwane i nie mające pozornie żadnej dla niej wagi zajmowały ją jednak i grupowały się w jej umyśle jedna obok drugiej.

Pociąg pędził jak strzała: domki dróżników, słupy telegraficzne mijały szybko; Helenka mówiła sobie, że jest coraz bliżej celu swej podróży, a jeszcze żadnego planu postępowania sobie nie ułożyła. Upłynęło tak kilka godzin i pociąg zatrzymał się na stacji, gdzie musiała wysiąść, żeby dalszą drogę odbyć kurierką.

Wziąwszy swój worek w rękę udała się prosto do sieni, gdzie przy okienku siadał zwykle urzędnik pocztowy i zapisywał pasażerów — ale okienko było zamknięte, a stojący przy nim posługacz kolejowy objaśnił ją, że otworzy się dopiero za dwie godziny, bo kurierka nie prędzej odejdzie. Usiadła na kanapie podejrzanej trochę czystości i myślała, co będzie robiła przez te dwie godziny, bo zapomniała wziąć z sobą cokolwiek bądź do

[62] *nazwisko* (tu daw.) — nazwa. [przypis edytorski]

czytania. Słuchała tymczasem gwaru osób rozmawiających głośno, między którymi służba roznosiła przekąski i napoje.

Sala wypróżniła się powoli z podróżnych, pociąg ruszył dalej, a ci, co mieli jechać bocznymi drogami, rozjechali się także. Dym tytoniowy, pozostały po pasażerach, wytworzył atmosferę duszną i ciężką. Wstała więc i przeszła na drugą stronę dworca, chcąc odetchnąć trochę świeżym powietrzem i wyprostować nogi przechadzką po szosie. Przed samymi drzwiami dworca stał piękny, otwarty powóz zaprzężony we dwa siwe konie, ubrane w nowe, angielskie szory. Woźnica w granatowej liberii siedział na koźle i raz po raz spoglądał na drzwi, jak gdyby kogoś oczekiwał. Helenka, namiętnie lubiąca konie i mająca nawet pewne wyobrażenie o rasach, z upodobaniem przypatrywała się przez chwilę temu zaprzęgowi i machinalnie prawie spytała:

— Czyje to konie?

— Pana Teckiego z Komnat, proszę wielmożnej pani — powiedział woźnica uchylając czapki.

Helenka na dźwięk tego nazwiska doznała wstrząśnienia jakby od iskry elektrycznej.

— Gdzie jest twój pan? — spytała głosem, którego brzmienie było suche i ostre.

— Mój pan w domu, a ja tu przyjechałem po jedną panią z Warszawy. Ale stoję i stoję i nikogo nie widać; widno już dzisiaj nie przyjedzie. A może to wielmożna pani jest ta pani, co miała do nas przyjechać? Bo ja już chodził i szukał, i pytał się i żadnej innej pani tam nie ma.

Słowa woźnicy nasunęły Helence myśl, która w jednej chwili stała się zamiarem. Spojrzała na drogę, gdzie przed chwilą stały jeszcze dwie bryczki, teraz już pustą, na zegarek, zeszła szybko ze schodów i wsiadła do powozu, rzuciwszy woźnicy jedno tylko słowo:

— Jedź!

— A rzeczy, proszę wielmożnej pani, czy się nie odbiorą dzisiaj?

— Nie — odpowiedziała lakonicznie — jedź a śpiesz się!

I wsunęła się w głąb powozu. Woźnica trzasnął z bata i powóz potoczył się szybko po równej, żwirowej drodze. Nie wątpił ani na chwilę, że wiezie osobę, po którą przyjechał — a gdyby nawet był miał wątpliwość, to stanowczość, z jaką wydała mu rozkaz, usunęłaby ją natychmiast. A jednak ta pewność siebie i stanowczość opuściły Helenkę, jak tylko powóz ruszył z miejsca, a zaczęły ją dręczyć wątpliwości i niepokoje, właściwe ludziom nieprzywykłym do samodzielnego działania w okolicznościach ważnych, zmuszających ich do nagłej decyzji. Zapytywała siebie, czy zrobiła dobrze i czy napisanie listu w tej sprawie nie byłoby zupełnie wystarczające; bo pan Tecki prawdopodobnie nie wie, do jakiej ostateczności rzeczy doszły — a gdyby wiedział, byłby nieuczciwy, gdyby temu nie chciał zapobiec. Gdy się jest młodym, wierzy się w uczciwość ludzką tak chętnie i tak łatwo! Kilka razy myślała, czy nie lepiej byłoby kazać zawrócić; ale nie wydała tego rozkazu, bo jednocześnie inne głosy szeptały jej, że to widocznie Opatrzność zesłała powóz Teckiego i że dobrze uczyniła korzystając z tej sposobności.

Powóz z szosy zjechał na drogę boczną, wysadzoną ogołoconymi z gałęzi wierzbami. Helenka patrząc na nie układała sobie w myśli, co powie, gdy się znajdzie wobec Teckiego; słyszała jego usprawiedliwiające się odpowiedzi i cieszyła się nadzieją pomyślnego skutku swej wycieczki. Wśród tej nadziei ni stąd, ni zowąd przychodziło jej do głowy przypuszczenie, że bytność ta będzie krokiem daremnym: ogarnęło ją zniechęcenie, apatia i przestała zupełnie myśleć o tym wszystkim, a patrząc na wierzby, ogołocone z gałęzi, myślała znowu, że te biedne drzewa wypuszczają jednak nowe wici i nie ma położenia, z którego przecież nie byłoby jakiegoś wyjścia.

Gdy powóz zatrzymał się przed dużym oszklonym gankiem dworu, wszystkie wątpliwości i niepokoje opuściły Helenkę. Wróciła jej nagle pewność siebie, stanowczość i odwaga. Służącego, który przybiegł otworzyć drzwiczki i pomagał jej wysiąść, spytała zaraz o pana, a otrzymawszy wiadomość, że pan jest w domu, tylko wyszedł do ogrodu, kazała go poprosić. Służący wpuścił ją do salonu i poszedł spełnić polecenie.

Helenka usiadła, ale coś ją podrywało, więc wstała i zaczęła się przechadzać. Patrząc na piękne obicia na meblach, na kosztowne kobierce i nowy palisandrowy fortepian mówiła sobie, że niepodobna, aby człowiek mający dom tak elegancko urządzony, nie mógł

zapłacić tak niewielkiego stosunkowo długu. Stanęła przy oknie i patrzyła na ogród, zaczynający się pokrywać zielonością, ale zaniedbany, ścieżki bowiem były zarosłe trawą, a grzędy nie okopane. Postać idąca koło okna zasłoniła jej widok: był to mężczyzna średniego wzrostu, z dużymi wąsami. Spod czapki wyglądały mu szpakowate, krótko przystrzyżone włosy; ręce miał włożone w kieszenie surdutu, a w zębach trzymał cygaro. Był to on. Poznała go od razu i jednocześnie misja, z jaką tu przybyła, wydała jej się dziwnie ciężką, a wszystkie słowa, jakie sobie naprzód ułożyła, z głowy jej uciekły.

Nie miała ich czasu gonić, bo otworzyły się drzwi salonu i wszedł Tecki. Oczy ich spotkały się i na jego twarzy odmalował się zawód, zdziwienie i ciekawość, a na jej — chęć przeniknięcia na wskroś tego, który stał przed nią. Tecki odezwał się pierwszy.

— Powiedziano mi, że moja kuzynka przyjechała, tymczasem widzę, że zaszła tu pomyłka. Pozwoli pani zapytać się, kogo mam zaszczyt witać w moim domu?

— Jestem córką Marcina Oreckiego z M. — odpowiedziała badając wrażenie, jakie te słowa na nim uczynią.

Tecki ukłonił się.

— Otrzymawszy w Warszawie wiadomość o katastrofie grożącej memu ojcu, postanowiłam niezwłocznie widzieć się z panem i puściłam się w podróż, a nie zastawszy na stacji żadnej furmanki, pozwoliłam sobie skorzystać z pańskiego powozu, który próżno powracał.

Tecki ukłonił się powtórnie.

— Bardzo mi przyjemnie — mruknął zmieszany trochę tymi słowami — ale... rad bym wiedzieć, czym pani mogę służyć. Co pani rozkaże?

Słowa te oburzyły Helenkę. Jak to! Ten człowiek wiedział, kto ona jest, i nie domyślał się celu tej wizyty? Już chciała wybuchnąć, ale przypomniały jej się słowa Andrzeja: „uniesienie odejmuje myśli jasność i siłę" — zapanowała więc nad swoim wzburzeniem i rzekła spokojnie:

— Nie przybyłam tu rozkazywać, tylko zawiadomić pana, że Ofman poszukuje na moim ojcu, jako na poręczycielu, sumy, którąś mu pan winien, i że uzyskawszy wyrok sądowy, chce sprzedać nasze ruchomości przez licytację.

— Niech pani temu nie wierzy — odrzekł Tecki przygryzając wąsy — ojciec to sobie gorzej wyobraża, niż jest. Te rzeczy się tak prędko nie robią. Niech pani będzie spokojna, wszystko będzie dobrze.

— Mówisz pan do mnie jak do dziecka — przerwała Helenka głosem, w którym czuć było powstrzymywany gniew. — Pan wiesz aż nadto dobrze, że sprawa jest poważna, i nie godzi się ani z niej żartować, ani zbywać ogólnikami.

Tecki spojrzał na mówiącą ze zdziwieniem.

— Choćby tak było — odrzekł — to cóż ja na to mogę poradzić?

Błyskawice zamigotały w oczach Helenki.

— Jak to! — zawołała — i pan się o to pytasz?! Pan, sprawca naszego nieszczęścia?

— Ależ niech się pani zastanowi... Co pani chcesz, żebym zrobił? Skądże wezmę pieniędzy dla Ofmana, kiedy nie mam ani grosza.

— Pożycz pan.

— Nie znajdę takiego głupiego.

— Nie masz pan pieniędzy, ale pan masz majątek.

— Majątek mój już do mnie nie należy — odpowiedział — sprzedaje go Towarzystwo Kredytowe za zaległe raty pożyczkowe, a ja jestem tu tylko administratorem czasowym. Po sprzedaży zapłacą Ofmanowi, com winien.

— Tak — rzekła ironicznie — a tymczasem my będziemy zrujnowani!

Nastąpiła chwila milczenia.

— Jeżeli pan nie masz majątku, to masz pan konie, powóz, meble, fortepian. Sprzedaj je pan i zapłać choć połowę tego, coś winien.

„A to naiwna — myślał Tecki — chce, żebym dla jej ojca wysprzedał się do ostatniego grosza i oddawał kosztowne sprzęty za pół darmo". — Moja pani — rzekł głośno — te rzeczy są własnością mojej żony, a ja nie mam prawa nimi rozporządzać.

Helenka zarumieniła się z oburzenia.

— Alboż żona pańska nie powinna ponosić ciężarów męża dla ocalenia jego honoru? Czyż żona pańska zniesie spokojnie myśl, że są ludzie, którym się dzieje krzywda z powodu

jej męża, gdy mogłaby choć w części tę krzywdę wynagrodzić? Zaprowadź mnie pan do swojej żony, pomówię z nią.

— Źle się pani wybrała — odrzekł ironicznie — moja żona nie mieszka tu od roku; leczy się za granicą. A choćby i mieszkała, to dowiedz się pani, że żona nie jest obowiązana płacić długów męża, a jeżeli jej suma posagowa jest zahipotekowana na majątku, to ona jest najpierwszą wierzycielką po Towarzystwie i inni odbierają swoje należności o tyle tylko, o ile się po zaspokojeniu jej pretensji zostaje. Tak chce prawo.

— Ach! — jęknęła.

— Otóż to, tak jest zawsze, gdy kobiety chcą rozprawiać o tym, czego nie rozumieją. Lepiej by pani zrobiła nie mieszając się do interesów. To rzecz mężczyzn.

Helenka zmierzyła go od stóp do głów.

— Bądź pan łaskaw nie zapominać się — rzekła wstając — nie pańską jest rzeczą uczyć mnie, co czynić powinnam. Widzę, że zrobiłam krok daremny, ale liczyłam na pańską szlachetność... Sądziłam, że człowiek uczciwy nie zniesie, żeby z jego przyczyny wydzierano resztki mienia temu, kto mu podał pomocną rękę w potrzebie. Widzę, żem się omyliła. Korzystając z mojej nieświadomości i niedoświadczenia powiedziałeś mi pan różne rzeczy, którym nie wiem, czy mogę wierzyć... ale postaram się o tym przekonać i powrócę tu jeszcze. Tymczasem żegnam pana.

Skinęła maglową ruchem wyniosłym, pogardliwym niemal, i wyszła. Tecki stał chwilę nieruchomy.

— A to wścibska dziewczyna — szepnął do siebie szarpiąc wąsy — licho nadało, że posłałem powóz na stację! Ale muszę ją przecież odesłać, bo piechotą nie pójdzie.

Zadzwonił na służącego i kazał prędko zaprzęgać. Chciał wybiec za nią, żeby ją dogonić, ale po chwili namysłu posłał po lokaja: lokaj jednakże powrócił wkrótce sam z wiadomością, że „ta pani powiedziała, iż sobie znajdzie furmankę na wsi".

— Ależ to nie może być! — zawołał pan Tecki targając wąsy z gniewem — rozniesie się jeszcze po okolicy, żem jej nie chciał dać furmanki, żem gbur i Bóg nie wie co! Kiedyż tam Józef wygrzebie się z tym zaprzęgiem, do wszystkich diabłów! Sam pojadę i będę prosił, żeby nie robiła głupstwa...

Ale gdy powóz zaszedł, pan Tecki zmienił zamiar. Powtórne spotkanie się z tą dziewczyną było mu nader nieprzyjemne i wolał go uniknąć. Kazał więc wsiąść do powozu swemu pisarzowi, który się właśnie nadarzył, i polecił mu „prosić usilnie i z największym uszanowaniem młodej damy, aby wyświadczyła mu tę łaskę i przyjęła jego powóz".

Ale i to poselstwo wróciło z niczym po upływie kwadransa: pisarz, zdając sprawę swemu panu, powiedział, że spotkał tę panią już za wsią jadącą wozem Wojciecha Rataja, że kazała panu Teckiemu podziękować i nie dodała ani słowa więcej. Tecki słuchając tego, poczerwieniał.

— A to harda dziewczyna! — mruknął do siebie — czy ona chce, żebym ją po rękach całował, czy co? Nie, to nie! Niech spróbuje, jak to przyjemnie siedzić na wozie bez resorów! Ale zuch, jak Boga kocham, zuch! Kto by się spodziewał, że ten niedołęga Marcin ma taką córkę. Widziałem ją przecież na balu u Bartłomieja i nie wyglądała na to, czym jest: myślałem, że taka sama lalka jak wszystkie.

XXIII

Furmanka Wojciecha Rataja nie należała do najgorszych: wóz był mocny, drabiniasty, we dwa półkoszki — a na siedzenie Rataj nie żałował słomy i okrył je derką we dwoje złożoną, sam usiadłszy na worku z obrokiem. Jeden tylko koń ciągnął ten ekwipaż, ale wyglądał nieźle i szedł raźno, nie zważając ani na doły i wyboje, których było niemało, ani na kamienie, których też nie brakowało. Wóz podskakiwał ustawicznie, mijając zwycięsko i przebojem wszystkie przeszkody, a Helenka musiała się trzymać ręką kłonicy, żeby nie wylecieć. Od wschodu zerwał się wiatr i wiał jej prosto w oczy, smagając twarz ostrym swoim dotknięciem. Na niebie zaczęły się zbierać chmury, ptaki latały nisko nad ziemią, a w powietrzu czuć było niepokój. Powóz byłby ją przynajmniej trochę od wiatru osłonił, ale wolała narazić się na wszelkie niewygody, na zziębnięcie i przemoknięcie nawet niż przyjąć grzeczność od człowieka, po którego zachowaniu się widziała, że miał złą wolę

względem jej ojca i że mógłby nie dopuścić jego ruiny, gdyby chciał tylko. Ale nie chciał tego uczynić.

Zrazu w duszy jej panowało straszne wzburzenie, ale, pamiętna słów Andrzeja, zapanowała nad nim wielkim wysiłkiem woli. Zaczęła na nowo rozważać położenie i powiedziała sobie ze smutkiem, że na próżno strawiła czas i pieniądze na furmankę, bo sprawy nie posunęła wcale, a ubyła jej nadzieja, którą poddał jej sam Andrzej i która ją podtrzymywała dotąd. Ale czy istotnie krok ten był stracony? Czy ta strata nadziei nie była zbawiennym pozbyciem się złudzenia? Straciła czas i pieniądze, ale zyskała jedno więcej doświadczenie — tak przynajmniej powiedziałby Andrzej i dodałby jeszcze, że charakter nabierze przez to siły.

Gorzki uśmiech przewinął się po jej ustach.

Wiedziała już teraz, że nie może liczyć na dobrą wolę Teckicgo; czy jednak nie ma sposobu zmuszenia tego człowieka, żeby oddał, co winien? Ale jak go zmusić do tego, jak? Była pewna, że kłamał, ale nie mogła mu dowieść kłamstwa... Należałoby się dowiedzieć, jakie gdzie posiadał fundusze, i takie dopiero dowody stawiwszy mu przed oczy, domagać się zwrotu pieniędzy. Jak zebrać te wiadomości? Gdzie ich szukać? u kogo? Na wszystkie te pytania nie było odpowiedzi. Przyszłość przedstawiała jej się jako zagadka, której nie umiała, nie była w stanie rozwiązać — a jednak powinna była nie tylko szukać tego rozwiązania, ale je znaleźć nie czekając na żaden traf szczęśliwy, mogący jej rozwiązanie dać w ręce. Nie było na to czasu. „Licz, pani, na siebie tylko" — mówił Andrzej. Mój Boże! Tylko na siebie... a ona czuła się tak słaba wobec trudnego zadania, jakie podjęła, a rozmowa z Teckim zmęczyła ją śmiertelnie, choć to dopiero początek jej działania! Cóż będzie dalej! A tu znikąd, w którąkolwiek stronę zwróciła myśl, nie mogła spodziewać się pomocy...

— „Licz, pani, na siebie tylko" — powtórzyła machinalnie i westchnęła. — O Boże! — szepnęła podnosząc wzrok ku niebu. — Ty mi dopomóż! Bo jeśli Ty nas nie wyratujesz, jeżeli nie uczynisz cudu, to nikt...

Ale przypomniały jej się znowu słowa: „Bóg pomaga tym tylko, co sami sobie pomagają. Nie powinniśmy żądać od Niego, żeby odrabiał za nas robotę, a sami ręce opuszczali leniwie" — i zadumała się, po czym prosiła Boga już nie o ratunek cudowny, ale o rozum potrzebny do działania i o siłę, której nie miała, a potrzebowała tak bardzo! Tecki powiedział, że kobiety mieszają się do interesów, których nie rozumieją. Może miał słuszność... Przede wszystkim powinna się starać dobrze zrozumieć interes — a to mogło nastąpić tylko w domu.

Przybywszy na stację kolei, Helenka dowiedziała się, że kurierka odeszła już przed godziną. Zmartwiona tym bardzo weszła w układy z furmanem, żeby ją odwiózł aż do domu; a on też nie był od tego, tylko położył za warunek, żeby koń trochę podjadł i wypoczął. Szczupłe jej fundusze nie pozwalały na wynajęcie droższej furmanki.

Teraz dopiero przypomniała sobie Helenka, że od śniadania nic w ustach nie miała, i uczuła coś na kształt głodu. Wyjęła z worka paczkę, daną jej przez Wandę przy wyjeździe, i rozwinęła ją; znalazła dwie kuropatwy pieczone, buteleczkę wina, chleb wiejski i kilka pomarańcz. Kuropatwy były ulubionym przysmakiem pani Oreckiej, toteż Helenka wiedząc, że teraz matka rzadko je jadać może, postanowiła zawieźć je do domu w całości. Po namyśle schowała także do worka wino i pomarańcze, zadowoliwszy się zupełnie dwoma kawałkami chleba, nasmarowanego wybornym, świeżym masłem — i szklanką gorącej herbaty.

Deszcz zaczął padać, gdy ruszyli w dalszą drogę. Zjeżdżali powoli w niziny przerznięte rzeką spławną i nawiedzane od czasu do czasu mniejszymi i większymi wylewami. Helenka, patrząca machinalnie przed siebie, widziała najprzód wąskie białe paseczki wody pomiędzy bruzdami świeżo zoranego pola, potem rowy pełne po obu stronach drogi, potem całe szeregi większych i mniejszych jezior i stawów, rozlewające się po polach i łąkach. Po drodze tu i ówdzie spotykali gromadki ludzi rozmawiających z sobą i widocznie zafrasowanych.

„Rzeka wylała — rzekła do siebie Helenka, zaniepokojona tymi wszystkimi symptomatami, myśląc o domu rodziców, stojącym także nad wodą, i obawa o nich zatrwożyła

jej serce. Bulwark[63] wprawdzie bronił go od wody, ale od roku zepsuty był w kilku miejscach, a ojciec nie kazał go naprawiać.

W miejscu gdzie droga do M. schodziła się z drogą wiodącą do miasta gubernialnego, na zakręcie mijał ich konny posłaniec, ale Rataj, spojrzawszy mu w twarz, zawołał na niego:

— A to gdzie?

— Do was z listem.

— A bo stało się co?

— Stary pan umarł...

— Kiedy?

— Wczoraj.

— To ci dopiero — mruknął Rataj — taki był jeszcze zdrowy! Kto by się spodziewał, że tak prędko nogi wyciągnie!

Posłaniec ruszył dalej, a Rataj powtórzył jeszcze kilkakrotnie: „To ci dopiero" — przy czym obejrzał się na młodą panią, którą wiózł, zdradzając tym ochotę zawiązania z nią rozmowy, ale ona nie okazywała wcale chęci do tego. Tak była zamyśloną, że ledwie zauważyła tę krótką wymianę słów, które jak puste dźwięki koło jej uszu przepłynęły.

Wieczór już był, gdy Helenka dojeżdżała do M. Miasteczko leżało w obszernej dolinie, z jednej strony otoczonej wzgórzami, z drugiej objętej w ciemne ramy lasów. Kraj to był piękny, żyzny; ziemia czarna i złotodajna, chociaż nie wyzyskana należycie. Rzeka szeroka, spławna, co rok występowała z brzegów i zalewała ogrody miejskie, łąki i najbliższe pola, a ludzie tak się już do tych wylewów przyzwyczaili, że przyjmowali je jako rzecz zwykłą, i z godną podziwienia obojętnością znosili zniszczenie swoich zasiewów. Chaty nowe budowali na miejscu starych, choć wiedzieli, że co wiosna będą musieli wynosić się z nich do dalszych sąsiadów — a po każdym wylewie pocieszali się nadzieją, że „na przyszły rok będzie lepiej". To „lepiej" zdarzało się od czasu do czasu; ale bywały lata, w których rzeka nie ograniczała się na najbliższych, sąsiadujących z nią miejscowościach; co pewną liczbę lat koryto tak wzbierało, że mieszkańcy wybrzeża tracili nie tylko zasiewy, ale mienie i dobytek, a po ulicach miasta jeżdżono łódkami.

Droga bita, wiodąca do M., wzniesiona była na kilka łokci nad poziom i w tej chwili spuszczała się ze wzgórza w dolinę. Siedząc na wozie Helenka miała cały krajobraz jak na dłoni. Miasteczko wyglądało niby wyspa na morzu, a gromada statków z podniesionymi masztami i kolorowymi flagami nadawała mu pozór handlowego, nadmorskiego portu. Wiatr silny dął od wschodu, a pędzone nim bałwany leciały groźne, spienione, niosąc na sobie kawałki drzewa, gałęzie, deski pojedyncze i różnego rodzaju drobne, trudne z daleka do odróżnienia przedmioty. Helenka, zmęczona ciągłym zasłanianiem się od wiatru i niewygodnym siedzeniem bez oparcia, z niecierpliwością wyglądała końca swej podróży. Z daleka ujrzała most, od którego już tylko wiorsta była do miasta, bo rzeka miała trzy odnogi i przez trzy mosty aż trzeba było przejeżdżać, cieszyła się, że jest tak blisko, gdy woźnica, obracając się ku niej, rzekł:

— Widzi mi się, proszę pani, że woda most zepsuła, bo kręcą się koło niego ludzie, a fura, co przed nami jechała, zawróciła się nazad.

Helenka stanęła na wozie i wytężyła wzrok. Zmrok zapadający nie pozwolił jej dobrze widzieć szczegółów, zdołała jednakże dojrzeć, że środkowe przęsło było wyrwane i tylko pale z niego zostały. Jeszcze patrzyła, chcąc się lepiej upewnić, gdy wieśniak, powracający z furą, zawołał na nich:

— Nie przejedziecie, bo woda most zerwała.

Helenka pobladła.

„A jednak ja muszę się dziś dostać do miasta, muszę" — myślała. — Mój przyjacielu — rzekła do Rataja — rzeka jest w wielu miejscach tak płytka, że można ją z łatwością przejść w bród. Dwa razy przejeżdżałam przez nią powozem. Ci ludzie, co tam stoją przy moście, powiedzą wam, którędy jechać najbezpieczniej.

Rataj nie odpowiedział ani tak, ani nie — ale gdy przybyli do mostu, oświadczył, że ani myśli jechać przez rzekę, choćby mu góry złota dawała: zestawił na ziemię jej worek, zażądał pieniędzy i, otrzymawszy je, odjechał. Helenka została sama.

[63] *bulwark* (daw.) — nabrzeże, bulwar. [przypis edytorski]

Stała tak na wybrzeżu patrząc na przechylone przęsło, na zerwane łańcuchy i mierzyła oczyma przerwę dzielącą jedną połowę mostu od drugiej: była ona nazbyt szeroka, aby można myśleć o przebyciu jej jakimkolwiek bądź sposobem...

Chłodne powietrze przenikało ją do kości, wiatr miotał przemokłą jej suknią i chciał zerwać woalkę, a ona ciągle stała, mierząc oczyma przestrzeń, której przebyć nie mogła. Gromadka ludzi stojących na brzegu szeptała do siebie po cichu, wzruszała ramionami, ale żadnej rady jej nie dawano, bo nie wiedziano, co radzić. Z tych szeptów dowiedziała się Helenka, że kurierka przeszła szczęśliwie przed godziną i że dopiero w chwilę potem się to stało. Stary jeden wieśniak powiedział jej, że mieszka niedaleko stąd, i zaproponował, żeby u niego przenocowała, a jutro niezawodnie znajdzie się jakaś łódź, co ją przewiezie na drugą stronę.

— Patrzcie no, kumie — odezwał się drugi — wszakże to łódź płynie w tę stronę! Łódź porządna, z siedzeniem, a żagiel ją pcha do nas.

Zaczęto wołać, dawać znaki i łódź zbliżyła się do brzegu. Stał w niej człowiek barczysty, średniego, wzrostu, w krótkim, watowanym surducie, spod którego wyglądał niebieski, włóczkowy kaftan. Policzki miał rumiane, żółtawy zarost po bokach twarzy, a w rękach trzymał nie odstępującą go nigdy porcelanową fajeczkę. Był to Ofman, który mając dużo obrobionego drzewa złożonego na wybrzeżu, przyjechał obejrzeć, czy mu nie grozi niebezpieczeństwo. Widział on z daleka wóz odjeżdżający i domyślił się, że ktoś, co nim przyjechał, nie może się dalej przedostać. Wołania zbliżyły go do brzegu.

— Przewieźcie tę panienkę na drugą stronę, panie Ofman — odezwał się jeden.

— Przewieźcie, przewieźcie! — wołali drudzy — w łodzi jest dosyć miejsca na dwoje.

Ofman obrócił oczy na tę, dla której żądano od niego przysługi, i twarz jego rozjaśniła się jowialnym, rubasznym uśmiechem.

— Co ja widzę, panna Orecka? *Guten Abend*, dobry wieczór.

Tu nastąpiło charakterystyczne kiwnięcie głową, bez zdjęcia czapki.

— Odjechała panna powozem, a wozem powraca? *Was ist das?* Nie znalazło się męża w Warszawie? Ha, ha, ha! Czy to brakuje kawalerów w M., hę? Ja sam mam aż dwóch siostrzeńców, tęgich i zdrowych chłopaków. No, *steigen Sie, Fraulein, steigen Sie ein*! Niech panna siada. Ojciec panny nie może na mnie patrzeć, ale ja nie mam do niego urazy. *O, nein Gott behüte*!, a ładnej kobiecie zawsze lubię grzeczność zrobić. *Steigen Sie ein*. A gdzie panny rzeczy? Co, tylko ten worek? Gdzie się podziały te wielkie kufry, co je panna stąd wywiozła? Ej, czy tylko nie było w nich sreber i kosztowniejszych rzeczy? Może je ojciec panny wysłał z domu, żeby się nie dostały Ofmanowi! *No, steigen Sie ein*. Niech panna siada.

I postawiwszy jedną nogę na brzegu, wyciągnął rękę, żeby tej pomóc wejść do łodzi — ale Helenka cofnęła się. Blada jej twarz pobladła jeszcze bardziej, usta drżały.

— No, *was ut das*? Nie bój się, panna, łódź się nie przechyli. Śmiało, śmiało — zachęcał Ofman. — Co to, nie chcesz panna wsiąść?

— Tak jest, nie chcę — odpowiedziała głosem na pozór spokojnym, w którym jednak Ofman poczuł coś niedobrego. — Nie chcę przyjmować przysługi od człowieka nie umiejącego uszanować kobiety. Jak pan śmiesz mówić do mnie w sposób ubliżający o moim ojcu? Jedź pan sobie sam, jedź! Wolę tu zostać niż zawdzięczać panu cokolwiek bądź!

Ofman spojrzał na nią z osłupieniem.

— *Was ist das?* Co ona gada? Co ona ode mnie chce? Panna się gniewa? *Warum?* Gniew piękności szkodzi. No, nie rób panna grymasów i śpiesz się, bo nie mam czasu czekać.

Ujął ją za rękę, ale Helenka wyrwała mu ją z gniewem

— Nie dotykaj mnie pan! — zawołała z iskrzącymi oczyma. — Nie chcę wcale jechać pańską łódką; nie chcę mieć z panem nic do czynienia, nic! Czyś mnie pan zrozumiał?

Teraz Ofman pojął nareszcie znaczenie jej słów; flegma jego i jowialność prysnęły.

— Będziesz ty jeszcze miała ze mną do czynienia, ty i twój ojciec, głupia, harda dziewczyno! — krzyknął ze złością. — Popamiętacie mnie oboje. *Sehen Sie*, nie ma co jeść, a dumne to jak księżniczka. *Dumme, verfluchte Polin*[64]!

[64] *Dumme, verfluchte Polin* (niem.) — głupia, przeklęta Polka. [przypis edytorski]

Wziął wiosło, odbił od brzegu i łódź zaczęła się szybko oddalać, a stało się to w samą porę. Wieśniacy, którzy z początku przypatrywali się temu spokojnie i z ciekawością, widząc, że Niemiec groził Helence, poczęli obsypywać go potokami energicznych klątw i wymyślań. Nienawiść plemienna, potrzebująca tylko sposobności, żeby wybuchnąć, znalazła tu swobodne ujście. Niewiele brakowało, żeby się wzięli do kamieni.

Stary wieśniak, ten sam, co jej już raz nocleg proponował, zdjął teraz przed nią czapkę i zapytał:

— Jakże będzie, panienko? Pójdziecie chyba ze mną, bo tutaj nie możecie czekać do rana. Przeziębniecie jeszcze, a widzi mi się, żeście chorzy.

Helenka ujęła jego rękę i ścisnęła z wdzięcznością.

— Dziękuję wam, mój przyjacielu, za waszą dobroć — rzekła serdecznie — ale widzicie, ja muszę dziś być w mieście. Idźcie do domu i nie troszczcie się o mnie; ja tu zaczekam. Widzicie te berlinki[65] stojące tam na prawo? Każda z nich posiada przynajmniej dwie łodzie. Zobaczą mnie i przyślą tu jedną.

Zaczęła powiewać białą chustką i wkrótce od strony statków wysunęła się łódź na środek rzeki i skierowała ku brzegowi. Helenka, dotąd trzymająca się na nogach, gdy ujrzała nareszcie zbliżający się cel swoich życzeń, ową łódź mającą ją przewieźć, uczuła, że ją siły opuszczają. Tyle wzruszeń i trudów przebytych jednego dnia podcięły ten wątły organizm i wyczerpały go, a rozmowa z Ofmanem dopełniła miary. Chwiejnym krokiem weszła do łodzi i gdy kilka uderzeń wiosła oddaliło ją nieco od brzegu, szare kręgi zaczęły się zataczać przed jej oczyma i padła zemdlona na ręce wioślarza.

XXIV

Gdy się przebudziła, oczy jej długo błądziły po otaczających ją przedmiotach, zanim przyszła do świadomości, gdzie się znajduje. Leżała na łóżku, na miękkich, wygodnych poduszkach i doznawała wrażenia, jakby od czasu do czasu łóżko to razem z miejscem, na którym stało, kołysało się lekko. Ciemno już było i tylko ogień, palący się w małym żelaznym piecyku, którego drzwiczki były na pół odemknięte, rzucał trochę światła na niski, półokrągły sufit z drzewa malowanego białą olejną farbą, na miniaturową szafkę z naczyniami stołowymi, na kanapkę i na stolik stojący między dwoma łóżkami, wreszcie na lustro wiszące nad kanapą i kilka małych ściennych obrazków. Wszystko to niepojętym sposobem mieściło się na sześciu najwyżej łokciach kwadratowych przestrzeni, a z taką utrzymane było starannością, że ten kawałek podłogi froterowanej, na której najwięcej odblasku palącego się ognia padało, błyszczał jak zwierciadło.

Gdy oczy jej powoli oswoiły się z tym półświatłem, poznała, że się znajduje w kajucie na berlince. Gdyby miała jaką wątpliwość, utwierdziłyby ją w tym dwa malutkie, kratami żelaznymi opatrzone okienka umieszczone po bokach, przez które widać było poruszające się lekko fale wody przy świetle księżyca.

Chciała wstać, ale tak była osłabiona, że nie mogła podnieść głowy od poduszki — dała więc pokój próżnym usiłowaniom. Wiatr ustał, a powietrze tak się uspokoiło i złagodniało, że choć drzwi kajuty były otwarte, żaden powiew oziębiający czuć się nie dawał. Wszystko wróżyło pogodę. Przez te drzwi otwarte Helenka ze swego łóżka widziała małe, drewniane, na stopę wąskie schodki prowadzące na pomost i niemłodą kobietę w czepku, przewiązanym czarną chustką nad czołem, krzątającą się koło wieczerzy. Miała ona widocznie pod pomostem swoje zapasy śpiżarniane i większe naczynia gospodarcze, bo otwierała kilkakrotnie i zamykała jakieś drzwiczki wsunięte w głąb statku. Promień księżyca padał z boku na sam środek tego wąziutkiego korytarzyka i pokazywał jeszcze konewkę z błyszczącymi obręczami i kilka stołków.

Woń gotowanej zupy i kartofli ze słoniną rozchodziła się w powietrzu. Helenka widziała, jak kobieta postawiła stołek przy schodkach, na stołku miskę i wyłożyła na nią z garnka ugotowane kartofle; jak postawiła obok niej drugą miskę z zupą, położyła dwie łyżki i zawołała z cicha, ale wyraźnie na kogoś drugiego. Widocznie przez wzgląd na gościa, zajmującego niespodzianie kajutę, wieczerza miała się odbyć na świeżym powietrzu. Wkrótce ciężkie, ale ostrożne kroki słyszeć się dały nad głową Helenki i wysoki, kościsty

[65] *berlinka* — tu: statek rzeczny. [przypis edytorski]

mężczyzna zeszedł po schodkach. Twarzy jego nie można było widzieć, bo ceratowy daszek czapki do połowy ją zasłaniał, tylko wydatne szczęki i płaskie, szerokie piersi, będące cechą plemienną mieszkańców północnych Niemiec.

— No, będziemy mieli z pewnością pogodę na jutro — przemówił po niemiecku, zabierając się do jedzenia — a że ładunek od dawna skończony, więc będziemy mogli odpłynąć. Kazałem obejrzeć liny i wszystko przygotować. A cóż tam twoja chora?

— Śpi sobie biedactwo. Raz tylko otworzyła oczy na chwilę, ale wlałam jej w usta dwie łyżki reńskiego wina i jak zasnęła, śpi ciągle, a tak mocno, że nie słyszała, chociaż chodziłam koło niej, paliłam w piecu, gotowałam zupę... Wiesz ty, August, że to jest córka pana Oreckiego, cośmy mu zawsze wozili zboże? Poznałam ją od razu. Ona przychodziła do nas z ojcem oglądać nasz statek, pamiętasz? A taka była ciekawa! W każdy kąt musiała zajrzeć i dziwiła się, że w takiej małej kajucie znajduje się wszystko, co potrzeba. Ale co się to z nią zrobiło? Jezus! Jezus! Taka była świeżutka wtenczas jak pączek róży, a teraz jest taka bledziutka... Jak Franz ją z łodzi wynosił, to przelewała mu się w rękach jak umarła.

— Ty, widzę, rozmiłowałaś się w tej polskiej dziewczynie, Berta!

— Ach, August, czy jej twarz nie przypomina ci kogoś? Nasza Lina, gdyby żyła, byłaby taka sama...

Szyper wzruszył ramionami i wziąwszy łyżkę, zaczął jeść w milczeniu.

— Czy ja tobie mówiłem, Berta, że pan Ofman będzie w tych dniach licytował jej ojca?

Kobieta aż uderzyła w dłonie.

— Ach, *Gott*! — zawołała z najwyższym zdziwieniem — nie mówiłeś mi tego, August; to pewnie o te pieniądze, co ten niski, chudy szlachcic od niego pożyczył?

— *Ja*.

— To dlaczego on nie licytuje szlachcica?

— Jaka ty jesteś śmieszna, Berta! Na co on ma szukać szlachcica daleko, kiedy tego tu ma blisko. Do szlachcica musiałby jeździć, upominać się, czas tracić i jeszcze by go często nie zastał, bo lata po świecie, a pana Oreckiego ma pod bokiem.

Helenka podniosła się i usiadła na łóżku, żeby lepiej słyszeć.

— Ale to jest niesprawiedliwie! *Mein Gott*, to bardzo niesprawiedliwie, żeby ten musiał oddawać pieniądze, co ich nie pożyczał, a ten, co je pożyczał, chodził sobie swobodny! Ach, biedny człowiek...

— A kto mu kazał ręczyć?

— To prawda — odrzekła kobieta — on bardzo nierozsądnie zrobił.

— To było zrobione głupio — zadecydował mąż — to jest taki dobry człowiek, że każdy z nim zrobi, co chce, a na interesach tak się zna jak baba na wojnie.

— Ale pewnie będzie wolał zapłacić niż dopuścić do licytacji?

— Co ty gadasz? Z czego on zapłaci, kiedy piekarz mi mówił, że już drugi miesiąc nie płacą mu za bułki.

— Taki piękny majątek i tak zmarnować. Co to za ogród, jaki dom, co za śpichrze!

— Nie widziałaś to, jakeśmy zimowali w jego przystani, co tam zawsze przychodziło różnych włóczęgów po wsparcie? A on ani pytał, kto i skąd, tylko ręce trzymał w kieszeni a dawał. A co my im to naprzywozili z Prus aksamitów, materii, szkła, porcelany i różnych różności! Pamiętasz ten serwis, coś go to między węgle schowała, jakeśmy przejeżdżali przez komorę[66]? Przy takim gospodarstwie jeszcze większy majątek stracić można. Kto nie umie rachować, ten zbankrutować musi.

Kobieta pokiwała głową.

— Pan Ofman mówi, że Polacy są narodem skazanym na zagładę, i ma słuszność. O! to jest mądry człowiek! Ty nie wiesz, Berta, co on za kolosalny zrobił interes; kupił od jednego szlachcica hurtem las, same stare dęby zdatne na maszty i na budulec — i po obliczeniu wypadło, że z obróbką już kosztować go będą po dwadzieścia kopiejek za sztukę. A co?

[66] *ten serwis, coś go to między węgle schowała, jakeśmy przejeżdżali przez komorę* — mowa o przemycaniu kosztownego serwisu (kompletu naczyń) podczas przekraczania granicy i o komorze celnej. Akcja *Księżniczki* dzieje się z zaborze rosyjskim, a Niemcy na berlinkach wozili węgiel z Prus. [przypis edytorski]

— Ach! — wykrzyknęła kobieta z akcentem zachwytu, z którym się łączył głęboki podziw dla rozumu Ofmana.

— Ma on tutaj — mówił wskazując na czoło — ma. Taka głowa to skarb. Pan Ofman dobrze mówi, gdy powiada, że ten naród musi zginąć. Co on produkuje? Dotąd nazywał się krajem rolniczym i produkował zboże, ale od czasu jak Ameryka dostarcza na targi angielskie tańszego zboża, mało kto już pyta się o zboże polskie, a Indie robią znowu konkurencję Ameryce i obiecują ceny jeszcze niższe.

— Co ty gadasz, August! Jak to może być, żeby kraje leżące gdzieś na końcu świata mogły dostarczać zboża taniej niż Polska, która ma bliżej do Anglii? Toż sam transport więcej kosztuje!

— Bo, widzisz, Ameryka ma wielkie, bezużytecznie leżące obszary ziemi, której jeszcze nawozami zasilać nie potrzebuje, bo bez tego rodzą obficie — a Indie znów mają dużo robotnika i tak taniego, jak go północne kraje Europy nigdy mieć nie mogą. Niezadługo już nikt polskiego zboża kupować nie będzie i Polacy będą musieli zasiewać tylko tyle, ile sami zjedzą. A i to ci powiem, Berta, że oni już zaczęli z zagranicy zboże dla siebie sprowadzać, bo jest znacznie tańsze niż ich własne — a wczorajsza „Schlesische Zeitung" pisze, że Rosja południowa w tym roku przyśle na targi polskie swoje zboże. Tak! Dawniej przywoziliśmy tutaj do M. naszymi statkami węgiel, a zabieraliśmy wszyscy zboże; teraz część naszych statków przywożących węgiel nie zabiera na powrót nic. Kraj, do którego się więcej przywozi, niż się z niego wywozi, musi zbankrutować.

— To jest prawda — szepnęła kobieta.

Interes, Polak, Niemiec

— Ten las Ofmana, co stąd na tratwach do Prus popłynie, przerobiony w warsztatach niemieckich na budynki, meble, zabawki i tysiączne drobne przedmioty, powróci tutaj, a Polacy za niego dobrze zapłacą; bo, widzisz, ten naród nie lubi mieć z niczym subiekcji i woli kupować rzeczy gotowe niż je sam robić.[67]

— Panowie — wtrąciła z politowaniem.

— *Ja*, panowie, książęta! Gdyby oni rozwinęli u siebie rzemiosła i przemysł i produkowali różne towary, które sprowadzają z zagranicy, toby mogli jako tako egzystować. *Ja*, ale Polacy nie mają pociągu ani do handlu, ani przemysłu, więc wyręczamy ich my i Żydzi. W naszych rękach jest przemysł i w nasze też ręce przechodzi coraz więcej ziemi, a gdzie ziemia jest w naszym posiadaniu, tam my jesteśmy panami. Zdobywamy kraj bez rozlewu krwi, samą tylko cywilizacją. Za ogrodem pana Oreckiego był kawał bagna, zatruwającego powietrze: kto je zasypał i powietrze oczyścił? Niemiec. Kto umocnił brzeg i zasłonił łąkę od wylewu? Niemiec. Kto po drugiej stronie rzeki wystawił fabrykę narzędzi rolniczych i wybrzeże zawsze zabierane przez wodę zasadził drzewami? Niemiec także. Kto utrzymuje w mieście porządny hotel? Kto ma cukiernię, restaurację, browar? Wszystko Niemcy. Kto pobudował cukrownie w okolicy? Fabrykanci niemieccy.Niemiec jest wszędzie, gdzie tylko przemysł rozwinąć się może. Przychodzi do kraju jako dobroczyńca, dający towar dobry i tani: jako zbawca, dający zarobek ludności uboższej; jako apostoł cywilizacji! Gdzie Niemiec przybywa, tam zaraz za nim idzie praca, ład, porządek i gospodarność. Kto nie chce być z nami, musi nam ustąpić. Polacy tak kiedyś wyginą, jak Indianie w Ameryce.

— Wyginą? Jak to wyginą? Ja ciebie nie rozumiem, August. Przecież ich nie będziemy zabijali!

— Amerykanie nie zabijają Indian, a jest ich tam coraz mniej. Cała część Królestwa Polskiego na granicy pruskiej jest po większej części w rękach naszych kolonistów. Nasz rząd niemiecki pomaga nam w tym wszelkimi sposobami, a bank drzewny w Berlinie daje nam pożyczki na kupno ziemi, pokrytej obszarami leśnymi. Nasze kolonie są wszędzie, na Podolu, na Wołyniu, na Ukrainie, a najwięcej na Litwie, bo tam ukaz cesarski z roku 1865 zabrania Polakom nabywać ziemię; i jeżeli który z nich posiadany przez siebie kawał

[67] *Ten las Ofmana, co stąd na tratwach do Prus popłynie przerobiony w warsztatach niemieckich (…) powróci tutaj, a Polacy za niego dobrze zapłacą; bo, widzisz, ten naród (…) woli kupować rzeczy gotowe niż je sam robić.* — to twierdzenie i dalsze myśli są inspirowane merkantylizmem, sposobem myślenia o ekonomii, wyznawanym w XIX w. (a powstałym w wieku XVII). Merkantylizm głosił, że państwa europejskie są dla siebie wzajemnie konkurentami i mogą się bogacić kosztem sąsiadów, a kluczem do bogactwa i potęgi jest dodatni bilans handlowy, czyli wytwarzanie i sprzedawanie za granicą większej ilości towarów, niż się sprowadza. [przypis edytorski]

z ręki wypuści, to go już nigdy na powrót w ręce nie dostanie. Posuwamy się powoli, ale coraz dalej i coraz gromadniej na wschód. *Drang nach Osten*[68] to zasada naszego narodu nie mogącego się już zmieścić na niemieckiej ani zniemczonej, słowiańskiej niegdyś ziemi. To darmo! Pan Bóg widać chciał, żeby Niemcy zapanowali z czasem nad całym światem. Toć już nasz Bismarck[69] Afrykę dla nas zabiera. Daj no mi piwa, Berta!

Kobieta postawiła przed nim kufel i nalała złocistego płynu. Zapał patriotyczny męża i jej się udzielił. Nie rozumiała dokładnie wszystkich idei Kulturkampfu[70], ale patrzyła w mówiącego jak w tęczę.

— Pan Ofman jest mądrym człowiekiem i patriotą — mówił umoczywszy usta — nie trzeba mu za złe brać, że on licytuje ojca tej dziewczyny. On to nie ze złego serca robi, tylko chce zostać właścicielem gruntu pana Oreckiego, bo to jest piękny kawał ziemi, w dobrym miejscu i można na nim dużo budować. Tam się wszystko wali, wszystko idzie w ruinę, a jak Ofman to nabędzie, zaraz inaczej będzie wyglądało. On dom i śpichrz wyreperuje, parkan da nowy i tartak postawi. Ma już plony, pokazywał mi je. Powiedzże ty sama, Berta, czy to nie grzech marnować taki piękny majątek i czy nie lepiej, że się on mądrzejszemu dostanie?

— No *ja*, to prawda, że pan Ofman lepiej tam gospodarować będzie — odrzekła kobieta, w której duszy jednakże były pewne pod tym względem wątpliwości — ale czy to jest sprawiedliwie?

— Głupia jesteś — odpowiedział z flegmą mąż — dziś ten jest sprawiedliwy, kto jest mocniejszy. Tak powiada nasz kanclerz[71]. Pan Ofman kilka razy proponował panu Oreckiemu, żeby mu swoją posiadłość sprzedał, ale szlachcic się uparł. Nie i nie. Teraz jednak pewnie się zgodzi. Jego żona to jest kobieta bardzo dumna i pewnie nie będzie chciała znieść tego wstydu, żeby ich rzeczy sprzedał komornik na rynku: więc zamiast tego, Ofman im dopłaci i dom z gruntem sobie zabierze. No, Berta, nalej jeszcze drugi kufelek.

Węgle w piecyku żelaznym pokryły się czarnym popiołem, a z nimi przygasło światło i wnętrze kajuty pogrążyło się w ciemności — ale oczy Helenki gorzały jak dwie pochodnie.

— Berta, idź ty spać do kajuty, a ja pójdę na drugi koniec statku do moich ludzi; już późno. Przynieś mi tylko stamtąd poduszkę — mówił szyper nakładając sobie fajeczkę tytoniem, który miał w kieszeni.

Kobieta gotowała się spełnić rozkaz męża, gdy Helenka stanęła we drzwiach.

— Panie Müller — przemówiła zwracając się od razu do mężczyzny — nie chodź pan na drugi koniec statku, ale zajmij swoje miejsce w kajucie. Jestem już zdrowa i pragnę zaraz odjechać. Dziękuję państwu bardzo za kilkogodzinne schronienie, za wszystko, coście dla mnie zrobili, i nie chcę wam dłużej zawadzać. Czy możesz mi pan użyczyć swojej łodzi?

Berta patrzyła kolejno to na mówiącą, to na męża, ciekawa, co on powie — a ze wzroku jej było widać, że nic nie miała przeciwko temu, żeby polska dziewczyna została jeszcze przez noc pod jej dachem. Nie mogła ona oderwać oczu od tej postaci wiotkiej, od jej twarzy pięknej, bladej, z rozpalonymi gorączką oczyma.

Szyper wyjął fajkę z ust.

— Nie mogę dzisiaj pannie dać łodzi — odpowiedział — bo już noc, a po rzece pływają kawały drzewa; mogłyby w łódkę uderzyć i przewrócić.

— Księżyc świeci — zauważyła.

— Księżyc świeci nie dość jasno — odpowiedział. — Nie, nie, nie dam dziś pannie łódki. Jutro rano za to, jak tylko słońce wzejdzie, każę pannę odwieźć.

— Dobrze — odrzekła po chwilowym wahaniu.

---

[68] *Drang nach Osten* (niem.: dążenie na wschód) — hasło głoszone w XIX w. przez nacjonalistów niemieckich, postulat ekspansji gospodarczej Niemców na ziemie słowiańskie. [przypis edytorski]

[69] *Otto von Bismarck* (1815–1898) — niemiecki polityk, premier Prus (1862–1873), kanclerz Niemiec w latach 1871–1890, w 1870 r. doprowadził do wybuchu wojny francusko-pruskiej, której wynikiem było zjednoczenie Niemiec. [przypis edytorski]

[70] *Kulturkampf* (niem.: walka o kulturę) — tendencja polityczno-społeczna w Niemczech w latach 70. XIX w., inspirowane przez kanclerza Bismarcka dążenie do ograniczenia wpływów kościoła katolickiego w Niemczech, połączone z germanizacją Słowian na terenie Prus. [przypis edytorski]

[71] *nasz kanclerz* — kanclerz Niemiec Otto von Bismarck (1815–1898). [przypis edytorski]

Szyper patrzył przez chwilę na córkę narodu przeznaczonego na zagładę i kto wie, czy wspomnienie Liny nie stanęło mu na myśli, bo odszedł nie dopiwszy swego kufla bawara.

Berta zapaliła wiszącą naftową lampę w kajucie, a potem przyniosła zupy na głębokiej fajansowej miseczce i, położywszy przy niej kawałek chleba, namawiała Helenkę, żeby jadła choć trochę, ale dziewczę podziękowało jej stanowczo, choć łagodnie. Nie chciało jej się jeść, a choćby nawet głód czuła, nie mogłaby na sobie przemóc, żeby po wszystkim, co słyszała, rozłamać chleb z tymi ludźmi. Lekki swąd wydzielający się z żelaznego piecyka sprawił jej ból głowy: zapragnęła odetchnąć świeżym powietrzem i wyszła po schodkach na pokład. Było ono rzeczywiście bardzo łagodne, a lekki wiatr chłodził przyjemnie jej twarz i głowę.

„Tam — myślała zapuszczając tęskny wzrok w dal — tam mieszkają moi rodzice i nie śpią pewnie w tej chwili, bo sen odbiera im myśl, że mają się stać pastwą człowieka obcej narodowości. A ja tu goszczę u jego brata z rodu, tymi samymi, co tamten, przenikniętego dążnościami szkodliwymi... Czemu wody te polskie dźwigają statki niemieckie z polskich zbudowane lasów? Czyż nigdy nie wrócą te czasy, w których polska marynarka handlowa nie tylko rzeki nasze pokrywała, ale i przez morskie tonie ziarno nasze złote dalekim a głodnym woziła ludom, a groźbą dzielnego oporu hamowała najezdnicze zamachy żeglarzy północy[72]?"

Przy sterze była umocowana mała wystająca deska. Usiadła na niej i patrzyła w zamyśleniu na obszar wód szeroko rozlanych, na fale kołyszące się łagodnie i błyszczące przy świetle księżyca. Środkiem rzeki, jak okiem zasięgnąć, stały tratwy długim szeregiem: na tratwach paliły się ognie, a wiatr aż do statku przynosił woń dymu i strawy, którą sobie przy nich gotowali ludzie. Przy ogniu widać było ich postaci ruszające się żywo, budki słomiane, służące im za mieszkanie, a woda odbijała ten obraz razem z niebem iskrzącym się gwiazdami. Te wody były dokładnym obrazem jej duszy: jak tam, tak tutaj było ciągłe falowanie nadziei i zwątpienia, gwałtownych uniesień i nagłego spokoju, buntu i rezygnacji. Dojeżdżając do M. mówiła już sobie, że wszelkie wysilenia w celu niedopuszczenia do katastrofy będą daremne i że trzeba będzie, jak mówił Andrzej, poddać się konieczności, ale przypadkiem posłyszana rozmowa szypra z żoną wstrząsnęła najgłębsze tajniki jej duszy i obudziła głuche wrzenie, przy którym nie mogło już być mowy o rezygnacji.

„Gdyby nie moje zemdlenie — myślała — już bym od dawna znajdowała się w domu, ale siły mnie tak nagle opuściły, że woli zabrakło czasu do zapanowania nad ciałem. Andrzej by mnie zganił za moją słabość. Ale gdyby nie ten wypadek, nie byłabym się dowiedziała, jakie są zamiary Ofmana, i że jemu nie tyle o dług idzie, ile o posiadanie gruntu, z którego chce zrobić jeden więcej posterunek Kulturkampfu... Prawdę mówi przysłowie: Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło".

Rozumiała teraz dobrze znaczenie słów Ofmana wyrzeczonych do niej w złości: „Popamiętacie wy mnie, ty i twój ojciec, głupia, harda dziewczyno". Wiedziała, że nie będzie ich oszczędzał i że narażając[73] go sobie pogorszyła jeszcze sprawę.

— Nie mogłam zapanować nad sobą, nie mogłam — szepnęła — to było silniejsze ode mnie.

Od strony tratew dał się słyszeć odgłos fujarki: jakiś flisak grał piosenkę, którą Helenka słyszała dziś rano w ogrodzie pułkownika.

Już tam ojciec do swej Basi
Mówi zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz!

Pieśń płynęła po wodzie czysta i donośna, a wybrzeża słuchały jej ciche i milczące. I Helenka wsłuchiwała się w nią chciwie. Była to ta sama melodia, co posiadała czarodziejską siłę rozgrzewania zwątpiałych i zesłabłych. Starzy ludzie powiadają, że przy jej dźwiękach szli w ogień jak do tańca, a padali z uśmiechem na ustach.

[72]*najezdnicze zamachy żeglarzy północy* — mowa o najazdach szwedzkich w XVII w. [przypis edytorski]
[73]*narażać* — tu: zrażać. [przypis edytorski]

Berta przyszła szukać panny Oreckiej i namawiała ją, żeby się położyła, bo widocznie jest chora, i Helenka poszła za nią bez oporu — ale chociaż poczciwa kobieta usłała jej łóżko, jak umiała najwygodniej, długo nie mogła zasnąć, a gdy usnęła nareszcie, śniła jej się na przemian to sprzedaż domu ojca, to *Historia narożnej kamienicy*[74] Krasickiego, a sen był gorączkowy, przerywany i niespokojny.

Obudziła się, gdy jeszcze wszyscy spali na statku, i zaraz wstała i wyszła na pokład. Ptaki, śpiące na maszcie, zerwały się i narobiły w powietrzu hałasu swoim świegotaniem, jakby chciały wołać: już dzień! już dzień! Na to wołanie pobudziło się ptactwo śpiące na drzewach nadbrzeżnych, trzcinach i sitowiach i, przyłączywszy się do chóru pierwszych budzicieli, krzyczało na całe gardło: dzień! dzień! dzień! Na niebie panował jeszcze mrok szary, przez który przeglądał księżyc i gwiazdy bledniejące coraz bardziej, a z wody wynurzało się słońce złote, różową gazą przysłonięte, i na połowę nieba i na połowę wód rzucało promienie. Brzask bił o gwiazdy. Opary, czołgające się nad wodami, zaczęły się pod jego ciepłymi promieniami rozpraszać i osłoniły lasy, wzgórza, wioski i miasto, rozpostarte w dolinie. Rzekłbyś, że Stwórca odchylił zasłonę obrazu. Ze wszystkich stron budziły się jakieś głosy, echa, a choć ludzie jeszcze spali, zaczęło się już życie. W domach stojących na wybrzeżu i w mieście było cicho; lud skazany na zagładę spał snem tak spokojnym, jakby mu przeznaczona była nieśmiertelność...

Helenka, oparta o ster, tonęła wzrokiem w tym obrazie, a usta jej powtórzyły mimowolnie słowa Anczyca[75] z poematu *Tyrteusz*:

O! jeszcze za wcześnie
Umierać Sparcie; choć przedśmiertne dreszcze
Przebiegły ciało i duch porósł w pleśnie,
W schorzałej piersi bije serce jeszcze.
I krzew laurowy, gdy go dręczy spieka,
Opuszcza liście i, zda się, już ginie...
Lecz gdy wiatr spędzi nawał chmur z daleka
I deszcz ożywczy potokami spłynie,
Laur nową siłą odżyje wspaniale.
Świeże listeczki gałązki odmłodzą...

Na statku ludzie powoli zaczęli się ruszać, zwijano liny i gotowano się do odpłynięcia. Berta napaliła ogień i krzątała się koło śniadania. Szyper stał na pokładzie i wydawał rozporządzenia. Z jego rozkazu odczepiono łódź i przeniesiono do niej podróżny worek Helenki. Żegnając się z tymi ludźmi, podziękowała im raz jeszcze za gościnność i wręczyła Bercie rubla. Kobieta, poczuwszy pieniądze w dłoni, uczuła jednocześnie w sercu jakby markotność i stała chwilę wahająca się i niepewna, czy je ma zatrzymać, czy zwrócić — ale nie chciała robić ślicznej panience przykrości przez pamięć biednej Liny i wsunęła je do kieszeni — bo też to i słusznie im się za nocleg należało. Jednakże, gdy Helenka siedziała w łodzi, markotność jej stała się jeszcze większa i rzekła do męża:

— Słyszysz, August, mnie się zdaje, że my nie powinniśmy byli brać od niej pieniędzy, kiedy tam taka bieda i Ofman ma ich licytować! Niemiec, Pieniądz

— Nie bądź głupia, Berta — odrzekł z flegmą — u nich pieniądze nic nie znaczą, a ty z jednego rubla zrobisz dwa! Nie weźmiesz ty, weźmie kto inny. Lepiej, kiedy pieniądz jest u takiego, co go szanuje, niż u takiego, co nie wie, co z nim zrobić.

— No, to jest prawda — odrzekła niby uspokojona, ale markotność nie ustąpiła z serca i tak jej było, jakby się musiała czegoś wstydzić.

Słońce posuwało się tymczasem coraz wyżej i pokazawszy w całym blasku błękit, zasypywało ziemię blaskami szafirów, opali, złota i purpury. Łódź płynęła powoli, a ptaki leciały przed nią, dotykając piersiami powierzchni wody i świergocząc. Mijali teraz tę część wybrzeża, gdzie stał długi szereg budynków fabrycznych z czerwonej cegły, zabezpieczony

[74] *Historia narożnej kamienicy* — właśc. *Powieść prawdziwa o narożnej kamienicy w Kukorowcach* pióra Ignacego Krasickiego, napisana w 1794 r. alegoryczna opowiastka o kilkusetletnich losach budynku w małym miasteczku, symbolizujących dzieje Polski. [przypis edytorski]

[75] *Władysław Anczyc* (1823–1883) — pisarz, działacz społeczny i wydawca. Poemat *Tyrteusz* jest alegorią, autor pisząc o upadku starożytnej Sparty robi aluzję do Polski pod zaborami. [przypis edytorski]

od wylewu porządnym, mocno zbudowanym bulwarkiem. Wysokie kominy buchały kłębami dymu, a przez okna budynków widać było oślepiający blask ognisk, które nie gasły nigdy; słychać było warczenie kół, huk młotów, świst piszczałek, jęczenie pasów skórzanych. Helenka słuchając tych odgłosów mówiła sobie, że gdy Ofman postawi tartak na gruncie jej ojca, to tak ciągle rozlegać się będzie zgrzyt piły krającej drzewo kupowane za bezcen... Głuche wrzenie na nowo powstało w jej piersi i rozogniło policzki.

— Boże! — szepnęła podnosząc wzrok ku niebu — wiem, że szmat ziemi mojego ojca jest mały i nic nie znaczący, bo ledwie włókę obejmuje, ale przysięgam, że zrobię wszystko, co będzie w mej mocy, a nie dopuszczę, aby się dostał w ręce tego Niemca. Wiem, że siły moje są słabe, ale pragnienie moje jest mocne... Wspieraj mnie. Panie, i nie dopuść do mego serca żadnej słabości, która by mnie odwiodła od mego celu!

XXV

Smutnie wyglądała posiadłość pana Marcina: bale w bulwarku gniły, a ziemia sypała się przez nie do rzeki; schodki prowadzące do wody ruszały się jak klawisze, a parkan ogrodu był tak przezroczysty, jakby kto w nim umyślnie porobił otwory dla wentylacji. Ale nic dziwnego: komu z blisko mieszkających biedaków potrzeba było drzewa naprędce, a nie miał go pod ręką, to szedł wyciągać deski z parkanu, nie zawsze czekając z tym do nocy. Pan Marcin, gdy to przypadkiem zobaczył, wymyślał i klął straszliwie: „Ty taki, owaki, zrób no tak jeszcze raz, to zobaczysz, że cię wsadzę do kozy!" Ale zwymyślany odchodził spokojnie ze zdobyczą, wiedząc, że pan Orecki ma zbyt dobre serce, aby dotrzymać słowa. Nieraz pan Marcin wołał na pomoc stróża — ale zawsze dopiero wtedy, kiedy amator jego własności był już daleko — i w duchu prosił Pana Boga, żeby go stróż nie dogonił.

Brama od ulicy była na oścież otwarta: ludzie, co tu mieszkali, nie lubili ani rachować, ani zamykać.

Gdy łódź przybiła do brzegu, była dopiero godzina piąta. Helenka zapłaciła przewoźnikowi i wziąwszy swój worek w rękę, szła przez dziedziniec. Wiedziała, że drzwi wchodowe znajdzie otwarte, miała zamiar zapukać z cicha do kuchni, gdzie spały służące, a następnie poszukawszy klucza od swego pokoju udać się na górę, gdzie miałaby czas wypocząć i przebrać się, zanim pobudzą się rodzice. Ale posłyszał ją pies śpiący przed progiem i zerwawszy się, z radosnym skomleniem, skoczył jej na piersi i zaczął lizać po rękach i twarzy.

— Jak się masz! Jak się masz, mój stary, wierny przyjacielu! — szepnęła obejmując go. — Poznałeś mnie? Tęskniłeś za mną? Nie miałeś z kim chodzić na spacer, prawda?

Ale pies już nie słuchał. Jak strzała popędził do domu i zaczął dobijać się do drzwi kuchni gwałtownie, a gdy mu służąca otworzyła, sunął wprost do sypialnego pokoju państwa Oreckich; oblizał twarz pani Marcinowej, nie zważając na jej protest, a z pana Marcina, który miał sen twardszy, ściągnął kołdrę i, usiadłszy przy nim, gniewnie szczekał. Potem znowu jak strzała wyleciał i wrócił z tryumfem, poprzedzając swoją młodą panią.

W mgnieniu oka zrobiło się w domu gwarno; wszyscy powstawali, rodzice wyrywali sobie nawzajem dziecko dawno nie widziane. Przez chwilę nikt nie mógł przemówić słowa, bo wszyscy płakali — tylko pies siedział na środku pokoju, bił w podłogę ogonem i poszczekiwał, jakby chciał powiedzieć:

„Bardzo proszę nie zapominać, że i ja tu jestem! "

Gdy pierwsze uniesienie minęło, nakryto do śniadania i przyniesiono samowar. Kucharka — bo reszta służby już była odprawioną — postawiła na stole bułki, chleb i masło, a pani Orecka, patrząc na tę skromną zastawę, rzekła z westchnieniem:

— Nie będziesz miała co jeść, moje dziecko. Nie miewamy teraz w domu ani szynki, ani biszkoptów, a na kredyt tak ciężko dostać... — dodała ciszej. — Ale gdybyś była nas uprzedziła, że przyjedziesz...

Helenka otworzyła swój worek podróżny i z tryumfem rozłożyła na stole dwie kuropatwy w papierze, chleb wiejski, pomarańcze i postawiła przy nich butelką wina. Zabrano się wesoło do uczty, która niegdyś tyła dla nich bardzo zwyczajną, a dziś wydawała się prawie wspaniałą.

Córka zastała rodziców bardzo zmienionych. Oczy matki nosiły ślady łez często wylewanych, a zmarszczki dookoła ust pogłębiły się; ojcu policzki zapadły, uśmiech wprzód dobroduszny przybrał jakiś bolesny wyraz — a wychudł pan Marcin tak straszliwie, że gdy oparł na stole rękę, na której była tylko skóra i kości, córce łzy się w oczach zakręciły.

Matka opowiadała Helence, że od czasu jak komisarz sądowy pokładł pieczęcie na meblach, ojciec zapadł w apatię, z której nic wyrwać go nie mogło, i jeżeli nie patrzył w okno i nie bębnił swojego marsza na pustym stole w kantorze, to albo odmawiał koronkę do Przemienienia Pańskiego, albo chował ręce głęboko w rękawy, wsuwał się w fotel i drzemał.

— Nie masz wyobrażenia, moje dziecko, cośmy tu wycierpieli! — mówiła pani Orecka, trzymając w palcach udko kuropatwy — co nas nadręczył ten Ofman ciągłym łażeniem na pięty! Nie było jednego tygodnia, żeby tu nie był upominać się o swoje, jak powiada. „Swoje! " Mój Boże, czyśmy to dla siebie pożyczali? Wchodzi bez meldowania i pakuje się wprost do pokoju, tutaj, tu, w zabłoconych butach! Rozsiada się jak u siebie, nie czekając, aż się go poprosi, i gada impertynencje. Ach, ten ojciec i ten ojciec! co on narobił! A mówiłam: nie ręcz za nikim, żebyś nie potrzebował płacić!

Pan Marcin słuchał spokojnie tych oskarżających go słów. Od pewnego czasu słyszał je tak często, że się już do nich przyzwyczaił.

— I taki ordynarny Niemiec śmie do mnie mówić po prostu: „moja pani, moja pani", jak do swej równej. Mówiłam mu parę razy, żeby tu nie przychodził; bo ja sobie nie życzę go widzieć, a on na to: „Moja pani, niech mi pani odda moje pieniądze, to ani zajrzę!" Jakbym ja miała jego pieniądze! Ostatni raz, gdy wszedł aż do sypialnego pokoju szukając ojca, a ja byłam jeszcze nie ubrana, powiedziałam mu, że go każę służbie wyprowadzić, a on na to z flegmą: „Moja pani, mnie się zdaje, że to pani się wyprowadzi, a ja tu będę mieszkał". Ach, to ostatnia pasja człowieka bierze! Ty jeszcze nie wiesz, Helciu, że on chce wziąć od ojca ten dom w długu i dopłacić do niego, ale ojciec nie chce; a jednak byłby to jedyny sposób uniknięcia licytacji... Jak pomyślę, że nasze rzeczy będą wynoszone z domu przez tych okropnych ludzi, sprzedawane na środku rynku wobec wszystkich znajomych, u których dotąd uchodziliśmy za ludzi zamożnych, gdy pomyślę o ich spojrzeniach pełnych politowania, szeptach i uśmiechach, proszę Pana Boga, żebym nie doczekała tego wstydu. O! ja tego nie przeżyję!...

Kostka od kuropatwy wypadła z ręki pani Marcinowej, poniosła chustkę do oczu i wybuchnęła płaczem. Pan Marcin nie mogący znosić widoku jej łez rzucił nóż, którym się bawił, i załamał ręce z taką siłą, że aż stawy zatrzeszczały.

— Mateczko — szepnęła Helenka — większym wstydem byłoby oddać ziemię Niemcowi; fakt, że cierpimy z powodu niesumiennego człowieka, dla niego jest hańbą, nie dla nas. Co zaś do naszych znajomych, to się przekonają, że się mylili mając nas za bogatych, i nic więcej.

— Tak — podchwycił pan Marcin — tak, Helenka ma słuszność. Niemiec nie będzie gospodarował na moim gruncie, nie!

Matka spojrzała na córkę szeroko otwartymi oczyma. W jej słowach, w jej głosie, w jej zachowaniu się uderzyło ją coś, czego dawniej w niej nie bywało i czego, wyjeżdżając, z pewnością stąd nie zabrała. Był to jakiś nowy, nie znany dotąd w domu żywioł. Pani Orecka nie wiedziała, co to było, ale sercem matki odgadła, że córka powracała inna, niż wyjechała. Wpatrywała się w nią badawczo i spostrzegła, że ów wdzięk słabości, zdaniem jej najwięcej pociągający w kobiecie, zniknął w niej bezpowrotnie: że rozproszył się także urok naiwności dziecięcej, kapryśnej nieco, z którą jej było tak do twarzy. Rysy nabrały powagi, usta, dawniej rozchylone uśmiechem, zamykała jakaś stanowczość. Dawniej zachwycała tylko, teraz było w niej coś, co kazało ją szanować.

Życie przesunęło po niej swoją szorstką rękę — a choć dotknięcie to zadało jej bolesne rany, ale uleczyło kalectwa duszy; szlachetne kruszce, kryjące się w jej głębi, wypaliły się w ogniu cierpienia. Oczy dawniej pozbawione wyrazu, jeżeli ich nie ożywiła wesołość, jaśniały teraz blaskiem dawniej niebywałym. Co było jeszcze lekkomyślnego w duszy dziewczęcia, to w dniu wczorajszym, obfitym w głębokie wzruszenia, niepowrotnie uleciało. Była to już kobieta rozumiejąca warunki życia kraju i znająca swój do niego stosunek. Wiedziała, dokąd idzie i czego chce. Nic tam już nie drzemało, wszystko było rozbudzone.

— Jakeś ty się zmieniła, moje dziecko — mówiła matka wpatrując się w nią ciągle — jakeś się zmieniła dziwnie... wypiękniałaś jeszcze bardziej, ale wyglądasz tak, jakby ci kilka lat przybyło. Prawda, Marcinie?

Pan Marcin kiwnął głową.

— Wygląda jak kobieta dojrzała — powiedział.

— Ojciec ma słuszność, wyglądasz jak kobieta dojrzała... Co się z tobą stało? Ale mów nam o sobie, moje dziecko, mów! Dobrze ci tam? Kochają cię? Dogadzają ci? Ale kto by ciebie nie kochał! Chciałabym takiego widzieć! Wygody wszelkie masz? Pisałaś mi, że pokoik twój bardzo ładny; cóż tam stoi? Czy tylko nie za wiele pracujesz, bo pobladłaś trochę? A bawiłaś się też dobrze w karnawale? Mój Boże, myślałam, że tam zrobisz jaką dobrą partię[76]! Z twoją pięknością i ukształceniem można sięgnąć nawet po mitrę książęcą.

Helenka uśmiechnęła się smutnie. Przekonała się już ona, co znaczy ukształcenie, w jakie ją zaopatrzono, ale nie chciała poruszać tego przedmiotu. Nie chciała także rozwijać w tej chwili przed matką nowych pojęć między obcymi nabytych, bo nie pora była po temu, rzekła więc tylko:

— Gdyby mitra była tuż nad moją głową, mateczko, nie wyciągnęłabym po nią ręki.

— Ona chce powiedzieć, że mitra musiałaby sama wejść na jej głowę — objaśnił pan Marcin. — Dumna jest jak prawdziwa szlachcianka.

Helenka uśmiechnęła się znowu. Nie rozumiano jej, ale nie chciała się jaśniej tłumaczyć; były pilniejsze rzeczy do rozważenia. Odpowiedziała więc na zadawane jej hurtem pytania w duchu życzeń matki — matka też sama nie dała jej na wszystkie odpowiedzieć.

— Patrz, jak ja zmizerniałam — mówiła — ale czy można dobrze wyglądać przy takim życiu, gdzie każdy dzień jest torturą moralną i ciągłą walką braku pieniędzy z potrzebami życia? Moje nerwy są okropnie rozstrojone; wszystko mnie gniewa, drażni i irytuje. Po nocach nie mogę sypiać, a morfina już nawet na mnie nie działa, tylko rozstraja jeszcze więcej. Mam oczy zapadłe, nieprawdaż? A żebyś wiedziała, jak ja siwieję! Sił nie mam nic a nic, każda rzecz mnie męczy.

— Przywiozłam kilka butelek ekstraktu słodowego, to mateczkę wzmocni.

— Przywiozłaś?

— I butelkę wina starego dla ojca, bo mi się zdaje, że to będzie skuteczniejsze od chiny.

— Dobre, poczciwe dziecko, jak o nas obojgu pamiętałaś! Słyszysz, Marcinie, Helcia przywiozła dla ciebie starego wina. Opieka

Pan Marcin kiwnął głową na znak, że słyszy, ale nic nie odpowiedział. W milczeniu podniósł rękę do oka, jak gdyby łzę ocierał.

— Jest i czepeczek dla mateczki — mówiła dalej Helenka.

— Doprawdy! — zawołała z radosnym zdziwieniem pani Marcinowa — pokaż! Gdybyś wiedziała, jak ja się zaniedbałam — mówiła, podczas gdy Helenka wyjmowała z worka przywieziony czepeczek — zupełnie nie mam się w co ubrać. Wszystkie porządniejsze rzeczy już mi się zniszczyły, a nowych nie mam sobie za co kupić, bo wszystko idzie na życie i potrzeby domowe. Wstydzę się już ludziom pokazywać. Ładny, wcale ładny, teraz właśnie takie noszą. Dziękuję ci, moje dziecko. Gdybyś ty wiedziała, ile mnie dręczy ta myśl, że ty nam oddajesz wszystko, co zapracujesz, zamiast to użyć na własne przyjemności!... Fason bardzo dobry, musiałaś kupować w jednym z lepszych magazynów. A może to drogi sprawunek? Może zrobiłaś nim sobie duży uszczerbek? Powiedz, moje dziecko, powiedz!

— O nie, mateczko — odrzekła rumieniąc się lekko Helenka — ja teraz dosyć dużo zarabiam i nawet przywiozłam z sobą pieniędzy na zapłacenie wszystkich kieszonkowych długów.

— Chwała Bogu!

Wstała i zbliżyła się do lustra, żeby przymierzyć czepeczek. Było jej bardzo ładnie. Piękna ta jeszcze kobieta posiadała właśnie ów delikatny wdzięk słabości, którego córce już brakowało, i była skończonym typem w swoim rodzaju. Pomimo dojrzałości lat było w niej zawsze coś z dziecka, potrzebującego opieki i podpory.

---

[76] *zrobić dobrą partię* (daw.) — znaleźć dobrego, bogatego kandydata na męża; dobrze wyjść za mąż. [przypis edytorski]

— Nie wyobrazisz sobie, Helenko, co ja przeżyłam w dniu, gdy ten okropny człowiek, ten komisarz sądowy, przyszedł zajmować nasze meble — mówiła pani Orecka siadając znowu przy stole i biorąc drugie udko kuropatwy. — Dostałam okropnego ataku nerwowego, aż ojciec sprowadzał doktora, a ten zły człowiek nie miał żadnego względu na to i nie tylko wpakował się z papierami do pokoju, w którym leżałam, ale nawet opieczętował mój stolik z lekarstwami, ten mozaikowy. Ach, myślałam, że umrę!

— On nie chciał mamie wyrządzić zniewagi — tłumaczyła łagodnie Helenka — pełnił tylko swoją powinność.

— Człowiek z honorem nie powinien podejmować się takich rzeczy; to jest człowiek bez serca! Ja miałam płacz spazmatyczny, a on pisał najspokojniej protokół.

Pociągnęła za taśmę od dzwonka. Służąca zjawiła się.

— Podaj mi sucharki — rzekła pani Orecka i mówiła dalej do córki: — straszne, straszne już chwile przeżyłam.

Służąca otworzyła kredens, wyjęła talerz z sucharkami i postawiła na stole.

— Szkoda, że mateczka mnie nie powiedziała, że to sucharków trzeba — odezwała się Helenka — byłabym mamie podała.

— Ach, po co ty masz wstawać. Od czegóż ona jest?

Helenka spuściła oczy.

— Czy Ofman ani razu nie dopominał się u Teckiego o swoje pieniądze? — spytała.

— Mówiłam mu to, ale odpowiedział mi po grubiańsku, że nie ma czasu szukać Teckiego po świecie; że skoro dłużnik pieniędzy nie oddaje, to on ich musi szukać na poręczycielu, i dodał: „Niech sobie pan Orecki Teckiego ściga, ja nie będę. Nie byłbym mu nigdy pożyczył, gdyby nie podpis pana Oreckiego".

— A ojciec czy nie kołatał na niego?

— Ojciec powiada, że gdyby Tecki miał pieniądze, toby je oddał z pewnością, bo nie jest złym człowiekiem. To doprawdy zwariować można! Więc ja powiadam: „Bój się Boga, Marcinie, co my poczniemy, gdy Ofman nam wszystko zabierze? " A ojciec na to: „Zobaczysz, że nas Pan Bóg nie opuści"... Piękna mi pociecha!

Pan Marcin w milczeniu patrzył na swoją żonę siedzącą w nowym czepeczku i bębnił swojego marsza na talerzu.

— Ojciec ma słuszność, mateczko. Pan Bóg nie opuszcza nikogo, ale pozwala, a nawet każe się bronić przeciwko gwałtom, krzywdom i niesprawiedliwości.

Pan Marcin zwrócił na córkę wzrok, w którym widać było, że jej nie rozumiał. Ale Helenka nie chciała jeszcze teraz wyraźniej się tłumaczyć. Spojrzała na psa, z apetytem uprzątającego talerz z resztek kuropatwy, i rzekła wyciągając do niego rękę:

Pies

— A ty, mój stary przyjacielu, co mi powiesz? Wychudłeś także...

Pies położył łeb na jej kolanach i patrzył jej w oczy przywiązanym, rozumnym wzrokiem, a pan Marcin ożywiając się powiedział:

— Ach, żebyś ty wiedziała, jak on nie cierpi Ofmana! Kiedy powiadam ci, że jak tylko Niemiec się pokaże, tak pies zaraz warczy, a raz nawet rzucił się na niego i połę mu u kaftana rozerwał. Toteż nie może na niego patrzeć i woła z daleka:

„Panie Orecki, niech pan zawoła do siebie ten brzydki pies! "

Dobre, poczciwe psisko! — mówił głaskając go.

Wszyscy troje się roześmieli.

Po śniadaniu Helenka poszła się przebrać do swego pokoju. Wszystko tam było w takim stanie, w jakim zostawiła wyjeżdżając, utrzymane starannie i jakby czekające jej powrotu. Widok tego pokoju z jego zbytkownym urządzeniem nie obudził w niej jednak żalu i goryczy, że jest tego wszystkiego pozbawioną w Warszawie, bo przywykła już do prostych warunków życia — i komfort, choć zawsze jeszcze miły, przestał być jednak potrzebą jej życia. Przykro jej tylko było, że przedmioty te nie należały już do niej. Na wszystkich kosztowniejszych znajdowały się pieczęcie komisarza.

Matka wkrótce przyszła za córką. Nie mając komu przez kilka miesięcy zwierzać się ze swoich trosk, czuła potrzebę ulżenia sobie teraz wypowiedzenia wszystkiego, co jej ciężyło na sercu i jak przy śniadaniu dała jej główne zarysy położenia, tak teraz dorzucała mnóstwo szczegółów do pierwotnie skreślonego obrazu. Teraz dowiedziała się Helenka, że ojciec miał jeszcze pięćset rubli u pana Dońskiego z Madejowa, obywatela, który wzorem innych obiecywał ciągle oddać, a nie oddawał.

— Co ty robisz! — zawołała nagle pani Orecka widząc w rękach córki kawałek prostego mydła — myjesz się tym paskudztwem? Proste mydło dla tak pięknych rąk! Czy widział kto co podobnego!

Helenka uśmiechnęła się.

— Nie jest ono gorsze od każdego innego — odpowiedziała — tylko tyle, że nie pachnie, a znacznie mniej kosztuje.

Matka spojrzała na córkę ze zgorszeniem.

— Ależ moja Helciu, to jest po prostu wstrętne. Nie mów mi o taniości, bo cóż tam ta złotówka znaczyć może. Widzę ze smutkiem, moja droga, że nabrałaś jakichś gminnych upodobań. Co się z tobą stało? Twoja suknia razi staroświecczyzną i tak jest wytarta na rękawach, że aż wstyd. Trzebaż ją było kazać przerobić! Żadna szanująca się kobieta nie nosi już wąskich sukien; w żurnalach bardzo suto upinają się tiuniki. Czy nie kupiłaś sobie nowego kapelusza?

— Nie, mateczko.

— Dlaczego?

— Mamy teraz ważniejsze potrzeby nad trzymanie się ścisłe żurnalów. Mój stary kapelusz i moje wąskie suknie muszą mi służyć do końca.

Matka załamała ręce.

— Mój Boże! Więc ty, moje biedne dziecko, nawet tyle nie zarabiasz, żeby ci to wystarczyło na przyzwoite pokazywanie się ludziom? Z takim rozumem, takim ukształceniem jak twoje!... Ależ on jest zupełnie niemożliwy ten twój kapelusz; powinnaś sobie koniecznie kupić inny. Kobieta nie może się tak opuszczać. Alboż to tak wielki wydatek? Oszczędzeniem kilku rubli nic nie zbudujesz.

— Wielkie sumy z takich właśnie małych wydatków rosną — odrzekła córka i, patrząc w oczy matki, spytała ze słodyczą: — Czy to suknia jest miarą wartości człowieka, mateczko? Czy ja jestem mniej godna kochania teraz niż dawniej, gdy byłam zawsze ubrana podług żurnalu?

Pani Orecka rozrzewniła się.

— Ty, moje dziecko, byłaś zawsze i jesteś godną kochania — mówiła ściskając ją — ale skąd się w tobie to wszystko wzięło. Już ja widzę, że ty za mąż nie pójdziesz! Zrobiłaś się zanadto poważna, a mężczyźni tego nie lubią. Gdzież to jest twój łańcuszek od zegarka?

— Dałam go do sporządzenia, rozerwał mi się.

— A bransoletka *porte-bonheur*[77], coś ją dostała od ojca na imieniny, ta z brylantową gwiazdką? Miałaś ją zawsze nosić.

— Także w sporządzeniu; wyleciał z niej jeden kamyczek.

— Dziwna rzecz, że ci się tak wszystko naraz popsuło! Ty coś kryjesz przede mną, Helciu.

— Chciałam, droga mateczko — odrzekła po chwilowym wahaniu — ale myślę, że lepiej zrobię, jeżeli mateczce powiem prawdę. Sprzedałam wszystkie niepotrzebne błyskotki.

Matka patrzyła przez chwilę na córkę osłupiałym wzrokiem, usta jej zaczęły drżeć i wybuchła głośnym płaczem.

XXVI

Pan Marcin był zawsze człowiekiem pobożnym, a od czasu jak spadł na niego grad nieszczęść, stał się jeszcze pobożniejszy. Ufny, że Pan Bóg go nie opuści w nieszczęściu, modlił się co kilka godzin z wielką żarliwością, puszczając mimo uszu wszelkie uwagi żony co do możliwych jeszcze środków ratunku. Pozbawiony swego handlowego zajęcia, nie miał co robić z czasem i jeżeli się nie modlił, to spał, a jeżeli nie spał, to wyglądał przez okno i bębnił marsza. I dziś po śniadaniu, odmówiwszy koronkę do Przemienienia Pańskiego, zabierał się do drzemki w fotelu, zasunąwszy głęboko ręce w rękawy szlafroka, gdy Helenka zbliżyła się do niego i rzekła:

— Pomówmy o interesach, ojczulku.

[77] *porte-bonheur* (fr.: przynoszący szczęście) — amulet; wisiorek, bransoletka lub kwiatek noszony „na szczęście". [przypis edytorski]

Pan Marcin spojrzał na córkę zdziwiony. Mówić o interesach z kobietą, i to jeszcze z własną córką, która nigdy nie rozumiała interesów, wydało mu się rzeczą arcyzabawną. Pogłaskał ją po głowie i powiedział uśmiechając się dobrotliwie:

— Oj, ty, ty figlarzu, zawsze ci się żarty trzymają. Okryj mi nogi tym szałem, co leży na kanapie, bo się chcę trochę zdrzemnąć.

Helenka wstała, przyniosła żądany szal i, siadając znowu przy nim, rzekła:

— A teraz, ojczulku, pomówmy o interesach.

Pan Marcin spojrzał powtórnie na córkę, a zdziwienie jego było jeszcze większe.

— Czego ty chcesz, Helciu — odezwał się nareszcie, sądząc, że jej nie zrozumiał.

— Chcę z ojczulkiem porozmawiać o naszym położeniu.

— A na co się to przyda? — powiedział krzywiąc się trochę, że mu zakłócają spoczynek.

— Może dałyby się jeszcze wynaleźć jakie środki ratunku... Czy nie można zmusić Teckiego do oddania?

Pan Marcin zamyślił się.

— Jakże go zmusić, kiedy on nie ma nic i nie będzie miał, dopóki żyje jego ojciec.

Nagła błyskawica rozświeciła umysł Helenki. Przypomniała sobie wczorajsze spotkanie konnego posłańca ze swoim furmanem.

— On już nie żyje! — zawołała i opowiedziała ojcu wszystko, co jej się u Teckiego i w drodze zdarzyło.

Pan Marcin słuchał z pewnym niedowierzaniem.

— Gdyby stary Tecki umarł naprawdę, to syn jego już by zawiadomił telegrafem mnie lub Ofmana. Wiedzielibyśmy coś o tym. Musiałaś się przesłyszeć albo też była mowa o kim innym.

— Ojciec jego był podobno zamożny? — pytała dalej Helenka.

Pan Marcin kiwnął głową.

— Posiadał piękną kamienicę w H., ale stary miał także córki, więc jest kilka głów do spadku. Zanim by Tecki coś dostał, kamienica musiałaby zostać sprzedaną w drodze działów.

Helenka milczała czas jakiś.

— Czy ojczulek ma jakiego znajomego prawnika w H.?

— A jakże, mam, Ksawerego L.; to mój szkolny kolega.

— Niech ojczulek napisze do niego list z prośbą, żeby mi nie odmówił rad i wskazówek, o jakie go poproszę.

Pan Marcin otworzył oczy szeroko.

— A tobie to na co potrzebne?

— Pojadę do H. i będę się starała sprawdzić wiadomości o śmierci starego Teckiego, a dalej zobaczę... Jeżeli działy zaraz będą i Tecki otrzyma jakie pieniądze, musi zapłacić Ofmana.

Pan Marcin patrzył przez chwilę na córkę, a w umyśle jego odbywała się niemała praca; nareszcie rysy twarzy drgnęły mu lekko i rzekł:

— Dobrze, napiszę ci ten list jutro.

— Nie, ojczulku, trzeba go napisać jeszcze dzisiaj.

— A to na co? Jeżeli stary umarł przedwczoraj, to dziś jest pogrzeb. Działy nie mogą być wcześniej jak jutro. Będzie więc dosyć czasu na napisanie listu.

— Jutro już trzeba działać, ojczulku; dziś wszystko musi być przygotowane.

— Dobrze — powtórzył pan Marcin przymykając oczy — tylko się trochę zdrzemnę.

— Ojcze! ojcze! — prosiła Helenka kładąc mu rękę na ramieniu — nie można tej sprawy odwłóczyć. Trzeba ten list napisać zaraz. Za godzinę wyjeżdżam.

— Co, chcesz dziś jeszcze jechać — wyszeptał pan Marcin podnosząc na nią senne oczy — ale ja na to nie pozwolę! Przyjechałaś i chcesz znowu odjeżdżać? Olaboga, laboga! Słyszysz, matka, Helcia chce już odjechać! Jakże pojedziesz, kiedy most jest zerwany?

— Tak jak tu przyjechałam. Znajdę łódź, co mnie przewiezie.

Helenka przedstawiła matce swój plan i pani Orecka, choć zasmucona, że będzie musiała rozłączyć się z córką po tak długim niewidzeniu, nie sprzeciwiała się. I tak po kilku godzinach pobytu w domu rodziców Helenka odjechała, wziąwszy od ojca na wyjezdnym

obietnicę, że nazajutrz rano pojedzie do pana Dońskiego dopominać się o zwrot pięciuset rubli.

Wieczór już był, gdy powóz pocztowy przybył do miasta gubernialnego H. Przed stacją stało kilka dorożek. Helenka skinęła na jedną z nich i kazała się wieźć pod numer domu wskazany przez ojca; ale w bramie stróż powiedział jej, że pan adwokat L. wyprowadził się stąd od roku na ulicę Warszawską. Pojechała tam, ale dowiedziała się znowu, że adwokat L. mieszkał tam istotnie i bardzo był z mieszkania zadowolony, ale przed trzema miesiącami wyniósł się do innego miasta, gdzie został rejentem. Do przyjęcia tej wiadomości Helenka nie była przygotowana, spadła na nią jak grom. Tak liczyła na radę i pomoc tego adwokata i na gościnność w jego domu, bo ojciec prosił go o to w liście... Teraz zostawała w nieznanym mieście sama jedna, bez doradcy, bez przyjaciela, bez mieszkania i z nader szczupłymi funduszami. Wahała się przez chwilę, co począć z sobą, nareszcie wsiadła znowu do dorożki i kazała jechać do hotelu, gdzie zażądała najtańszego numeru i otrzymała małą ciupkę na trzecim piętrze. Szwajcar[78] hotelowy i służba spoglądali podejrzliwym wzrokiem na podróżną, nie mającą żadnych pakunków, i zażądali z góry zapłaty za dwa dni, co też Helenka uczyniła. Znalazłszy się samą, poczuła taką potrzebę spoczynku, że zmówiwszy krótką, ale gorącą modlitwę, położyła się spać nie usiłując już myśleć o niczym.

Wyczerpana dwudniowymi wysileniami fizycznymi i wzruszeniami, zasnęła snem kamiennym i, choć łóżko hotelowe nie należało bynajmniej do wygodnych, obudziła się bardzo późno nazajutrz, bo była już godzina jedenasta. Przerażona i zmartwiona tym opóźnieniem kazała sobie podać herbaty i wypiwszy ją z pośpiechem, wyszła na miasto.

Nie wiedziała ona jeszcze, co pocznie ani jak sobie poradzi, ale miała niejasne przeczucie, że trzeba szukać wskazówek tam, gdzie się rozstrzygają wszystkie sprawy i spory, gdzie się wnoszą skargi i skąd padają wyroki — u źródła sprawiedliwości. Spytała o gmach sądowy i pokazano go jej: był to budynek duży, z oknami zakratowanymi u dołu, z wyobrażeniem w płaskorzeźbie na frontonie Temidy, trzymającej wagi.

Na chodniku przed gmachem było tłumno; stały tam osoby różnego wieku i płci z różnych sfer społecznych. Granatowe kapoty, krótkie surduty i chałaty ocierały się nawzajem o siebie; chałatów było najwięcej. Ludzie stali, chodzili i rozmawiali gromadkami lub po dwóch — a gdzie tylko odbywała się narada z kilku osób złożona, tam niezawodnie był i chałat i wiódł rej wymową i żywą gestykulacją. Ludzie rozprawiali głośno, grozili komuś i szeptali po cichu, oglądając się, czy kto nie słyszy, rozchodzili się i wracali znowu. Helenka przecisnęła się przez tłum i weszła do sieni, ale tam znalazła to samo, co przed gmachem: ścisk. Żelazne schody prowadziły na piętro. Różni ludzie szli na te schody z papierami w rękach i tekami pod pachą: jedni postępowali z wolna, jakby zmęczeni, inni szli żwawo, inni jeszcze przeskakiwali po kilka stopni na raz.

Helenka szła tam, gdzie wszyscy, a stanąwszy na piętrze, zdziwiła się, że znalazła to samo, co na dole: ludzi chodzących, siedzących, rozmawiających, a każdy wyglądał, jak gdyby na coś lub kogoś czekał. Schody przecinał długi, wąski korytarz, mający po obu stronach szeregi drzwi na podobieństwo cel zakonnych w klasztorach. Nad każdymi drzwiami była szyba ze szkła mlecznego, a na niej złoconymi literami wypisane nazwisko. Były to nazwiska notariuszów. Drzwi te raz po raz otwierały się i zamykały, wchodzili tam i wychodzili różni ludzie. Wiele osób spacerowało wzdłuż korytarza, rozmawiając.

Helenka zaczęła czytać z kolei nazwiska notariuszów. Przeszła wzdłuż cały korytarz i przeczytała wszystkie nazwiska, a skończywszy ten przegląd, zadała sobie pytanie, co ma czynić, w którą zwrócić się stronę, i błagała Boga, żeby ją natchnął jaką myślą szczęśliwą. W połowie mniej więcej korytarza było zagłębienie w rodzaju niszy, a w nim ławeczka; tam usiadła. Drzwi kancelarii znajdującej się obok były nie domknięte i słyszała od czasu do czasu głos donośny:

— Panie Józefie, czy pan już skończyłeś swój referat?

— Jeszcze nie, panie notariuszu.

— A pan, panie Antoni, przepisałeś swój akt?

— Zaraz będzie skończony, panie notariuszu.

— No to proszę, żeby oba były gotowe, gdy powrócę.

[78]*szwajcar* — odźwierny, służący stojący w drzwiach hotelu. [przypis edytorski]

— Dobrze, proszę pana — odpowiedziały obydwa głosy.

Po chwili drzwi skrzypnęły i mężczyzna w paltocie wiosennym i cylindrze wyszedł z kancelarii, minął korytarz i skierował się ku schodom. Helenka odprowadziła go oczyma, a gdy zniknął, wstała, spojrzała na napis nade drzwiami i weszła do kancelarii.

— Czy zastałam pana notariusza I.? — spytała.

— Tylko co wyszedł — odpowiedział jeden z dependentów, wstając z krzesła — i pewnie nie wróci prędzej niż za godzinę.

— A więc... muszę przyjść kiedy indziej. Czy czasem nie wiadomo panom, który z notariuszów prowadzi interesy pana Teckiego z Komnat?

— Tecki... — powtórzył dependent, jakby czegoś szukając w pamięci — coś słyszałem, ale nie mogę sobie przypomnieć. Panie Antoni, może pan wiesz, kto interesy Teckiego prowadzi?

— Notariusz S. — odrzekł zapytany, nie podnosząc głowy od papierów.

— Trzecie drzwi na prawo — objaśnił uprzejmie pierwszy — trafi pani z łatwością.

— Dziękuję panom — odrzekła Helenka i wyszła.

Powzięła zamiar rozmówienia się z notariuszem S. Już kładła rękę na klamce drzwi, prowadzących do jego kancelarii, ale cofnęła się po namyśle.

„Nie — rzekła do siebie — nie powinnam z nim samym mówić, bo, chcąc od niego zasięgnąć wiadomości o Teckim, musiałabym powiedzieć, dlaczego mnie interesuje; a on nie powinien nie tylko wiedzieć, ale nawet domyślać się, kto jestem, bo mógłby go ostrzec o moim przybyciu. Pismo święte mówi: Bądźcie niewinni jako gołębie, ale roztropni jako węże".

Niebezpieczeństwo uczyniło ją ostrożną i przewidującą.

W tej chwili otworzyły się drzwi kancelarii i wyszedł z nich woźny z pliką papierów pod pachą.

— Czy notariusz S. jest jeszcze? — spytała zachodząc mu drogę.

— Jest, ale zaraz wychodzi na śniadanie. Jeżeli pani ma do niego interes, to niech się pani spieszy, bo nie wróci aż za godzinę.

Helence nie było więcej potrzeba na teraz. Wróciła do swego siedzenia w zagłębieniu muru i czekała, aż notariusz S. opuści kancelarię. Odprowadziła go, jak tamtego, wzrokiem do schodów i gdy jej zniknął z oczu, weszła do kancelarii, gdzie powtórzyła się przytoczona już wyżej rozmowa.

— Czy zastałam pana S.?

— Tylko co wyszedł.

— Bardzo żałuję.

— Może pani sobie życzy zaczekać — odezwał się uprzejmie młodszy dependent — ale on nieprędko wróci, dopiero za godzinę. W porze południowej tak zawsze bywa.

— Nic nie szkodzi, zaczekam. Nie śpieszy mi się.

Dependent w milczeniu podał jej krzesło i gazetę. Skinieniem głowy podziękowała za jedno i drugie, ale nie czytała gazety, chociaż trzymała ją w ręku. Bystrym spojrzeniem obrzuciła cały pokój, papiery na biurku i kilkanaście dużych grubych ksiąg ustawionych na jednej z półek, przybitych do ściany, grzbietami do pokoju. Na grzbietach tych były tytuły różnych własności, znanych jej z nazwiska. Obdarzona doskonałym wzrokiem, wyczytała na jednej, stojącej już w samym kącie: *Dominium Komnaty*. To był dowód, że jej dano dobrą wskazówkę. Serce dziewczęcia zabiło na ten widok.

„Teraz spokoju i zimnej krwi" — rzekła do siebie i spoza gazety badała twarze obu dependentów, jakby zgadnąć chciała, czego po którym spodziewać się może.

Jeden, szpakowaty już, siedział zatopiony w swej pracy, na nic nie zważając. Wybór jej padł na młodszego.

— Łaskawy panie — odezwała się prawie obojętnie — wiem, że pan notariusz S. prowadzi interesy pana Teckiego z Komnat, który mnie... obchodzi. Nie wiadomo panu czasem, czy człowiek ten zdoła się jeszcze wydobyć z przykrego położenia, w jakie popadł? Podobno Komnaty mają zostać wkrótce sprzedane z powodu zaległych rat Towarzystwa Kredytowego?

— Było z nim rzeczywiście krucho — odrzekł zapytany, kładąc pióro za ucho — ale w tych dniach umarł jego ojciec i wskutek tego spada na niego kilkanaście tysięcy rubli. Zapewne pospieszy z zapłaceniem Towarzystwa. Pogrzeb był właśnie wczoraj.

— Działy nieprędko pewnie będą? — pytała dalej.

— Dziś właśnie były. To bardzo krótka manipulacja; tytuł własności domu przepisany został w hipotece na siostrę Teckiego, której dwie inne siostry niezamężne zostawiły na czas dłuższy swoje sumy. Jeden tylko pan Tecki zażądał gotówki, a że obecna właścicielka domu nie mogła wszystkiego od razu wypłacić, więc połowa sumy musiała zostać na hipotece domu, zapisana na jego imię.

— Kiedyż on odbierze tę pierwszą połowę?

— Już ją dziś odebrał, tu, w tym miejscu... Pan notariusz akt pisał.

Słowa te tak silne na Helence robiły wrażenie, że musiała się ręką uchwycić stołu, żeby nie upaść. Cel, który zdawał się być od niej tak daleki, a z powodu wyjazdu znajomego adwokata oddalił się jeszcze bardziej, stawał się bliski. Ogarnęła ją radość szalona.

— O której godzinie? — spytała stłumionym głosem.

— O dziesiątej.

„Spóźniłam się o dwie godziny — rzekła do siebie — gdybym nie była zaspała, byłabym świadkiem tego aktu. Tecki nie mógłby się zaprzeć, że ma pieniądze, i musiałby zapłacić Ofmana. Ale nie ma jeszcze nic straconego. Pójdę go szukać. Tak, ale muszę mieć jakiś dokument, bo jeżeli mi zaprzeczy, to czym mu prawdę dowiodę!... — Chciałam się widzieć z panem notariuszem — rzekła po chwili do dependenta — ale widzę, że za długo by mi przyszło na to czekać. Czy pan nie mógłby mi zrobić kopii tego aktu, i to zaraz, na poczekaniu?

Dependent rzucił przelotne wejrzenie na jej skromne ubranie.

— Wybaczy pani — szepnął pochylając się nad papierem — ale pilne zajęcie... może by kolega.

Ale Helenka wiedziała już, że kolega nic nie zrobi. Wstała i zbliżyła się do stołu, przy którym siedział mówiący.

— Widzę to dobrze, że czas pański jest bardzo drogi — rzekła zniżonym głosem — toteż niech mi pan za złe nie weźmie, że chciałabym tę stratę, o ile to jest w mojej możności, wynagrodzić.

I położyła przed nim trzyrublowy papierek nie bez obawy, czy go tym nie obraziła, ale dependent ani myślał się obrazić. Wsunął pieniądze między papiery, mówiąc:

— Niech pani będzie łaskawa usiąść: wyciąg będzie gotowy za pół godziny. Powinien go robić sekretarz hipoteczny, ale daleko prędzej będzie, jeżeli ja napiszę, a on podpisze tylko. Pani sobie życzy, żeby to było zrobione formalnie?

— Jak najformalniej.

— Stempel będzie kosztował piętnaście kopiejek.

Helenka wydobyła z portmonetki żądaną kwotę, a dependent zdjął z półki dużą księgę, opatrzoną numerem hipotecznym na grzbiecie, i zaczął pisać. Wzięła znowu gazetę, ale litery skakały jej przed oczyma. Chociaż powtarzała sobie ciągle, że powinna zapanować nad swoim wzruszeniem, bo spokój jest niezbędny do roztropnego działania — wzruszenie brało górę nad spokojem.

Po pierwszym uniesieniu radości nastąpiło niespokojne pytanie, czy Tecki nie wyjechał jeszcze z H. i czy ona nie będzie musiała znowu jechać do niego na wieś. Może jest jeszcze, skoro ma tutaj rodzinę, ale kto wie, czy w tej właśnie chwili nie wyjeżdża... I chociaż pióro dependenta szybko biegało po papierze, czas oczekiwania wydawał się Helence wiekiem. Opanowała ją gorączka niecierpliwości.

Dependent skończył pisać i wstał.

— Idę z tym teraz do hipoteki — powiedział — sekretarzowi trzeba będzie za to zapłacić trzydzieści kopiejek.

Helenka wydobyła znowu portmonetkę, której objętość zmniejszała się coraz bardziej. Dependent wyszedł, a w kilka minut powrócił z papierem już podpisanym i podał go pannie Oreckiej. Podziękowała mu i, przebiegając papier oczyma, spytała od niechcenia:

— Nie wiadomo panu, czy pan Tecki wyjechał już z H.?

— Miał dziś odjechać, ale być może, że jest jeszcze w mieście. Najlepiej mogłaby się pani dowiedzieć u jego siostry, pani Łuckiej.

— Gdzie ona mieszka?

— W swoim domu. Numer ma pani na wyciągu hipotecznym wypisany; ulica Zielona.

— Dziękuję panu bardzo.

Wychodząc z gmachu sądowego nie patrzyła już na liczne grupy osób stojących w sieni i na chodniku: nie wiedziała, że jej młodość, piękność i malujące się na twarzy wzruszenie zwracały powszechną uwagę. Nie szła, ale biegła na wskazaną ulicę, ściskając mocno w ręku upragniony dokument. Chciała wziąć dorożkę, ale nie spotkała żadnej próżnej: wszystkie były zajęte. Gdy stanęła nareszcie przed domem noszącym znany jej już numer hipoteczny, nie czuła prawie tchu w piersiach. W bramie siedział na ławie stróż i sporządzał miotłę, pęk rózeg leżał koło niego.

— Czy w tym domu mieszka pani Łucka? — spytała.

— Tutaj — była odpowiedź — na pierwszym piętrze, w oficynie.

— Pan Tecki, brat jej, jest w domu?

— Wyjechał.

— Wyjechał?... — powtórzyła, a głos jej uwiązł w gardle.

— Powróci jutro na obiad — mówił dalej stróż, biorąc w zęby koniec sznurka, który rozplątywał — bo pan nie do Komnat pojechał, ino na polowanie do pana barona.

Dziewczę odetchnęło. Wyszła z bramy wolnym krokiem i zwróciła się w stronę hotelu. Nie było jeszcze nic straconego, skoro on miał powrócić jutro. Uczuła głód i przypomniała sobie, że to czas obiadu i że prócz szklanki herbaty nic jeszcze dzisiaj nie miała w ustach. Ale woreczek jej, mocno już nadszarpnięty datkiem dla dependenta, nie pozwalał na jedzenie formalnego obiadu w hotelu, bo choć miała jeszcze trochę pieniędzy, roztropność nie kazała ich wydawać do ostatka, nie wiedząc, co się zdarzyć może. Było ich zresztą tak mało, że jeżeli nie zobaczy Teckiego i będzie musiała jechać do Komnat, sprzeda chyba zegarek. Wstąpiła do mleczarni[79] napotkanej po drodze, wypiła dwie szklanki mleka, zjadła przy tym kawałek chleba i zapłaciła za to tylko piętnaście groszy. Skromny to był posiłek, ale zadowolił ją w zupełności. Od czasu wyjazdu z Warszawy pierwszy raz dopiero jadła z apetytem, a nie pamiętała, żeby jej co kiedy tak smakowało.

Była dopiero godzina pierwsza po południu; miała czasu przed sobą dosyć, więc wolnym krokiem wracała do hotelu. Przechodząc koło antykwarni[80] przystanęła na chwilę i zaczęła czytać tytuły książek rozłożonych w okiennej wystawie. Pomiędzy tymi książkami była jedna trochę grubsza od innych, mająca na grzbiecie napis następujący: „Ustawy sądowe, obowiązujące w guberniach Królestwa Polskiego". Oczy jej zatrzymały się na tej książce czas dłuższy, a w myśli stanęły jej słowa Teckiego: „Kobiety nie powinny się mieszać do interesów, których nie rozumieją". Wyjęła z kieszeni portmonetkę, przeliczyła pieniądze i kupiła tę książkę. Kosztowała ją nadspodziewanie tanio z powodu zniszczonej okładki i braku kilku kartek końcowych. Dziwnym zbiegiem okoliczności wyczytała na kartce tytułowej nazwisko kolegi swego ojca, którego daremnie szukała: widocznie książka była kiedyś jego własnością. Wydało się to Helence prawdziwym zrządzeniem Opatrzności i w dobrym, prawie wesołym usposobieniu wróciła do hotelu.

Całą resztę dnia i połowę nocy spędziła na czytaniu, a choć sucha treść książki zmęczyła ją wkrótce i znudziła, mimo to nie rzuciła jej. Wola panowała już w niej nad chęciami. Czytała i odczytywała po kilka razy ustępy dotyczące położenia ojca, chociaż pot spływał kroplami z jej czoła, a oczy zamykały się do snu, chociaż z początku nic zrozumieć nie mogła. Powoli na te niezrozumiałe rzeczy padać zaczęły słabe światełka i dowiedziała się wszystkiego, co chciała, a niektóre artykuły umiała prawie na pamięć. Teraz już nikt nie mógł powiedzieć, że miesza się do tego, czego nie rozumie.

XXVII

Tecki miał przyjechać około południa dopiero, ale Helenka już o dziesiątej rano była na stanowisku. Ten sam stróż, co wczoraj miotłę sporządzał, zamiatał chodnik na ulicy. Powtórzyła się wczorajsza rozmowa.

— Czy pan przyjechał?

— Przyjechał, ale go nie ma w domu. Wyszedł na miasto.

Helenkę coś w gardle ścisnęło. Przez głowę przebiegła jej myśl, że Tecki dowiedział się, iż ona go śledzi, i umyślnie wyjechał, żeby uciec przed nią, ale zobaczyła na dzie-

[79] *mleczarnia* — tu: bar mleczny. [przypis edytorski]
[80] *antykwarnia* — dziś: antykwariat. [przypis edytorski]

dzińcu powóz, w którym kilka dni temu odbyła podróż ze stacji kolei do Komnat — i uspokoiła się. Przez chwilę zastanawiała się, co ma z sobą zrobić: oddalać się od tego domu nie mogła, a czekać w mieszkaniu siostry Teckiego nie chciała także, bo mógłby ją zobaczyć z drugiego pokoju i umknąć. Stać lub przechadzać się po ulicy niepodobna było, bo to zwróciłoby uwagę ludzi. Gdy tak oglądała się za miejscem, z którego dom ten mogłaby obserwować spokojnie, wzrok jej padł na mały, niepozorny sklepik z wiktuałami naprzeciwko bramy. Nie namyślając się weszła do sklepiku. Znajdowały się tam różnego rodzaju przedmioty, stanowiące potrzeby uboższej ludności, a więc różne gatunki mąki i kaszy w woreczkach, śledzie marynowane w słojach szklanych, cytryny, sól, mydło, bułki, chleb różnego kształtu i wielkości; były i wiązki drzewa, jedne na drugich ułożone. Za stołem siedziała niemłoda kobieta w czyściutkim perkalowym czepcu na głowie, z twarzą pulchną, rumianą i poczciwie patrzącymi oczyma. Robiła pończochę, a duży kłębek bawełny leżał przed nią na stole.

Helenka kupiła dwie bułki, kilka obwarzanków, a gdy sklepikarka to wszystko zawinęła w czystą szarą bibułę i obwiązała sznurkiem, powiedziała jej otwarcie, że ma interes do kogoś, co mieszka w tym domu naprzeciwko, a teraz wyszedł do miasta, i prosiła, żeby jej pozwoliła u siebie zaczekać. Sklepikarka usłyszawszy te słowa obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem proszącą, ale szlachetna jej postawa i wyraz troski malujący się na twarzy dziewczęcia chwyciły ją za serce. Wyniosła z drugiej izby stołek i postawiła tuż przy drzwiach szklanych, wychodzących na ulicę.

— Niech sobie panienka odpocznie, bardzo proszę — mówiła ścierając kurz fartuchem, w duchu zaś dodała: „Smutne jakieś biedactwo, pewnie ją kawaler opuścił i na niego tak oczekuje".

Wzięła się na nowo do swej pończochy, rzucając od czasu do czasu ciekawe na dziewczę spojrzenia. Z początku milczała przez delikatność, ale po chwili uczuła tak silne świerzbienie na końcu języka, że nie mogła dłużej wytrzymać.

— A na kogo to panienka czeka? — odważyła się nareszcie zapytać, kładąc drut między zęby.

— Na złego dłużnika — odpowiedziała Helenka z prostotą.

„Oho! — rzekła do siebie poczciwa kobieta — zobaczymy, jak ten dłużnik wygląda; pewnie ma dwadzieścia lat i ładne wąsiki".

W tej chwili przez ulicę kroczył poważnie szpakowaty mężczyzna średniego wzrostu, z rękami zanurzonymi w kieszenie paltota. Helence serce mocno bić zaczęło na jego widok. On zniknął w bramie, a ona wybiegła ze sklepiku, zapomniawszy nawet skinąć głową sklepikarce, która jej tak chętnie dała u siebie schronienie — i pośpieszyła za nim do bramy, postępując w odległości kilku kroków.

Tecki minął dziedziniec i zaczął wstępować na piętro po schodach, które były wąskie i ciemne. Helenka szła za nim na palcach, prosząc Boga, żeby jej nie spostrzegł prędzej aż przestąpi próg swego mieszkania — i tak się też stało. U drzwi przystanął i ona stanęła. Wyjął klucz od zatrzasku z kieszeni, zakręcił, otworzył i wszedł, a ona za nim. Dopiero teraz spostrzegł, że nie jest sam.

W przedpokoju panował zmrok, ale drzwi z niego otwarte były do salonu.

— Kto tu? — zawołał ostro i prawie z gniewem.

Helenka postąpiła ku drzwiom salonu i ukazała mu się w pełnym oświetleniu. Tecki cofnął się o krok, a zdumienie, malujące się na twarzy jego, było tak silne, że graniczyło prawie z przerażeniem.

— Witam pana, panie Tecki — rzekła ze swobodą, której się sama dziwiła, bo aż do tej chwili serce jej biło z obawy i niepewności — zdajesz się pan być zdziwionym moim widokiem, chociaż zapowiedziałam panu w Komnatach, że zobaczymy się wkrótce.

Słowa te oprzytomniły szlachcica.

— Jak się pani tu dostała? — mruknął.

— Weszłam razem z panem.

— Jeżeli pani przybywa w tym samym, co wówczas interesie, to się pani daremnie fatygowała — rzekł podrażniony tą napaścią. — Mówiłem już, że nie mam pieniędzy.

— Wówczas może pan mówił prawdę — odpowiedziała — ale odtąd rzeczy się zmieniły. Z dobrego źródła wiem, że pan w dniu wczorajszym otrzymał znaczną sumę pieniędzy.

Tecki aż podskoczył.

— To fałsz! Kto pani to powiedział? Skąd pani to możesz wiedzieć?

— Pozwoli pan, że usiądę — rzekła spokojnie Helenka, gdy Tecki machinalnie podsunął jej krzesło, mówiła dalej: — Pojmuje pan, że spotkanie z panem nie jest dla mnie bynajmniej przyjemne: nie narażałabym się przeto na tak wielką przykrość, gdybym nie miała czym poprzeć słów moich.

Wyjęła z kieszeni papier złożony we czworo i zaczęła czytać:

> W dniu N. N. między panem Teckim, właścicielem dóbr Komnaty, a siostrą jego panią Łucką, zamieszkałą w mieście H., pod numerem XX, w obecności notariusza S. zawiązana została umowa następująca:

— A pani skąd masz ten papier? — zawołał Tecki blednąc z gniewu.

— Z sądu. Napisany jest zupełnie formalnie, patrz pan, na stemplu i z podpisem sekretarza hipotecznego. Dowiedziałam się, że ojciec pański umarł i pan masz po nim dziedziczyć, i przyjechałam tu umyślnie, żeby sprawdzić tę wiadomość. Wczoraj byłam w sądzie i oglądałam księgi hipoteczne, a zrobiwszy z nich wyciąg, szukałam pana tutaj z tym papierem, ale nie zastałam. Powiedziano mi, żeś pan wyjechał na polowanie. Wróciłam tu dzisiaj i nie zastałam pana znowu, ale czekałam cierpliwie na pański powrót z miasta, postanowiwszy sobie jechać do Komnat, gdyby mi się z panem widzieć tutaj nie udało.

— Szatan nie kobieta! — mruknął przez zęby. Fakt, że był śledzony i ścigany, rozgniewał go do najwyższego stopnia.

— Moja pani! — zawołał — dowiedz się, że Tecki nie pozwoli siebie wodzić za nos kobiecie. Źleś pani zrobiła szpiegując moje kroki i polując na mnie jak na lisa w norze! Byłbym zapłacił sam ten dług, żeby was oswobodzić, ale kiedy tak, to nie zapłacę. Będziecie za to dłużej czekali, mam inne, pilniejsze długi!

— Bardzo pan jesteś niedobrym człowiekiem, kiedy się chcesz mścić na ludziach za to, że się bronią od nieszczęścia, w jakie ich wtrącasz swoją niesumiennością. I robak podnosi głowę, kiedy go depczą, a pan chcesz, żeby człowiek dał się dobrowolnie wepchnąć w nędzę! O, panie Tecki — mówiła dalej, przechodząc nagle w ton prośby — pan tego nie możesz żądać... pan nie możesz chcieć, żeby przez pana cierpiał człowiek niewinny, człowiek dobry, którego jedyną winą było to, że nie umiał się oprzeć pańskim prośbom i ratował pana z kłopotów! Nie może być, abyś pan go chciał za to rozmyślnie zgubić... Nie, nie wierzę temu bo choćbyś pan był nawet bardzo złym człowiekiem, człowiekiem jesteś tylko, nie kamieniem, i masz ludzkie serce, które nie mogłoby znieść spokojnie takiej niesprawiedliwości... O! gdybyś pan widział mego ojca, jak się zmienił, schudł i postarzał, jakie głębokie ślady wyryła na nim ciągła troska o byt... gdybyś pan widział, jak ten biedny starzec musi sobie odmawiać najniezbędniejszych potrzeb, wzruszyłbyś się i oszczędził mu tej boleści, jaka go ma spotkać, i upokorzenia! Pan nie wiesz, ile moi rodzice wycierpieli przez pana... Ale przebaczą panu wszystko, wszystko, jeżeli ich pan wyratujesz... przebaczą i zapomną!

Tecki odwrócił się: wzruszony był, a nie chciał tego pokazać. Helenka przeczuła to raczej, niż zobaczyła; nadzieja ożyła na nowo w jej sercu. Pochwyciła go za rękę.

— Błagam pana, ulituj się, jeżeli nie nad moim ojcem, to nade mną. Ja nie mogę patrzeć na jego boleść... i pan pewnie masz dzieci, które pana kochają! Pomyśl pan, co by się działo w ich sercach, gdybyś pan tak cierpiał... Pan tylko chciałeś mnie zastraszyć, prawda, panie? O, powiedz pan, żeś mnie chciał zastraszyć...

Głos jej drżał powstrzymywanymi łzami. Patrzyła mu w oczy z wyrazem tak błagalnym, że nie mógł znieść jej wzroku. Spuścił głowę.

— Chcesz pani wiedzieć prawdę — odezwał się po chwili — nie mam już tych pieniędzy, które odebrałem wczoraj. Spóźniła się pani o cały dzień. Zapłaciłem Towarzystwo i jednego dłużnika, który na mnie w sądzie czekał i nie chciał odstąpić. Mogę panią o tym przekonać.

Wyjął z pugilaresu dwa kwity i pokazał jej. Gdy rzuciła na nie okiem, wszystka krew z twarzy jej uciekła. Zachwiała się, a spojrzenie, jakie na Teckiego rzuciła, miało wyraz tak rozdzierającej boleści, że poruszyło go do głębi. Oczy jej podobne były do oczu sarny, która otrzymała postrzał śmiertelny.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Bardzo mi przykro — zaczął Tecki — że okoliczności...

Przerwał mu łoskot otwierających się drzwi i wbiegł czternastoletni może chłopiec.

— Wuju! — zawołał, nie widząc siedzącej w salonie osoby — przyniesiono zamówiony przez wuja kosz szampana i dwie kopy ostryg. Wino kazałem tymczasem wstawić do lodu, ale mama się pyta, jak prędko przyjdą ci panowie.

— Idź do diabła! — krzyknął Tecki głosem piorunującym, a chłopiec przelękły, który teraz dopiero zobaczył gościa, ukłonił się niezgrabnie i wycofał szybko.

Helenka podniosła się.

A więc pan masz jednak pieniądze na szampana dla swoich przyjaciół, a nie masz ich na zapłacenie długu — przemówiła z ironią, a głos jej słaby z początku, rósł w siłę i dźwięczność coraz bardziej. — Zajadasz pan ostrygi, wiedząc, że mój ojciec z pańskiej winy nie ma pod dostatkiem chleba... i śpisz pan przy tym spokojnie, i masz odwagę patrzeć ludziom w oczy? O, panie Tecki, jakże pan jesteś nikczemny!

Tecki porwał się jak oparzony.

— Przestań pani, na miłość Boską, bo jestem człowiekiem gwałtownym i mógłbym popełnić coś takiego, czego bym potem żałował całe życie! Jestem winien, wiem o tym... jestem nawet bardzo winien, ale nie mam teraz pieniędzy. Zapłacę jednak, przysięgam, że zapłacę, jak tylko będę mógł...

— Zapłacisz pan, gdy już będzie za późno, a tymczasem zlicytują mego ojca... Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje.

Tecki chciał podać jej rękę, ale usunęła swoją i szła ku drzwiom.

— Zaczekaj pani! — zawołał — nie mam wprawdzie teraz pieniędzy, ale za kilka miesięcy siostra moja wypłaci mi pewną sumę, a wtenczas...

— Wiem o tym, ale to już nie uratuje mego ojca. Nie mogę czekać kilku miesięcy, bo po tygodniu już będzie za późno. Żegnam pana. Na próżno po dwakroć kołatałam do pańskiego serca. Nie ma go w pańskiej piersi, nie ma!...

Tecki po odejściu Helenki chodził długi czas zamyślony po pokoju i gryzł wąsy. Dziewczyna ta rzuciła mu w twarz ciężką obelgę, a przecież zmuszony ją był podziwiać. Ile ona starań przedsięwzięła, ile trudów poniosła, żeby uratować ojca, i wszystko na próżno!... A jak gorąco przemawiała, jak go błagała! Nie mógł zapomnieć wyrazu boleści, z jaką na niego spojrzała, gdy jej kwity pokazał. Oczy jej były prawie błędne. Jej młodość, szlachetność i energia wzruszyły go. I on miał także córki...

Zasiadłszy z gośćmi do stołu, nie tknął ani ostryg, ani upolowanych przez siebie jarząbków i słonek, które tak lubił, tylko szampana pił, wychylając kieliszki jeden po drugim, jakby chciał zagłuszyć wyrzuty sumienia. Niejednego już zarwał w swoim życiu, ale nikt jeszcze nie zdołał go tak głęboko poruszyć jak ta dziewczyna. Marcin może być dumnym z takiej córki!

Helenka miała siły podczas całej swej z Teckim rozmowy, ale gdy zamknęła za sobą drzwi, poza którymi zostały jej nadzieje, siły te tak zesłabły, że musiała usiąść w bramie, bo nogi się pod nią uginały, a ona sama drżała jak w febrze. Wiedziała już, że licytacja musi się odbyć i że nic jej nie odwoła, ogarnęło ją więc śmiertelne znużenie i zniechęcenie. Świeże powietrze orzeźwiło ją trochę; wyszła na ulicę, a sklepikarka, która wyglądała na nią przez szyby, wybiegła naprzeciw niej i włożyła jej w rękę zapomniany pakiecik z bułkami i obwarzankami. Chciała jej zadać kilka pytań, ale spojrzawszy na twarz dziewczęcia dała pokój i, pokiwawszy tylko głową, odeszła.

Helenka szła powoli w stronę hotelu, odpoczywając co chwila, bo się bardzo męczyła.

„Nie wolno mi być słabą — powtarzała sobie — bo nie mam nikogo, co by mi pomógł lub poradził. Nauczono mnie, że tylko na siebie liczyć mogę... Precz więc z boleścią, która odurza umysł i sercu odbiera męstwo!"

Ale człowiek może znieść tyle, ile może. Podczas gdy usta dziewczęcia to mówiły, strumień łez wytrysnął z jej oczu. Świeże doświadczenie, którym ją życie dziś obdarzyło, wsączyło w jej serce palący jad goryczy. Wszystkie cierpienia, jakich doznawała dotąd, wszystkie próby nie mogły iść w porównanie z tym, co czuła w tej chwili, bo to było poczucie krzywdy i niesprawiedliwości. Zapłakała gorzko. Rozbudzono w jej sercu miłość dla społeczeństwa, a oto przekonała się świeżo, że nie wszyscy są godni tej miłości, że

raczej im się należy wzgarda. Nie była jeszcze o tyle dojrzałą, żeby się wznieść do tej wysokości, w której człowiek, patrzący uważnie na życie i znający niedoskonałość ludzkiej natury, nie w samym winowajcy szuka źródła winy, ale w warunkach jego wychowania i w społeczeństwie, w jakim żyje; do tej wysokości, w której człowiek staje się surowy dla siebie, ale pobłażliwy dla drugich i powtarza chętnie wzniosłe słowa Marka Aureliusza: „Wszystko zrozumieć, jest to wszystko przebaczyć!"

Na placu, przy którym stał hotel, był skwer zasadzony drzewami, a pod ich cieniem stało kilkanaście ławek. Tam usiadła i odpoczywała dopóty, dopóki łzy jej nie przestały płynąć; gdy się jej trochę lżej zrobiło, wielkim wysiłkiem woli otrząsnęła się z ogarniającego ją coraz bardziej zniechęcenia i usiłowała zebrać myśli, żeby coś postanowić. Licytacja musiała być. Nie dało się jej usunąć, więc trzeba się było na nią zgodzić: szło już tylko o to, żeby Niemcowi gruntu nie dać. Ale sprzedaż ruchomości rodziców nie przyniesie więcej nad tysiąc rubli, a Ofmanowi należało się dwa tysiące! Jeżeli Doński odda pieniądze, które winien, będzie brakowało jeszcze tylko pięciuset. Dla tak małej kwoty Niemiec ma zostać panem domu jej ojca! Ale i grosz jest wielką sumą, gdy go nie ma, a cóż dopiero pięćset rubli...

Zaczęła bardzo myśleć, czyby skąd nie można dostać tych pieniędzy, i błysnęło jej imię stryja Bartłomieja.

„A gdybym pojechała do niego! — rzekła do siebie — on jest dobry, przywiązany do nas".

Iskierka nadziei wróciła jej siły, a z siłami przyszła myśl o potrzebie posiłku. Zjadła bułki i obwarzanki, wsunięte jej w rękę przez sklepikarkę, i obliczyła raz jeszcze swoje pieniądze. Na podróż do stryja było dosyć, a stamtąd wiedziała, że ją odeślą.

XXVIII

Stryj ją przyjął z otwartymi rękami.

— Jak się masz, robaczku — mówił ściskając ją z niekłamaną serdecznością — jak się masz! Toś nam niespodziankę zrobiła! Myślałem, że jesteś w Warszawie, a tyś już tu. Stęskniłaś się do rodziców, co? Cóż tam u was słychać? Kiepsko? hę?

— Tak, stryjaszku, źle bardzo słychać... za kilka dni mają nas zlicytować — odpowiedziała smutnie.

— Do diabła! Patrzaj, co twój ojciec narobił. A mówiłem mu: „Marcinku, nie rób głupstw: po co się ty masz szargać dla innych, kiedy jak ty będziesz zaszargany, to cię nikt z błota nie wyciągnie". Znasz przysłowie: „Nie pożyczaj, zły obyczaj, nie oddają, jeszcze łają".

— Stało się, kochany stryju. Mówmy lepiej o tym, czyby nie można jeszcze jako ojca ratować. Przyjechałam do kochanego stryja po radę.

Opowiedziała mu wszystko, co w ciągu trzech upłynionych dni zrobiła: swoje starania i daremne atakowanie Teckiego.

Pan Bartłomiej ręce roztworzył.

— Co ja ci poradzę, robaczku, co ja ci mogę poradzić? Sama powiedz! Rzeczy tak stanęły, że zje diabła, kto furtkę znajdzie!

— Wiem, że licytacji nie unikniemy — mówiła — ale licytacja naszych ruchomości mało co więcej przyniesie nad tysiąc rubli, a że dla zapłacenia długu trzeba dwóch tysięcy, więc Ofman nam dom zabierze. On już proponował ojcu, że weźmie go w długu i dopłaci cztery tysiące rubli gotówką, ale ojciec nie chce oddać Niemcowi domu, i ma słuszność. Brakuje nam tysiąca rubli: pięćset ojciec ma u Dońskiego i pewnie je dzisiaj odebrał, ale potrzeba jeszcze pięćset.

— Hm, to się niby ma znaczyć, żebym ja wam dał te pięćset rubli?

— Nie, stryju — zawołała z żywością Helenka — nie idzie tu o żadną darowiznę; ale jeżeli dom już nie może zostać przy nas, to niech się przynajmniej Ofmanowi nie dostanie. Niech go stryj kupi! Taki duży, piękny kawałek gruntu... prawie włóka.

— Ot, zachciałaś, a co ja bym robił z waszym domem? Mam dosyć kłopotów ze swoim gospodarstwem i z sądem gminnym, bo pewno wiesz, że jestem sędzią.

Machnął ręką.

— Ale co to tobie gadać. Kobiety takich rzeczy nie rozumieją. Powiem ci tylko tyle, że choć mam tego póty, nie zrzucam się, bo nie będę ja, to będzie inny, i człowiek przestanie być swobodny u siebie. Zresztą są pewne obowiązki... ale co tobie o tym gadać! I chcesz, żebym jeszcze dom kupował i trapił się z lokatorami, i opędzał komisji kwaterniczej, jak zając sforze chartów! Nie, niegłupim; niech go kupuje kto inny. Kto ma dom, musi go pilnować, bo znasz polskie przysłowie: „Pańskie oko konia tuczy". Ja mego gospodarstwa dla waszego domu nie rzucę, a twego ojca administratorem nie zrobię, bo jest człowiekiem dobrym, ale, z przeproszeniem, papierowym.

Helenka westchnęła.

— Moje dziecko — rzekł po chwili pan Bartłomiej, któremu żal było dziewczęcia — domu waszego nie kupię, jednak dałbym wam pięćset rubli, gdybym je miał, ale nie mam. Pszenicę w tym roku sprzedałem za psie pieniądze i jeszcze z nią miałem ambaras, a gotowki mi taki brak, że kto wie, czy nie będę musiał zadać się z Żydami... Ale wystarałbym się dla was o te pieniądze, gdyby wam nie było tak pilno. Postarajcie się odwlec licytację na kilka tygodni, a może się coś zrobi.

— Dziękuję stryjowi za jego dobre chęci — rzekła całując go w rękę — ale wątpię, czy się to da zrobić. Teraz już muszę jechać. Gdzie jest stryjenka? Chciałam się z nią przywitać i pożegnać!

— Co, pożegnać? Ależ zostań się dziś u nas, robaczku, i przenocuj; jutro odjedziesz.

— Nie mogę, stryju, muszę się śpieszyć do rodziców, oni tam sami i bardzo, bardzo znękani.

— No, to chociaż zjedz z nami obiad. Ale co ty wyrabiasz, dziewczyno! Dostałaś się podobno za pannę sklepową u jakiegoś kupca, prawda to? Strasznie się emancypujesz?

— Prawda, mój stryju. Nie chciałam dłużej znieść próżniaczego życia w domu i wzięłam się do pracy.

— I cóż tam sprzedajesz? pieprz?

— Nie, mój stryju, ja nic nie sprzedaję, tylko piszę rachunki, a także ważę i pakuję nasiona.

— To wszystko jedno. Dałabyś temu spokój, to nie szlachecka rzecz. Wiesz, co ci powiem? Jesteś ładna dziewczyna i możesz iść dobrze za mąż. Nie jedź już do Warszawy, a daję słowo honoru, że cię wkrótce wyswatam... i skończą się wszystkie wasze kłopoty.

— Nie jestem towarem do sprzedania, mój stryju — odrzekła z mocnym rumieńcem Helenka.

Pan Bartłomiej wpatrzył się bystro w siostrzenicę.

— Hm, hm, niemiła księdzu ofiara... Co się z tą dziewczyną zrobiło, co się z nią zrobiło! — powtórzył kilkakrotnie.

Przyszła stryjenka i siostry, chciały Helenkę koniecznie zatrzymać, ale nie dała się uprosić. Kazano więc zaprząc do powozu i odesłano ją.

— Co się z tą dziewczyną zrobiło! — powtórzył raz jeszcze pan Bartłomiej, patrząc za nią przez okno. — Ale podoba mi się, ma charakter, o ma!

Pierwszym przedmiotem, jaki Helenkę powracającą do domu uderzył, była stojąca na dziedzińcu bryczka, zaprzężona pocztowymi końmi. Pomyślała sobie, że pewnie ojciec powrócił od Dońskiego, ale mimo to ogarnęło ją jakieś niedobre przeczucie. W sypialnym pokoju zastała oboje rodziców. Ojciec nie rozebrany z płaszcza podróżnego siedział na krześle, z twarzą znękaną, a matka stała przy nim zapłakana.

— Wystaw sobie, Helciu — rzekła do córki po przywitaniu — że ojciec jeździł do Dońskiego upominać się o te pięćset rubli, co to wiesz. Doński miał gości u siebie, siedzieli przy stolikach i grali w karty. Otóż gdy ojciec przyjechał i powiedział mu po co, ten wziął ojca na bok i z najlepszą miną powiada: „Zminęliśmy się widać z sobą w drodze, kochany panie Marcinie; ja właśnie jeździłem do miasta, żeby panu oddać te pieniądze, ale, nie zastawszy pana w domu, oddałem je żonie pańskiej. Siedziała właśnie w ogrodzie i siała jakieś kwiatki". Tak ojciec się go pyta: „A jakże się panu ogród podobał, ładny?" „A ładny, bardzo ładny". Ojciec przyjeżdża i mówi mi to, a ja ani Dońskiego, ani żadnych pieniędzy nie widziałam, ani nawet w ogrodzie dziś nie byłam. Jezus Maria, myślę sobie, może on się widział z kim innym i komu innemu zamiast mnie oddał, chociaż to nie powinno się było zdarzyć, bo mnie zna przecież dobrze. Więc mówię do ojca: „Na miłość Boską, Marcinie, wracaj natychmiast do Dońskiego i dowiedz się, co się stało z pieniędzmi!"

Ojciec też tak zrobił, pojechał i zastał jeszcze tych samych gości przy kartach. Doński, jak tylko ojca powracającego zobaczył, tak wstał zaraz i wyszedł naprzeciw niego do sieni. Ale opowiadaj ty sam, Marcinie!

— Wyszedł naprzeciw mnie trochę zmieszany, zaczął mnie ściskać za ręce i przepraszać mówiąc: „Wybacz, kochany panie Marcinie! Nie miałem pieniędzy, a nie wiedziałem już, jak się panu wytłumaczyć, więc tak tylko powiedziałem... Wybacz mi, pan, wybacz! Nie przypuszczałem, że się będziesz drugi raz fatygował! "

Helenka słuchała tego opowiadania z zaciśniętymi ustami: pierś jej wrzała gniewem i oburzeniem.

— Zakpił sobie z ojca — mówiła z uniesieniem pani Orecka — nie tylko że nie oddał pieniędzy, ale ośmieszył go i jeszcze miał czoło prosić ojca, żeby został u niego na kolacji. A łotr!

Pan Marcin siedział zgnębiony i przybity; biedna jego siwa głowa pochylona była nisko na piersi. Helenka objęła po macierzyńsku tę skołataną głowę, która tak bolesne zniosła upokorzenie, i ucałowała gorąco.

— Czy daleko do Maciejowa? — spytała po chwili.

— Będzie z półtorej mili.

XXIX

Dobrze się bawiono we dworze pana Dońskiego. Przy kolacji rozmowa była bardzo ożywiona: anegdoty, myśliwskie opowiadania i dowcipy krzyżowały się ponad stołem, przerywane toastami. Czasem tylko jak ostry dysonans w tym chórze dawały się słyszeć narzekania na spadające ciągle ceny zboża, na brak gotówki i trudność w uzyskaniu kredytu. Goście składali się z samych mężczyzn różnego wieku; byli tam starzy i młodzi, a wszyscy amatorzy gry. Na pierwszym miejscu siedział pan sędzia Milewicz, człowiek zacny, rozumny, dobry obywatel i mający wielki mir u ludzi. Jeżeli gdzie były jakie spory, on je zawsze rozstrzygał; jeżeli chodziło o radę, on ją dawał; jeżeli o pomoc pieniężną, on jej nie skąpił. Jego nawet pan naczelnik Sokołow, pomiatający wszystkimi, cenił i poważał, chociaż sędzia Milewicz nie wahał się nigdy wypowiedzieć mu swego zdania, ilekroć uważał to za potrzebne. Kochano go, szanowano, bano się nawet trochę i chętnie przebywano z nim w towarzystwie, bo towarzyski był bardzo, a w preferansa grywał chętnie, w braku innej rozrywki. On to najwięcej wywoływał dysonansów przy stole swymi uwagami o położeniu kraju i potrzebie dokonania zupełnego przewrotu w gospodarstwie wiejskim.

Po kolacji panowie przeszli do salonu, gdzie były rozstawione stoliki, i na nowo do kart zasiedli, a zamiast gwarnej rozmowy słychać już tylko było lakoniczne, ale pełne dla grających znaczenia wyrazy:

— Pas.

— Ręka.

— Siedm bez atu.

Lokaj roznosił herbatę, gospodarz częstował cygarami; wszyscy palili i wkrótce zrobiło się prawie ciemno od dymu. Pan sędzia grywał tylko w preferansa i nie inaczej, jak po dziesięć punktów za grosz, ale przy innych stolikach grano w wista, diabełka i inne ryzykowniejsze gry. Do tych ostatnich należał gospodarz, ale karta mu nie szła i już był przegrany na sto rubli — ale posiadał dużo zimnej krwi i nie stracił przez to nic na humorze. Grał z niedbałością człowieka dobrze wychowanego i pana, choć panem nie był wcale.

— Doński znów przegrał — odezwał się radca — nie masz dziś szczęścia, Jacku; widzę, że wszyscy, jak tu jesteśmy, wejdziemy ci na hipotekę.

— O, nie! — odparł swobodnie gospodarz — nie dopuszczę do tego; długi honorowe płaci się natychmiast.

— Doński jest w miłości szczęśliwy — szepnął ktoś — panna prezesówna zagięła na niego parol, chociaż jest wdowcem i ma dorosłą córkę.

Wszyscy się roześmieli, panna prezesówna bowiem miała lat przeszło pięćdziesiąt.

Wszyscy tak byli grą zajęci, że nikt nie słyszał bryczki zajeżdżającej na dziedziniec i nikt nie spostrzegł, że drobna, wątła postać dziewczęca stała w progu. Gdy śmiech obecnych ucichł, zabrzmiał w salonie głos czysty, dźwięczny i pełen jakiejś uroczystej powagi.

— Który z panów jest gospodarzem tego domu?

Goście zwrócili oczy ku drzwiom, gdzie stała panna Orecka w swej skromnej, ciemnej sukience, a niespodziane jej zjawienie się, jej szlachetna i pełna godności postawa wprawiła ich w zdziwienie. Wszyscy powstali.

— Który z panów jest gospodarzem? — spytała powtórnie, spoglądając kolejno po obecnych.

Wtem zadrżała i serce jej uderzyło szaloną radością; zobaczyła Stefana! Nie była już sama teraz, miała obrońcę, który niezawodnie stanie przy niej i poprze jej sprawę. Spojrzenia ich skrzyżowały się, ale Helenka nie znalazła w oczach młodzieńca tego, czego szukała: wyrażały zdziwienie i zakłopotanie wobec tego niespodziewanego spotkania i nic więcej... Stefan nie biegł jej witać, nie pytał, po co tu przyszła sama jedna... Na ustach dziewczęcia osiadł pogardliwy uśmiech. Wiedziała już, że nie może na niego rachować, a ból, jakiego doznała, zamiast odebrać jej siły, dodał ich tylko jeszcze. Chciała mu pokazać, że się potrafi obejść bez niego.

— Chcę mówić z panem Dońskim — powtórzyła raz jeszcze.

Gospodarz postąpił ku niej i złożył jej ukłon głęboki.

— To pan? — spytała mierząc go od stóp do głów.

Doński skłonił się powtórnie.

— Jestem Doński, do usług. Czy mogę zapytać, z kim mam przyjemność, czym mogę pani służyć?

— Jestem córką Marcina Oreckiego — powiedziała nie spuszczając zeń wzroku.

Doński się zmieszał.

— Niech pani raczy przejść do mego gabinetu — rzekł głosem zniżonym i wskazał jej drzwi boczne — tam będzie można porozmawiać swobodnie. Tu tyle osób i... i dymu.

— To, co mamy z sobą do mówienia, nie potrzebuje być żadną tajemnicą — odrzekła zimno Helenka — przeciwnie, pragnę, żeby rozmowa nasza miała jak najwięcej świadków.

Doński okazał jeszcze większe pomieszanie; chciał coś przemówić, ale Helenka uprzedziła go:

— Wyrządziłeś pan ciężką zniewagę memu ojcu!...

— Co się stało? o co idzie? — pytano spoglądając po sobie.

— Panowie nie wiedzą, co się stało? Oto ten pan pożyczył przed dwoma laty od mego ojca pięćset rubli na słowo i ilekroć żądano od niego zwrotu, nigdy nie miał pieniędzy przy sobie, ale obiecywał oddać wkrótce pod słowem honoru.

Ostatnie dwa słowa wymówiła z przyciskiem.

— Przed kilku godzinami ojciec mój, znaglony gwałtowną potrzebą, przybył tu, żądając stanowczo zwrotu i otrzymał odpowiedź, że pan Doński tylko co wrócił z miasta i że wręczył pieniądze mojej matce. Gdy ojciec powrócił do domu, okazało się, że nic podobnego nie było; więc gnany najwyższym niepokojem przyjechał powtórnie tutaj, pytając, co się stało z pieniędzmi, bo matka ich wcale nie widziała. Wówczas ten pan — dodała wskazując ręką — przyznał się, że tylko żartował... bo nic innego naprędce wymyślić nie mógł, a dla złagodzenia przykrości prosił ojca, żeby został u niego na kolacji.

Szmer oburzenia rozszedł się między obecnymi.

Wszyscy widzieli dwukrotnie przybywającego pana Oreckiego i rozmawiającego z gospodarzem na stronie, choć nie wiedzieli, o co idzie. Nie mogli więc wątpić, że córka jego mówi prawdę.

— Mój ojciec jest chory i ma lat sześćdziesiąt — mówiła dalej Helenka, a głos jej brzmiał coraz silniej — pan Doński nie umiał uszanować jego wieku; nie wstydził się dla swej fantazji narażać znękanego starca na powtórną podróż i dla dopełnienia zniewagi dodał jeszcze szyderstwo... Jak zdaniem panów powinien być nazwanym żart taki?

— Niegodnym! — odezwało się kilka głosów.

— Przybyłam właśnie, żeby mu to powiedzieć... Pan Doński przegraną w karty płaci zaraz i nazywa to długiem honorowym, ale gdy trzeba oddać pieniądze pożyczone od ubogiego człowieka, honor jego jest nieobecny!

Szlachetna odwaga dziewczęcia, oburzenie i boleść, dźwięczące w jej głosie, ujęły serca słuchaczy. Wszyscy wzięli gorąco stronę jej ojca.

— Panie Doński — przemówił surowo sędzia — splamiłeś stan szlachecki, żaden też szlachcic nie poda ci ręki dopóki nie naprawisz złego, któreś wyrządził. Postępek twój

ubliża nam wszystkim, którzy żyjemy z tobą i przyjmujemy cię w naszych domach; toteż nie ustąpimy, dopóki nie złożysz kwoty, którąś winien, na ręce panny Oreckiej. Prawda, panowie?

— Tak jest — powtórzyli wszyscy — niech Doński złoży te pieniądze. Musi je złożyć!

Doński stał czerwony z gniewu, zawstydzony i zły.

— Jak mi Bóg miły! — wykrztusił kładąc rękę na piersi — tak nie mam pięciuset rubli w domu.

— A więc my zapłacimy za ciebie, a ty będziesz naszym dłużnikiem i wystawisz nam rewers. Panowie, musimy złożyć te pieniądze. Co kto ma, niech składa w moje ręce.

W jednej chwili zrobił się ścisk dokoła sędziego. Pieniądze się posypały i zebrała się ich spora suma, większa nawet, niż było potrzeba. Sędziwy inicjator tej myśli przeliczył je, odsunął resztę i wziąwszy pięćset rubli, chciał je wręczyć Helence.

— Nie — rzekła usuwając rękę. — Pan Doński daremnie fatygował mego ojca, niech się teraz pofatyguje do niego i przeprosi go za żart niestosowny. Żądam tego!

— Masz, pani, słuszność — rzekł sędzia spoglądając na nią z podziwem. — Panie Doński, każ pan zaprzęgać, musisz przeprosić pana Oreckiego. Jedziemy wszyscy z panem.

Projekt ten przyjęty został z ogólnym uznaniem, a Helenka w gorących słowach dziękowała sędziemu.

— Nie dziękuj pani — powiedział wzruszony — swojej to szlachetnej odwadze zawdzięczasz to, co się stało. Niech przy tej sposobności wolno mi będzie prosić o zaszczyt przedstawienia się kobiecie, która tak dzielnie broni honoru i praw swego ojca. Jestem Milewicz z Pokorzyna.

I zacny starzec pochylił nisko przed dziewczęciem swoją siwą głowę.

Za przykładem sędziego wszyscy przedstawiali się Helence, a ona swobodnie i z prostotą przyjmowała te objawy hołdu. Wiedziała, że uczyniła dobrze, więc nie dziwiło jej wrażenie wywołane tym postępkiem. Niegdyś na owym pamiętnym balu hołdowano jej piękności, dzisiaj uczczono w niej obowiązek wypływający z przywiązania dla ojca. O ileż milszy jej był ten hołd dzisiejszy!

Gdy z kolei Stefan zbliżył się do niej, zabolało ją serce. Nie stanął przy niej, gdy weszła tu strapiona, trwożna i niepewna, i teraz dopiero, gdy widział ten tryumf, podążył za innymi... Zrozumiała całą nicość moralną człowieka, którego obraz tak długo nosiła w sercu i ubierała we wszystkie przymioty męskiego ideału. I ona mogła porównywać go z Andrzejem? Cóż za przepaść niezmierna pomiędzy tymi ludźmi! Serce ją bolało nie dlatego, że go utraciła, bo już zrozumiała, jak małą wartość miało to utracone, ale ono płakało za rozwianymi złudzeniami. Nie dotknęła ręki, którą jej podawał Stefan, i rzekła zimno:

— Pan niepotrzebnie się trudzi, znamy się bowiem dobrze.

Powozy i bryczki zaczęły zajeżdżać przed ganek i dwór maciejowski opustoszał w jednej chwili. Wszyscy skierowali się ku miastu, tylko Stefana nie było z nimi.

Sędzia ofiarował Helence swój powóz i prosił, żeby go przyjęła za towarzysza, a gdy ruszyli w drogę, zabawiał ją, jak mógł, rozmową. Był to człowiek wielkiej zacności i choć ostro powstawał na Dońskiego w jego domu, usiłował teraz u Helenki wyjednać przebaczenie.

— To nie jest zły człowiek — mówił — niech mi pani wierzy; robi dużo dobrego dla swej uboższej rodziny i nie cofa się, gdy idzie o rzecz publiczną, tylko lekkomyślny. Ta nieszczęśliwa lekkomyślność jest naszą narodową wadą; mówi się i robi wiele rzeczy bez zastanowienia, których nie czas potem żałować. Że nie miał pięciuset rubli w domu, w to wierzę, bo wydał w ostatnich czasach sporo pieniędzy na wyprawę dla córki, którą wydaje za mąż.

— Za kogo? — spytała machinalnie.

— Za pana Stefana. Małej to wartości człowiek i idzie mu pewnie o posag tylko, bo panna brzydka i dosyć ograniczona, ale cóż, kiedy się zakochała na zabój.

„A więc to jest łowca posagów — pomyślała Helenka — dzięki Bogu, że nie jestem już panną posażną, bo byłabym popełniła straszną omyłkę!"

Państwo Oreccy, przepędzający wieczór w smutku i samotności, zostali niepomiernie zdziwieni przyjazdem tylu gości — a gdy się dowiedzieli, co było przyczyną tego zjazdu,

smutek zamienił się w radość. Wszyscy znali pana Marcina, lubili go i starali się teraz mu to okazać.

Przeproszenie odbyło się najformalniej, a sędzia, żegnając się z panem Oreckim, powiedział:

— Panie Marcinie, nie dał ci Pan Bóg syna, ale nie potrzebujesz mieć do Niego o to pretensji, bo masz dziewczynę, która syna w zupełności zastąpi. Syn, Córka

XXX

Wiadomość o tym zdarzeniu z błyskawiczną szybkością rozeszła się po okolicy i wielu z tych, którzy dawniej znali pana Marcina, a potem o nim zapomnieli, przypomniało go sobie teraz. Ten i ów nawiedził osamotniony domek, a znaleźli się tacy, co ofiarowali mu się z pożyczką na zapłacenie Ofmana, byle go od smutnej konieczności licytacji ochronić. Pani Orecka nie była od tego, ale pan Marcin, zwykle ulegający żonie z bezprzykładną powolnością, teraz stanowczo odrzucił wszystkie propozycje.

— Dziękuję panom serdecznie za wasze serca — mówił — ale nie mogę przyjąć waszej pomocy. Oddać nie miałbym z czego. Co się ma stać, niech się stanie. Kupcie lepiej ode mnie dom i grunt, żeby się Niemcowi nie dostały.

Ale na kupno domu jakoś nie znaleźli się kandydaci. Już i to było dobre, że kieszonkowe długi w mieście zostały popłacone i że było pięćset rubli gotówki. Tonący brzytwy się chwyta — mówi przysłowie, więc choć ogłoszenia o sprzedaży ruchomości państwa Oreckich były od kilku dni porozlepiane na rogach ulic — oni sami mieli nadzieję do ostatniej chwili, że Ofman nie doprowadzi rzeczy do ostateczności, zaspokoiwszy się tymczasem pięciuset rublami, że zaczeka kilka miesięcy, aż Tecki odbierze resztę kapitału od siostry.

Ale żadna z tych nadziei nie ziściła się, chociaż próbowano zawiązać z nim układy.

Taki był stan rzeczy, gdy nadszedł fatalny dzień licytacji. Pani Orecka przepędziła noc na łzach i bezsenności i żadne krople nie mogły jej uspokoić. Pan Marcin przewracał się z boku na bok i wzdychał ciężko, a Helenka nawet na chwilę nie zmrużyła oka.

Śniadania nikt nie tknął, nawet pies powąchał tylko swój kawałek chleba i ze spuszczonym ogonem chodził od pana do pani, od pani do panienki i z powrotem, patrząc każdemu w oczy, jakby chciał się dowiedzieć, dlaczego są tacy pomartwieni. Poczciwy wyżeł przeczuwał, że się coś dzieje nie tak, jak powinno... Wszyscy troje uspokajali się nawzajem głosem cichym, który zdawał się samych mówiących przestraszać, tak nienaturalne miał dźwięki — ale unikali przy tym swego wzroku, żeby nie wybuchnąć żalem gwałtem powstrzymywanym. Pani Orecka, dostająca tak często ataków nerwowych, wstrzymywała się dziś wielkim wysiłkiem woli i nie czyniła nawet mężowi wyrzutów, czym pan Marcin jeszcze więcej był przygnębiony. Bębnił on swojego marsza z taką nieśmiałością, jak to jeszcze nigdy nie bywało.

Okropni ludzie w mundurach nie przyszli po meble, bo zgodnie z przepisami ustaw sądowych dłużnik obowiązany był dostawić je na miejsce licytacji. Ludzie, wynajęci do tej czynności, ociągali się i brali do niej niechętnie, ze smutkiem widocznym, bo pan Marcin był kochanym i cenionym przez wszystkich — i ci nawet, którzy go kradli[81], żałowali go teraz i uczuwali wyrzuty sumienia. Przed domem od ulicy i na dziedzińcu stały gromadki ludzi, rozmawiające po cichu, spoglądające z ciekawością i współczuciem na drzwi i okna. Zdawało się, że tu ktoś umarł, a zebrani na pogrzeb szanują ciszę śmierci. Zeszła się garstka przyjaciół, ale ci stali w salonie nie wiedząc, jak pocieszyć, i nie śmiejąc przestąpić drzwi oddzielających ich od dalszych pokoi. Szanowano boleść i zostawiono ją w spokoju.

Zegar wybił pół do dziesiątej i jednocześnie z tym uderzeniem zaczęło się wynoszenie mebli. Pani Orecka nie mogła już dłużej zapanować nad sobą; wyszła do drugiego pokoju i zaczęła gwałtownie szlochać, a pan Marcin ukląkł przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, gdzie dniem i nocą paliła się lampka, wisząca w brązowej oprawie, i zaczął głośno odmawiać koronkę do Przemienienia Pańskiego. Pani Orecka niewiele przywiązywała wagi do starych mebli i może nawet wolałaby je zastąpić nowymi i modnymi,

[81] *kraść kogoś* (daw.) — okradać kogoś. [przypis edytorski]

gdyby jej na to pozwalały środki, tylko o skandal jej chodziło — ale pan Marcin, który od rana spoglądał na nie z tkliwym rozrzewnieniem, nie miał odwagi teraz żegnać się z nimi i odwracając oczy od tego, co się koło niego działo, w modlitwie szukał ucieczki, a po twarzy jego spływały wielkie, grube łzy.

Helenka stała w środkowym pokoju między tym, w którym znajdowała się matka, i tym, w którym modlił się ojciec; twarz jej spokojna na pozór, była blada bardzo, a usta boleśnie zaciśnięte. Czyniła z sobą obrachunek i pytała się swego sumienia, czy uczyniła wszystko, co mogła i co była powinna, dla uratowania rodziców.

Coś ciepłego dotknęło jej ręki: był to łeb poczciwego wyżła, który z wielkim zdumieniem patrzał, jak obcy ludzie wynosili z domu sprzęty jego państwa, a jemu nawet szczekać na nich nie było wolno. Myślał sobie widać, że świat idzie na opak, a że mu się to nie podobało, więc trącił swoją młoda panią, jakby prosząc, żeby mu to wytłumaczyła. Helenka przesunęła pieszczotliwie rękę po jego miękkim grzbiecie.

— Widzisz, stary przyjacielu, widzisz, czegośmy się doczekali — przemówiła smutnie — bardzo jesteśmy biedni, bardzo.

Pies szczeknął żałośnie, jak gdyby ją rozumiał, i jednocześnie nadstawił bystro uszu, bo słychać było głos trąbki pocztowej, i jakaś bryczka zajechała na dziedziniec.

„Kto to może być? Pewnie ktoś ze znajomych przyjechał" — rzekła do siebie Helenka, ale nie wyszła na powitanie. Tak była strapiona, że nie miała siły przymuszać się do obowiązków gościnności.

Drzwi się otworzyły i wszedł Andrzej, Helenka wydała okrzyk zadziwienia.

— Pan tutaj! — zawołała — tu, w naszym domu? Cóż się stało? Czy wypadł panu interes w tych stronach?

— Tak, pani — odpowiedział — interes mi wypadł ważny. Naradziwszy się z ojcem, osądziliśmy, że po obliczeniu pieniędzy osiągniętych z licytacji ruchomości, pani sama możesz sumę brakującą zapłacić.

— Ja?

— Nie inaczej. Nasz zakład otwiera pani kredyt do wysokości pięciuset rubli, które pani następnie pensją swoją spłacisz. Ojciec twierdzi, że charakter pani daje dostateczną gwarancję bezpieczeństwa tej sumy, i ja jestem tego samego zdania, dała się już bowiem pani poznać z pracy nieleniwej i wytrwałej. List pani, opisujący wszystkie starania i wysilenia, otrzymaliśmy dopiero wczoraj. Wkrótce po jego odebraniu wyjechałem z domu.

Dziewczyna stała jak wryta.

— Czyż to może być prawdą? — wyszeptała blednąc jeszcze bardziej ze wzruszenia. Niespodziana pomoc w chwili, gdy już była bliska rozpaczy, obezwładniła ją prawie. Nie śmiała wierzyć, że to rzeczywistość, nie sen, i że dom zostanie w rękach rodziców.

— To jest prawdą, panno Heleno — odpowiedział patrząc ze współczuciem w twarz dziewczęcia, na której tydzień przebyty zostawił swoje ślady.

Helenka jeszcze stała nieruchoma. Ileż szlachetności było w tej propozycji, jaka delikatność w ofiarowaniu pożyczki. Jej samej zostawiono ratowanie rodziców, nie chcąc przyznawać sobie ani odrobiny zasługi... I na to zdobyli się ludzie, którzy wszystko robili po kupiecku, ludzie, których niegdyś posądzała, że w sercu zamiast uczucia mają cyfry!... Bądź co bądź jednak robili jej łaskę, a łaska zawsze upokarza...

Andrzej musiał te myśli wyczytać w jej twarzy, bo powiedział:

— Nie wyświadczamy pani żadnej łaski, ale robimy prosty interes, tak dobry, jak każdy inny. Sumy, którą przywiozłem, nie damy pani bez procentu. Zapłaci nam pani po cztery od sta na rok.

Helence łzy w oczach stanęły. Nawet tę drażliwość przewidziano, uszanowano i usunięto. Ci szorstcy ludzie znali najsubtelniejsze odcienie uczuć.

— Ach! — szepnęła — jacyż wy dobrzy jesteście! Zaledwie wierzyć mogę, że pan, dla którego czas jest bardzo drogi, zwłaszcza teraz, w porze najważniejszej dla czynności handlowych i ogrodniczych, chciałeś to zrobić dla mnie... dla rodziców moich — dodała poprawiając się.

— Ale pani nie jesteś dobrą, panno Heleno, bo od kilku minut, jak tu jestem, nie przywitałaś się jeszcze ze mną.

Helenka podała mu obie ręce, nie mówiąc ani słowa, ale w oczach jej Andrzej musiał wyczytać, co mu powiedzieć chciała, bo schylił się i obie ręce, te ręce, które znały już, co jest trud, i zarobiły sobie na cześć jego, do ust przycisnął.

Lekki rumieniec oblał twarz dziewczęcia i ogarnęło ją dziwne wzruszenie, podobne do uczucia nagłego a wielkiego szczęścia. On ją szanował, on ją cenił... Czuła, że posiadała jego przyjaźń, wiarę i zaufanie.

— Bądź pan łaskaw usiąść — przemówiła — dopóki jest jeszcze na czym siedzieć, a ja pójdę zawiadomić rodziców o przybyciu pana.

Pani Orecka obtarła natychmiast oczy, przejrzała się w lustrze i poprawiwszy czepeczka, poszła przyjąć gościa, ale pan Marcin, choć musiał słyszeć, co w drugim pokoju mówiono, zachował się tak, jakby nic nie słyszał. Nie odwrócił ani na chwilę oczu od obrazu i odmawiał dalej koronkę do Przemienienia Pańskiego, tylko w źrenicach zamigotały mu jakieś blaski.

Ludzie tymczasem wynosili ciągle rzeczy na rynek i pokoje opróżniły się zupełnie. Zostały tylko łóżka, pościel, parę lichych krzeseł, trochę bielizny i po dwie sztuki wierzchniej garderoby. Ofman, który przyszedł sam sprawdzić, czy wszystkie wartościowe przedmioty zostały zabrane, chciał kazać zabierać pościel i łóżka, ale Helenka pokazała mu książkę z ustawami sądowymi, kupioną przez siebie w H. u antykwariusza, a w niej ustęp orzekający, że te przedmioty, jak również i obrazy, do nabożeństwa służące, są nietykalne. Gdy Ofman wyszedł, Helenka zbliżyła się do Andrzeja i rzekła tonem prośby gorącej:

— Zrób pan to dla mnie i odkup w moim imieniu fotel mego ojca i kanapkę matki. Oni się tak do tych sprzętów przyzwyczaili, że nie umieliby się bez nich obejść.

— Dobrze — odrzekł Andrzej i wyszedł zaraz.

Gdy przybył na rynek, licytacja rozpoczynała się właśnie. Przy stole, na którym leżały papiery, pióra i stał kałamarz, zasiadł komisarz sądowy, dawniej komornik, we fraku, ze srebrnym łańcuchem na szyi ozdobionym dużym medalem. Obok niego stało dwóch policjantów, a woźny magistratu trzymał papier zawierający spis przedmiotów z oznaczonymi przy nich cenami. Ofman stał przy komisarzu i coś z nim rozmawiał półgłosem. Grupę tę otaczał liczny tłum osób płci obojej, złożony przeważnie z Żydów. Przypatrywali się oni rozstawionym sprzętom państwa Oreckich, dotykali rękami aksamitów, kiwali głowami, cmokali językami i szeptali między sobą, a robotnicy patrzący z daleka na te oględziny mówili:

— Patrzcie, jak Żydy ostrzą sobie zęby na te graty. Oni wszystko zakupią!

Najczynniejsza i najruchliwsza była stara Mośkowa, ta sama, którą niegdyś pan Marcin przyjął pod swój dach po spaleniu. Handlowała ona zawsze zapałkami, ale od kilku dni bardzo zaniedbała swoich kundmanów[82], zajęta jakimiś ważnymi sprawami. Biegała ona teraz między swymi współwyznawcami, od jednego do drugiego, szwargotała, machała rękami i była tak czynną, jak jej jeszcze nikt nigdy nie pamiętał: w peruce[83] przekrzywionej na bakier, czerwona, zadyszana ocierała rękawami pot z czoła.

— Ta Żydowica musi mieć pieniądze i tylko udawała biedną — mówili dawni robotnicy pana Oreckiego. — Zobaczycie, że sama kupi połowę. Oczy jej aż się świecą z chciwości.

Zegar ratuszowy wydzwonił godzinę dziesiątą, a dźwięk jego poważny i niemal uroczysty dał hasło rozpoczęcia licytacji. Woźny włożył okulary, rozwinął dużą kolorową chustkę, wytarł nos głośno, odchrząknął i zaczął wywoływać głosem donośnym:

— Toaleta orzechowa rzeźbiona, z lustrem, mało zniszczona, rubli srebrem pięć.

W tłumie dał się słyszeć lekki szum — rzekłbyś, że fala wzburzona zakołysała się i ucichła.

— Rubli srebrem pięć — powtórzył głośniej woźny, zdziwiony nieco tym zachowaniem się licytantów. — Kto da więcej?

Milczenie.

— Rubli srebrem pięć! Wcale nie zniszczona, z blatem marmurowym! — wołał spoglądając po zgromadzonych.

---

[82]*kundman* (daw., z niem. *Kunde*) — klient. [przypis edytorski]

[83]*stara Mośkowa (...) w peruce* — w daw. Polsce religijne Żydówki, mężatki i wdowy, goliły głowy, a ludziom pokazywały się w peruce lub, jeśli nie miały na nią pieniędzy, w chustce na głowie. [przypis edytorski]

Nikt się nie odezwał.

— Bierz pan co innego! — krzyknął Ofman — toaletę można później licytować. Weź pan kredens.

Powtórzyła się ta sama formalność. Tłum zaszumiał, poruszył się na prawo i na lewo niby fala, która chce coś pochłonąć i cofa się nagle w biegu — i zamilkł. Namiętności były, ale musiały się powstrzymać.

Żyd, Wdzięczność

Stała się rzecz dziwna, niesłychana, rzecz, jakiej podobnej nie pamiętano, odkąd miasteczko było miasteczkiem... nikt nie chciał kupować rzeczy pana Oreckiego. Jeden tylko młody Żydziak, któremu na widok szafy staroświeckiej, ozdobionej brązami, zaiskrzyły się oczy, odezwał się półgłosem i nieśmiało, ale Mośkowa uderzyła go najprzód w kark z całej siły, a potem w plecy, wołając:

— Ty łajdak, ty gałgan, zamknij gębę! Czyś ty już zapomniał, kto cię schował w swoim domu przed pijanymi chłopami, co ci powybijali szyby w sklepie[84], wtenczas, kiedy to pierze latało w powietrzu jak śnieg, a ulice i dachy były od niego białe? Kto ci jeść dawał przez tydzień i twoim dzieciom, co? Ty gałgan!

I przyłożyła mu jeszcze na plecy parę tak wymownych argumentów, że zamilkł i nie odezwał się więcej.

Licytacja okazała się niemożliwą wobec takiego usposobienia publiczności. Ofman biegał wściekły, pienił się ze złości, krzyczał, ale był bezsilny. Pozostawało mu tylko otaksowanie rzeczy przez biegłych i zabranie ich do siebie — ale na to nie miał nawet dostatecznego pomieszczenia i musiał je tymczasem odstawić swoim kosztem na powrót tam, skąd zostały zabrane.

Gdy Andrzej zawiadomił o tym rodzinę Oreckich, pan Marcin odmawiał jeszcze swoją koronkę i nie ruszył się z miejsca, tylko mu na twarz schorzałą wystąpiły rumieńce, a głos nabrał jeszcze większej siły i uroczystości, gdy mówił:

— Jezu Nazareński, Królu Żydowski, jakeś się przemienił przy chwalebnym zmartwychwstaniu świętego Ciała Twego, gdy pogrążoną w boleściach i smutku Matkę Twoją Przenajświętszą pocieszyłeś, tak przemień wszystkie boleści i utrapienia moje.

Zaturkotało znowu przed domem, a Helenka spojrzawszy w okno zawołała:

— Ojcze, ojcze! pan Tecki przyjechał...

Pan Marcin kończył teraz swoją koronkę. Pochylił głowę do samej ziemi i chwilę pozostał w tej postawie, potem wstał, wyprostował się, a twarz jego promieniała.

— Marcinie — przemówił Tecki wchodząc i wyciągając do niego ręce — Marcinie, przebacz i zapomnij! Przyjechałem zapłacić. Pożyczyłem pieniędzy, żeby ci wynagrodzić krzywdę, którą ci wyrządziłem. Twoja córka powiedziała mi, że jestem zbrodniarzem, i nie mogłem tego znieść, bo poruszyła we mnie wszystkie głosy sumienia. Marcinie, gdyby było więcej takich dzielnych kobiet jak ona, byłoby mniej takich mężczyzn jak ja!

Pan Marcin mocno dłoń Teckiego uścisnął i rzekł zwracając się do żony:

— Czy nie mówiłem imości, że Pan Bóg nas nie opuści?

[84] *kto cię schował w swoim domu przed pijanymi chłopami, co ci powybijali szyby w sklepie, wtenczas, kiedy to pierze latało w powietrzu jak śnieg, a ulice i dachy były od niego białe* — opis pogromu Żydów. Fala pogromów przetoczyła się przez zachodnią część Imperium Rosyjskiego w latach 80. XIX w. W pogromie warszawskim w Boże Narodzenie 1881 r. ucierpiało ok. 10 tys. Żydów, wiele biedniejszych rodzin straciło cały swój majątek, zdarzały się też pobicia i zabójstwa. [przypis edytorski]

NA PROGU NOWEGO ŻYCIA
XXXI

Andrzej odjechał tego samego dnia, bo nie mógł bawić dłużej, ale Helenka została jeszcze cały tydzień u rodziców, a gdy ten minął, powrót jej do Warszawy nie był w niczym podobny do owego niefortunnego przyjazdu w zimie. Teraz wszyscy ją witali życzliwie i serdecznie, nie wyjmując nawet Franciszka i Kunegundy. Energia, jaką rozwinęła dla ratowania ojca, i wysiłki, na jakie się zdobywała, zaskarbiły jej do reszty serca tej twardej rodziny. Pan Radlicz powiedział jej, że teraz chętnie nazwałby ją swoją córką, panny nie szczędziły jej objawów życzliwości, pani Radliczowa powiedziała głośno, że panna Orecka stanie się kiedyś dzielną kobietą — a ta pochwała w jej ustach, tak skąpo udzielających pochwał, miała wielkie znaczenie.

W lecie ruch w handlu nasionami ustał i osoby zajmujące się ekspedycją musiały sobie aż do jesieni znaleźć gdzie indziej robotę, ale Helenka, zajmująca się oprócz ekspedycji rachunkami, miała ciągle zajęcie. Spisywała inwentarz pozostałych nasion, odliczała po kilkadziesiąt ziarn[85] każdego gatunku do wysiewu próbnego, który miał wykazywać ich siłę kiełkowania i zdecydować, czy mają pójść jeszcze w handel, a więc żyć, czy też zostaną wyrzucone — więc na zagładę skazane. Przygotowywała też nowy katalog i wyręczała w niektórych łatwiejszych czynnościach biurowych i korespondencji panów Radliczów, ojca i syna, z których pierwszy, jako zamożny przemysłowiec i obywatel dobrze rozumiejący potrzeby i interesa swego społeczeństwa brał czynny udział w wielu instytucjach publicznych, a drugi trudnił się ogrodnictwem. Powierzywszy dozór nad cieplarniami swemu pomocnikowi, Andrzej spędzał większą część czasu na wsi u dziadka, gdzie na wielką skalę prowadzono hodowlę nasion. Helenka wiele godzin przepędzała sama jedna w kantorze, ale co niedziela i co święto jeździła z całą rodziną na wieś. Zboża i jarzyn gospodarczych uprawiano tam tylko tyle, ile było potrzeba na użytek miejscowy, a całe pola obrócono pod hodowlę nasion. Piękny był widok tych kwitnących pól, wyglądających jak olbrzymie kobierce utkane z tysiącznych kwiatów — barw o tyle różnych i bogatych, o ile stać na to przyrodę, szczodrą rozdawczynię tych przepychów. Kobierzec ten ulegał czarownym przemianom, bo jak za potrząśnieniem kalejdoskopu, nowe, nie widziane przedtem ukazują się kombinacje, tak tam każdy miesiąc, każdy tydzień nową zmianę przynosił. Przekwitły jedne kwiaty, na ich miejsce wystąpiły inne; przemiana odbywała się bez przygotowań żadnych. Rzekłbyś, że wieszczka jakaś dobra potrząsnęła swym niewyczerpanym nigdy rogiem obfitości i nowe z niego posypały się barwy, nowe kosztowności, nowe kwiaty. Helenka z rozkoszą chodziła między grzędami, roznoszącymi dokoła woń upajającą; była to prawdziwa biesiada dla jej wrażliwej, na wskroś poetycznej natury. Tu wabią grzędy astrów różnobarwnych, ubranych w tęcze, tam migocą jak klejnoty Golkondy[86] świetne zagony mieczyków, wdzięczny a figlarny tłum stroiczek, bratków, polegnatek, stokrotek, lnianek i setek innych kwiateczków, jak fale opalów, migocących w południowym słońcu.

W czasie sprzętu[87] cała rodzina robiła sobie dwutygodniowe wakacje, do których włączono i Helenkę; pomagano na pół żartem, pół serio zbierać nasiona, łuskać je, suszyć. Co się przy tym najeżdżono wozami, ile podwieczorków zjedzono na świeżym powietrzu, a jaki wszyscy mieli dobry apetyt, trudno wypowiedzieć! Jedna tylko Wanda pracowała naprawdę. Dla niej była to prawdziwa kampania, bo ogień pod kotłami, w których gotowały się soki lub owoce w syropie na konfekty, prawie nie ustawał. Była tak czynna, że literalnie nie miała chwili czasu na wypoczynek.

Życie na wsi bardzo dobrze oddziałało na organizm panny Oreckiej: cera się poprawiła, kształty wypełniły, humor był zawsze dobry, a umysł swobodny i wesoły. Zawód, doznany z powodu Stefana, nie zostawił wielkiego śladu w jej sercu: ból był chwilowy,

[85] *ziarn* — dziś raczej: ziaren. [przypis edytorski]

[86] *Golkonda* — daw. miasto i forteca w płd. części Indii, położone w pobliżu kopalń diamentów i słynące z bogactwa; w XVI w. było niepodległym państwem, w 1687 r. zostało zdobyte i zniszczone przez armię Wielkich Mongołów. [przypis edytorski]

[87] *sprzęt* — tu: żniwa, zbiory dojrzałych upraw. [przypis edytorski]

rana niegłęboka, więc też zagoiła się prędko. Przekonała się Helenka, że kochała raczej głową niż sercem człowieka, którego wartości wewnętrznej nie znała, a który ją olśnił powierzchownymi tylko przymiotami — bo nawet dopóki wierzyła, że ją kochał, miłość ta nigdy nie napełniała ją taką dumą i zadowoleniem, jak teraz przyjaźń Andrzeja. Jego wyższość nad sobą czuła na każdym kroku; jego rozum, energię i siłę woli ciągle zmuszona była podziwiać. Tylko do uczuć tkliwszych, do uczucia miłości, na przykład, ten człowiek nie zdawał się być zdolnym — i Helenka mówiła sobie, że serce jego pewnie nigdy nie uderzy dla kobiety. Zajęty ciągle swoją pracą i myślący o wielkich celach nie znajdzie czasu ani miejsca na takie uczucie.

Swobodne to i prawie szczęśliwe życie zakłóciła rzecz drobna na pozór: Helenka dowiedziała się od Wojciecha, że robotnik, wydalony przez Andrzeja za próżniactwo, zjawił się znowu we wsi — a chociaż nie przychodził już dopominać się jałmużny, sam fakt, że tu był znowu, poruszył ją do głębi. Przypomniała sobie jego groźbę, jego wzrok tchnący nienawiścią i ogarnęła ją trwoga. Od dnia, gdy się o tym dowiedziała, nie miała ani chwili spokoju, a każda dłuższa nieobecność Andrzeja nasuwała jej przypuszczenie, że mu się stać musiało coś złego. Serce jej biło z obawy i nie uspokajało się dopóty, dopóki znane kroki nie dały się słyszeć w sieni.

„Jest zacny, szlachetny — mówiła do siebie, tłumacząc się przed sobą z tego dziwnego usposobienia — więc szkoda by go było, gdyby miał ulec jakiemu wypadkowi z ręki złego człowieka".

Nie opowiadała jednak o swoich obawach nikomu; coś zamykało jej usta.

„Powiedzą, że jestem dziecinna" — myślała.

Jednego wieczora robotnicy od dawna już zeszli z pól, cisza zaległa na plantacjach, a Andrzej nie wracał; podano wieczerzę, a Andrzeja nie było. Helenkę w tym dniu gorsze dręczyły przeczucia niż kiedykolwiek: wymówiła się bólem głowy i wyszła do ogrodu, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Bezwiednie niemal skierowała się w stronę, skąd można było widzieć powracającego. Idąc, zrywała rosnące nad brzegiem rabat bratki, kwiaty, które on lubił najwięcej i których wiązkę ofiarował jej niedawno, jako symbol łączącego ich oboje braterstwa. Słońce już zaszło, tylko ostatnie jego blaski paliły się jeszcze na widnokręgu: w krzakach i gąszczach drzew zaczynało już być mroczno. Powietrze po dniu upalnym przyjemne było i orzeźwiające; lekki wiatr chłodził gorące czoło dziewczęcia i poruszał gałęziami drzew, które wydawały czasami szmer cichy, podobny do głębokiego, przeciągłego westchnienia.

Stary Wojciech kręcił się jeszcze po ogrodzie ze swoją koneweczką i gderał pod nosem na teraźniejszych ogrodników, którym się zdaje, że są mądrzy dlatego, że książki czytają — a nie wiedzieliby, jak co zrobić, gdyby on im tego nie powiedział — a gderanie to przerywał sobie pośpiewywaniem swoich starych, ulubionych piosneczek. Chwilami staruszek rzucał figlarnym okiem na pannę Orecką z taką miną, jakby chciał mówić:

„Wiem coś, ale nie powiem".

Idąc koło parkanu Helenka usłyszała szmer ostrożny, jakby się kłoś skradał, i zadrżała. Przyłożyła oko do szpary w parkanie i zobaczyła twarz widzianą raz tylko, ale niezapomnianą, twarz chudą, bladą, ze złowrogo błyszczącymi oczyma. A więc nie myliły ją przeczucia, człowiek ten miał złe zamiary, bo dlaczego tu przyszedł, kiedy wiedział, że jest ścigany przez policję? Dlaczego narażał się na schwytanie? Czemu się skradał tak cicho pod parkanem? Być może, że przyszedł tylko odwiedzić swoją żonę, wyrobnicę, mieszkającą niedaleko, ale któż mógł zaręczyć, że nie po co innego przyszedł? Wyobraźnia przedstawiła jej oczom Andrzeja leżącego we krwi i bez życia, a widok ten obudził w jej sercu taką boleść, taką rozpacz niemal, że zdumiona tym zjawiskiem, z trwogą zadała sobie pytanie, co to znaczy i dlaczego ten człowiek tak bardzo ją obchodzi? Nie znalazła odpowiedzi ani w milczących niebiosach, ani w cichym szumie drzew, tylko serce jej rzucało się w piersiach gwałtownie. Krwawy rumieniec oblał jej czoło, twarz i szyję. Po boleści poznała, że go kocha, a odkrycie to uczyniło ją bardzo nieszczęśliwą — bo on jej nie kochał. Był jej przyjacielem i bratem, ale nigdy nie okazywał jej nic więcej prócz przyjaźni; był dla niej dobry, to prawda, znalazł się przy niej w chwili najcięższej dla niej i gdy ją wszyscy opuścili, ale to było przez przyjaźń także. Nie kocha jej i nie pokocha nigdy, bo czyż kilka miesięcy temu nie mówił do swojej siostry, że nie takiej jak ona potrzeba mu towarzyszki. Wyrzucała sobie, że, wiedząc o tym, pokochała go jednak. Gdzie

była wtedy jej duma, gdy pozwoliła wkraść się do swego serca tej nieszczęsnej miłości, i dlaczego pokochała właśnie tego człowieka, który był tak daleki od ideału, jaki sobie niegdyś wytworzyła — bo ani piękny, ani salonowy, ani gładki?... Dłuższe pozostawanie w tym domu wobec takiego stanu rzeczy było niemożliwe; po co miała narażać się na codzienne tortury widywania go i na uczucie upokorzenia przed sobą? Raczej oddalić się stąd co prędzej i nie widzieć go więcej, zapomnieć o nim! Czuła, że tamto uczucie dla Stefana było niczym wobec tego, że teraz dopiero kocha całą potęgą duszy.

Ale jakże oddalić się teraz, gdy mu grozi takie niebezpieczeństwo! Czyż nie lepiej poczekać jeszcze kilka dni? Opuszczenie tego domu, w którym nauczyła się myśleć porządnie, rozumieć cel życia i obowiązki swoje, było dla niej bardzo przykre — ale czyż mogła uczynić inaczej?

Usłyszała na ścieżce kroki dobrze sobie znane i chciała odejść. Teraz właśnie, gdy nie odzyskała jeszcze zwykłego spokoju, wolała go nie widzieć: ale on się zbliżał tak szybko, że mógłby dostrzec uciekającą, a to byłoby jeszcze gorzej. Przycisnęła obiema rękami serce, rzucające się w piersiach gwałtownie, i kazała mu być cicho, ale serce nie było posłuszne, wyrywało się ku temu, który nadchodził.

Andrzej szedł oglądając się na wszystkie strony, a ujrzawszy Helenkę z daleka, przyśpieszył kroku.

— Szukam pani po całym ogrodzie — rzekł uchyliwszy słomianego kapelusza. — Elżunia powiedziała mi, że pani jest cierpiącą. Czy to prawda?

W głosie jego była troskliwość i serdeczność. Helenka wsłuchiwała się uważnie w te dźwięki.

„Nie — myślała — nie kocha mnie, to jasne. Obchodzi się ze mną jak brat lub ojciec. Jakiż on dobry, że nie kochając troszczy się jednak o mnie!" — Istotnie — głowa mnie boli — odpowiedziała — ale to nic nie szkodzi, a nawet — dodała przymuszając się do wesołości — wedle teorii pańskiej, ból ten, jak każdy inny, zahartuje mnie.

— Porzuć pani te żarty — dodał porywczo trochę — masz pani dosyć hartu, dowiodłaś już tego. Nie trap pani dłużej swego przyjaciela i powiedz, co ci jest. Wyglądasz tak, jakby nie tylko fizycznie, ale i moralnie ci coś dolegało.

Helenka uczuła, że nogi pod nią drżą, i usiadła na ławce stojącej opodal. Andrzej usiadł przy niej.

„Precz z tą słabością — rzekła do siebie — skończmy lepiej od razu". — Zgadłeś pan, jest coś, co mi dolega i w czym właśnie pragnę zasięgnąć pańskiej rady i pomocy. Nie odmówisz jej pan wszakże, prawda?

— Czy pani potrzebujesz pytać się o to? — zapytał z lekkim wyrzutem — mów pani!

— Czy pan uważasz mnie za dość już biegłą w pisaniu rachunków?

— Tak jest. Skorzystałaś pani bardzo wiele i mogłabyś już sama książki prowadzić.

— Czy pan przypuszcza, że z tą moją znajomością mogłabym dostać miejsce[88] gdzie indziej?

— Tak sądzę — odrzekł dziwiąc się temu, co słyszał — ale dlaczego pani o to pyta?

— A więc zrób pan to dla mnie i zarekomenduj mnie Domowi Handlowemu w H., z którym ciągłe macie stosunki. Muszę opuścić dom państwa...

— Co to znaczy! — zawołał głosem lekko zmienionym — chcesz nas pani opuścić tak nagle, gdy wczoraj jeszcze mowy o tym nie było? Co się takiego stało? Czy panią kto obraził?

— Nie, panie Andrzeju, wszyscy są dla mnie dobrzy. I mnie będzie bardzo przykro rozstawać się z państwem, ale... ale muszę. Chcę być bliżej rodziców.

Andrzej patrzył się w twarz dziewczęcia swoim bystrym, przenikliwym wzrokiem i patrzył tak długo, jakby ją chciał na wskroś przeniknąć. Ona wytrzymała spokojnie to badanie, tylko trochę więcej pobladła — i była między nimi chwila milczenia, podczas której nie było słychać nic prócz szmeru gałęzi, poruszanych wiatrem.

— Panno Heleno — rzekł poważnie, biorąc jej rękę zimną jak lód — pani nie mówisz prawdy swojemu przyjacielowi. Tu jest jakaś inna przyczyna, którą pani widocznie ukrywasz przede mną. Czy sądzisz, że nam tak łatwo przyjdzie obejść się bez pani? Po-

[88] *miejsce* — tu: posada, zatrudnienie. [przypis edytorski]

rzuć, pani, proszę, ten zamiar. Będę się starał wyjednać u ojca częstsze urlopy dla pani, a zostań z nami. Wzięłaś mnie, pani, sobie za brata i chcesz się mnie teraz pozbyć?

Gdy to mówił, stary Wojciech poszedł koło nich z grabiami w jednej ręce, a koneweczką w drugiej, śpiewając:

Z wysokich parnasów
niezbyt dawnych czasów,
pompatyczne nasze intenta —
którym serce płonie
ku twojej personie,
najszczęśliwsze dla mnie momenta.
Wasindźkaś[89] okrutna,
srodze bałamutna;
prędzej by się skały
ubłagać mi dały.
A pfe, mościa panno, być taką![90]

Helenka wysunęła łagodnie rękę z jego dłoni.

— Chodźmy stąd — rzekła wstając — bo czuję chłód.

Andrzej wstał także.

— Nie odpowiedziałaś mi, pani — szepnął.

— Panie Andrzeju — rzekła zatrzymując się — nie pytaj mnie pan o nic, ale chciej wierzyć, że czynię to tylko, co powinnam. Ja ufałam panu zawsze... zaufaj mi pan choć raz. Za brata pana uważać nie przestanę, jak również nie zapomnę nigdy, ile panu jestem winna. Pan rozbudziłeś moją duszę, pan wskazałeś mi prawdziwe cele życia, pan na koniec wpłynąłeś na to, że stałam się tym, czym jestem...

— I nie chcesz pani, żebym się dłużej cieszył widokiem mego dzieła, żebym dalej patrzył na rozwój pięknej duszy? O, panno Heleno, twój przyjaciel musi ci być bardzo obojętny, kiedy go tak zasmucasz!

Helenka milczała.

— Ale pani tego nie zrobisz, nie puścimy pani! Ja sam będę się temu opierał wszelkimi siłami.

Helenkę ogarnął przestrach.

— Jeżeli pan jesteś moim prawdziwym przyjacielem, jeżeli drogi jest panu mój spokój, nie będziesz się temu sprzeciwiał...

— Więc postanowienie pani jest nieodwołalne? — zapytał.

— Nieodwołalne — rzekła głucho.

— A zatem — przemówił po chwili milczenia — pozostaje mi tylko schylić głowę przed wolą pani i dopomóc do wykonania zamiaru, o ile to będzie w mej mocy. Czy pani nie zechce oprzeć się na moim ramieniu?

Chciała dać odpowiedź odmowną, ale obawiała się, aby to unikanie bliższego z nim zetknięcia nie wprowadziło go na jakie domysły, więc przyjęła ramię w milczeniu. Czas jakiś szli, rozmawiając o rzeczach obojętnych, ale rozmowa urywała się co chwila. Słychać było tylko śpiew Wojciecha:

Nawet i cyprysy
mają swe kaprysy,
że się przed zefirem nie ugną.
Lecz przyjdą te chwile,
że się ugną mile
i wzajem na siebie mrugną.
Wasindźkaś okrutna,
srodze bałamutna;

[89] *Wasindźkaś okrutna* (daw.) — jest pani okrutna. [przypis edytorski]

[90] *Z wysokich parnasów (...) A pfe, mościa panno, być taką!* — jedna z wersji tradycyjnego poloneza staroszlacheckiego. [przypis edytorski]

z wierzchu kondemnaty[91],
w sercu alternaty[92].
A pfe, mościa panno, być taką!

Helenka posłyszała szelest za parkanem i niepokój, o którym była zapomniała na chwilę, ogarnął ją na nowo. Nie wiedziała, jak postąpić — bo jeżeli mu powie o swych obawach, to on zamiast stąd odejść, zostanie właśnie i narazi się na niebezpieczeństwo. Odpowiadała na jego słowa z roztargnieniem, nareszcie nie mogąc dłużej znieść tej męczarni, rzekła:

Oświadczyny

— Panie Andrzeju, ten człowiek, któregoś pan wypędził, ten robotnik, może tu przyjść jeszcze kiedy. Widziano go podobno we wsi... Zdaje mi się, że on ma złe zamiary względem pana. Otóż... chciałam pana o tym ostrzec i prosić... żeby pan na jakiś czas przynajmniej zaniechał swoich samotnych wycieczek i nie wychodził z domu bez broni. Czy dobrze?

Mówiąc to nie patrzyła na niego. Andrzej przystanął. Nadzieja, którą już utracił, ożyła w nim na nowo. Powziął postanowienie zatrzymania dziewczęcia bądź co bądź.

— Czyż życie moje ma jakąkolwiek dla pani wartość, że żądasz tego ode mnie? — zapytał z cicha.

— Ależ naturalnie — odparła z przymuszoną swobodą — czy pan nie jesteś moim przyjacielem, moim dobrym bratem?

— Nie! — zawołał ze zwykłą sobie gwałtowną szorstkością — nie jestem bratem pani i nie chcę nim być. Mam już trzy siostry i nie pragnę czwartej! Bądź pani towarzyszką mojego życia, bądź moją żoną albo mnie odepchnij! Jestem nieprzyjacielem półśrodków. Wszystko albo nic!

Ale ona go nie odepchnęła, choć, ująwszy jej ręce, gorąco je do ust przyciskał, tylko wyraz zdziwienia przemknął po jej bladej twarzy. Byłaż to rzeczywistość czy złudzenie?

Przemiana, Kobieta

Czyż podobna, żeby on ją kochał, on, który jej tego nigdy niczym nie dał poznać?

Podniosła ku niemu oczy.

— Ale ja jestem tylko „słabym, wątłym dzieckiem" — szepnęła — panu potrzeba innej towarzyszki... sam pan to powiedziałeś...

— Nie karz mnie, pani, za słowa nieopatrznie wypowiedziane i które odnosiły się do pani ówczesnej — mówił ze wzruszeniem — dzisiejsza, widzę to jasno, będzie mi towarzyszką, o jakiej zawsze marzyłem...

— Daj mi pan czas umocnić się w tym wszystkim, czegoście mnie nauczyli — odparła z uśmiechem. — Jeżeli mam być towarzyszką pańskiego życia, panie Andrzeju, to chcę być towarzyszką dzielną, abyś nie żałował nigdy kroku, który czynisz. Trzeba mi jeszcze zmężnieć duchem...

Obok nich przesunął się znowu Wojciech pchający przed sobą wózek i śpiewając:

Po wierzchu marmury,
a w sercu turtury,
a w sercu tur-tur-tur-tur-tur-tury.
Daj mi, pani, rączką,
daj, proszę, obrączkę,
niech tych tur-tur-tur nie znoszę.
Wasindźkaś okrutna,
srodze bałamutna;
nawet i turkawki
mają swe zabawki.
A pfe, mościa panno, być taką!

Andrzej właśnie o czymś przekonywał Helenkę, coś jej mówił po cichu, o coś prosił, gdy stanęła przed nimi pani Radliczowa.

[91] *kondemnata* (daw., z łac.) — wyrok sądowy. [przypis edytorski]
[92] *alternata* (daw., z łac.) — tu: odmiana, zmienność. [przypis edytorski]

— Nareszcie cię znajduje, moje dziecię — rzekła zwracając się do panny Oreckiej z serdeczną w głosie troskliwością. — Od godziny szukamy cię wszyscy i niepokoimy się o ciebie! Nie piłaś herbaty, skarżyłaś się na ból głowy, wyszłaś do ogrodu na chwilę tylko, a nie wracałaś do nas długo... Wysłaliśmy po ciebie Andrzeja, ale ten niedobry chłopak i zguby nie znalazł, i sam przepadł, i jeszcze trzyma cię tu na rozmowie wśród chłodu i wilgoci. O nierozważny chłopcze, czyż nie wiesz, że to jest organizm wątły i delikatny, i że co tobie nie szkodzi, ją może o chorobę przyprawić?

Helenka słuchała jej z radosnym wzruszeniem. Musiała jednak mieć dla niej trochę serca ta kobieta nie lubiąca próżnych słów i używająca ich nadzwyczaj oszczędnie, prawie skąpo, skoro się tak o nią troszczyła... Ale jak też ona przyjmie wiadomość o postanowieniu syna?

— Mateczko — rzekł uniewinniając się Andrzej — prawda, że wysłałaś mnie po pannę Helenę dawno, ale gdy się idzie szukać żony, nie wraca się tak prędko jak z pierwszą lepszą zgubą... Przedstawiam mamie moją narzeczoną.

Sędziwa kobieta stanęła zdumiona.

— Jak to, mój synu — przemówiła spoglądając kolejno na oboje — i tyż to, ty, pokochałeś tę... księżniczkę?

— Księżniczka dawno już zdjęła z głowy koronę i umie pracować jak prosta robotnica. Pokochaj ją, mateczko!

— Nie potrzebujesz mnie o to prosić, mój chłopcze. Dawno już ona zyskała moje serce... Chciałam wprawdzie dla ciebie innej żony, nie tak delikatnej, ale skoro ją pokochałeś, to szczęść wam Boże! Twoja księżniczka jest warta miłości. Helenko — dodała głosem, w którym czuć było wzruszenie — przebacz mi wszystkie ostre wyrazy, którymi cię nieraz zraniłam; czyniłam to tylko dla twego dobra, wierz mi... Uściskaj mnie, moja córko!

Wyciągnęła do niej ramiona i dwie kobiety, które z początku patrzyły na siebie tak niechętnie, złączyły się w długim, serdecznym uścisku.

Gdy wrócili do pokoju i Andrzej oświadczył siostrom, że będą miały bratową, nastąpiła ogólna radość. Jednocześnie prawie dało się słyszeć w sieni ciężkie, niepewne stąpanie, stuk kija, macanie rękami po ścianie i około klamki.

— Dziadek idzie — rzekła Wanda i pośpieszyła drzwi otworzyć.

— Czekam, czekam — mówił starzec wchodząc — i nikt mi nie przychodzi powiedzieć, czy już wróciło to dziecko. Zapomnieliście o starym! No, jakże, czy jeszcze ją głowa boli? Gdzie ona jest, ta mała?

— Już wyzdrowiała — odrzekła Wanda wesoło. — Zbliż się do dziadka, Helenko, żeby się mógł przekonać, żeś zdrowa i cała. Ale nasz Andrzej zachorował na serce, kochany dziadku: żeni się.

— Z nią? Wojciech to już dawno przepowiedział. Niech wam Bóg błogosławi, moje dzieci. Nie mówię: bądźcie szczęśliwi, bo szczęście wasze od was samych zależy, ale wam życzę, żebyście nie zapominali ani na chwilę, że jest dokoła was pełno takich, którzy cierpią... Żebyście zakładając rodzinę pamiętali, że ona jest tylko cząstką większej rodziny, której sprawy mają wam być droższe niż wasze własne — i abyście, kiedyś, jak ja, zstępowali w grób z wiarą w swoje ideały.

Młodzież słuchała tych słów ze czcią i wzruszeniem, a po jego odejściu spędziła jeszcze kilka godzin na rozmowie, której przedmiotem było układanie planów na przyszłość. Wszyscy byli ożywieni; jedna tylko Wanda, tak pogodna zawsze, zamyślała się częściej i wyglądała na bardzo znużoną.

— Czy ona nie chora? — spytała Helenka Andrzeja, zwróciwszy na to jego uwagę.

— Nie — rzekł potrząsając głową — tylko jutro przypada rocznica śmierci jej narzeczonego. My zapomnieliśmy o tym, ale ona pamięta...

Helence łzy w oczach stanęły. Dzień jej szczęścia był dniem bolesnych wspomnień dla Wandy. Wyrzucała sobie prawie, że się czuła szczęśliwą.

Gdy wszyscy powiedzieli sobie dobranoc i rozeszli się na spoczynek, Helenka, która już pacierz zmówiła i zaczęła się rozbierać, przypomniała sobie, że zostawiła w jadalnym pokoju swoje bratki, zapomniawszy je w wodę włożyć. Chcąc tam się jednak dostać, trzeba było przechodzić przez pokój Wandy. Zarzuciła na siebie okrycie i poszła do niej, wiedząc, że jeszcze nie śpi, bo nie miała zwyczaju kłaść się bardzo wcześnie; czytywała co dzień

do późna. Przed drzwiami pokoju jednak Helenka zatrzymała się. Usłyszała gwałtowne łkanie, a wśród tych łkań wymawiane imię Jerzego z rozpaczą, namiętną tęsknotą.

— Ach — szepnęła — więc ta spokojna, pogodna zawsze kobieta cierpi jednak czasami jak prosta śmiertelniczka! Byłam pewna, że czas złagodził jej boleść, a ona nosi ciągle w sercu krwawiącą się ranę i żyje z nią, chodzi, pracuje... Jutro, choć to dzień jeszcze boleśniejszy dla niej, okaże wszystkim twarz spokojną i nikt nie domyśli się nawet, co się z nią działo w tej chwili. Jakaż olbrzymia siła mieszka w jej piersi!

Oddaliła się na palcach i wróciła do siebie, ale zaledwie otworzyła drzwi, ujrzała na ścianie odblask łuny. Spojrzała w okno i zobaczyła, że płomienie wydobywały się z dużego drewnianego budynku, w którym był skład nasion. Rozległy się okrzyki: Gore, gore! — i w jednej chwili cały dom zerwał się do ratowania, a po dziedzińcu ludzie zaczęli biegać w tę i ową stronę. Wkrótce znalazły się drabiny, sznury, sikawki, bo wieś była dobrze zaopatrzona pod tym względem, i strumienie wody trysnęły w górę, ale już było za późno. Płomienie, z początku wydobywające się pojedynczo spod dachu, zlały się w jedną wielką pochodnię, bo materiał złożony tam wysuszony był doskonale i palił się jak słoma. Nie było już nawet mowy o uratowaniu go. Cała energia ratujących pod przewodnictwem Andrzeja zwróciła się teraz na obronę sąsiednich budynków, żeby ognia do nich nie dopuścić. Cały tegoroczny zbiór nasion, przedstawiający wartość kilkunastu tysięcy rubli, spłonął ze szczętem. Była to znaczna klęska! Nikt nie spał tej nocy.

Ogień

Pana Radlicza nie było na wsi, przyjechał dopiero nad ranem, gdy już ogień zupełnie ugaszony został. Dowiedziawszy się o wszystkim nie okazał ani zdziwienia, ani gniewu; potrząsnął tylko głową. Pokazano mu też paczkę zapałek i duży zwitek pakuł, znaleziony nie opodal miejsca pożaru; były to dowody, że pożar powstał z podpalenia, nie z przypadku. Kto się tego dopuścił, nietrudno było zgadnąć, bo byli tacy, co go widzieli wieczorem kręcącego się koło budynków, i tacy, co słyszeli, jak się odgrażał w karczmie, że puści z dymem Radliczów.

— Nie tyle mnie boli strata materialna, ile nędza moralna tego człowieka — rzekł posępnie pan Radlicz — ile niedola tych ciemnych, biednych mas... Światła brak, światła! Ale światła rozpalone w różnych punktach gasi jakby naumyślnie wiatr nieprzyjazny i zasypuje popiołem... Nie jest to jednak powód do opuszczenia rąk, przeciwnie, należy światła nieustannie rozpalać, chociażby ciągle gasnąć miały; nawet owe krótkie błyski między rozpalaniem a zgaśnięciem zdadzą się na coś. Do ciebie to mówię, Wandziu. Mam i ja dla was niewesołą nowinę. Dom Handlowy S...ling i Spółka, w którym mieliśmy ulokowane nasze kapitały, zbankrutował! Jesteśmy prawie zrujnowani!

Wiadomość ta sprawiła silne na wszystkich wrażenie: syn, milcząc, patrzył w ziemię; Andzia i Elżunia zalewały się łzami — jedna tylko Wanda wysłuchała nowiny tak spokojnie, jak gdyby jej nie dotyczyła wcale. Wzięła ze stołu słomiany kapelusz i wyszła.

„Mój Boże — pomyślała sobie Helenka patrząc na panią Radliczową, której ręce, trzymające jakieś klucze, drgnęły i zacisnęły się kurczowo — co to za cios dla tej kobiety, tak oszczędnej i tak dumnej ze swego bogactwa zdobytego w pocie czoła; ona pewnie teraz wybuchnie namiętną boleścią..."

Ale pani Radliczowa zapanowała nad sobą, patrzyła ona na swoje dzieci, a czoło jej pomarszczyło się w ostre fałdy.

Matka

— Nie wstydźe wam tak upadać na duchu! — przemówiła surowo. — Strata majątku jest rzeczą przykrą, ale nie jest przecież nieszczęściem! Zanim doszliśmy do zamożności, byliśmy ubodzy i wiemy, że ubóstwo nie jest niczym strasznym: znamy się z nim dobrze — choćbyśmy nawet wszystko stracili, powitamy je tylko jako dawnego dobrego znajomego. Nie mieliśmy nic i dorobiliśmy się; dorobimy się i teraz. Wówczas mieliśmy tylko dwie głowy i dwie pary rąk, a teraz mamy siedem głów i siedem par rąk, dom w Warszawie, grunta na wsi, mamy dobre imię u ludzi i doświadczenie, którego nie mieliśmy wówczas, a które uchroni nas od błędów i omyłek. Wytrzymaliśmy dużo, wytrzymamy i więcej jeszcze. Czyż nie hartowałam was? Czyż nie przyzwyczajałam do trudów i niewygód? Podnieście głowy, bo pomyślę, że wychowałam umysły tchórzliwe!

Helenka słuchała nie wierząc własnym uszom. I to mówiła ta sama kobieta, która cerowała pończochy, zbierała skrzętnie sznurki, papiery, kawałki chleba i strofowała służbę o drobne uchybienia? Postać jej niewielka, choć barczysta, zdawała się rosnąć coraz wy-

żej, wyżej i wyżej, w miarę, jak mówiła, a twarz zawsze surowa, piękną była wyrazem siły i męstwa. Helenka nie przypuszczała, że w tej oszczędnej gospodyni bije serce tak bohaterskie, tak dzielne i umiejące dźwigać zesłabłych.

Pan Radlicz wstał i przycisnął żonę do piersi.

— Elżbieto — rzekł — powiedziałaś to samo, co ja chciałem powiedzieć. Dzięki ci. Nosisz męską głowę na barkach kobiety!

— Mateczko, mateczko! — wołały dzieci otaczając ją — my nie lękamy się widma niedostatku. To była tylko chwilowa słabość, chwilowy przystęp żalu, bo ponieść tyle trudów i stracić owoc w jednym dniu to trochę boli... Nie gniewaj się na nas, mateczko!

— Mateczko — mówił syn obejmując ją tkliwie — ja kocham bardzo moją przyszłą żonę, ale ty, mateczko, jesteś i będziesz zawsze moim ideałem!

— I moim — dodała Helenka całując jej ręce. — Czy wasza matka płakała kiedy? — spytała po chwili półgłosem narzeczonego.

Łzy

— O, i nieraz — odpowiedział zamyślając się. — Płakała, gdy nasz dziadek, wróciwszy z dalekiego kraju, macał rękami ściany swojego starego domu, którego już nie mógł widzieć, płakała, gdy Jerzy umarł; płakała, gdy bliski jej krewny, człowiek pięćdziesięcioletni, który w jednej parafii przez trzydzieści lat pełnił obowiązki kapłańskie, musiał iść na tułaczkę z żoną i dziećmi[93]; płakała, gdy dwunastoletni synek naszej ciotki kołatał do wszystkich z kolei gimnazjów w Warszawie, nie mogąc się dostać do żadnego dla braku miejsca[94], bo na piętnaście miejsc próżnych bywało pięćdziesięciu i więcej kandydatów — i płakała, gdy garstki pijanych włóczęgów i obałamuconych dzieci rozbijały bezkarnie po ulicach Warszawy sklepy żydowskie[95] i niszczyły ich mienie...

Wanda nieobecna przy tej rozmowie weszła teraz do pokoju, prowadząc za rękę dwoje dzieci z konopiastymi włosami.

Społecznik, Opieka, Poświęcenie

— Ojcze — rzekła zwracając się do pana Radlicza — to są dzieci tego, który podpalił. Po tym, co dzisiaj zrobił, zostanie niezawodnie schwytany i nie będzie mógł troszczyć się o swoją rodzinę. Jego żona jest chora i nie może pracować; dzieci nędzne i wygłodniałe. Zabrałam ich wszystkich tutaj: gdy wyleczę kobietę, dam jej sposób do pracy, a dzieci wychowam na porządnych ludzi. Starczy mi na to czasu. Powiedziałeś, ojcze, że trzeba rozpalać światła; sądzę, że dobrze zrobię dając trochę światła i trochę ciepła tym biedakom...

Chłopczyk mógł mieć najwyżej lat pięć. Ubrany był w duży, podarty spencerek, włożony wprost na koszulę i sięgający mu aż do pięt; trzymał się sukni Wandy i chował za nią, rzucając dokoła siebie przestraszone spojrzenia. Dziewczynka dwuletnia nie miała innego ubrania prócz koszulki i kołysała się na krótkich, chorobą angielską wykrzywionych nóżkach. Trzymając palec w buzi, patrzyła jasnymi jak bławatki oczyma na panią Radliczową, która musiała ją bardzo zaciekawiać. I ta twarda kobieta, która nie uroniła jednej łzy nad stratą swego majątku, nie mogła teraz znieść niewinnego wzroku dzieci zbrodniarza. Cała jej natura kobieca poruszyła się w niej i łzy stoczyły się po twarzy.

— Patrz, pani — szepnął Andrzej do Helenki — patrz, matka płacze!

— Dobrze zrobiłaś, moje dziecko — rzekł pan Radlicz do Wandy — niech ci Bóg błogosławi.

— Błogosławieństwem twoim, mój ojcze, podzielę się z Jerzym, którego testament wykonywam[96] — odrzekła głosem lekko drżącym.

Zegar wybił godzinę szóstą: była to godzina jego śmierci i pogrzebu.

---

[93]*płakała, gdy bliski jej krewny, człowiek pięćdziesięcioletni, który w jednej parafii przez trzydzieści lat pełnił obowiązki kapłańskie, musiał iść na tułaczkę z żoną i dziećmi* — mowa o księdzu unickim, szykanowanym przez władze carskie w zaborze rosyjskim. Kościół unicki (greckokatolicki) powstał na terenie Polski w 1596 r. w wyniku unii brzeskiej, łączył prawosławny obrządek i tradycję (w tym zwyczaj zakładania rodzin przez księży) z podporządkowaniem władzy papieża. Rząd rosyjski dążył w XIX w. do przywrócenia prawosławia na terenie dawnej Polski. [przypis edytorski]

[94]*synek naszej ciotki kołatał do wszystkich z kolei gimnazjów w Warszawie, nie mogąc się dostać do żadnego dla braku miejsca* — jedną z form represji za dążenia niepodległościowe Polaków było zamykanie szkół. [przypis edytorski]

[95]*płakała, gdy garstki pijanych włóczęgów i obałamuconych dzieci rozbijały bezkarnie po ulicach Warszawy sklepy żydowskie i niszczyły ich mienie* — nawiązanie do pogromu warszawskiego, który miał miejsce w Boże Narodzenie 1881 r. Zabito wówczas 2 osoby, 24 zostały ranne, 1000 rodzin straciło środki do życia, zniszczono mienie 10000 Żydów. [przypis edytorski]

[96]*wykonywam* — dziś: wykonuję. [przypis edytorski]

Wszyscy uklękli.

*

Rodzina taka, jak rodzina Radliczów, nie mogła długo być zrujnowaną; wszyscy jej członkowie mieli w sobie takie zasoby sił i takie uznanie ludzi, że otworzono im kredyt i z jego pomocą zaczęli szybko dźwigać się z ruiny. Za kilka lat niezawodnie odzyskają wszystko, co stracili.

Obywatele z okolicy M. mają zamiar założyć między sobą spółkę ziemiańską, wzorem spółek powstałych w różnych okolicach kraju; ale nauczeni smutnym doświadczeniem Domu Handlowo-Komisowego, postanowili wezwać na zarządzającego człowieka fachowego, dobrze obeznanego z handlem — zaproponowali przewodnictwo Andrzejowi, który je przyjął; ma bowiem zamiar założyć filię swego zakładu w M. na gruntach pana Marcina. Ten ostatni zostanie kasjerem nowej spółki, ale pieniędzy nie będzie mógł wydawać inaczej, jak za asygnacjami Andrzeja. Od czasu gdy mu o tym powiedziano, pan Marcin odmłodniał o lat dziesięć i cieszy się, że znowu będzie mógł wpływać na losy kraju. Choć spółka nie została jeszcze zawiązaną, nadstawia pilnie uszu w stronę rzeki, bo zdaje mu się, że słyszy znowu przybijanie do brzegów statków zarzucających kotwicę w jego przystani.

Dziedziniec inaczej teraz wygląda: w parkanie nie ma otworów wentylacyjnych. Został starannie wyreparowany, a na deskach jego czerwienią się i złocą porozpinane brzoskwinie, morele i winogrona. Znać, że w tym domu przebywa ogrodnik specjalista, zamiłowany w swoim zawodzie. Przy domu są przepyszne klomby krzewów ozdobnych i róż, a wśród nich na małej wygodnej ławeczce, w miejscu osłoniętym od słońca, przesiaduje często z książką pani Marcinowa. Spokój moralny, zadowolenie i widok szczęścia córki przywróciły jej uśmiech i pomogły zdrowiu więcej niż krople i ekstrakty, bez których dawniej obejść się nie mogła, a których teraz wcale nie używa.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/urbanowska-ksiezniczka

Tekst opracowany na podstawie: Zofia Urbanowska, Księżniczka, il. Antoni Uniechowski, wyd. Nasza Księgarnia, Warszawa 1967.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska. Dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach Programu Narodowego Centrum Kultury - Kultura - Interwencje.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-1002-0

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.